













Spis treści

PRZEDMOWA	17
1. W nauce	35
· 1. Początki	37
Jacek Krusiński (1766 – po 1847)	
Rozprawa o dostrzeżeniach meteorologicznych [fragmenty]	
· 2. Jeografia czyli Opisanie matematyczne i fizyczne ziemi	43
Jan Śniadecki (1756–1830)	
Trąby napowietrzne, ich początek i skutki okropne	
· 3. Grad we Francji	48
Delcross – kapitan królewskiego korpusu inżynierów geografów	
Postrzeżenia nad gradem, spadłym w Bacconière	
· 4. Zorze polarne w Warszawie	52
Jan Baranowski (1800–1879)	
Obserwacje zorzy północnej czynione w Warszawie w r. 1770–1842	
· 5. Ciepła zima w Warszawie (1843)	61
Jan Baranowski (1800–1879)	
Porównanie pór zimowych lat poprzednich z zimą tegoroczną pod względem temperatury [fragment]	
· 6. Pogoda i zdrowie	65
Józef Bychowiec (1778–1845)	
Sztuka zapobiegania chorobom [fragment]	
· 7. Pogoda i księżyc	69
Jan Baranowski (1800–1879)	
O wpływie księżyca na atmosferę ziemską	

· 8. Przewidywanie pogody	73
Wojciech Jastrzębowski (1799–1882)	
Przepowiednie pogody, słyty, wiatru i innych zmian powietrza	
· 9. Nieco historii	92
Jan Baranowski (1800–1879)	
Przedmowa tłumacza [fragmenty]	
11. W prasie	103
· 10. Sposób na grad	105
„Gazeta Warszawska” 1812	
· 11. Ostra wiosna 1812	106
„Gazeta Warszawska” 1812	
· 12. Niezwyczajne deszcze	107
„Dziennik Wileński” 1821	
· 13. Nietypowe wstrząsy ziemi	108
„Gazeta Krakowska” 1823	
· 14. Luksusowy pojazd zimowy	110
„Kurier Warszawski” 1827	
· 15. Niestąła Wisła	111
„Gazeta Warszawska” 1832	
· 16. Nowoczesne parasole	112
„Powszechny Pamiętnik Nauk i Umiejętności” 1835	
· 17. Niebezpieczna wilgoć greckiego powietrza	113
„Powszechny Pamiętnik Nauk i Umiejętności” 1835	
· 18. Wielka powódź na Powiślu	114
„Kurier Warszawski” 1844	
· 19. Kometa w Warszawie	120
„Kurier Warszawski” 1844	
· 20. Łagodny klimat warszawski	121
„Kurier Warszawski” 1853	

· 21. Kronika burz i ulew „Gazeta Narodowa” 1864	122
· 22. Prorocy od pogody „Gazeta Narodowa” 1864	123
· 23. Dwie zimy: 1821/22 – 1829/30. „CZAS” 1866 Historia zimy r. 1821 na 1822.	125
III. Na co dzień	129
· 24. Tułacze lata poety Juliusz Słowacki (1809–1849) Listy do matki [fragmenty]	131
· 25. Rok 1834 we Francji Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą [fragmenty]	142
· 26. Rok 1839–1840 w Berezowie Ewa Felińska (1793–1859) Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie [fragmenty]	154
· 27. Lata 1861–1864 w Krakowie Ambroży Grabowski (1782–1868) Kronika domowa [fragmenty]	165
· 28. Francuskie lato Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845) Pamiętniki [fragment]	186
· 29. Wiosna na Ukrainie Aleksander Jełowicki (1804–1877) Wspomnienia [fragment]	188
· 30. Syberyjska zima Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908) Pamiętnik [fragment]	190

iv. W podróży	191
· 31. Przez poleskie błota Ewa Felińska (1793–1859) Pamiętniki z życia [fragmety]	193
· 32. W śnieżnej zawiei Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887) Wspomnienia Polesia, Wołnyia i Litwy [fragment]	203
· 33. Zwodnicze ciepło Ekaterynburga Ewa Felińska (1793–1859) Wspomnienia z podróży do Syberii [fragmety]	205
· 34. Burza na rzece Ewa Felińska (1793–1859) Wspomnienia z podróży do Syberii [fragmety]	207
· 35. Wichura i rzeka Ewa Felińska (1793–1859) Wspomnienia z podróży do Syberii [fragmety]	208
· 36. W zamieci Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	212
· 37. Na skrótę przez rzekę Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	214
· 38. Droga przez przerębęł Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	217
· 39. Na saniach w błocie Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	219
· 40. Wypadek zimowy Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	221

- 41. Śnieżycą na morzu 222
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragmenty]
- 42. Zima w Konstantynopolu 223
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]
- 43. Przeciw żywiolom i żandarm nie pomoże 224
Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)
Pamiętnik [fragment]
- 44. Przez wezbrane rzeki 226
Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)
Pamiętnik [fragment]
- 45. Zamieć i mróz 227
Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)
Pamiętnik [fragment]

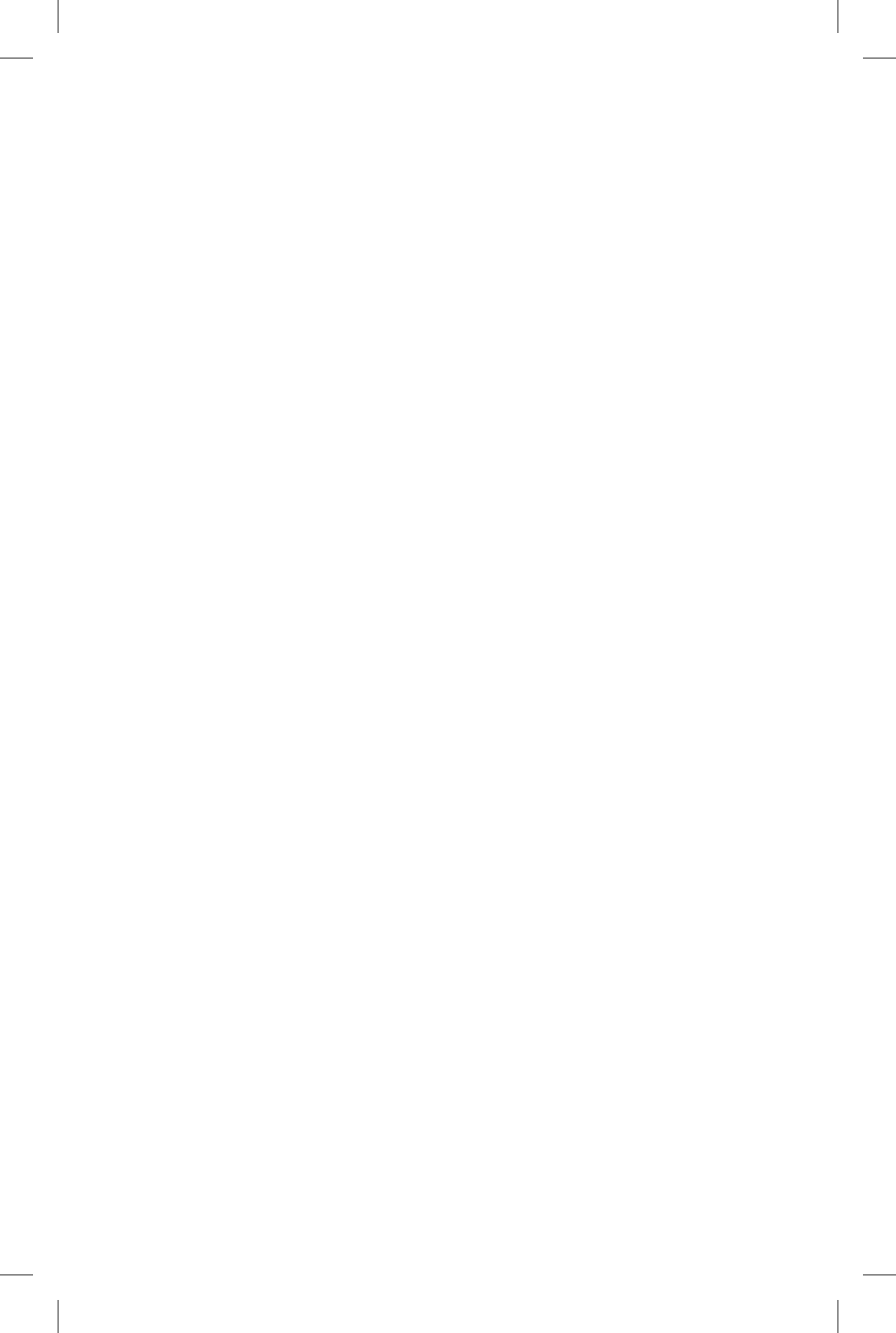
- v. Na wojnie 229**
- 46. Rok 1812. Od Możajska do Smoleńska 231
Franciszek Gajewski (1792–1868)
Pamiętniki [fragment]
- 47. Rok 1812. Berezyna 236
Franciszek Gajewski (1792–1868)
Pamiętniki [fragment]
- 48. Rok 1812. Od Berezyny do Wilna 240
Józef Grabowski (1791–1881)
Pamiętniki wojskowe [fragment]
- 49. Rok 1831. Przed wymarszem w Warszawie 244
Ludwik Jabłonowski (1810–1887)
Złote czasy i wywczasy. Pamiętnik szlachcica
z pierwszej połowy XIX wieku

· 50. Rok 1831. Wisła i Moskale Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Dziennik rewolucji [fragmenty]	245
· 51. Rok 1849. Na Węgrzech od zimy do lata Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragmenty]	252
· 52. Rok 1863. Zima i powstanie w oczach Francuza Jules Labbé (18...– 18...?) Zima w Polsce	256
vi. Przyjemności	259
· 53. Radości szkolnego wieku Aleksander Jełowicki (1804–1877) Wspomnienia [fragmenty]	261
· 54. Wiosna nad Berezyną Ewa Felińska (1793–1859) Pamiętniki z życia [fragment]	263
· 55. Pierwsze świadome spotkanie z wiosną Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	265
· 56. Świt na Łopienniku Zygmunt Kaczkowski (1825–1896) Mój pamiętnik z lat 1833–1843 [fragment]	267
· 57. Alpejskie widoki Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845) Pamiętniki [fragmenty]	269
· 58. Pierwszy śnieg w Londynie. Aleksander Chodźko (1804–1891) List do Adama Mickiewicza z 13 1 1842 [fragment]	270
· 59. Urok wiosny Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845) Pamiętniki [fragmenty]	271

· 60. Letnia kąpiel Ewa Felińska (1793–1859) Pamiętniki z życia [fragment]	272
· 61. Jesień w Krakowie. Rok 1862 Ambroży Grabowski (1782–1868) Kronika domowa [fragment]	279
· 62. Ślizgawka w porcie królewieckim Wincenty Pol (1807–1872) Obrazy z życia i natury [fragmenty]	281
· 63. Zima w lwowskim dworku Fredry Maria z Fredrów Szembekowa (1862–1937) Niegdyś... Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze [fragment]	283
· 64. Z rozmów o pogodzie August Wilkoński (1805–1852) O piorunach. Dwa nadzwyczaj prawdziwe zdarzenia.	285
· 65. Karnawałowe kreacje pogodowe Gabriela z Guntherów Pużynina (1815–1869) W Wilnie i dworach litewskich [fragment]	290
vii. Zjawiska niezwykle i ekstremalne	291
· 66. Susza 1811 Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętniki 1811–1820 [fragment]	293
· 67. Petersburg pod wodą Tadeusz Bułharyn (1789–1859) List do przyjaciela o powodzi St. Petersburgu dnia 7 listopada 1824 roku [fragment]	294
· 68. Wielka susza i nawałnica Wincenty Pol (1807–1872) Obrazy z życia i natury [fragmenty]	300

· 69. Mroźna zima 1829/30 Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętniki z 1830–1831 roku [fragmenty]	313
· 70. Promień słońca na pomniku Kopernika Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętniki z 1830–1831 roku [fragmenty]	315
· 71. Mistyczna zorza syberyjska Ewa Felińska (1793–1859) Wspomnienia z podróży do Syberii [fragmenty]	317
· 72. Londyńska mgła Aleksander Chodźko (1804–1891) List do Adama Mickiewicza z 2 stycznia 1842 [fragment]	320
· 73. Alpejski lodowiec Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845) Pamiętniki [fragmenty]	321
· 74. Kry i lody Bałtyku Wincenty Pol (1807–1872) Obrazy z życia i natury [fragmenty]	322
· 75. Wietrzny klimat stepu Wincenty Pol (1807–1872) Obrazy z życia i natury [fragmenty]	325
· 76. Śnieżycą angielska Franciszek Bagieński (1830–1909) Wspomnienia starego Wołyniaka [fragment]	328
viii. Przesady	337
· 77. Murzyn i burza Teodor Tomasz Jeź (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	339

· 78. Ludowe zabobony	340
Łukasz Gołębiowski (1773–1849)	
Lud Polski, jego zwyczaje, zabobony [fragmenty]	
· 79. Sybiracy i złe moce	343
Ewa Felińska (1793–1859)	
Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie [fragmenty]	
· 80. Morze Czarne na Polesiu	345
Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887)	
Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy [fragment]	
· 81. Przepowiednie z kalendarza	347
Józef Unger (1817–1874)	
Kalendarz gminny z prognostykami o urodzajach [fragmenty]	
· 82. Złowieszczy księżyc	355
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)	
Od kolebki przez życie [fragment]	
· 83. Wiejskie gusła i wróżby	357
Bieroński Wincenty (kierownik szkoły ludowej w Poroninie)	
Czary i zabobony wobec religii i nauk przyrodniczych [fragment]	
SPIS ILUSTRACJI	359
ILUSTRACJE	363



PRZEDMOWA



Pogoda jest jednym z pierwszych i głównych zagadnień zajmujących człowieka od początku jego historii. W miarę rozwoju cywilizacji przyjmowała różne konotacje – mityczne, religijne, naukowe, zasilając obficie ludzkie imaginarium. W kulturze europejskiej podwaliny pod wielowiekową tradycję myślenia o pogodzie stworzyła filozofia grecka (Arystoteles i jego następcy) oraz dwie wielkie monoteistyczne religie – żydowska i chrześcijańska. Zjawiska meteorologiczne – zmienne, nieprzewidywalne, zawieszane między niebem a ziemią, poddawały się łatwo dowolnym interpretacjom, stając się symbolicznym kodem dla rozmaitych treści – od codzienności po transcendencję. System ten trwał od średniowiecza (Arystotelesa w XII wieku przełożył z arabskiego na łacinę Gerard z Cremony, w XIII do nauk Kościoła przystosował Tomasz z Akwinu) przez kilka stuleci – erozji zaczął ulegać wraz z odkryciami geograficznymi i naukowymi, choć w malarstwie i literaturze obrazowanie wywodzące się z antyku i Biblii nadal trzymało się mocno. Dopiero w końcu XVIII wieku tematyka meteorologiczna wpisała się w proces przełomowych przemian, które w filozofii i sztuce przyniósł romantyzm, w nauce natomiast tzw. „druga rewolucja naukowa”. Oba te przełomy łączył wspólny sprzeciw wobec dominacji rozumu i jego teoretycznych uroszczeń w odseparowanych od siebie dziedzinach wiedzy, łączyła także holistyczna wizja świata i interdyscyplinarność w zgłębianiu tajemnic natury.

Dla romantyków ważna była wyobraźnia indywidualnego twórcy, prymat uczucia i konkret materialny, poprzez który artysta widział i wyrażał to, co niedostępne i niewyraźne. Ważna też była przeszłość objawiająca się w starych dokumentach oraz w ustnej tradycji ludu, troskliwie wówczas gromadzonej w zapisywanych pieśniach i legendach.

Dla badaczy przyrody, czerpiących inspiracje z filozofii nauki Francisca Bacona, ważne były doświadczenia oraz analiza zjawisk na podstawie zbiorów twardych danych, uzyskanych za pomocą odpowiednich przyrządów. Główny przedmiot ich zainteresowań stanowiły magnetyzm, elektryczność i ciepło – co doprowadziło do odkrycia pola elektromagnetycznego i zasad termodynamiki.

Literatura i nauka nie żyły wówczas osobno. Spotykały się na uniwersytetach, w towarzystwach naukowych oraz pod tymi samymi okładkami periodyków mniej lub bardziej popularnych, prezentujących najnowsze osiągnięcia. Nie istniała też wtedy językowa specjalizacja utrudniająca laikom dostęp do poszczególnych gałęzi wiedzy. Wszystko razem składało się na jedno wspólne intelektualne środowisko elit umysłowych. Tematy meteorologiczne przewijały się wszędzie – w pracach uczonych, w sztuce, w gazetach, wreszcie w prywatnych zapiskach. W literaturze romantycznej stanowiły sugestywny ekwiwalent uczuć i nastrojów, istotny rys kolorytu lokalnego, znak boskiej ingerencji i mistycznych tajemnic natury, a także użyteczną metaforę w politycznej aluzji. Nie literaturę wszakże prezentujemy w tej antologii, ale – zgodnie z założeniami Nowej Biblioteki Romantycznej – mało znane teksty nieliterackie wielostronnie naświetlające realia tamtej epoki – zarówno meteorologiczne, jak i cywilizacyjne.

Zacząć należy od realiów klimatologicznych, stanowiących ramę dla wszystkich pozostałych. Na rok 1850 datują dzisiejsi uczeni koniec tzw. małej epoki lodowej (trwającej od XIV wieku). Był to koniec dość chłodny, ponieważ w latach 1790–1830 przypadało dodatkowo minimum aktywności słonecznej. Zapisał się w pamięci ówczesnych pokoleń traumatycznymi datami 1812 i 1816 oraz wyjątkowo mroźną zimą 1829/30. Niespodziewanie silne mrozy i zimowa pogoda w Rosji późną jesienią 1812 zniszczyły armię Napoleona i zdecydowały o katastrofie jego wojennej wyprawy. Rok 1816 odznaczył się brakiem lata i związaną z tym klęską głodu na zachodzie Europy i w Ameryce Północnej, co było wynikiem „zimy wulkanicznej” spowodowanej potężnym wybuchem

indonezyjskiego wulkanu Tambora w kwietniu 1815 roku. Długotrwałe zimno z przełomu lat 1829/1830, kiedy nawet włoskie rzeki zamarzały, wspominano jeszcze w drugiej połowie XIX wieku. Jednocześnie zaczynały się już pojawiać pierwsze, nieliczne symptomy klimatycznych zmian w postaci nadzwyczajnie ciepłych zim, topnienia niektórych alpejskich lodowców, zmniejszania się ilości opadów w tych okolicach w Europie, gdzie powycinano lasy.

Na omawiany okres przypadają także początki meteorologii jako wyspecjalizowanej gałęzi wiedzy. Jej rozwój nie był możliwy, dopóki nie pojawiły się udoskonalone przyrządy, dzięki którym zjawiska atmosferyczne w różnych miejscach dawało się zmierzyć i opisać według ujednoczonych parametrów. W Polsce pierwsze systematyczne zapisy meteorologiczne (od 1770) rozpoczęto w Wilnie w rozbudowanym staraniem Marcina Poczobutta-Odlanickiego obserwatorium Szkoły Głównej Litewskiej¹. W Warszawie w latach 1779–1799 prowadził je królewski astronom ksiądz Jowin Bończa-Bystrzycki w obserwatorium na Zamku. W 1792 dołączył do tej listy Kraków, gdzie obserwatorium uniwersyteckie zakładał desygnowany przez Komisję Edukacji Narodowej Jan Śniadecki, wykładający tam od 1781 roku. Na przełomie wieków, po trzecim rozbiore, nastąpiły krótsze lub dłuższe przerwy w obserwacjach. W Warszawie wznowił je w 1803 roku Antoni Magier w swoim prywatnym domu przy ulicy Pławnej, w roku 1807 Poczobutt przekazał kierownictwo wileńskiego obserwatorium Janowi Śniadeckiemu, usuniętemu przez Austriaków z Krakowa². Na Uniwersytecie Jagiellońskim do regularnych zapisów pogody powrócono dopiero w roku 1825. Wtedy również Warszawa doczekała się prawdziwie nowoczesnego obserwatorium postawionego w Ogrodzie Botanicznym z inicjatywy astronoma Franciszka Armińskiego.

1 Taką nazwę nosiła za czasów KEN dawna Akademia Wileńska, po rozbiore przemianowana na Uniwersytet Wileński. Podobnie Uniwersytet Jagielloński nazywał się wtedy Szkołą Główną Koronną.

2 Naukom Śniadeckiego zawdzięczają znajomość astronomii również uczyący się w Wilnie poeci – Mickiewicz i Słowacki.

Polskie obserwatoria stały się centrami wiedzy meteorologicznej, którą prezentowano w prasie naukowej. Dzięki nim również codzienne gazety w Wilnie, Warszawie i Krakowie zamieszczały w miarę regularnie „obserwacje meteorologiczne”, odnoszące się do dnia lub dni poprzedzających dany numer. Prognoz pogody ówczesne dzienniki nie podawały, gdyż nauka nie miała jeszcze do tego rzetelnych podstaw, nawet po roku 1850, kiedy stacje meteorologiczne mogły się już kontaktować przy pomocy telegrafu. Innych informacji o pogodzie jednak nie brakowało. W prasie codziennej przedrukowywano zagraniczne opisy nadzwyczajnych zjawisk, odkryć naukowych i wynalazków, również zdarzenia lokalne – nietypowe bądź katastrofalne – trafiały na jej łamy. A ponadto tematy sezonowe, związane z porami roku. Czasopisma naukowe – prócz publikacji okresowych danych o temperaturach, opadach i ciśnieniu – zajmowały się wyjaśnianiem fenomenów meteorologicznych oraz zamieszczały drobiazgowo opisy zdarzeń u nas niespotykanych – czy to na antypodach, czy choćby w Petersburgu, nawiedzonym w listopadzie 1824 roku przez niszczycielską powódź, której świeże ślady widział i Mickiewicz, przybywszy z zesłanymi filomatami do stolicy dzień po kataklizmie.

Gdyby poprzestać na wymienionych wyżej prasowych źródłach, mogłoby się zdawać, że relacje człowieka i pogody w XIX wieku niewiele się różnią od dzisiejszych, co najwyżej stopniem znajomości praw meteorologii. Dopiero lektura wspomnień, dzienników i listów pokazuje, jak mocno ówczesni ludzie zależeli od warunków atmosferycznych i jak bogate doświadczenia mieli w tej dziedzinie. Pory roku wyznaczały czas prac rolnych, określały termin i trasę podróży, wybór pojazdu, sposób zaprzęgnięcia i podkuwania koni, ograniczały swobodę przemieszczania się lub ją umożliwiały. Na *Karcie meteorograficznej stolicy Królestwa Polskiego...* Antoniego Magiera (Warszawa 1829)³ zachowały się nazwy części

³ Można ją obejrzeć pod linkiem: <http://hint.org.pl/f=DE;hid=A4173;r=4;p=57670004.1>, dostęp 9.10.2016.

pór roku wówczas używane. Wiosna dzieliła się na roztopy (od 5 marca do 20 kwietnia) i siewy jare (od 20 kwietnia do 5 czerwca), lato na przednówek (od 5 czerwca do 20 lipca) i żniwa (od 20 lipca do 5 września), jesień na siewy ozime (od 5 września do 20 października) i późną jesień (od 20 października do 5 grudnia). Tylko zima nie miała osobnych nazw, poza zwykłym podziałem. Najuciążliwsze były te okresy, kiedy rozmokły lub zalany grunt uniemożliwiał komunikację, odcinając ludzi od świata. Regularnie zdarzało się to podczas roztopów, których przebieg zależał od ilości śniegu i lodu oraz od temperatury, wpływającej na mniej lub bardziej gwałtowne wiosenne topnienie. Dżdżysta jesień także dawała się we znaki, zatrzymując ludzi w domach. Doceniali to poeci, gdyż przymusowe zamknięcie i długie wieczory sprzyjały skupieniu i natchnieniu. Zagadką bywał początek zimy, czyli odpowiedź na pytanie, kiedy zamarznie błoto i kiedy śnieg umożliwi szybką jazdę saniami? Niepewność przekładała się na niespodziewane kłopoty w podróży przy niewłaściwie dobranym pojeździe. W pamiętniku Ewy Felińskiej znajdujemy opis takiej wczesnozimowej wyprawy w sąsiedztwo:

Droga była niedobra, ani sanna, ani kołowa, mało śniegu, więcej grudy; ekipaże były rozmaite. Kto nie żałował koni, jechał sankami, ale więcej było takich, co się kół trzymało, do rzędu tych ostatnich należałyśmy i ja i kuzynki [...]. Po obiedzie zeszło przyjemnie, a ku wieczorowi mieliśmy wyjeżdżać, kiedy śnieg gęsty zaczął padać z wielkim ukontentowaniem i triumfem tych, co jechali sankami. Triumf jednak nie był długi, bo przy gęstym śniegu zerwał się wiatr silny i ostry, który ochwytyjąc i unosząc w powietrze wiry śniegu, zrobił zamieć taką, że światu na kilka łokci przed sobą widno nie było.⁴

W rezultacie goście musieli przenocować, a nazajutrz warunki przy sypkim głębokim śniegu wymagały odmiennej organizacji powrotnej jazdy:

⁴ Ewa Felińska, *Pamiętniki z życia*, Seria 2, t. 1, Wilno 1858, s. 10–11.

Otóż wyjeżdżamy. Szereg sanek i kołowych ekwipażów stoi przed gankiem; sanki idą poprzód, aby ucierać drogę, za nimi leksze powozy kołowe, a my, kobiety na ostatku, aby mieć przed sobą drogę trochę utartą.⁵

Równie ważne – a zmienne wraz z porami roku – były rzeki. Kiedy zamarzały zimą, umożliwiały przeprawy w dowolnym miejscu, a także służyły jako szlaki komunikacyjne dla sań. W ciepłych porach przekształcały się w drogi wodne, w upały kusiły pozornie bezpiecznymi brodami i miejscami do kąpiei. Ale i letnie powodzie nie były rzadkością. Najtrudniejszy okres przypadał na roztopy. Wtedy praktycznie rzeki stawały się niedostępne, najpierw z powodu kruchego lodu i kry, potem wylewów, zasilanych topniejącym śniegiem. Jeszcze gorzej się działo w czasie zim o zmiennych temperaturach, powodujących rozmarzanie i zamarzanie. Doświadczyła tego armia Napoleona nad Berezyną – kra utrudniała budowę pontonowych mostów i przeprawę, co wpłynęło na przebieg bitwy i straty Francuzów. Podobnie zmienna okazała się Wisła w zimowych miesiącach powstania listopadowego, uniemożliwiając Rosjanom atak na Warszawę od strony Pragi. Nie wszędzie rzeki zachowywały się jednakowo. Na wschodzie, przy cięższych mrozach i śniegach, wiosną dłużej sprawiały problemy i tam organizowano komunikację przez pełne kry wody.

Doświadczenia łączące się z pogodą zależały w dużym stopniu od warunków klimatycznych, przyrodniczych i cywilizacyjnych. W Polsce centralnej i zachodniej mniej były one dotkliwe niż na kresach wschodnich, gdzie kontynentalny klimat zbliżał się do rosyjskiego, a przy tym mniejsza gęstość zaludnienia, gorsza drogowa infrastruktura i większe obszary niezamieszkałe – leśne, błotne, stepowe – wystawiały ludzi na bezpośrednie wpływy pogody. Nie dziwi zatem, że w antologii najbardziej widoczni są pamiętnikarze z Litwy, Wołynia i Podola, gdyż tam więcej było zjawisk wartych opisu. Wyróżnia się pod tym względem dwoje autorów: Ewa

⁵ Tamże, s. 16.

Felińska i Teodor Tomasz Jeż, obdarzonych wyjątkowym zmysłem obserwacji i wrażliwością na pomijane przez innych szczegóły. Felińska urodziła się na Litwie pięć lat przed Mickiewiczem, Jeż na Podolu dwadzieścia dziewięć lat po niej. Mimo to łączyło ich wiele: pochodzili z niezamożnych rodzin szlacheckich, dzieciństwo i młodość spędzali na wsi w skromnych warunkach, ale przy sporej swobodzie. Działalność patriotyczna w późniejszych latach życia skazała oboje na dalekie podróże – Felińska znalazła się na syberyjskim zesłaniu po wykryciu spisku Konarskiego, Jeż po klęsce kampanii węgierskiej rozpoczął żywot emigranta i emisariusza, krążącego między Turcją a Podolem, docierającego jednak i do Lwowa, Krakowa czy Warszawy. Najważniejsze wszakże było to swobodne wiejskie dzieciństwo na kresach, blisko natury. Nie mieli takiego dzieciństwa zamieszczeni w antologii pisarze wychowujący się w miastach (jak Klementyna z Tańskich-Hoffmanowa, Juliusz Słowacki czy Deotyma) ani ci z bogatych rodzin ziemiańskich, odgradzani od kaprysów aury wszelkimi udogodnieniami (jak Aleksander Jełowicki, Ludwik Jabłonowski czy Józef Ignacy Kraszewski).

O różności doświadczeń z pogodą w wieku XIX decydowało nie tylko miejsce pochodzenia, ale też konieczność wędrówek – najczęściej przymusowych. Kampanie wojenne, emigracja, emisarka, zesłanie – znalazły się w wielu biografiach. Stąd i opisy pogody okolic dalekich od stron ojczystych o diametralnie odmiennym klimacie, od pustyń Egiptu po Sybir. Wyjątek na tym tle stanowi postać Ambrożego Grabowskiego, który jako piętnastolatek przybył w 1797 roku do Krakowa z oddalonych o 100 km rodzinnych Kęt i przeżył w tym mieście lat ponad siedemdziesiąt. Został księgarzem i historykiem amatorem, a także wieloletnim kronikarzem krakowskiej pogody.

Piszący o pogodzie najczęściej, co oczywiste, zwracają uwagę na te chwile i zjawiska, które stanowią istotne okoliczności przedstawianych zdarzeń. Jednak na tym nie wyczerpują się możliwości tematyki meteorologicznej spotykanej w prywatnych dokumentach. Wśród autorów prezentowanych w antologii panuje pod

tym względem spora różnorodność. Wychowani w intelektualnej atmosferze Oświecenia Julian Ursyn Niemcewicz i ćwierć wieku młodszy Ambroży Grabowski prowadzili zapiski o pogodzie regularnie i przez wiele lat. Choć byli w tej dziedzinie amatorami, starali się o precyzję – podając temperaturę powietrza, informacje o wietrze i opadach. Systematycznie czytali prasę i czerpali stamtąd niektóre wiadomości. Zwracali też uwagę na wszelkie odstępstwa od normy, zwłaszcza jeśli chodzi o miesiące zimowe. Podczas suszy czy deszczy martwili się o zbiory. W ostatnim okresie życia i Niemcewicz, i Grabowski oceniali pogodę także pod kątem swoich potrzeb związanych z podeszłym wiekiem. Sprawą główną była konieczność spacerów, zapewniających dobrą formę fizyczną, a niemożliwych w zimne i mokre dni. Taka aura nasilała ich chroniczne dolegliwości i była powodem częstych narzekań. Grabowski bardziej osobiście traktował pogodę, używał rozbudowanych metafor, popełniał niekiedy amatorskie wiersze na cześć wiosny, a w tym wszystkim, co ciekawe, trzymał się poetyki klasycyzmu, antycznego kostiumu, łacińskich cytatów. U romantyków, których poezje dobrze znał i cenił, nie znajdował dla pogody odpowiedniego języka.

Na przeciwnym biegunie sytuują się informacje o pogodzie zawarte w listach Słowackiego do matki. Wynika to z gatunku wypowiedzi, przeznaczonej dla konkretnego odbiorcy, ale nie tylko. Poeta zjawiska atmosferyczne oceniał przede wszystkim pod kątem ich estetycznych wartości. Wrażliwy był na piękno światła słonecznego, zwłaszcza jesiennego, nadającego genewskim krajobrazom wyjątkowe barwy. Pochmurnego nieba nie lubił, gust jego kształtowało przede wszystkim malarstwo włoskie⁶. Nie oznacza to wszakże, iż Słowacki był meteorologicznym ignorantem, znał się na fizyce, potrafił skonstruować wiarygodną meteorologiczną alegorię, kamuflującą jego polityczne rachuby przesyłane matce,

⁶ Zob. Olaf Kryszowski, *Słońce ogromnych kręgi... Malarskie inspiracje Słowackiego*, Verbinum, Warszawa 2002.

czytywał też prasę, gdzie umiał znaleźć pogodowe ciekawostki, mogące zainteresować gospodarującą na wsi rodzinę. Najważniejsze wszak były dlań nastroje i uczucia, które pogoda w nim wzbudzała. Czy to wiosenne poetyckie marzenia, czy też wspomnienia o rodzinnym domu, nieodmiennie powracające na widok mroźnej, śnieżnej zimy. W sposobie pisania Słowackiego zawiera się pewna doza romantycznej autokreacji, niemniej akurat ten temat nie stwarza potrzeby ukrywania własnych gustów i sądów – można mówić szczerze i po swojemu.

Najbogatsze relacje o pogodzie znajdujemy w pamiętnikach Ewy Felińskiej. Pisarka posiada wyjątkowy zmysł dostrzegania istotnych szczegółów, dających wyobrażenie o charakterze opisywanych zjawisk. Dzieje się tak dlatego, że nie ogranicza się do rejestracji meteorologicznych przypadków, lecz przedstawia je na tle rozmaitych działań ludzi, zachowań zwierząt, zmian w przyrodzie. Nie pominęła nawet „białych niedźwiedzi” na ulicach Berzowa. Poza tym jej opisy są dynamiczne i niemonotonne, co wynika z tego, że jest ona autentycznie zainteresowana otaczającą ją rzeczywistością i zafascynowana żywiołami natury – zarówno na rodzinnej Litwie, jak i na Syberii.

Równie ciekawe są zapiski Zygmunta Miłkowskiego publikującego pod pseudonimem Tomasza Teodora Jeża. O powieściach jego już zapomniano, a on sam jest znany głównie polonistom i historykom jako działacz niepodległościowy i autor *Sylwet emigracyjnych*⁷. Niedocenione pozostały wspomnienia *Od kolebki przez życie*, ukazujące szeroką panoramę Europy – przede wszystkim południowej – oglądanej z bliska wyostrzonym wzrokiem konspiratora, żołnierza i emisariusza. Kształtowały Miłkowskiego, jak pisze Adam Lewak:

ziemia ukraińska, z której wyrósł, tradycja wojskowa i liberalna w domu ojca, nauki w Niemirowie i Odessie, konspirowanie w szkole i na Uniwersytecie Kijowskim, służba wojskowa na

⁷ Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Sylwety emigracyjne*, Lwów 1904, wyd. 2. Kraków 1988.

Węgrzech, walka o chleb w Anglii i udział w działaniach Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, przeżycia w Polsce i na Bałkanach w roli emisariusza Towarzystwa Demokratycznego, czynny udział w 1863 roku i wreszcie powtórna tułaczka emigracyjna po Serbii, Belgii, Francji i Szwajcarii.⁸

Dla Jeża istotna była nie tyle pogoda, co jej nieprzewidziane nieraz skutki utrudniające nielegalne wędrowki czy wojaczkę. Do tego dołączała się młodzięcza brawura, czerpiąca satysfakcję z pokonywania niebezpiecznych przeszkód.

U Wincentego Pola natomiast zainteresowania meteorologiczne wynikały z pasji geograficznej, której uwieńczeniem było objęcie katedry na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1850 roku. Plon jego naukowych wypraw oprócz prac fachowych stanowiły dwa tomy *Obrazów z życia i natury*, gdzie osobiste wspomnienia spletały się z wiedzą krajoznawczą i wiadomościami o klimacie. Pol tłumaczył się z tego czytelnikom w przedmowie do drugiego tomu:

jedni zarzucają mi brak obrazowości i poetycznego poglądu na naturę z powodu wstępnych uwag w każdym prawie z obrazów, które (jak się wyrażają) „szkołą i nudną naukowością trącą”. Drudzy wymagają wykluczenia z naukowej książki obrazowych opisów natury i tych postaci żywych, które się pojawiają na tym tle natury miejscowej, wedle odrębnych typów i owego związku, w jakim wszędzie człowiek z naturą stoi i pod jej wpływem zostaje.⁹

Poeta w swoich relacjach występuje w roli naocznego świadka – dokładnego, ale zdystansowanego i niezaangażowanego obserwatora. Zjawiska, które opisuje, nie są przeciętnymi na danym terenie, ale wyjątkowymi lub najbardziej charakterystycznymi dla jego klimatu.

⁸ Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. xxiiii.

⁹ Wincenty Pol, *Obrazy z życia i natury*, seria 2, Kraków 1870, s. 2.

Zainteresowanie pogodą przejawiało się również w rozważaniu jej wpływu na człowieka. Pojęcie meteoropatii nie było jeszcze znane, ale pewne jej symptomy można dostrzec u starszych autorów. Przede wszystkim jednak zwracano uwagę na zdrowotne konsekwencje przegrzania, wyziębienia i przemoczenia. Około połowy wieku zaczęły się ukazywać pierwsze poradniki medyczne, gdzie prócz rozmaitych zaleceń zdrowotnych znajdowały się i te związane z postępowaniem przy różnych typach aury. Nie one wszakże kształtowały potoczną świadomość dotyczącą związków człowieka i pogody, lecz liczne kalendarze, zawierające oprócz praktycznych wiadomości również przekazywane z pokolenia na pokolenie ludowe przysłowia o pogodzie i prognozowaniu jej odmian. Wykształcone elity odnosiły się do tych mądrości sceptycznie, jednak korzystali z nich romantyczni poeci i etnografowie, zbierający wśród ludu wiadomości o starych i nowych przesądach w danym środowisku czy okolicy. W ten sposób zachowywali dla potomności to, co z życia codziennego wypierała dynamicznie rozwijająca się nauka.

Meteorolodzy coraz lepiej radzili sobie z objaśnianiem mechanizmów zjawisk atmosferycznych, lecz dłuższe prognozy pogody pozostawały poza ich zasięgiem. Nawet opadający barometr nie dawał pewności, że pojawi się deszcz. Dlatego pozytywnej weryfikacji naukowej doczekały się wtedy także poparte wieloletnim praktycznym doświadczeniem obserwacje przyrodnicze, kojarzące bliskie zmiany pogody z wyglądem nieba, z kierunkiem wiatru, z zachowaniem zwierząt i stanem roślin. Zebrał je w broszurze Wojciech Jastrzębowski, profesor Instytutu Agronomicznego na Marymoncie¹⁰. Do dziś zachowała ona wartość – w wielu późniejszych publikacjach wiadomości tam zgromadzone się powtarzają. Również przysłowia i przesady związane z niektórymi datami kalendarza (jak np. Matki Boskiej Gromnicznej czy 40 Męczenników) trzymają się mocno, choć już Ambroży Grabowski udowadniał dla

¹⁰ Zob. tekst nr 8.

własnej satysfakcji, że niewiele w nich prawdy. Dopóki jednak meteorologia nie poradzi sobie ostatecznie z prognozami sezonowymi, będą one atrakcyjne nie tylko jako zabytek rodzimego folkloru.

Epoka romantyzmu to także okres ewolucji słownictwa związanego z pogodą. Wymusił ją rozwój tej dziedziny wiedzy. U progu XIX wieku meteorologia, zgodnie z etymologią i tradycją arystotelesiańską, dotyczyła wszelkich „tworów napowietrznych”, czyli znajdujących się w atmosferze, a nie tylko stanu atmosfery. Dopiero około połowy stulecia widać stopniowe zawężenie tego terminu. Kształtowało się wówczas również słownictwo naukowe. Próby spolszczenia zagranicznych określeń nie zawsze były udane i nie wszystkie przetrwały, o czym świadczy artykuł Jacka Krusińskiego (zob. tekst nr 1). Język potoczny też ulegał przemianom. Autorzy dziewiętnastowieczni dość powszechnie jeszcze używali słowa „czas” w odniesieniu do pogody, w czym wyraźny był jej bliski związek ze zjawiskami astronomicznymi i ze zmiennością aury. Widać go ciągle we francuszczyźnie (*le temps*), u nas już „czas” w tym znaczeniu nie występuje. Zastąpiła go „pogoda” – w dziewiętnastowiecznych słownikach (Lindego, Wileńskim, Warszawskim) oznaczająca wyłącznie „piękny, pogodny czas na niebie”. Skąd to późniejsze przesunięcie? Zapewne z potrzeby specjalizacji znaczeniowej, ale też i stąd, że polszczyzna mogła sobie na to pozwolić. Wszak słowo „pogoda” również wywodzi się od czasu (starosłowiański „god”, obecny w wyrazach „godzina” i „gody”, czy w rosyjskim „god” – rok) – mogło więc przejąć tę funkcję¹¹. Zniknęły także

¹¹ Wyjaśnia to Linde: „*Gody* w polskim Boże narodzenie, biesiada, uczta, bonowanie, wesela małżeńskie; stąd oczywiście *godować*, [...] ale *godny*, *godzić* się, *godzić* na co, *ugodzić* w co, *zgoda*, *pogoda*, *przygoda*, *wygoda*, *godzina* itd. chociaż jawno i podług słuchu i głosek, od *gody* idą, ciężko od razu z niego wykladać, nawet udawszy się do innych dialektów. [...] Dopiero zastanowiwszy się, że tu wszędzie znaczy się mniej lub więcej jakiś czasu przeciąg, jakaś pora, doba, mająca pewne ograniczenie, pewne przeznaczenie, pewną własność; pokazuje się, iż kiedyś *god* znaczyło porę, uprzywilejowaną do jakiejś uroczystości, porę do czegoś osobliwie zdatną, po myśli czyjej, zgoła chwilę szczęśliwą i właściwą do szczęśliwego przedsiębrania; już wynurza się, że pierwiastkowe znaczenie słowa *gody* zatraciło się, nie tylko u nas, lecz i u naszych pobratymców; że zaś tkwi

inne określenia, jak „rozciec”, „roztop”, „odelga” czy „powietrznia”. Pierwsze trzy dotyczą odwilży, z czego widać, iż w chłodnym okresie miała ona większe znaczenie niż obecnie.

Autorzy antologii należą do kilku następujących po sobie pokoleń. Najstarsi urodzili się krótko po połowie XVIII wieku (J. U. Niemcewicz), najmłodszy dożył początków wieku XX (T. T. Jeż). Łączy ich to, że pisali lub kształtowali się w czasach romantyzmu, w tej samej przestrzeni kulturowej. Teksty w obrębie poszczególnych działów zostały ułożone chronologicznie, z pewnymi wyjątkami. Oczywiście istotny był czas opisywanych zdarzeń, a nie data publikacji. Dokonując wyboru, starałam się o wielostronne ujęcie tematu oraz przypomnienie twórców mniej znanych, a niegdyś popularnych. Zależało mi też na pokazaniu tych miejsc, które dla Polaków były ważne, jak strony ojczyste, kraje, dokąd emigrowali, gdzie walczyli, gdzie trafiali na zesłanie. Miejsca owe utrwaliły się w zbiorowej wyobraźni dzięki wielkiej literaturze romantycznej – tu oglądamy je z nietypowej, meteorologicznej perspektywy, podobnie jak lata pamiętnych wydarzeń historycznych. O ile związek kłęski Napoleona z zimą jest powszechnie znany (choć rozmiary traumy i „doświadczeń granicznych”¹² już mniej), to warunki panujące podczas powstania listopadowego czy styczniowego, ze względu na dłuższe ich trwanie, wymykają się uwadze. A były istotne, zwłaszcza nietypowa pogoda powstania styczniowego – bardzo ciepła zima, umożliwiająca wyjście partyzantów do lasów – i niestety – potem chłodna wiosna i kiepskie lato, co odnotowywał w Krakowie Ambroży Grabowski. W antologii nie zabrakło również rozmaitych ciekawostek, jakich i dziś pełno obok meteorologicznych doniesień.

w pochodzących z niego, wyrażających bądź czasu jakiś kres, np. *godzina*, bądź tegoż jaką zdatność, np. *pogoda*, bądź też w ogólności wzajemne z sobą stosowanie się, z sobą się jednanie, np. *zgoda*, *ugoda*, *wygoda* i t. d.”. S. B. Linde, *Prawidła etymologii*, § 57, w: *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1807, t. 1.

¹² W rozumieniu Jacka Leociaka, zob. jego *Doświadczenia graniczne*, IBL PAN, Warszawa 2009.

Bibliografia:

- Otto Boele, *The North in Russian Romantic Literature*, Amsterdam–Atlanta GA, 1996.
- Urszula Kossowska-Cezak, *Wojciech Jastrzębowski i jego karta meteorograficzna*, „Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego” 2008, nr 71, s. 93–99.
- Urszula Kossowska-Cezak, Zdzisław Mikulski, *Z życia nauki i życia Towarzystwa: Jacek Krusiński (1766 – po 1847) i jego rozprawa o dostrzeżeniach meteorologicznych*, „Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego” 2003, nr 66, s. 146–151.
- Urszula Kossowska-Cezak, *Antoni Magier (1762–1837)*, <http://www.klimat.org.pl/index.php/historia/antoni-magier.html>, dostęp 20.10.2016.
- Arden Reed, *Romantic Weather: Climates of Coleridge and Baudelaire*, Brown University Press by University Press of New England, 1983.
- Janina Bożena Trepińska, *Obserwacje i zapisy stanu pogody w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego*, „Prace Komisji Historii Nauki PAU” 2010, t. x, s. 171–190.
- François Walter, *Hiver. Histoire d'une saison*, Paris 2014.
- Marta Zielińska, „Ustęp” 111 cz. „Dziadów” i jego rosyjskie konteksty, w tejsze: *Polacy, Rosjanie, romantyzm*, Warszawa 1998.
- Marta Zielińska, *Zima i romantycy*, „Wiek XIX. Rocznik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza”, R. VII (L) 2015.

ANTOLOGIA



W NAUCE



1. Początki

Jacek Krusiński (1766 – po 1847)

Rozprawa o dostrzeżeniach meteorologicznych [fragmenty]

Homo naturae interpres et minister tantum facit et intelligit, quantum de naturae ordine, re vel mente observaverit, nec amplius scit aut potest.¹

Baco Nov. Organ. Aphor. I.

Między najistotniejszymi skłonnościami człowieka policzyć można chęć do dostrzegania². Główny ten przymiot jego charakteru zaczął się rozwijać za pierwszym prawie ciałem o zmysły uderzeniem. Otoczony tysiącem skutków, przypadków i igrzysk natury, doświadczał tyłuż na umyśle wrażeń; chciał wiedzieć, co one są, jaki ich bytu zamiar, jaki między nimi związek, jaki wpływ na jego los i życie. Ciekawość jego wzrastała w miarę zaważ, jakie mu stawiało niedoświadczenie. Lubo zaś zaspokajał się po części, nie przestawał jednak doświadczać nowych a coraz silniejszych bodźców do dalszych dostrzeżeń. Zgłębiwszy niektórych skutków przyczyny, podbiwszy je pod swoje panowanie, nie przestał być czynnym w poszukiwaniu innych; dowiódł, że dopóki zostaną w przyrodzeniu³

¹ *Homo naturae minister...* (łac.) – „Człowiek, sługa i tłumacz przyrody, tyle może zdziałać i zrozumieć, ile z ładu przyrody spostrzeganiem lub umysłem zdoła uchwycić; poza tym nic nie wie i nic więcej nie może” (Francis Bacon, *Novum Organum*, tłum. Jan Wikarjak, Warszawa 1955, s. 41). W motcie tekstu Krusińskiego zamienione miejscami zostały słowa „interpres” i „minister”.

² Tzn. obserwowania.

³ Tzn. w przyrodzie.

tajemnice do odkrycia, trudności do pokonania, zagadnienia do rozwiązania, człowiek uspokoić się nie potrafi.

Miłość własna podawała mu częstokroć myśli o wysokim stopniu, na którym go już poprzednie usiłowania postawiły; rachował z okazałością zdobyte prawdy i wynalazki; lecz nienasycona chęć wiedzenia stawiała obok nieprzeliczony szereg rzeczy do odkrycia pozostałych i wprawiała go w uczucie swej małości. Ta to chęć i potrzeba wiedzenia, to stosowanie rzeczy znanych z nieznanymi, posłużyły do zgromadzenia w jedno ciało wszelkiego rodzaju wiadomości, a następnie do utworzenia nauk.

Powszechnie przyjęte, a dzisiejszy wiek znamionujące jest mniemanie, iż te wiadomości tylko warte są pracowitego zgłębiania i udzielania współrodakom, które do użytku bezpośrednio stosowane być mogą. Przejęty uszanowaniem ku tak sprzyjającemu wzrostowi światła mniemaniu, obrałem sobie spośród ogromnego wiadomości fizycznych zbioru rzecz o dostrzeżeniach meteorologicznych, o sposobie ich robienia, o ich wpływie do rolnictwa i sztuki lekarskiej. Niedługo namyślałem się nad wyborem materii: niedostatek ciągłych w kraju naszym dostrzeżeń wskazał mi ją, a potrzeba ich czynienia nastęrczyła mi sposobność mówienia o nich w obliczu oświeconej publiczności.

Nazwisko⁴ tworów napowietrznych (*meteores*) dajemy pospolicie pewnym widokom, które się tworzą i pokazują w powietrzkęgu⁵. Te albo są wodne, jako chmury, trąby napowietrzne, mgły, rosa, deszcz, śnieg i grad. Ogniove, jako błyskawice, pioruny, ognie błędzące⁶, świecące i zapalające, kule palące się. Świetenie⁷, jako tęcze słoneczne i księżycowe, światła błędzące, fałszywe obrazy słońca (*Parhelia*), do których przydać można światło zwierzyńcowe⁸

4 Tj. nazwę.

5 Tzn. w atmosferze.

6 Tzn. błędne ognie.

7 Świetenie (arch.) – świetlne.

8 Tzn. światło zodiakalne, widoczne nocą wzdłuż ekliptyki zodiaku.

(*Lumen Zodiacale*), i światło północne (*Aurora Borealis*)⁹; powietrzne, z liczby których są wiatry. Człowiek od niepamiętnych czasów przywykły do obawiania się wzmiankowanych tworów, dziś odważa się dochodzić ich przyczyny; konieczność spokojnego bytu wskazuje mu potrzebę jej dochodzenia, aby się nie lękał, uprzedził lub zmniejszył ich smutny wpływ na ziemię. Ogromny łańcuch napowietrznych tworów od wnętrza ziemi aż do najodleglejszego przestworu niebios rozciąga się. Potrzeba spojenia licznych jego ogniw po całej naturze rozproszonych utworzyła od niedawnego czasu nową gałąź chemii meteorycznej. Samo dostrzeganie fizyczne nie wystarcza do poznania przyrodzenia odmian, następstwa, a cóż dopiero przyczyny pokazujących się tworów. Jeżeli liczne zbiory dostrzeżeń nic nas nie nauczyły ważnego, co człowiekowi wiedzieć należy, względem nadzwyczajnych skutków powietrzokręgu, nie można tego niepowodzenia przypisać innej przyczynie, tylko iż dotąd nie natrafiono na prawdziwy ślad do rozwiązania owego wysokiego stopnia zagadnienia: czyli¹⁰ napowietrzne twory są skutkami kombinacji chemicznych? Dzisiejsza chemia rozwiązała go już po części i przekonała, że powietrzokrąg jest to owo obszerne laboratorium, w którym wszystko odbywa się przez związki powinowactwa, tak jak w naszych retortach i alembikach. Nadto zasady swoje do wytłumaczenia wielu w naturze widoków przystosowała.

Rozkład wody na dwa gazy przez Lavoisier i Cavendish wykonany, może mieć miejsce w głębi ziemi przez działanie ognia, lub nad powierzchnią ziemi wielorakim sposobem skutecznym bywa; jeden z tych gazów zwany kwasorodem¹¹, składając przeszło czwartą część powietrza atmosferycznego, nadgradza w nim utratę zdziałaną przez oddech zwierząt i wsiąknięcie podczas

⁹ Zorza polarna.

¹⁰ Czyli (arch.) – tu w znaczeniu „czy”.

¹¹ Kwasoród – dawna nazwa tlenu.

palenia się ciał. Wodoród¹² zaś, uwolniony z częścią ciepłiku¹³, szuka dla siebie nowych związków. Takowe gazy przez pewną siłę do górnych krain powietrzokręgu przeniesione, zapalone przez iskrę elektryczną, tworzą błyskawice, grzmot, zawsze gwałtownemu łączeniu się gazów towarzyszący, i ulewny deszcz. Inne cząstki wodne, dla niedostatku ciepła, nie już w gazy, lecz w wyziewy pęcherzykowe¹⁴ (*vapeurs vésiculaires*) zamieniając się, wznoszą się do pewnej wysokości, tworzą chmury; utracając potem część ciepłika i materii elektrycznej, zgęszczają się i w kształcie deszczu, śniegu, gradu, niżej zaś w powietrzu zawieszone, w kształcie mgły lub rosy na ziemię spadają.

Już dziś nikt nie wątpi, że materia elektryczna, ten to potężny działacz w naturze, zaczawszy od chwili, gdy woda w wyziew się obraca, aż do momentu, w którym opada, łączy się z nią; i lubo wielką w meteorologii gra rolę, przecież sama przez się nie może być użytą do wykładu ogniowych i świecących zjawisk; tak, pokazywanie się ogniów błędzących, deszczów ogniowych, gwiazd spadających, kul ogniowych przypisywano materii elektrycznej, dziś dowiedziono, że gaz wodorodu, dla swej lekkości w górę unoszący się i zapalony przez iskrę elektryczną, takowych zjawisk jest przyczyną. Rozkład chemiczny wielu ciał zwierzęcych i roślinnych w czasie ich gnicia, również gaz fosforyczny samowolnie wywikłujący się, tłumaczą pokazywanie się wielu napowietrznych światłek.

Co do światła północnego, twór ten już od Arystotelesa i Pliniusza opisany, długo poczytywany był za działanie samej materii elektrycznej: dziś domyślają się z wielkim do prawdy podobieństwem, iż powstaje z połączenia w różnym stosunku gazów kwasorodu i saletrorodu¹⁵, gdy przez nie iskra elektryczna przepuszczoną

12 Spolszczenie francuskiej nazwy pierwiastka *hydrogène* (z grec. „tworzący wodę”), nadanej mu przez jego odkrywcę – Lavoisiera. Przyjęła się nazwa wodór.

13 Ciepłik – z fr. *calorique* – termin oznaczający wg ówczesnych teorii niezniszczalny fluid ciepła.

14 Tzn. parowanie.

15 Saletroród – spolszczona nazwa azotu, która się nie przyjęła.

będzie. Czyliż gwałtowne tworzenie się gazów w czasie rozkładu wody na pirytach, ogromne wydrążenia podziemne zalegających, nie będzie pomyślnie użytym do wykładu skutków gór wulkanicznych?

Przestąpiłbym granice zamiaru mego, gdybym tu wykład innych tworów napowietrznych przedsiębrał¹⁶; materia o nich jest obszerna, a po większej części systematyczna. Wiele upłynie czasu, nim będzie można dowieść, że przyrodzenie tą, a nie inną drogą w ich utworze postępuje. [...]

Narzędzia¹⁷ do dostrzeżeń najpotrzebniejsze jedne wydoskonalone, inne wynalezione zostały. Powietrze za pomocą ciężkomiaru (*Barometrum*) jest takważone, jak gdyby na najczulszej i w ustawicznym doświadczeniu będącej szali. Ciepłomiar¹⁸ wskazuje odmiany temperatury powietrza, właściwiej mówiąc ilość ciepłika uwolnionego, czyli termometrycznego¹⁹ w stanie prostej mieszaniny z powietrzem złączonego; wilgociomiar²⁰ stopień wilgoci, wiatromiar kierunek wiatrów i ich moc, elektrometr przytomność i razem obfitość materii elektrycznej w powietrzu dowodzą; mierzy się ilość wody na ziemię spadającej, równie jak obfitość jej wyparowania. Ileż to na raz natężonych usiłowań ku dojściu do prawdziwego odkrycia!

Zasadą meteorologii, równie jak wszelkiego dojścia działań przyrodzenia, jest dostrzeganie; to nie może być dziełem krótkiego czasu ani jednego kraju. Zależy ono na tym, aby nie troszcząc się tymczasowo o przyczyny, oznaczyć z dokładną ścisłością skutki, dochodzić ich stopnia za pomocą narzędzi doskonałych

16 Dokładny wywód tworów napowietrznych i ich przyczyn znajdzie Czytelnik w dziele *Jeografia czyli Opisanie matematyczne i fizyczne Ziemi przez J.P. Śniadeckiego*, wkrótce z druku wyjść mające. Dzieło to z wielu miar szacowne, a w swym rodzaju w naszym ojczystym języku najpierwsze, z ukontentowaniem równie od współrodaków, jak i od cudzoziemców czytane, i za elementarne przyznane będzie [przyp. autora].

17 Tj. przyrządy.

18 Tj. termometr.

19 Tj. termometrycznego.

20 Tj. higrometr.

i jednostajnych; utrzymywać zbiory dostrzeżeń na odległych od siebie miejscach przez znaczny ciąg czasu, porównać je między sobą, uważać je ze wszech stron, a w końcu szczęśliwie odkryta prawda nagrodzi sownie cierpliwość i usilność dostrzegacza. Uwaga ta naturalnie prowadzi do mówienia o narzędziach meteorologicznych w szczególności i o zapisywaniu stanu powietrza w tablicach. [...]

PRZEDRUK ZA: *Rozprawa o dostrzeżeniach meteorologicznych przez Jacka Krusińskiego czytana na posiedzeniu publicznym Zgromadzenia Przyjaciół Nauk. Dnia 5go maja 1803 roku, „Roczniki Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk”, Warszawa 1803, t. 2, s. 293, 299–300.*

2. Meteorologia w Wilnie

Jan Śniadecki (1756–1830)
Jeografia czyli Opisanie
matematyczne i fizyczne ziemi
[fragmenty]

Trąby napowietrzne, ich początek i skutki okropne

§8 – Wróćmy się jeszcze do uwagi burzy i gwałtownego atmosfery wzruszenia przez nagle kupiące się i opadające w powietrzu wody. Jeżeli dwa gwałtowne z przeciwnych sobie stron płynące wiatry natrą na chmurę lub na masę powietrza, nadać jej mogą bieg wirowy, przez który tak sparte dwiema siłami, powietrze ułoży się w kolumnę wierzchołkową, od ziemi w górę idącą, i z niezmierną chyżością wkoło się kręcącą. Mamy podobnego biegu przykłady w wirach i odmętach rzek, morza, a nawet w powietrzu wkoło przy ziemi piasek kręcącym i miotającym. Takowa kolumna powietrza z niezmierną chyżością obracana przez siłę odpychającą (§.26. Wstęp), z podobnego biegu rodząca się, oddalać będzie i odrzucać na bok cząstki powietrza od osi kręcenia się, zmniejszać ich siłę rozpuszczającą i ułatwiać opadanie wody: cząstki wody opuszczonej biegiem wirowym porwane i z wielkim gwałtem na bok odrzucone, kupić się tam będą w deszcz rzęsimy, z boków kolumny na wszystkie strony wypadający. Nadto ten niezmiernie szybki wir, przez siłę odpychającą wypędzając wodę i powietrze ze środka kolumny, rozrzedzać i wypróżniać ciągle będzie jej wnętrze; na miejsce wypróżnione wpadać będą z góry całe wilgocią obciążone chmury, z dołu zaś popłynie ogromna masa pobocznego powietrza z tym większym nawałem, im wnętrze kolumny bardziej rozrzedzone i wypróżnione: wnet wpadające chmury i powietrze

pochłonięte, gwałtem wiru i siły odpychającej na bok odrzucone i na deszcze obfite z boku wypadające rozproszone, zostawią miejsce na nowo wciągany do tej otchłani wypróżnionego wnętrza innym chmurom z góry i innym masom powietrza z dołu, tak dalece, że siłą tego tworów ogromne masy chmur i wody z rozległej przestrzeni atmosfery zebrane, bywają zagarnione i pochłonięte.

Kiedy tak kręcąca się kolumna powietrza aż do ziemi sięgająca, wiatrami pędzona, przechodzi nad morzem, niezmierną siłą przęcającego z boku powietrza, podobnie jak w pompie ssącej, woda morska wznosi się w górę do napełnienia sobą wypróżnionego wnętrza kolumny i spotkane na drodze okręty zalewa, przewraca i zatapia; kiedy zaś przechodzi przez ląd, wyrывa drzewa z korzeniami, pustoszy pola i urodzaje¹, przewraca domy i budowle itd. Twór ten napowietrzny jeden z najokropniejszych i najszkodliwszych nazywa się trąbą powietrzną (*turbo, tromba marina, ecnephia, la trombe*), dla figury rozwartej u góry, ściśnionej zaś u dołu, pod którą się pokazuje. Daje ona się częstokroć postrzegać na puszczach piaszczystych Libii i Nubii (Bruce, *Voyage en Nubie*²), w postaci pałającego ogniem słupa, siłą wiatru szybko pędzonego i polykającego masę rozpalonego piasku, dusząc i zabijając wędrowników na drodze spotkanych. Przeciwno srogości tego tworów ratują się karawany, kładąc się twarzą na ziemię i dech w sobie zatrzymując; szczęściem, że bieg bardzo szybki w momencie ją przesuwa i przenosi z jednego miejsca na drugie. [...]

Igrzyska światła w atmosferze przez zimno skupionej i reszta tworów napowietrznych

101 – Zimno zgęszczając powietrze atmosfery, krystalizując i mroząc zawieszoną w nim wodę, daje początek różnym widowiskom

¹ Tzn. plony.

² James Bruce, *Voyage aux sources du Nil, en Nubie et en Abyssinie, pendant les années 1768, 1769, 1770, 1771 & 1772*, Londres et Paris, 1790–1792.

świetlnym, wypadającym z odbitego, zgiętego, rozłożonego i skupionego w atmosferze światła przez cząstki wody zmrożone. Różna figura cząstek zmrożonej i skryształizowanej wody pomaga najczęściej do rozmaitych odmian podobnych tworów, w ziemie się pokazujących, osobliwie w krajach ku biegunom posunionych i na znaczny stopień zimna wystawionych. Pomyślmy sobie atmosferę ziemską tęgim zimnem zgęszczoną i podzieloną na pasy do poziomu równoległe; dla figury okrągłej ziemi i atmosfery powierzchni zewnętrzne tych pasów ku słońcu obróconych niewiele różnić się będą od krótkich walców i gdy słońce wschodzące okryje swymi promieniami tak zgęszczoną atmosferę, światło od niej w wielkiej części odbije się tak, jak się odbijać zwykło na powierzchni zwierciadeł walcowych, i zrobi na powietrzu pręgi i obręcze białawe, do poziomu równoległe i przechodzące przez słońce: to jeszcze światło, przechodząc przez igiełki, kulki i różne figury zmrożonej wody, będzie się giąć, łamać i odbijać w różnych kierunkach. Tak złamane i zgięte, idąc do ziemi, jego promienie krzyżować się będą i przecinać, a w miejscach przecięcia powstaną masy skupionego światła, udające obrazy odmalowanego w powietrzu kilkakrotnie słońca. Stąd się rodzą owe igrzyska słońc pobocznych (*Parelia*, *Paréties*) albo księżyców pobocznych (*Paraselene*, *Parasélène*), które w czasie tęgich mrozów przy wypogodzonym niebie widzieć się dają. Kilkunastoletnie powietrza w Krakowie obserwacje nauczyły mnie, iż kiedy zimno przechodzi 16 stopni Réaumura³, przy wypogodzonym niebie, słońce po wschodzie albo księżyc w pełni wschodzący, ledwo nie zawsze takie zrzędza widowiska odmalowanych pobocznych obrazów słońca lub księżycy w Krakowie. Najpiękniejszy atoli tego rodzaju twór pokazał się w tym mieście dnia 28 lutego r. 1785 przy zimnie na 17 stopni⁴. Na pasie białym przeszło pół stopnia szerokim, równoległe do poziomemu⁵ na niebie utworzonym, pokazało się zaraz po wschodzie pięć słońc:

³ Tj. 20°C.

⁴ Tj. 21,25°C.

⁵ Tzn. horyzontu.

to jest, po bokach słońca prawdziwego cztery obrazy słoneczne; przez dwa bliższe i świetlejsze przechodziła obręcz światła białego do poziomu pionowa, w której środku leżało słońce prawdziwe. W górze ku wierzchołkowi rzucona była płaszczyzną swoją do poziomu równoległe tęcza z bardzo czystych i wyraźnych siedmiu światel, w postaci księżyca w czwartym dniu po nowiu świecącego, wypukłością swego łuku ku słońcu obrócona, która potem za podniesieniem się słońca nad poziom zginęła. Woda więc zmarzła⁶ w powietrzu może, rozkładając światło, zrobić tęczę tak, jak krople deszczu spadającego.

Wyłuszczenie dokładne podobnych igrzysk światła należy raczej do fizyki niż do dzieła terażniejszego. Równie tam odesłać czytelnika musimy po resztę widowisk i tworów napowietrznych, które ognistymi nazywają (*Meteora ignea*, *Metéores enflammés*), jakimi są pioruny, kule ogniste w powietrzu, gwiazdy spadające, światła na morzu czepiające się lin i masztów okrętowych nazywane *Castor* i *Pollux*, albo *Feu saint Elme*⁷, zorze północne i in-sze, które są albo fenomenami elektrycznymi, albo skutkami gazu wodorodnego⁸ dawniej powietrzem palnym (*aer inflammabilis*, *air inflammable*) zwanego, przeszło dwanaście razy lżejszego od powietrza atmosfery. Gaz ten podług swej ciężkości gatunkowej w wyższych warst[w]ach atmosfery osiadłszy i tam z powietrzem żywotnym zmieszany, i przez iskrę elektryczną zapalony, daje początek wielkiej liczbie tworów ognistych, jakie są kule zapalone, gwiazdy spadające, zorze północne itd. Ponieważ płomień tego gazu w powietrzu żywotnym wydają wodę, mniemać można, iż natura w tych fenomenach nagradza tę stratę cząstkową wody z morza do atmosfery wciągnionej, która się trawi przez ziemię, rośliny i zwierzęta: inaczej morza z czasem wysychać by musiały;

⁶ Tj. zamarznięta.

⁷ *Feu de Saint Elme* (fr.) – ognie świętego Elma – małe wyładowania elektryczne pojawiające się na ostrych krawędziach podczas przedburzowej pogody.

⁸ Tzn. wodoru.

i lubo to mniemanie ma swoich stronników, nie jest jednak dotąd na pewnych i niewątpliwych dowodach oparte.

PRZEDRUK ZA: Jan Śniadecki, *Jeografia czyli Opisanie matematyczne i fizyczne ziemi... dzieło Towarzystwu Warszawskiemu Przyjaciół Nauk oddane, a z woli tegoż Towarzystwa drukiem ogłoszone*, Warszawa 1804, s. 304–306, 344–346.

3. Grad we Francji

Delcross – kapitan królewskiego
korpusu inżynierów geografów

Postrzeżenia nad gradem, spadłym w Bacconière¹

Od dawna obserwowałem kształt i budowę bryłek gradu w czasie burzy spadającego i widziałem je zawsze i statecznie takie, jakimi są na figurze β i γ . Nie wiem, czy się już nad tym kto zastanawiał, i dlatego to właśnie postanowiłem opisać moje postrzeżenia.

Ziarna te gradu, którym obserwowałem, wszystkie były ostrosłupami z wypukłą podstawą w rozmaitych wymiarach. Wierzchołek ich n niekiedy ostry, czasem przez stopienie zokrąglony jak n' , był częścią jądra, zawierającego ślady warstw spółośrodkowych² z warstwami podstawy ostrosłupa. Część bryły m zdaje się być ułożoną z promieni od środka ku obwodowi, a podstawa kulista p i p' pokryta kątowatymi wypukłościami. Takowy układ cząstek lodu szczególniej mię zastanowił, ile że w przeciągu lat 10 w jego bryłkach zawsze toż samo postrzegałem. Wniosłem na koniec, że te wszystkie ostrosłupy muszą być ułomkami brył kulistych gradu początkowego. Tu znowu natrafiłem na formację orbikularną³ (*formation orbiculaire*) tak często postrzegać się dającą w przyrodzeniu⁴, na którą dotąd jeszcze mało dawano uwagi. Nadto siła krusząca te kule zdaje się od eksplozji pochodzić: inaczej bowiem i pojąć nie można, dlaczego by płaszczyzny ograniczające ułomki wszystkie się w punkcie środkowym kuli przecinały. Układ ten części promienisty nigdy środka kuli nie sięga, lecz zawsze się w nim

¹ La Bacconière, miejscowość w północno-zachodniej Francji, w departamencie Mayenne.

² Tj. współśrodkowych.

³ Orbikularny (z łac.) – kolisty, pierścieniowaty.

⁴ Tj. w przyrodzie.

znajduje jądro, złożone z warstw spółśrodkowych bez żadnych promieni. Z tych postrzeżeń zdaje się wypadać: 1) że grad formuje się w kształcie kulek, których warstwy są spółśrodkowe; 2) te jądra pokrywają się grubą warstwą ułożoną z promieni; 3) że na koniec kule uformowane tym sposobem wszystkie razem pękają, a ułamki ich natychmiast spadają na powierzchnię ziemi.

Od dawna już chciałem obserwować te całkowite kule, ale czy to dlatego, że one bardzo rzadko na ziemię spadają, czy że w dogodnych nie znajdowałem się okolicznościach, badania moje były daremne. Dziękowałem często niewidomej ręce, która krusząc tak ogromne kule, przed ich spadnięciem na ziemię, od tyłu klęsk okropnych nas ochrania. Lecz burza, która 4 lipca 1819 roku spustoszyła zachodnią krainę, wywiodła mię z tego mniemania.

Nie będę opisywał tej burzy, która się niczym od innych nie różniła, jak tylko swą gwałtownością i nieustanną błyskawicą, wydającą bez przerwy światło wśród najciemniejszej nocy.

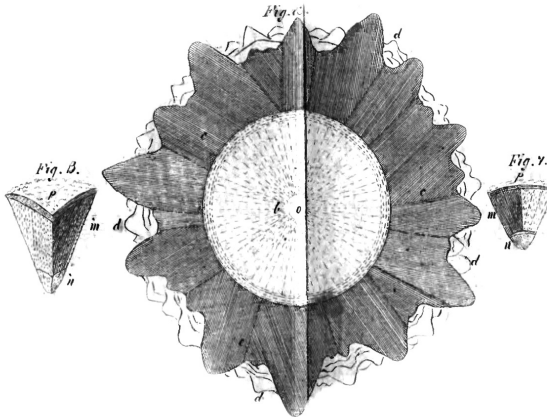
Jakież było moje zadziwienie, kiedy wśród tak okropnego zamieszania w naturze usłyszałem i wkrótce spostrzegłem na polu te ogromne bryły, które tak bardzo oglądać żądałem. Zadrzałem na klęskę, którą zadać miały. Dachy pokryte łupkiem glinianym, twardym i mocnym w spojeniu, podziurawione zostały, jak gdyby od kul ręcznej broni, co koniecznie musiało być skutkiem niezmiernie wielkiej siły. Zwierzęta były zabite lub ranione, po wsiach dachy i okna wszędy potłuczone, gałęzie na drzewach połamane, a zboża zupełnie zniszczone. Szczęściem, że burza w nocy przypadła.

Przypatrywałem się tym ogromnym bryłom gradu, porozbijałem ich wiele przez sam środek dla poznania układu cząstek wewnętrznych na głównym przecięciu. Prosiłem mojego pomocnika p. Pondia, aby to przecięcie odrysował; widzieć je można na figurach β i γ w wielkości naturalnej. Upewniano mię, że obwód niektórych kulek w linii prostej wynosił do 15 cali⁵ długości.

⁵ Cal w Europie miał różne wartości w różnych państwach – od 24,8 mm (cal polski) do 27 mm (cal francuski).

Na figurze *o* znajduje się małe jądro, *b* jest drugie jądro, bielsze i mniej przezroczyste aniżeli reszta masy, na którym widać ślady warstw spółośrodkowych. Miejsca *n* i *n'* na fig. β i γ wyrażają części jądra *b*; miejsca zaś *m* i *m'* oznaczają przecięcia masy *ccc* pokrywającej jądro, a okazującej się być złożoną z promieni, rozchodzących się od środka ku powierzchni kuli. Masa ta jest przezroczystsza niż jądro *b*, przy świetle okazuje się mniej białą i błękitnawego koloru, na kształt lodu zbitego. Różność tę koloru wydać starano się na rysunku.

Ale najbardziej mię zastanowiła powierzchnia tego ziarna *ddd*, która w ułamkach jest tylko chropawa, na kuli zaś najeżona wielkimi ostrosłupami, których wierzchołki ostre z początku, coraz się potem stawały tępszymi przez stopienie. Małe rzeczy do wielkich częstokroć prowadzą. Zostawuję to wszystko dla fizyków. Zamilknę, abym się nie omylił. Imaginacja moja, błąkając się od tej zmarzłej bryłki lodu, zaszła aż do epoki formowania się kuli ziemskiej; i zdało mi się, żem widział rozbijające się przede mną całe obszerne systema formacji orbikularnej.



Rycina dołączona do artykułu.

PRZEDRUK ZA: *Postrzeżenia nad gradem, spadłym w Bacconière, departamencie mogunckim we Francji w czasie burzy, zdarzonej 4 czerwca 1819 wieczorem o godzinie 9, z opisaniem ziarna gradu, posłanego prof. Picquet przez p. Delcross kapit. król. korp. inżynierów jeografów, (z ryciną), „Dziennik Wileński” 1820, t. 2, nr 7, s. 355–359. Tekst jest przekładem artykułu: *Considérations sur la grêle et description d'un grêlon, par le cap. Delcross, avec fig XIII* „Bibliothèque Universelle des sciences, belles-lettres et arts”, t. 13, Genève 1820, s. 154.*

4. Zorze polarne w Warszawie

Jan Baranowski (1800–1879)

Obserwacje zorzy północnej czynione w Warszawie

Do pięknych, lecz trudnych do wytłumaczenia zjawisk świecących należy zorza północna. Mieszkańcy bliżsi okolic biegunowych często są świadkami wspaniałego widoku zorzy, lecz w niższych szerokościach geograficznych, pod jaką się my znajdujemy, zjawisko to nie jest częstym i rzadko się w całej okazałości przedstawia. Lubo wszystkie odmiany światła i różne postaci, pod jakimi się zorza maluje, trudno jest opisać, wszelako podamy tu choć krótkie wyobrażenie tego pięknego zjawiska. Przed pokazaniem się zorzy północna część nieba w niewielkiej wysokości nad poziomem¹ przybiera barwę ciemnobłękitną, w kształcie odcinka kołowego, który następnie zakończy się u góry łukiem białym, tworzącym niejako bramę końcami swymi w stronie wschodniej i zachodniej do poziomu sięgającą; łuk ten jasny w kształcie tęczy białej, niekiedy blado-żółtawy, szeroki bywa od pół do pięciu stopni; nie zachowuje on stałego położenia, lecz się z wolna wznosi nad poziom lub do niego zbliża. Po utworzeniu się łuku białego z górnego jego obwodu wznoszą się strumienie światła w postaci smug albo pasów różnej wielkości i szerokości, w kolorze białym, często blado-żółtawym lub blado-różowym; smugi te, niekiedy liczne i rozległe, całą północną stronę nieba zajmują. Smugi te raz się skracają, to znowu przedłużają; niekiedy po górnym obwodzie łuku białego będącego ich podstawą, zsuwają się równoległe w stronę zachodnią na podobieństwo fal morskich, i wtenczas łuk świetny² wznosi się

¹ Tzn. horyzontem.

² Tj. świetlny.

coraz wyżej nad poziom; niekiedy tenże łuk w kierunku poziomym doznaje poruszeń na kształt zagięć wstęgi albo sukna przez wiatr unoszonego; po zniknięciu smug powstaje jasność biała, często różowa, niekiedy jasnopurpurowa, która całe niebo jakby gazą czerwoną zaślania i podobieństwo wielkiej łuny przedstawia, niekiedy tak zatrważającej, iż zdaje się, jakoby całe niebo ogniem płonęło: jak to przypało d. 7 stycznia 1831 r. Po zniknięciu tej barwy nowe smugi i pasy z różnymi odmianami kolorów i w różnych przedziałach czasu występują; te gry światła białego, różowego, purpurowego, seledynowego malowniczy widok czynią dla oka. Niekiedy u góry, w znacznej wysokości nad poziomem, tworzy się łuk biały, który się wieńcem zorzy nazywa. U nas zorze najczęściej pokazują się bez łuku jasnego, tylko z smugami świetnymi, a niekiedy tylko w postaci łuny białej; częściej w półroczu zimowym niż letnim, osobliwie około porównania dnia z nocą. Czas trwania zorzy jest różny, niekiedy zorza trwa tylko przez kilka minut, niekiedy przez noc całą w różnych przedziałach i odmianach, jak to dało się widzieć d. 16 września 1836 r.

Zjawisko zorzy i postać, pod jaką się nam takowa przedstawia, można by w ten sposób objaśnić.

Gdy elektryczność ziemską, dla przyczyn dotąd nam nieznaną, zepsuje swą równowagę wewnątrz ziemi i rozdzieli się na dwa płyny³ różnoimienne w dwóch miejscach przeciwnych, to jest biegunach magnetycznych, z tych miejsc wypływają dwa strumienie w postaci wstęg jasnych: gdyby ziemia zostawała w spoczynku i nie podlegała ruchowi wirowemu, strumienie elektryczne wychodziłyby z biegunów w stałych kierunkach w postaci słupów świetnych, na południku magnetycznym położonych; lecz dla ruchu obrotowego ziemi wypływający strumień, będąc porwany ruchem dziennym, tworzy ostrokąg mający swój wierzchołek wewnątrz ziemi, a za podstawę koło białe na sferze nieba, które blisko bie-

³ W ówczesnej nauce płyn oznaczał wszelkie ciało, którego cząstki posiadają swobodną ruchliwość. Rozróżniano płyny kropliste (ciecze) oraz sprężyste (gazy).

guna całkowicie, a dalej jak u nas, cząstkowo tylko, w postaci łuku jasnego jest widzialnym; z koła tego jakby z wieńca białego, na wszystkie strony w kierunku promieni płyną strumienie płynu elektrycznego, które w wyższych warstwach atmosfery rozrzedzonej w świetnych smugach wznosząc się, płyną ku równikowi. Środek wieńca jasnego odpowiada biegunowi ziemi, a punkt najwyższy i najniższy jego obwodu przypada na południku magnetycznym. Na półkuli południowej podobnie koło białe i smugi świetne równocześnie się pokazują. Podróżny, przeszedłszy za biegun magnetyczny, znajduje się wewnątrz koła jasnego i widzi je całe nad swoją głową; gdy tenże podróżny przejdzie na stronę wschodnią lub zachodnią, koło widzieć będzie w postaci owalnej; gdy zaś oddali się od bieguna ku równikowi, pod szerokości niższe, jak w naszej strefie, zobaczy tylko część tego koła w kształcie łuku białego wznoszącego się nad poziom północny, a większą część tego łuku poziom zakryje.

Magnetyzm ziemi z zorzą północną w wielkim zostaje związku, wierzchołek bowiem łuku jasnego, tworzącego niejako podstawę zorzy, przypada na południku magnetycznym; nadto zmiany nagle w igle magnesowej dostrzegane zwykle poprzedzają pokazanie się zorzy, i te są równoczesne na całej ziemi, tak dalece, iż tej własności użyto jako fenomenu do wyznaczenia różnicy długości geograficznej miejsc, w których też nagle zmiany były uważane.

Z poruszeń niezwykłych igły w dzień dostrzeganych można przepowiedzieć mającą się w wieczór pokazać zorzę. Lubo uczeni różne powynajdowali teorie albo raczej hipotezy na wytłumaczenie zorzy, wszelako żadna z nich dostatecznie nie wyjaśnia wszystkich okoliczności zjawiska i dopóki prawa magnetyzmu ziemi i przyczyny zmian jego nie będą poznane, dopóty wszystkie tłumaczenia zorzy za niedostateczne uważać należy.

Porównyując epoki pokazywania się zorzy z położeniem księżyca względem ziemi, postrzegamy ten szczególny związek, iż wtenczas, gdy księżyc przyśpiesza swój bieg około ziemi, co przypada między ostatnią kwadrą a nowiem, osobliwie gdy księżyc

zbliża się do linii łącznej, wtedy też częściej zjawiają się zorze niż w innym czasie; to dowodzi, iż oprócz słońca i księżyca działaniem swoim wpływa na zmianę magnetyzmu ziemi; postrzeżenie to potwierdzają jeszcze doświadczenia z igłą magnesową w Pradze przez Kreila⁴ czynione, z których się okazało, iż największe natężenie siły magnetycznej ziemi przypada w nowiu i ostatniej kwadrze, to jest w tym czasie, w którym księżyc prędeż naokoło ziemi krąży. Wpływ księżyca na magnetyzm ziemi i skutki stąd wynikające mają podobieństwo z doświadczeniem Faradaya na magnesie sztucznym, z którego bez użycia stosu⁵ wydobyć można iskrę elektryczną. Na ten cel sztabka żelaza, do kotwicy magnesu należąca, okręca się spiralnie drutem mosiężnym, poprzednio jedwabiem obwiniętym, na którego jednym końcu przylutowana jest blaszka okrągła i gładka, drugi zaś koniec tegoż druta zagina się tak, iżby był w małej odległości od blaszki; w chwili gdy przykładać i odrywać będziemy kotwicę, pokazuje się między końcami druta iskra, co jest skutkiem zmiany siły magnetycznej w magnesie. W podobny niejako sposób można by wytłumaczyć fenomen zorzy, przez zepsucie równowagi magnetyzmu ziemi siłą księżyca sprawionego. W miejsce sztabki żelaznej położmy ziemię, której warstwy mineralne, różnorodne wewnątrz ziemi, zastępują drut mosiężny obwinięty jedwabiem; w miejsce kotwicy utrzymującej sztabkę położmy słońce, jako wielki magnes utrzymujący w zawieszeniu ziemię; zamiast końców drutów stykających się prawie w środku sztabki wprowadźmy dwa bieguny magnetyczne, które łączą prądy powietrzne na powierzchni ziemi od biegunów ku równikowi ciągnące się i tam się z sobą schodzące. Za siłę odrywającą sztabkę od kotwicy położmy księżyc, który krążąc naokoło ziemi, gdy dochodzi do linii łącznej, to jest do nowiu, przerywa działanie magnetyczne słońca na ziemię, przez co elektryczność wychodząca w postaci zorzy spływa w smugach świetnych ku równikowi. Tym

⁴ Karl Kreil (1798–1862), austriacki meteorolog i astronom.

⁵ Stos – bateria galwaniczna.

sposobem wielkie zjawisko natury można by sprowadzić do wypadków doświadczenia fizycznego.

Miejsca z których, jakoby z ognisk, zorze wychodzą, są bieguny magnetyczne; te nie schodzą się z biegunami ziemi, lecz znacznie są od nich oddalone; i tak biegun magnetyczny północny jest blisko o 30° , a południowy o 25° , od biegunów ziemskich oddalony. Położenia tych punktów na powierzchni ziemi dwojakim sposobem oznaczone zostały, przez obserwację i przez rachunek; wypadki jednak tych oznaczeń nie zgadzają się z sobą, co pochodzi z nierównego rozłożenia warstw ziemi, a następnie nierównego natężenia płynu magnetycznego, które w teorii uważa się za jednostajne. Biegun północny wyznaczony w r. 1832 przez kapitana Ross⁶ podczas jego sławnej podróży morskiej leży w północnej okolicy Ameryki tegoż nazwiska, w ziemi Boothia felix⁷ pod szerokością geograficzną $70^\circ 5'$ a długością zachodnią $99^\circ 12'$. Biegun południowy oznaczony w r. 1841 przez tegoż kapitana na oceanie południowym, w czasie odkrycia lądu Wiktorii, leży pod szerokością południową $75^\circ 6''$ a długością wschodnią $151^\circ 50'$.

Podług oznaczenia Gaussa, opartego na teorii przez niego podanej, biegun północny leży wyżej o $3^\circ 5'$; przeciwnie biegun południowy niżej o $2^\circ 31'$ od biegunów przez kapitana Ross wskazanych.

Nim dokładna teoria zorzy podaną będzie, potrzeba wprzód zebrać wszystkie obserwacje tego zjawiska w różnych miejscach uważanego, z wskazaniem czasu pokazania się i odmian w powietrzu dostrzeganych; nadto wziąć pod uwagę położenia słońca, księżycy i śledzić, o ile te ciała wpływają na zjawisko zorzy.

W ciągu trzydziestu lat zaczynających wiek teraźniejszy, zdaje się iż u nas nie zwracano uwagi na zjawisko zórz, gdyż w dziennikach dostrzeżeń meteorologicznych w tym przedziale czasu czynionych nie widzimy ich zapisanych, gdy przeciwnie w innych

⁶ James Clark Ross (1800–1862) ustalił położenie północnego bieguna magnetycznego podczas wyprawy w 1831 roku.

⁷ Boothia felix – półwysep w arktycznej części Kanady.

krajach wiele ich widziano, osobliwie w lalach 1802, 1805, 1817, 1820, 25, 26, 27, 28, 29, 30.

Następujący spis zórz północnych uważanych w Polsce zamieszczamy tutaj, wraz z dołączeniem stanu atmosfery, który im towarzyszył.

Zorze północne w przeszłym wieku od r. 1779–1789 uważał⁸ w Warszawie ks. Bystrzycki⁹ w obserwatorium na zamku.

W latach 1789 i 1790 uważał zorze tenże astronom w mieście Sępczy nad Wisłą.

Rok	Czas pokazania się zorzy.	Trwanie zorzy od godz. do godz.	Wiek księżycy	W czasie zorzy		
				Bar. sprowadz. do ocal. i lin. P.	Term. Réaumur	Wiatr
1779	9 lutego	godz. 1 — ...	23	c. 28	i. 0.1	—3°.0 —
—	15 lutego	9 — 10	28	27	10.8	+ 1.5 —
—	18 września	9½ — 10½	7	27	6.6	+12.0 —
—	3 paździer.	10 — 11	22	27	6.7	+10.0 —
1786	22 marca	w nocy	21	27	6.0	0.0 Z.
—	18 kwietnia	9 — 10	20	27	5.4	+ 8.0 W.
1787	22 stycznia	6 — 9	4	27	2.5	— 6.3 Pn.
—	13 lipca	11 — 12	29	27	1.7	+11.3 PdZ.
1788	19 sierpnia	8 — 9	18	27	3.9	+15.0 Z.
—	5 września	9 — 10	5	27	10.1	+12.5 Z.
—	24 września	9 — 10	23	27	6.0	+13.0 PdW.
1789	26 września	w nocy	8	27	9.0	+ 6.5 Pn.
—	23 paździer.	—	6	28	0.0	0.0 W.
—	14 listopada	—	26	27	6.7	+ 3.5 W.
1790	30 września	—	1	—	—	+ 2.0 Pn.
1831	7 stycznia	9 — 11	23	28	1.93	— 5.6 Z.
—	8 stycznia	2 — 3 wn.	24	27	10.91	— 2.6 Z.
1835	7 lutego	6 — 7	11	27	6.25	— 1.9 Z.
1836	18 paździer.	6 — 10	9	28	2.47	+ 3.4 PnW.
1837	29 marca	9 — 10	22	27	8.92	+ 0.4 Pd.
—	6 kwietnia	9½ — 10½	2	27	4.48	+ 4.8 PnW.
—	9 kwietnia	9½ — 10	6	27	8.57	+ 3.1 PnW.
—	23 lipca	10½ — 12	26	27	10.24	+12.0 PdW.
—	27 sierpnia	9 — 11	26	27	6.27	+ 8.9 PdZ.
—	21 paździer.	7 — 8	22	28	0.19	+ 5.0 PnZ.
—	12 listopada	6½ — 7½	15	27	2.67	+ 3.5

⁸ Tj. obserwował.

⁹ Jowin Fryderyk Alojzy Bystrzycki (1737–1821) – jezuita, nadworny astronom króla Stanisława Augusta, fizyk, matematyk, pionier polskiej meteorologii.

Czas pokazania się zorzy Rok	Trwanie zorzy od godz. do godz.	Wiek Księżyca	W czasie zorzy			Wiatr	
			Bar. sprowadz. do cal. i lin P.	Term. Réaumur			
1837	14 listopada	11 — 12	17	e. l. 27 4.20	+ 1.3	PnZ.	w kolorze purpurowym. w kolorze różowym. świećta z łukiem białym. świećta, przez całą noc świećca. w licznych świetnych smugach. w świetnych smugach.
	— 15 listopada	9 — 10	18	27 7.73	+ 0.3	W.	
1838	4 lutego	6 — 7	11	27 11.66	—11.0	Pn.	
—	13 września	9 — 12	24	28 0.37	+11.1	PnW.	
—	15 września	8 — 11	26	27 10.89	+16.2	PnW.	
—	16 września	6w.— 6 r.	27	27 9.69	+14.5	PnW.	
—	21 września	9 — 10	4	27 9.74	+13.6	PdW.	
1839	7 maja	10½ — 10¾	23	27 8.14	+ 5.6	Pn.	
—	8 maja	10¾ — 10¾	24	27 8.55	+ 7.6	Pn.	
1840	21 września	8 — 9¾	25	27 11.38	+ 6.7	PdZ.	
—	22 września	10 — 11	26	27 10.68	+ 8.5	PdW.	
—	21 listopada	6¾ — 7	27	27 6.93	— 0.7	Pd.	
—	21 grudnia	6 — 7	28	27 10.94	— 7.2	Z.	
1841	23 lutego	7 — 9	3	28 0.77	— 5.1	PdW.	
—	14 sierpnia	9 — 10	26	27 9.90	+11.6	PdW.	
1842	27 marca	9 — 10	16	27 7.76	+ 1.3	Pd.	
—	29 kwietnia	9 — 9¾	19	27 9.53	+ 3.9	PnZ.	

W. znaczy wiatr wschodni, Z. zachodni, Pn. północny, Pd. południowy, PdW. południowo-wschodni, PnW. północno-wschodni itd.

Wiek księżyca pokazuje, ile dni upłynęło od ostatniego nowiu. Nów odpowiada liczbie 1, pierwsza kwadra 8, pełnia 15, ostatnia kwadra 22.

Z liczby zórz północnych uważanych w Warszawie w ciągu lat trzynastu upłynionych i w powyższym spisie objętych, szczególną świetnością i okazałością odznaczyło się pięć następujących:

1. D. 7 stycznia 1831 r. zorza bardzo świetna, miała żywość kolorów, wielką rozległość, łuk biały czyli koronę, wysoko nad poziom wzniesioną. O godzinie 10 wieczór najwspanialszy a razem przerażający widok oczom się przedstawił. Całe niebo wydawało się jakby gorejące, czerwoność okrywająca północną stronę nieba wystawiała podobieństwo łuny wielkiej w kolorze purpurowym, później nastąpiła zmiana, czyli gra kolorów; smugi albo pasy świetne różnej wielkości i natężenia światła,

- najprzód białe, potem różowe, na przemian jedne znikwały, a inne w ich miejsce wybiegały; zaraz po ich zniknięciu całe niebo jakby gazą purpurową się pokrywało; zjawisko trwało od godziny 6½–11 w nocy. Zorzę tę widziano w całej Europie¹⁰.
2. D. 18 października 1836 r. na pogodnym niebie, przy słabym wietrze północno-zachodnim i znacznym znizeniu temperatury 4°,6 R.¹¹ w ciągu czterech godzin wynoszącym, zajaśniała piękna zorza z łukiem jasnym, tworzącym niejako bramę w kształcie tęczy białej z odcinkiem ciemno-błękitnym, tuż pod nią położonym. Gra kolorów trwała od godz. 7 min. 16 do godz. 10 wieczór i zajmujący widok przedstawiała. Wierzchołek łuku jasnego padał nieco na zachód i odpowiadał południkowi magnetycznemu. Opis tej świetnej zorzy umieszczony w „Dzienniku Powszechnym” N. 294 pod d. 20 paźdź. 1836 r. powtórzyła gazeta pruska „Allgemeine Preussische Staats Zeitung”.
 3. D. 28 lipca 1837 r. zorza świetna i długo trwająca, jednak bez łuku białego i odcinka ciemnego, smugi albo pasy kolorowe, na kształt strumieni światła spod poziomu północnego do góry się wznoszące, zajmowały przestrzeń na poziomie blisko 100 stopni. Podczas gry kolorów i wznoszących się słupów wiele gwiazd przelatujących wśród zorzy postrzegano, co przedstawiało podobieństwo piorunów wśród gorejącego nieba i nader zajmujący widok czyniło¹².
 4. D. 15 września 1838 r. zorza świetna w bardzo licznych smugach spod poziomu północnego wznoszących się bez łuku jasnego i odcinka; smugi przesunęły się od północy ku zachodowi na podobieństwo fal morskich. Zorza trwała od godz. 8 min. 11 do godz. 10 min. 30 w[ieczorem]. Temperatura powietrza w tym dniu była tak wysoka, jak się to rzadko w środku

¹⁰ Zob. „Kurier Warszawski” 1831, nr 10, s. 51.

¹¹ Tj. 5,75°C.

¹² Zob. „Kurier Warszawski” 1837, nr 199, s. 969.

września zdarza; po południu termometr na słońcu pokazywał $+29^{\circ}$, 7 R. w cieniu $+20^{\circ}$, 8 R. w nocy $+16^{\circ}$ R.¹³

5. D. 16 września 1838 r. zorza świetna z łukiem białym i odcinkiem ciemnym, odznaczała się żywością kolorów, długim trwaniem i podobną była do zorzy w d. 18 października 1836 r. widzianej. Podczas gry kolorów i wznoszących się pasów świetnych równocześnie w stronie zachodniej, przy poziomie błyskawice ponawiane, więcej malowniczego widoku zorzy dodawały. Zjawisko to w różnych przedziałach czasu przez całą noc się powtarzało¹⁴.

J. Baranowski.

PRZEDRUK ZA: Jan Baranowski, *Obserwacje zorzy północnej czynione w Warszawie w r. 1770–1842*, „Biblioteka Warszawska” 1844, t. 2, s. 196–204.

¹³ Tj. $31,1^{\circ}\text{C}$, 26°C i 20°C .

¹⁴ Zob. „Kurier Warszawski” 1838, nr 247, s. 1185.

5. Ciepła zima w Warszawie (1843)

Jan Baranowski (1800–1879)

Porównanie pór zimowych lat poprzednich z zimą tegoroczną pod względem temperatury [fragment]

Zima tegoroczna, pod względem wysokiej temperatury, bardzo małej ilości śniegu i spokojnego powietrza, wielką różnicę okazuje w porównaniu z innymi latami i dlatego zasługuje na bliższą uwagę.

Z dostrzeżeń termometrycznych¹⁵ w ciągu lat 60 przez X. Bystrzyckiego¹⁶, Ant. Magiera¹⁷ i w Obserwatorium tutejszym w Warszawie¹⁸ robionych, średnia temperatura zimy otrzymana dla każdego roku jest następująca:

Temperatura średnia pory zimowej:

R.	Stopnie Reaum.	R.	Stopnie Reaum.	R.	Stopnie Reaum.
1778f9	—1°00	1798f0	—7°57	1822f23	—6°55
1779f0	—2. 09	1803f4	—2. 63	1823f24	—2. 61
1780f1	—2. 61	1804f5	—5. 83	1824f25	—1. 66
1781f2	—3. 02	1805f6	—0. 72	1825f26	—1. 86
1782f3	—1. 12	1806f7	—0. 66	1826f27	—2. 71
1783f4	—4. 16	1807f8	—2. 83	1827f28	—2. 91
1784f5	—3. 04	1808f9	—4. 22	1828f29	—4. 85
1785f6	—3. 76	1809f10	—1. 28	1829f30	—7. 55
1786f7	—2. 17	1810f11	—3. 34	1830f31	—2. 68
1787f8	—2. 23	1811f12	—3. 33	1831f32	—2. 30

¹⁵ Tj. obserwacji temperatury.

¹⁶ Zob. tekst nr 4, przyp. 8.

¹⁷ Antoni Magier (1762–1837) – fizyk i meteorolog; zob. też tekst nr 9.

¹⁸ Warszawskie Obserwatorium Astronomiczne w Ogrodzie Botanicznym ukończone w l. 1824–1825.

1788f0	-7. 17	1812f13	-5. 06	1832f33	-2. 73
1789f0	+0. 29	1813f14	-3. 84	1833f34	-0. 06
1790f1	-0. 45	1814f15	-3. 45	1834f35	-0. 01
1791f2	-2. 49	1815f16	-4. 39	1835f36	-2. 84
1792f3	-2. 62	1816f17	-1. 11	1836f37	-2. 17
1793f4	-1. 65	1817f18	-1. 84	1837f38	-6. 83
1794f5	-5. 77	1818f19	-2. 00	1838f39	-2. 47
1795f6	+0. 05	1819f20	-6. 50	1839f40	-3. 55
1796f7	-1. 00	1820f21	-5. 17	1840f41	-6. 24
1797f8	-1. 18	1821f22	-1. 61	1841f42	-2. 41
				1842f43	+1. 09

<i>Zimy łagodne.</i>		<i>Zimy mroźne.</i>	
R.	St. Reau.	R.	St. Reau.
1778f0	-1°00	1788f0	-7°10
1789f0	+0. 29	1794f5	-5. 77
1790f1	-0. 45	1798f9	-7. 57
1795f6	+0. 05	1812f13	-5. 06
1805f6	-0. 72	1819f20	-6. 50
1806f7	-0. 66	1822f23	-6. 55
1833f34	-0. 06	1829f30	-7. 55
1834f35	-0. 01	1837f38	-6. 83
1842f43	+1. 09	1840f41	-6. 24

Z tych wypadków okazuje się, iż w żadnym z 60 lat upłynionych pora zimowa nie była tak ciepła jak w roku bieżącym; średnia jej temperatura wynosi $+1^{\circ} 09 R^{19}$, to jest wyższa o $4^{\circ} R$ od stanu normalnego ($-3^{\circ} R$), tak iż właściwej zimy w tym roku nie było. Ilość wody z deszczu i śniegu w tej porze zebrana wynosi tylko 31.55 lin. par.²⁰ to jest o 8.04 lin. par. mniej niż w stanie średnim; z deszczu wody było dwa razy więcej niż ze śniegu, którego w początku bardzo mała ilość upadła.

Początek i koniec tej pory tym się jeszcze odznaczył, iż gruzdzień r. z. cieplejszy był od listopada, a luty r. b. cieplejszy od marca.

¹⁹ 1 stopień w skali Réaumur = 1,25 stopnia Celsjusza.

²⁰ Lin. par. - linia paryska - jednostka miary długości wynosząca 2,256 mm. Polska była równa 1/12 cala polskiego, czyli 2 mm.

Trzy miesiące zimowe najniższą temperaturę miały w latach:

GRUDZIEŃ		STYCZEŃ		LUTY	
Roku	St. R.	Roku	St. R.	Roku	St. R.
1788	-11°81	1795	-9°07	1782	-4°89
1798	-6 85	1799	-7.65	1808	-4.83
1799	-7.05	1815	-7.50	1814	-7.07
1804	-6.30	1820	-7.83	1816	-5.33
1808	-5.50	1823	-11.33	1821	-6.00
1812	-8.50	1826	-8.66	1827	-5.75
1819	-7.83	1828	-8.00	1829	-5.63
1820	-6.17	1829	-7.37	1830	-5.00
1829	-9.75	1830	-7.92	1838	-5.82
1840	-7.96	1838	-10.75	1841	-7.63

Grudzień najzimniejszy był w latach 1788, 1829.

Styczeń " " " 1823, 1838.

Luty " " " 1814, 1841.

Największe zimno w miesiącu lutym i grudniu r. 1799 dochodziło u nas -26°,5 R. Największe ciepło w lipcu r. 1794, 1811, 1826, jako też w sierpniu r. 1785 i 1795 wynosiło +28° R.

Miesiące zimowe najcieplejsze:

GRUDZIEŃ		STYCZEŃ		LUTY	
Roku	St. R.	Roku	St. R.	Roku	St. R.
1779	+1°10	1790	-0°85	1779	+1°77
1789	+0 75	1791	+0 53	1783	+1.48
1806	+1.67	1796	+2 34	1790	+0 97
1809	+0.83	1801	-0.20	1797	+1.01
1813	+0.83	1806	-0 17	1809	+0 17
1824	+0 67	1817	-0.83	1813	+0.33
1827	+0.93	1824	-0 52	1817	+0 17
1833	+1.57	1835	-0.69	1833	+0 29
1841	+1.53	1843	-0.83	1835	+0.90
1842	+1.22			1843	+2.90

Grudzień najcieplejszy był w latach 1779, 1806, 1833, 1841, 1842.

Styczeń " " " 1791, 1796.

Luty " " " 1779, 1783, 1797, 1743.

Grudzień r. z. cieplejszy był o 3°, 45 R

Styczeń r. b. o 5°, 54 R

Luty r. b. o 5°, 77 R

od stanu normalnego. W żadnym z lat poprzednich luty nie był tak ciepłym jak w r. b., temperatura jego jest $+2^{\circ}$, 9 R, to jest blisko o 6° R wyższa od stanu średniego. Największe ciepło w tym miesiącu w r. 1779 wynosiło $+9$ R; w r. b. dnia 24 lutego ciepło docho-
dziło $+11^{\circ}$, 5 R; ostatnie dziesięć dni były tak ciepłe, jak w porze letniej. Dnia 27 t. m. wieczorem widziano błyskawice, a w okolicy Warszawy słyszano i grzmoty. Wiatr zwykle panujący w tym miesiącu zachodni, w tym roku był południowo-wschodni. Przy tak znacznym cieple, wegetacja roślinna wyprzedziła czas sobie właściwy; widzieliśmy już murawy zielone, drzewa zaczynające pękać, owady po powietrzu latające; następny miesiąc marzec zmienił stan łagodny atmosfery, był bowiem mroźny, suchy i nierównie zimniejszy od lutego.

PRZEDRUK ZA: Jan Baranowski, *Porównanie pór zimowych lat poprzednich z zimą tegoroczną pod względem temperatury*, „Biblioteka Warszawska” 1843, t. 2, s. 445-448.

6. Pogoda i zdrowie

Józef Bychowiec (1778–1845)

Sztuka zapobiegania chorobom [fragment]

W tym samym klimacie wystawieni jesteśmy nie tylko na zmiany pór roku, lecz jeszcze na zmiany gwałtowniejsze ciepła i zimna, zawisłe od wielu odmian atmosferycznych, skąd następuje, iż musimy koniecznie starać się poznawać skutki działań temperatury na ciało. Gorąco zbyt wiele nadwiera siły muskularne: zatem, używając mocnego ruchu w czasie upału, następują poty tak obfite, iż się ciało uczuwa wnet osłabionym nad miarę. Dlatego postrzegamy w mieszkańcu południowym wielką skłonność do spoczynku i temu usposobieniu nie należy do pewnego się punktu opierać.

W czasie zimy skutki przeciwne z niedostatku ciepła wynikają. Tkanka skóry w zetknięciu się z powietrzem zewnętrznym, ściskana działaniem zgęszczającym zimna, zmniejsza wyziewanie¹ skórne, sprawuje oddychanie czynniejsze, już dla wsparcia wyziewów skóry, już dla przeistaczania krwi żyłnej w krew arteryjną. Za tym pierwszym skutkiem wrażenia zimna idzie koniecznie powtórny, bez którego różne wilgoci, odparte w próżności ciała, sprawiłyby na częściach stałych nabrzmienia; wydarłyby skórce i członkom życie, co też następuje, kiedy się zimno wzmoże. Tym skutkiem powtórny jest oddziaływanie serca i innych organów wewnętrznych; te powinny pomnażać czynność i siłę dla dostarczenia krwi członkom oddalonym oraz dla utrzymywania ciepła zwierzęcego², którego się tyle traci. Taka walka organów przedniejszych z przyczyną ścieśniającą ich czynność okazuje z ich strony dziel-

¹ Tj. parowanie, oddychanie skórne.

² Tj. stałej temperatury organizmu.

ność dostateczną do opierania się działaniu tej przyczyny; z drugiej strony, te organa, używając często całej ich mocy, nabywają sił nowych podług twierdzenia fizjologii, że ćwiczenie umiarkowane jakiej władzy czyni ją zdolniejszą, a tak zimno, kiedy niezbyteczne, stanie się bodźcem do wzmocnienia działalności człowieka.

Z tego prawidła zasadniczego wypływają inne. Jeżeli zimno zbyt mocne albo, co na jedno wypada, jeżeli w człowieku siły zbyt słabe do oddziaływania na wrażenia szkodliwe, wtedy organa wewnętrzne staną się siedliskiem cierpień we krwi i niekiedy w nerwach, skąd zapalenia płuc często następują. Jednakże w krajach północnych ludzie są mocni. Wiodąc ciągle wojnę z zimnem, siły ich nabywają codziennie nowej mocy; słabsi zaś między nimi psują tylko zdrowie przez wielkie w sposobie życia uchybienia. Zimno wzmocnia też działania żołądka; jakoż w tej porze roku potrzebny pokarm obfitszy, posilniejszy, właściwszy do wyrabiania ciepła zwierzęcego.

Latem sposób życia zmierzać powinien do umiarkowania ruchu wewnętrznego, do wynagrodzenia strat przez wyziewanie poniesionych.

Stan spoczynku albo ruchu wpływa w umiarkowanie działań zimna sposobem nader ważnym i snadnym do pojęcia. Ruch sprzyja oddziaływaniu, spoczynek usypia oddziaływanie, utrudnia; a tak, za pośrednictwem ruchu mocniejszego lub słabszego człowiek słaby oprze się zimnu większemu lub mniejszemu i uzna to za rzecz sobie użyteczną. Z takiej zasady można wywnioskować prawidła sposobu życia, przeznaczone do wzmocnienia składu ciała; atoli przez ciągłe tylko i stopniowane używanie tych środków można szczęśliwy odzierżyć³ skutek – wystawiać się bowiem nagle na zimno, nawet przyjemne, nie będąc do tego usposobionym stopniami⁴, jest to wzniecać w sobie dobrowolnie wstrząśnienie całej maszyny, chorobę pospolicie zapalną lub inne boleści niebezpieczne, kiedy

³ Tj. otrzymać, utrzymać.

⁴ Tj. stopniowo.

ruch, kierowany rozsądnie w czasie miernie zimnym, jest środkiem do utrzymania zdrowia najdzielniejszy.

Temperatura powietrza jest jeszcze władzą działającą na zdrowie, z przyczyny przechodzenia nagle lub powolnego z ciepła do zimna, a przejście gwałtowne bywa do wielu chorób powodem. Ale tu obwiniamy sami siebie o nieroztropność. Izby nasze mieszkalne, przemienione zimą w łaźnie, ochraniają nas od zimna, póki w nich zostajemy, lecz są niebezpieczne, a niekiedy i szkodliwe, kiedy się wystawiamy nagle na zimno zewnętrzne, jak na przykład wychodząc nagle z balów, sal koncertowych, teatralnych, itd. Co za dziw, że tyle osób widzimy zimą zakatarzonych, że tyle bóleści piersiowych tak często postrzegamy? Rozważajmy dobrze, iż w takim razie wyziewanie skóry nieznaczne, najobfitsze z naszych *ekrecyj*⁵, wzbudzone przez ciepło, natychmiast się zawiesza i zwraca do płuc, które muszą wówczas dać mu przejście; nie zapominajmy i o tym, że ten organ, rażony powietrzem zimnym, musi wnet zmieniać tryb swój działania żywotnego, żeby się do tego nowego wrażenia zastosował. Jakoż wychodząc z miejsc tak rozgrzanych, kurcz ogólny marszczy skórę, dreszcz przejmuje, i tylko przez ruch mocny udaje się wtedy przywrócić równowagę. Dlatego też osoby słabe albo usposobione do cierpień piersiowych za zbliżeniem się zimy nie raz tego wpływu szkodliwego padają ofiarą.

Jakichże używać ostrożności do złagodzenia tych ciężkich wrażeń? Starajmy się czynić ludzi mniej tkliwymi na mocne wrażenia zewnętrzne, zmniejszajmy, ile można, gwałtowność zmian temperatury, dla ochrony osób słabych. A tak dobrze będzie wezwyczać młodzież do znoszenia srogości zimna i ogólnie wszystkich zimowych nieprzyjemności: używanie ruchu, przechadzki w wolnym powietrzu, odzież niezbyt ciężka sprawią ten pierwszy skutek. Z drugiej strony czuwać nad tym troskliwie, aby nie rozpalano pieców w mieszkaniach; więc należałoby mieć termometra i nie podnosić ciepła w pokojach bawialnych nad 15° R, a w sypialniach

⁵ Tj. substancji wydalanych przez organizm.

nad 12°⁶. Obchodzić się nade wszystko ostrożnie z dziećmi chorowitymi, mającymi słabe piersi. Szkodliwie byłoby wystawiać ich na srogą temperaturę; trzeba przeciwnie ochraniać od jej wpływów i w takim stopniu temperatury utrzymywać, jaki znieść mogą wygodnie. Przeto odzież ich ma być cieplejsza, ciało okrywać lekką flanelą, w dni bardzo zimne nie pozwalać im biegać i bawić się pod gołym niebem; pokarm ich nie ma być tak obfity, jak ich zdrowych współtowarzyszów. Ale też unikać zbyt troskliwego pielęgnowania, które im więcej zaszkodzi, niżeli pomoże; niech więc wezwyczajają się powoli do znoszenia zimna, byleby nie wystawiać ich w początkach na walkę siły przewyższającą.

PRZEDRUK ZA: Sztuka zapobiegania chorobom: rzecz krótka, ułożona przez lekarzy niemieckich, pomnożona wstępem, wskazaniem przesądów miejscowych względem zachowania zdrowia, pomysłami do higieny religijnej i obszerniejszym wykładem przepisów higienicznych przez Józefa Bychowca, Wilno 1843, s. 228–234.

⁶ Tj. 18,75°C i 15°C.

7. Pogoda i księżyc

Jan Baranowski (1800–1879)

O wpływie księżyca na atmosferę ziemską

Powszechnie znany jest wpływ księżyca na ocean ziemski, okazujący się widocznym w periodycznym podnoszeniu się i opadaniu wód morskich; skutek ten tak jest zawisłym od położenia i biegu naszego satelita, iż za pomocą rachunku, opartego na teorii biegu księżyca, naprzód oznaczyć można epokę¹ i wielkość podniesienia wód morskich. Jeżeli takie działanie wywiera księżyc na ciała płynne, wątpliwości nie ma, iż podobnym sposobem, lubo mniej widocznym, wpływa na stałą masę ziemi, na rośliny, krążenie soków w drzewach, wzrost nasion itp., co wiadomym jest z doświadczenia naszym gospodarzom i ogrodnikom. Szczególnego rodzaju wpływ wywiera także księżyc na zwierzęta, na stan zdrowia i bieg chorób ludzkich; osoby w pewnych słabościach czują wyraźnie wpływ takowy. Ważną byłoby rzeczą, ażeby naturaliści zebrali wszystkie wypadki doświadczeń, wykazujące wpływ księżyca na królestwo roślinne i zwierzęce, oraz wskazali epoki i położenia naszego satelita względem ziemi. Wypadki takowe mogłyby z czasem naprowadzić na wiele użytecznych wniosków i wskazać, kiedy te położenia są najkorzystniejsze tak dla wegetacji roślin, jako też i dla stanu zdrowia ludzi i zwierząt. Że księżyc działa na ocean powietrzny ziemię otaczającą², to obserwacje rzeczywiście potwierdzają; jakim jednak prawom podlegają odmiany dostrzegane w atmosferze, tego przy dzisiejszym stanie meteorologii jeszcze oznaczyć nie możemy. Nie wiemy także epoki, w której można będzie zmiany powietrza

¹ Tj. czas.

² Tj. atmosferę ziemską.

naprzód tak przepowiadać, jak zjawiska niebieskie; nie jest jednak rzeczą niepodobną, iżby z wielkiej liczby obserwacji ścisłych, równocześnie na całej ziemi przez wiele lat robionych, nie można przyjąć do pewnych praw i związków między zmianami atmosfery a działaniem słońca i księżyca na ziemię zachodzących, tym bardziej, iż na oceanie i w krajach międzyzwrotnikowych zmiany powietrza zachowują stałe i wyraźne prawo. Na dowód tego, iż księżyc wpływa na naszą atmosferę, przytoczymy tu niektóre wypadki, które Mädler³ z dostrzeżeń meteorologicznych otrzymał. W dochodzeniach swoich wziął on pod uwagę dwa tylko położenia księżyca względem ziemi, to jest największe i najmniejsze jego odalenie od tej ostatniej, czyli dwa punkta najważniejsze jego drogi, to jest: punkt przyziemny (*perigeum*) i odziemny (*apogeum*), i doszedł, iż księżyc, lubo niewiele, jednak wyraźnie wpływa na temperaturę powietrza. Wpływ ten nie pochodzi od działania bezpośredniego promieni światła księżycowego, ale od przyczyn nam nieznanych. Z dostrzeżeń przez dwadzieścia lat w Gdańsku i przez dziewiętnaście w Berlinie robionych wypada, iż w epoce, gdy księżyc jest najdalej od ziemi, czyli w punkcie odziemnym, temperatura powietrza jest wyższa o trzy dziesiątne stopnia z dostrzeżeń pierwszych, a o pół stopnia z dostrzeżeń drugich, od tej, jaka jest, gdy księżyc najbliżej ziemi się znajduje, z czego można by zrobić ten wniosek, iż księżyc im bliżej jest ziemi, tym bardziej ją ziębi. Z dostrzeżeń barometrycznych, w kilku miejscach przez wiele lat robionych, wypada, iż barometr wyżej stoi, im bardziej księżyc od ziemi jest oddalony. Różnica, czyli przewyżka średnia w wysokości barometrycznej, wynosi jedną czwartą linii paryskiej⁴ względem wysokości odpowiadającej w epoce, gdy księżyc jest najbliżej ziemi.

Co do stanu pogody, także zachodzą różnice. Im bliżej księżyc znajduje się ziemi, tym częściej deszcze i śniegi padają; liczba

³ Johann Heinrich von Mädler (1794–1874) – niemiecki astronom i badacz Księżyca, autor pierwszej kompletnej jego mapy.

⁴ Linia paryska – jednostka miary długości wynosząca 2,256 mm. Linia polska była równa 1/12 cala polskiego, czyli 2 mm.

dni słotnych i śnieżnych w epoce, gdy księżyc jest najbliżej ziemi, zawsze przewyższa liczbę takichże dni w epoce, gdy księżyc jest najdalej; tak iż na 114 dniach słotnych w pierwszym położeniu księżyca, jest tylko 100 dni słotnych w położeniu drugim.

Położenie księżyca względem równika niebieskiego⁵ jest także w związku ze zmianami atmosfery; uważano bowiem, iż przy jednostajnym stanie powietrza, w epoce, w której księżyc przechodzi przez równik, następuje zmiana co do kierunku wiatru, za którą idzie i zmiana stanu nieba: osobliwie⁶ też, gdy księżyc jest najbliżej ziemi i razem, gdy się zbliża do linii łącznej, czyli do nowiu⁷. Również widoczny wpływ księżyca objawia się w zjawiskach magnetycznych. Doświadczenia z igłą magnesową w kilku miejscach robione okazują, iż księżyc ma wpływ na igłę magnesową, i to nie tylko na jej położenie, ale i na natężenie siły magnetycznej ziemi. Hansteen⁸ w Chrystianii po wielu doświadczeniach doszedł, iż natężenie siły magnetycznej podlega zmianie periodycznej, zależącej od położenia węzła drogi księżycowej na ekliptyce, czyli, że zachodzi pewny związek między długością węzła wstępującego księżyca a zjawiskami magnetycznymi. Kupfer⁹ w Petersburgu, z porównania obserwacji tamże robionych, postrzegł, że w trwaniu oscylacji igły zachodzą różnice odpowiadające największej i najmniejszej odległości księżyca od ziemi. Na koniec Kreil¹⁰, z licznych

⁵ Równik niebieski – koło, którego płaszczyzna jest prostopadła do osi obrotu kuli ziemskiej.

⁶ Tj. zwłaszcza, szczególnie.

⁷ Że księżyc wpływa na atmosferę ziemską, okazali to: Schübler w piśmie: *Untersuchungen über den Einfluss des Mondes auf die Veränderungen in unsrer Atmosphäre*, Leipzig 1830, i Mädler w dziele *Der Mond nach seinen kosmischen und individuellen Verhältnissen*, Berlin, 1837, str. 154–168 i w roczniku Schumachera na r. 1840: *Untersuchungen über den Einfluss des Mondes auf die Witterung*, str. 252–261 [przypis autora].

⁸ Christopher Hansteen (1784–1873) – norweski fizyk i astronom, badacz ziemskiego magnetyzmu.

⁹ Adolph-Theodor Kupffer (1799–1865) – pochodzący z Niemców bałtyckich rosyjski fizyk, chemik, twórca rosyjskiego Urzędu Miar i Wąg oraz Głównego Geofizycznego Obserwatorium.

¹⁰ Karl Kreil (1798–1862), austriacki meteorolog i astronom.

doświadczeń najprzód w Mediolanie, a później w Pradze robionych, doszedł, że księżyc ma wpływ podwójny na igłę magnesową, a ten wpływ zależy od lunacji i od odległości księżyca od ziemi. Największe natężenie siły magnetycznej w kierunku poziomym przypada w nowiu i ostatniej kwadrze, najmniejsze w czasie pełni księżyca.

Rozbiór obserwacji wykonanych w Pradze doprowadził go nadto do następujących wypadków:

- a. Zboczenie igły magnesowej, czyli kąt, jaki czyni jej kierunek z linią południową, jest większe, gdy księżyc znajduje się na wschód względem południka.
- b. Gdy księżyc jest blisko przejścia dolnego przez południk, zboczenie igły jest większe niż blisko przejścia górnego; największe zaś w chwili, gdy księżyc przechodzi przez południk pod poziomem¹¹.
- c. Zboczenie igły powiększa się, gdy księżyc przechodzi przez południk górny¹²; daleko jednak mniej niż przy dolnym przejściu¹³.

Co do natężenia siły magnetycznej, dostrzegł on różnic następujących:

- a. Natężenie siły magnetycznej większe jest od stanu średniego, gdy księżyc znajduje się na zachód względem południka magnetycznego.
- b. Gdy księżyc jest blisko dolnego południka, natężenie bywa nierównie mocniejszym, niż gdy jest blisko górnego przejścia.

Z czego wypada, iż księżyc najmocniej działa na igłę magnesową wtenczas, gdy przechodzi przez południk pod poziomem.

J. Baranowski.

PRZEDRUK ZA: Jan Baranowski, *O wpływie księżyca na atmosferę ziemską*, „Biblioteka Warszawska” 1844, t. 1, s. 632–635.

¹¹ Tj. horyzontem.

¹² Tj. nad horyzontem.

¹³ Tj. pod horyzontem.

8. Przewidywanie pogody

Wojciech Jastrzębowski (1799–1882)
**Przepowiednie pogody, słoty, wiatru
i innych zmian powietrza**

Wstęp

Zmiany i zjawiska, trafiające się w naturze, jedne są nadzwyczajne, do których np. liczymy: tak nazwane spadające gwiazdy i kamienie meteoryczne, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkaniczne, podwójne słońca, zorzę północną itp.; drugie zwyczajne, do jakich należą: pogoda i słota, ciepło i zimno, susza i wilgoć, cisza i wiatr, opadanie i wznoszenie się morza, błyskawice i inne. Między zmianami zwyczajnymi, jedne są stałe, to jest powtarzające się jednostajnie, podług pór roku i dnia, drugie niestałe, które nie trzymają się wcale pewnego następstwa, lecz przypadają nieprzewidzianie w tej lub owej porze rocznej albo li też dziennej.

Dotychczasowe dostrzeżenia meteorologiczne, które w naszym naszym kraju czynione już są przez 67 lat (to jest od 1779 do 1799 r. przez Karola Bystrzyckiego, astronoma królewskiego; potem od 1803 do 1828 przez Ant. Magiera, profesora liceum; nareszcie teraz przez Dyрекcją Dostrzegalni Rządowej), doprowadziły nas zaledwie do oznaczenia zmian zwyczajnych stałych¹, co się

1 Zobac w tej mierze kartę klimatologiczną Warszawy, jako środkowego punktu Europy, wydaną w Warszawie r. z., przez autora niniejszego pisma, przedstawiającą sposobem rysunkowym, liczebnym i opisowym, obraz ogólny klimatu tego miejsca: lód co do długości dnia, ciepła, zimna, prędkości wysychania wilgotnych przedmiotów, ilości pary wodnej zawartej w powietrzu, jego wilgotności, pogody, słoty, ilości spadającej wody na ziemię, wielkości powodzi, kierunku wiatrów i ciśnienia powietrza; zre, co do podziału roku na półrocze letnie i zimowe, na cztery pory roku naturalne i na ośm pór gospodarskich, jakimi są: roztopy, siewy jare, przednówek, żniwa, siewy ozime, późna jesień,

zaś tyczy nadzwyczajnych i zwyczajnych niestałych, tych nie odważył się nikt dotąd przepowiadać z pewnością i na długi czas, chyba tylko ten, kto nie wie, z jaką pracą i umiejętnością oznaczają się pierwsze: chociaż te zdają się być najłatwiejszymi do przepowiedzenia, jako trzymające się w swoim następstwie jednostajnej kolei i porządku.

Zmiany te, to jest zwyczajne stałe, idą po sobie w ciągu roku porządkiem następującym:

1. Po miesiącu, w którym dni są najdłuższe, a zatem najwięcej jest światła, to jest po czerwcu, następuje miesiąc najcieplejszy, czyli lipiec, a po nim najobfitszy w wodę, i zarazem najpogodniejszy, to jest sierpień; w którym najwięcej znajduje się wody w powietrzu w stanie pary niewidzialnej, najwięcej spada jej na ziemię w stanie deszczu, a przy tym niebo bywa najpogodniejsze. Trzy więc te miesiące, to jest czerwiec, lipiec i sierpień, jako będące porą wysilenia trzech najwładniejszych przyrodzonych działaczy², to jest światła, ciepła i wody, od których zależą wszystkie zmiany, tak w martwej, jak żyjącej naturze, stanowią zarazem naturalne lato, czyli porę roku najcieplejszą i najbardziej sprzyjającą życiu istot roślinnych oraz zwierzęcych.
2. Po miesiącu, w którym dni są najkrótsze, to jest po grudniu, następuje miesiąc najzimniejszy, czyli styczeń, a po nim najuboższy prawie w wodę, to jest luty. Trzy więc te miesiące, to jest grudzień, styczeń i luty, jako będące porą najslabszego panowania trzech powyższych przyrodzonych działaczy, to jest: światła, ciepła i wody, stanowią zarazem naturalną zimą, czyli porę najbardziej niesprzyjającą życiu roślin i zwierząt.

gody i zapusty. Karta ta wydana ozdobnie w polskim i francuskim języku, w litografii Schustra i drukarni Strąbskiego, znajduje się w małej liczbie dotąd iluminowanych egzemplarzy w księgarniach warszawskich oraz u autora w Marymoncie, i sprzedaje się po takiej cenie, po jakiej nabywają się najtaniej podobnego rodzaju karty naukowe, wydawane w Paryżu, to jest wynoszącej Złp. 6 [przypis autora].

2 Tj. trzech głównych naturalnych czynników.

3. Po miesiącach, w których dni są średniej długości, to jest po marcu i wrześniu, następują miesiące umiarkowane co do zimna i ciepła, jakimi są kwiecień i październik; a po nich umiarkowane co do ilości wody obecnej w powietrzu w stanie pary niewidzialnej i spadającej na ziemię, to jest maj i listopad. Te więc trzy pierwsze i drugie miesiące, to jest marzec, kwiecień i maj, potem wrzesień, październik i listopad, jako będące porami umiarkowanego działania, owych trzech przeważnych w naturze żywiołów, to jest światła, ciepła i wody, stanowią zarazem naturalną wiosnę i jesień, czyli porę rozpoczynania się i kończenia czynnego życia istot roślinnych i zwierzęcych: do czego stosować się muszą prace gospodarskie, około ich pielęgnowania.

Taka właściwie jest u nas kolej zmian stałych rocznych w naturze; co się zaś tyczy takichże zmian dziennych, zapewniają nas dostrzeżenia meteorologiczne, że ciepło wzmagą się i słabiej za światłem – podobnie w ciągu doby, jak w ciągu roku, to jest: największe jest po południu, najmniejsze po północy aż do wschodu słońca, a średnie przed południem i w porze wieczornej; woda zaś nie zmienia się zgoła co do swojej ilości w ciągu całej doby. Uważać jednakże można, że największej jej spada po południu, bo wtedy właśnie deszcze bywają najulewniejsze; najmniej między północą a wschodem słońca, a w pośredniej ilości w porze przedpołudniowej i wieczornej.

Tyle co do zmian powietrza stałych; teraz następuje rzecz o odmianach niestałych, które nie trzymają się żadnej stałej kolei, a zatem nie dają się naprzód oznaczać przez poprzednie obserwacje meteorologiczne, tudzież przez teorię i rachunek, ale tylko pozwalają się przewidywać na krótki czas z pewnych znaków, objawiających się w martwej i żyjącej przyrodzie lub wskazywanych przez szczególne, ku temu celowi przeznaczone narzędzia³. Zbiór takowy znaków, wskazujących przynajmniej na krótki czas przyszłe

³ Tj. przyrządy.

zmiany powietrza, staraliśmy się pomieścić w czterech następujących oddziałach⁴, z których pierwszy obejmuje przepowiednie pogody i innych mających z nią najbliższą styczność zdarzeń; drugi przedstawia także przepowiednie słońcy; trzeci wskazuje znaki wiatru i takich odmian powietrza, którym zwykle wiatr towarzyszy; a czwarty oddział zawiera znaki urόδzaju i innych odległych, pomyślnych lub niepomyślnych, zdarzeń, w naturze.

ODDDZIAŁ I. ZNAKI POGODY, ZIMNA,
MROZU, ODWILŻY, SUSZY

A. Z uważania⁵ słońca i innych ciał niebieskich.

Jeżeli po dniu dżdżystym słońce zachodzi jasno i wesoło, można się z tego spodziewać pogody, przynajmniej na dzień następny, równie jak wtenczas, kiedy zachodzi wśród obłoków złocisto-żółtawych, a przy tym otoczone jest wesołą jasnością. Słońce zapowiada pogodę, jeżeli wschodzi jasno, a niebo było pogodne podczas nocy. Słońce przybierające kolor krwisty i niejako nienackające wcześniej przed zachodem w zadymionym powietrzu jest znakiem długiej suszy, czego dowiódł u nas rok 1811 i 1834.

Ile razy księżyc ma żywy blask i okazuje po nowiu swe rogi ostro zakończone, tyle razy jest znakiem pięknej i długiej pogody w porach ciepłych, a mrozu w porze zimowej.

Gdy gwiazdy ukazują się na niebie w wielkiej liczbie, gdy są do tego świetne i wesoło się iskrzą, jest to niemylny znak pogody w porze letniej, a mrozu w zimowej.

B. Z uważania chmur i innych zjawisk w powietrzu.

1. POGODA. a. *Z chmur.* Niknienie chmur w powietrzu jest w ogólności znakiem pogody i to tym pewniejszym, im się odbywa powolniej i przez dłuższy czas. Kiedy podczas letniej pory, od rana

⁴ Tj. rozdziałach.

⁵ Tj. obserwacji.

powstają małe chmury, po południu zaś zaczynają się rozchodzić, a ku wieczorowi zupełnie nikną; można stąd wróżyć z pewnością, że pogoda potrwa przez dni kilka.

Chmury, które po deszczu spuszczaają się na dół i zdają się niejako toczyć po ziemi, są znakiem pogody.

Gdy przy zachodzie słońca chmury są złotego koloru i nikną albo gdy niebo okryte jest drobnymi, na kształt marszczek na wodzie, pięknie ułożonymi obłoczkami, można się z tego wszystkiego spodziewać pięknej pogody na dzień następnym.

Kiedy nad poziomem⁶ nie ukazują się żadne chmury i kiedy wiatr nie wieje, jest to znakiem pogody.

b. *Z mgły.* Mgła opadająca w porze rannej na ziemię zapowiada pogodę. Kiedy podczas słoty ukazuje się mgła ponad ziemią, jest to znakiem bliskiej pogody.

c. *Z deszczu.* Deszcz padający z rana, przed wschodem lub zaraz po wschodzie słońca, wróży z pewnością pogodę po południu.

d. *Z rosy.* Obfita rosa z rana, przy wypogodzonym niebie i spokojnym powietrzu, znaczy pogodę.

e. *Z wiatru.* Zmiana kierunku wiatru, podczas słoty lub zachmurzonego nieba zapowiada rychłą pogodę. Wiatry wschodnie i południowo-wschodnie, jako pochodzące ze stron, gdzie są najodleglejsze morza, a przy tym klimat najzimniejszy, bywają najsuchsze i najpogodniejsze w porze letniej, a bardzo mroźne w zimowej.

f. *Z błyskawic.* Gdy się błyska nad poziomem w czasie, kiedy nie ma na niebie żadnej chmury, jest to oznaką ciepła i pogody.

2. *SUSZA.* Jeżeli pogoda trwa cały tydzień, a wiatr w tym czasie wieje ciągle z południa lub wschodu, następuje zwykle potem susza, która potrwa tym dłużej, im częściej w ciągu jej trwania zabierało się na deszcz, a potem się znowu wypogadzało. Jeżeli miesiąc luty jest dżdżysty, także sama może wypaść wiosna i lato; lecz jeżeli jest zupełnie pogodny, wtedy obawiaj się posuchy.

⁶ Tj. horyzontem.

3. **MRÓZ.** Mróz, który się rozpoczyna z wiatrem wschodnim, trwa zwykle przez długi czas. – Jeżeli w czasie pochmurnym zimowym niebo wyjaśnia się w stronie, gdzie słońce zaszło, można z tego spodziewać się mrozu.

4. **ODWILŻ** czyli zelżenie mrozu. – Ile razy podczas mrozu śnieg pada w wielkich płatkach, a przy tym wiatr wieje z południa i zmienia często kierunek, tyle razy można się z tego spodziewać odwilży i zelżenia mrozu.

C. Z uważania barometru i innych narzędzi meteorologicznych.

Gdy podczas słoty żywe srebro⁷ w barometrze się podnosi, można się z tego prawie z pewnością spodziewać pogody. Pogoda ta tym dłużej potrwa, im podnoszenie się było powolniejsze, a tym krócej, im było śpieszniejsze. Pewna pogoda nastąpi, jeżeli podczas podnoszenia się barometru zarazem deszcz pada lub mgła ukazuje się z rana. Jeżeli podczas ciągłej niepogody barometr się będzie nieustannie podnosił przez dwa lub trzy dni, natenczas oczekuj z pewnością długiej i trwałej pogody. Opadanie skazówki na higrometrze, wysuwanie się figurek higroskopnych z kryjówek, w których się chowały podczas słoty itp. znaki wróżą osuszenie się powietrza, a zatem i pogodę.

D. Z uważania różnych rzeczy martwych.

Dym wznoszący się z kominów prosto w górę zapowiada piękną pogodę, równie jak płomień na ognisku palący się prosto i spokojnie. Sznury od wieszania bielizny zwalnające się i opuszczające się na dół, oznaczają osuszenie się powietrza, a zatem i pogodę.

E. Z uważania roślin.

Wielka obfitość jagód na krzewach w porze jesiennej jest przepowiednią mocnej zimy. A podobna obfitość oskoły⁸ za korą drzew

⁷ Tj. rtęć.

⁸ Oskoła – sok wytaczany z pnia z brzozy.

w porze wiosnowej zapowiada na czas następny długą pogodę. Roślina znana jako chwast ogrodowy pod imieniem muchotrzewiu, mokrzycy albo ptasiej sałaty (*alsine media*) wznosi na pogodę z rana swoje małe białe kwiateczki i one otwiera, a jeżeli ma nastąpić deszcz, wtedy kwiateczki jej są zwiśle i zamknięte. Nagietek deszczowy (*calendula pluvialis*), roślina afrykańska, otwiera na pogodę swój kwiat przed 7 godziną z rana i pozostaje zwykle w tym stanie do godziny 4 po południu; jeżeli zaś po 7 godzinie ranej ma kwiat zamknięty, spodziewać się trzeba z tego deszczu przed nadejściem nocy.

F. Z uważania pajaków i owadów.

Pająki, zwłaszcza te, które są wielkie i robią siatki koliste, zapowiadają pogodę, kiedy się ukazują w znacznej liczbie, kiedy roztaczają wielkie koła, i kiedy nie przestają na zrobieniu jednego, ale każdy stara się przez noc usnuć ich kilka. – Pająki, które w kątach izby robią poziome i z góry wklęsłe siatki, przepowiadają pogodę, gdy mają wychyloną głowę z kryjówek i wyciągnięte naprzód nogi; a kiedy powiększają przez noc swoją siatkę i kiedy wyciągają bardzo swe nogi, można się z tego spodziewać trwałej pogody. Pająki zimowe, które podczas przykłej pory uciekają się do mieszkań ludzkich dla odbywania tam zwykłej swojej pracy i które nie okazują się nigdy w wielkiej liczbie, zapowiadają zimno, jeżeli przez noc robią nowe siatki. Zimno to będzie ostre i trwałe, jeżeli robią wiele siatek jedne nad drugimi, a tym przykrzejszej należy oczekiwać pory, kiedy pająki te wychodzą ze swoich kątów, przebiegają spiesznie z miejsca na miejsce oraz walczą z sobą o posiadanie siatek dawniej zrobionych i dogodniej umieszczonych. Te znaki okazują się niekiedy na 12 lub 15 dni przed mającym nastąpić zimmem, przynajmniej, ile się to okazuje z historii p. Quatremère Disjonval⁹, który się szczególnie zajmował uważaniem pajaków pod względem przepowiadania

⁹ Denis-Bernard Quatremère d'Isjonval (1754–1830) – fizyk francuski, autor książki o pająkach *De l'Aranéologie, ou Sur la Découverte du Rapport constant entre l'Apparition ou la Disparition, le Travail ou le Repos, le plus ou le moins d'étendue des Toiles et des Fils d'Ataches des Araignées des différentes espèces; – Et les Variations Atmosphériques, du Beau*

z nich zmian powietrza, będąc uwięziony w Holandii. Latanie krówek gnojowych wieczorem w czasie wiosny i lata, znaczy pogodę nazajutrz. Pajęczyna unosząca się po powietrzu w porze jesiennej i czepiąca się po płotach znaczy stałą na kilka dni pogodę. Jeżeli mrówki wznoszą w lecie wielkie mrowiska, można się stąd spodziewać rychłej i mocnej zimy.

G. Z uważania robactwa, ryb i płazów.

Na piękną i stałą pogodę pijawki trzymane w szklannym słoju leżą zwinione na dnie bez ruchu, i zachowują się jak najspokojniej. W zimowej porze zachowują się podobnie na mróz, jak w letniej na pogodę. Podobnież sprawuje się żabka drzewna, trzymana w naczyniu dla przepowiadania pogody. Piskorze zaś mają być w tym względzie jeszcze pewniejszymi przepowiadaczami, jak pijawki i żabka drzewna. Na pogodę żaby itp. płazy, szczególnie te, co mają pod brzuchem czerwone plamki (*bufo igneus*), przyjemnie kruczą w wodzie, w miejscach odległych od mieszkań ludzkich.

H. Z uważania ptactwa.

Ukazanie się wcześniej dzikich gęsi i innego ptactwa w porze wiosnowej zapowiada bliskie ciepło, a w jesiennej zimno; zwłaszcza jeżeli w porze pierwszej lot gęsi jest wysoki, a w drugiej niski. Zbieranie się małych ptasząt w gromady na końcu lata lub w jesieni jest zwykle znakiem bliskiego zimna. Na pogodę skowronki wysoko się wzbijają i wesoło śpiewają, jaskółki także latają w górze. Wysoki lot kruką z rana i głośne jego krakanie w czasie niepogodnym zapowiada czas piękny. Częste pianie kogutów podczas słoty wróży rychłą pogodę, podczas mrozu odwilż, a podczas odwilży mróz. Na pogodę dzierlatka, czyli śmieciuszek, trzyma się ziemi i nie świergocze; podobnież zachowuje się cicho i spokojnie trznadel i poświerka. Głos sowy podczas deszczu zwiastuje bliską pogodę.

Temps à la Pluie, du Sec à l'Humide, mais principalement du Chaud au Froid, et de la Gelée à Glace au véritable Dégel, Paris 1797.

I. Z uważania zwierząt i ludzi.

Szczekanie mocne i częste psów w nocy wróży pospolicie odmianę powietrza¹⁰. Kiedy nietoperze wcześniej pokazują się po zachodzie słońca i w większej liczbie niż zwyczajnie, a do tego latają długo w noc, można z tego spodziewać się pogody i ciepła na dzień następny. Jeżeli głaszcząc kota w ciemności, końce jego włosów okazują się świetlnymi i kiedy daje się słyszeć podczas tego głaskania niejkie trzeszczenie pod ręką, jest to znak suszy, a w zimie mrozu. Ustające darcie w członkach u osób cierpiących reumatyzm¹¹ lub mających źle zagojone rany, jest niemylną oznaką mającej nastąpić pogody.

ODDZIAŁ II. ZNAKI SŁOTY, DESZCZU, ŚNIEGU.

A. Z uważania słońca i innych ciał niebieskich.

Jasność biaława, okazująca się naokoło słońca, księżycy i gwiazd, jest znakiem deszczu. Kiedy w porze zimowej okazują się w bliskości zamglonego słońca, inne podobne do niego światła, nazwane podwójnymi słońcami, jest to przepowiednią śniegu i mrozu. Jeżeli słońce jest zasępienie i jakby zanurzone w wodzie, nadto jeżeli wschodzi czerwone z jaskrawymi promieniami, jeżeli się ponad nim znajduje gęsta chmura, należy się z tego wszystkiego spodziewać deszczu. Nagłe deszcze nigdy długo nie trwają, lecz gdy niebo zachmurza się powoli, słońce zaś, księżyc lub gwiazdy zaciemniają się nieznacznie, deszcz padać będzie najmniej przez sześć godzin. Kiedy słońce zachodzi blade, to znaczy pospolicie deszcz i przykrą porę na dzień następny.

Obręcz kolorowa około księżycy, albo przynajmniej jasność posępna około jego tarczy, jest prawie niemylnym znakiem wkrótce mającej nastąpić śloty. – Jeżeli rogi księżycy po nowiu są przyćmione albo tarcza około pełni blade, to także oznajmia deszcz, który może potrwać przez dni kilka.

¹⁰ Tj. zmianę pogody.

¹¹ Tj. reumatyzm.

Kiedy gwiazdy są blade, nieliczne, i wydają się wielkimi z przychyny otaczającej je niby jasności i kiedy nie można dostrzec ich migania, należy się z tego spodziewać wkrótce deszczu.

B. Z uważania chmur i innych zjawisk w powietrzu.

1. SŁOTA. a. *Z chmur.* Tworzenie się chmur jest w ogólności znakiem deszczu, i to tym pewniejszym, im się odbywa powolniej i przez dłuższy czas. Kiedy podczas letniej pory od rana powstają małe chmury, potem zbierają się w masy większe, a po południu się nie rozchodzą, ale się jeszcze bardziej wzmagają, wtedy zwykle deszcz następuje. Chmury gromadzące się jedne nad drugimi, w kształcie urwistych skał, są oznaką deszczu. Małe białe chmurki, przesuwane przez słońce i nabierające od niego koloru czerwonego, jaskrawożółtego, zielonawego itd., są znakiem bliskiego deszczu. Chmury ułożone pięknie na niebie na kształt karpich łuszczyk, chociaż wróżą pogodę na dzień następny, jednak każą obawiać się śloty na dzień drugi lub trzeci. Kiedy niebo okryte jest cienką warstwą wyciewów mglistych, a w pośród niej zdają się pływać grubsze obłoki, można się z tego spodziewać deszczu. Chmury podobne do rozwlekłej wełny są znakiem deszczu, mającego nastąpić za dwa lub trzy dni, albo już padającego w okolicach odległych.

b. *Z mgły.* Wznoszenie się z rana mgły jest znakiem bliskiego deszczu.

c. *Z deszczu.* Jeżeli deszcz zacznie padać w godzinę lub dwie po wschodzie słońca, a tym bardziej później, ślota będzie trwała aż do wieczora. Jeżeli podczas deszczu, tworzy się niejaka kurzawa z wody nad ziemią i wyskakują bąble na wodzie, jest to znakiem, że deszcz jeszcze padać będzie długo i obficie. Jeżeli po małym deszczu daje się widzieć blisko ziemi mgła podobna do dymu, można się z tego z pewnością spodziewać większego deszczu.

d. *Z rosy i białego mrozu.* Brak rosy z rana przy wypogodzonym niebie lub zbieranie się chmur rokuje wiatr; jedno zaś i drugie jest przepowiednią deszczu. Rosa choćby była najobfitsza, a po

niej następuje wiatr, nie obiecuje pogody, ale owszem zapowiada deszcz. Biały mróz na trawie, który jest skrzepłą rosą, zapowiada deszcz na drugi lub trzeci dzień.

e. *Z wiatru*. Jeżeli po wietrze pokazuje się mróz biały, a po nim mgła, nastąpi potem bardzo przykra ślota. Wiatr wiejący w czasie pochmurnym jest przepowiednią bliskiego deszczu. Wiatry zachodnie, południowo-zachodnie i południowe, jako pochodzące ze stron, gdzie są najbliższe i najrozleglejsze morza, a przy tym klimat najcieplejszy, bywają najbardziej obciążone wilgocią, a zatem i najsłotniejsze. Przy tych atoli wiatrach powietrze nie zachmurza się nagle, a z początku bywa nawet tak przezroczyste, że odległe lasy, góry i inne przedmioty daleko wyraźniej i jakoby w zbliżeniu widzieć się dają. Takowe wyraźne przedstawianie się i niejako zbliżanie odległych przedmiotów jest prawie niezawodną przepowiednią śloty.

f. *Z tęczy*. Tęcza ukazująca się w żywych kolorach, a tym bardziej tęcza podwójna, jest znakiem, że deszcz potrwa jeszcze długo.

g. *Z nieba*. Jeżeli piękny błękit nieba przybiera kolor zielonawy, następuje potem czas pochmurny, a w końcu i deszcz.

h. *Z zimna*. Po zimnach jesiennych następuje zwykle czas słotny.

2. Śnieg i krupki. Białe chmury w zimie są znakiem śniegu, zwłaszcza gdy przy tym mróz zwolnia. Jeżeli w zimie i na wiosnę chmury są białawo-błękitne i rozciągają się daleko, spodziewać się trzeba, że będzie padał drobny grad czyli krupki.

C. Z uważania barometru i innych narzędzi meteorologicznych.

Gdy podczas pogody, żywe srebro w barometrze opada, można być prawie pewnym deszczu. Deszcz ten tym dłużej potrwa, im spadanie żywego srebra było powolniejsze, a tym krócej, im było śpieszniejsze. Zniżanie się barometru w czasie mrozu jest znakiem śniegu, a w czasie suchym zimowym, odwilży.

Jeżeli podczas ciągłej pogody żywe srebro spadać będzie przez dwa lub trzy dni, obawiaj się z pewnością długiego deszczu.

Podnoszenie się skazówki na higrometrze, wsuwanie się figurek higroskopnych do ukrycia, itp. znaki, okazywane za pomocą tego rodzaju narzędzi, ostrzegają nas, że wilgoć powietrza się wzmagą, a zatem że może nastąpić ślota.

D. Z uważania różnych rzeczy martwych.

Kiedy dym wychodzący z kominów opada na ziemię, można z tego prawie z pewnością spodziewać się śloty. – Kiedy z obór i stajen daje się czuć niezwykła i mocna woń, poczytują to niektórzy ludzie za znak deszczu. Podobnież wszelka przykra lub przyjemna woń, którą wydają z siebie różne rzeczy mocniej niż zwyczajnie, ma być niejaką wróżbą śloty. Jeżeli sól, marmur, żelazo lub szkło staje się wilgotne i jeżeli drzewo pęcznieje, a sznury od chust skracają się i wyprężają, jest to znakiem deszczu lub zelżenia mrozu. Kiedy płomień lampy lub świecy jest niezwykle jasny, a na knocie formuje się grzybek z sadzy, można z tego spodziewać się pewnego deszczu; równie jak wtenczas, kiedy sadze w kominie lub na naczyniach stojących przy ogniu tłą się mocno. Rozwalnianie się wyciągniętego papieru na desce lub obić na ścianie służyć także może za przepowiednię zbliżającego się czasu wilgotnego, a nawet i śloty. Kiedy w stawach mętnieje woda z przyczyny niespokojności żyjących w niej stworzeń, kiedy lasy, góry i inne odległe przedmioty ukazują się podczas lata w ciemno-niebieskiej barwie i w dziwnym do nas zbliżeniu: można z tego wnosić, że czas nastąpi pochmurny, a potem i dżdżysty; takżeż znaki okazujące się w porze zimowej oznajmniają odwilż i zelżenie się mrozu.

E. Z uważania roślin.

Powój płotowy i polny (*convolvulus sepium & arvensis*), kurzyślep czyli kurzy ślad (*anagallis*), nagietek deszczowy (*calendula pluvialis*); dziewięcisił (*carlina acaulis*) i wiele roślin podobnych do podróżnika (*leontodon*) – zamykają regularnie przed deszczem swe kwiaty i dlatego mogą służyć za niemylną przepowiednię śloty. Kurzyślep mający piękne czerwone lub niebieskie kwiatki, a listki pod

spodem czarno kropkowane, ma być w tym względzie tak ważną rośliną, że we Francji nazywają go barometrem ubogiego (*baromètre du pauvre homme*). W uważaniu roślin, trzeba na to pamiętać, że niektóre, nawet podczas ciągłej pogody, otwierają się i zamykają regularnie w pewnych godzinach dnia, jak np. wspomniany wyżej podróżnik¹², który otwarty ma kwiat z rana, a zamknięty po południu. Jest to roślina bardzo pospolita przy drogach w porze majowej i czerwcowej, ma kwiat żółty i wydaje kulistą puchowatą główkę, opadającą za lekkim dmuchnięciem na nią. Kwiat jej zamknięty przed południem jest znakiem deszczu.

F. Z uważania pajaków i owadów.

Kiedy pająki, które mają zwyczaj snuć wielkie koła, pokazują się tylko w małej liczbie i niewiele pracują, jest to znakiem pogody niestałej. A kiedy wcale nie dają się widzieć albo kiedy nie pracują lub rozciągają tylko krótkie nitki, można się z tego spodziewać deszczu.

Pająki, które snują w kątach izby siatki, przepowiadają słońce, jeżeli tylko tył swego ciała ukazują z kryjówki.

Na słońce także pająki spuszczaają się po pajęczynie z sufitów i łążą po ścianach; mrówki zdążają z pośpiechem do mrowisk; równie jak pszczoły do ulów. Komary brzęczą więcej jak zwyczajnie i są naprzykrzone; owady deszczowe podobne do komarów odbywają obrotu rojami w powietrzu podczas letnich wieczorów.

G. Z uważania robaków, ryb i płazów.

Na deszcz i w czasie deszczu pijawki utrzymują się spokojnie u góry naczyń. W zimowej porze zachowują się podobnie na odwilż i śnieg, jak w letniej na deszcz. Żabka drzewna i piskorze, trzymane w naczyniu dla przepowiadania zmian powietrza, utrzymują się także w górze jak pijawki, gdy ma słońce nastąpić. Na słońce także żaby i ropuchy nieznośnie skrzeczą i posępnie wydają głosy w kałużach;

¹² Tj. mlecz.

żabki drzewne rechczą głośno na krzewach; rybki wyskakują nad wodę dla chwytania komarów, a glisty ziemne, czyli dżdżowniki, równie jak ropuchy wyłazą obficie ze swoich podziemnych kryjówek i widzieć się dają po ścieżkach.

H. Z uważania ptactwa.

Na słotę, dzierlatka rozwodzi swoje przewlekle trele wysoko w powietrzu; poświerka i trznadel odzywają się często przy drogach; skowronek śpiewa rano, siedząc na bryłce roli lub na kamieniu; zięba odzywa się wcześniej w ogrodach; wróble świergoczą bardzo rano; wrony i kawki latają gromadnie, nie zatrzymując się nigdzie; sójki i sroki gromadzą się i wrzeszczą; wrony kraczą więcej niż zwyczajnie; czaple i sokoły latają nisko; ptastwo swojskie, jako to: kury i indyki, trzepoczą się w piasku i skubią; gęsi, kaczki i łabędzie pośpieszają na wodę, uganiają się na niej i wydają mocne krzyki; kury i gołębie nie oddalają się od swego mieszkania; kury indyjskie czyli perłowe, równie jak pawie, nadzwyczajnie krzyczą; ptaszki małe zaniedbują żeru i uciekają do swoich kryjówek; jaskółki, latają ponad samą wodą lub ziemią, uganiając się około przechodzących osób za muszkami. Na deszcz także gołębie wracają późno do gołębnika; a inne ptastwo świergocze i niby zwołuje się nawzajem.

I. Z uważania zwierząt i ludzi.

Na słotę konie rżą gwałtownie i wyskakują; woły otwierają nozdrze, potem kładą się i liżą; koty umywają się; psy są ociężałe i senne, lubią grzać się przy ogniu, jedzą trawę, drapią ziemię i czasem jakies kruczenie daje się słyszeć w ich brzuchu; świnie są niespokojne, walają się w błocie i skrobą. Na deszcz krety kopią większe kretowiska. Kiedy bydło i owce przed wieczorem chciwiej zajadają trawę na pastwisku niż zwyczajnie, można z tego być pewnym bliskiego deszczu. Uważają, że osoby cierpiące reumatyzm albo mające złe zagojone rany doznają dotkliwych bólów, ile razy ma nastąpić ślota lub inna nagła nieprzyjemna zmiana powietrza.

ODDZIAŁ III. ZNAKI WIATRU.

A. Z uważania słońca i innych ciał niebieskich.

Ile razy słońce wschodzi blade, a potem się staje czerwone, ile razy wydaje się bardzo wielkie i bez rażących promieni, tak, że można patrzeć na nie swobodnie, ile razy wschodzi i zachodzi, a niebo i chmury są czerwone – tyle razy można się z tego spodziewać wiatru, a nawet deszczu.

Gdy księżyc ukazuje się bardzo wielki i czerwony, gdy rogi jego są ostre i czarniawe, gdy tarcza jego otoczona jest czerwonawą jaśnością, to zapowiada zazwyczaj wiatr.

Jeżeli gwiazdy tracą swój blask, chociaż w powietrzu nie okazują się chmury, można się z tego spodziewać burzy.

B. Z uważania chmur i innych zjawisk w powietrzu.

1. WIATR I BURZA. – Jeżeli przed wieczorem chmury formują się w stronie zachodniej i przybierają czerwony kolor, można to uważać za znak wiatru i czasu suchego.

Wiatr zmieniający często swój kierunek zapowiada nawałną burzę.

Wiatr poczynający wiać we dnie jest mocniejszy i trwa dłużej niżeli ten, który się wszczyna w nocy.

Jeżeli się wiatr nie odmienia, czas¹³ zostanie, jak jest.

Chmury podzielone jak wełna na owcy wskazują wiatr w porze letniej, a śnieg w zimowej.

Błyskawice okazujące się w porze zimowej zapowiadają bliski wiatr, burzę lub śnieg.

Grzmoty przypadające wieczorem zapowiadają burzę, rano wiatr, a w południe deszcz.

Grzmot ciągły oznajmuje nawałnicę i wielką burzę.

Gdy słońce bardziej niż zwykle dopieka, gdy nawet w cieniu czujemy powietrze parne, wzbudzające w nas poty i ociążałość

¹³ Tj. pogoda.

oraz niezdolność do ruchu i pracy, jest to najczęściej niezawodną oznaką wkrótce mającej nastąpić burzy z grzmotami.

Uważano, że wiatr południowy najwięcej sprowadza nawałnic, mniej zachodni, jeszcze mniej północny, a najmniej wschodni.

2. GRAD. – Jeżeli przed wejściem słońca, niebo na wschodzie jest blade, a obłoki gęste odbijają od siebie mocno światło słoneczne, obawiaj się wtenczas wielkiej nawałnicy z gradem.

Białe chmury w lecie są także znakiem gradu.

Obłoki blade-żółtawe, posuwające się powoli, chociaż wiatr wieje mocny, zapowiadają podobnież grad.

C. Z uważania barometru i innych narzędzi meteorologicznych.

Zniżanie się barometru w czasie ciszy zapowiada wiatr, a podnoszenie się w czasie wiatru ciszę.

Takież zniżenie podczas upału jest znakiem bliskiej burzy i nawałnego deszczu.

W ogóle barometr utrzymuje się nisko w latach i porach wilgotnych i burzliwych, a wysoko w suchych i spokojnych. W zimie stoi barometr zazwyczaj wyżej jak w lecie. Spadanie jego jest znaczniejsze wtenczas, kiedy pora sucha zmienia się na wilgotną, a jeszcze znaczniejsze, jeżeli ta pora ma być zarazem podległa gwałtownym wichrom.

D. Z uważania różnych rzeczy martwych.

Jeżeli węgle zdają się żarzyć mocniej jak zwykle, a płomień na kominie nie pali się spokojnie, lecz się miota na boki, jest to znakiem wiatru.

E. Z uważania pająków i owadów.

Na wiatr pająki rozciągają tylko poboczne nici swojej siatki, ale nie osnuwają ich naokoło poprzecznymi, czyli kolistymi włóknami; czasem zaś zaniechawszy i tej roboty, owszem potargawszy ją w części lub całkowicie, chronią się wcześniej do swoich kryjówek.

Kiedy muchy, ślepaki i inne owady są bardziej naprzykrzone niż zwyczajnie, a pszczoły bardziej niedostępne i złośliwe, aniżeli

zwykły bywać podczas trwałej pogody, można to uważać za znak burzy połączonej z deszczem.

Przed podobną burzą mrówki pracują pilniej niż zwykle, pszczoły nie lecą w pole, lecz trzymają się ula lub siedzą wewnątrz niego, albo oddalwszy się, przybywają do niego tłumnie wczes przed wieczorem, nie będąc wszystkie obciążone robotą.

G. Z uważania robaków, ryb i płazów.

Na wiatr pijawki są niespokojne i ustawicznie się kręcą, przed burzą zaś, grzmotami i piorunami, wyłażą z wody do otworu naczynia, oddychają mocno i okazują jakoby konwulsyjne poruszenia. Tak samo mają się zachowywać piskorze trzymane w naczyniu szklanym, dla przepowiadania zmian powietrza; podobnie zachowuje się żabka drzewna.

H. Z uważania ptactwa.

Gdy kaczki, gęsi lub łabędzie uganiają się na wodzie, bijąc w nią skrzydłami, nurzając się i wydając mocne krzyki, gdy dzikie gęsi lecą pasmami bardzo wysoko, gdy łyski okazują niespokojność i krzyczą, gdy kruki igrają nad wodami lub wlatują w powietrze – jest to wszystko znakiem mającego nastąpić słotnego wiatru i burzy. Gdy przeciwnie zimorodek opuszcza brzegi i udaje się na przestrzenie wód, chociaż wiatr jeszcze wieje, gdy wróble powtarzają często swoje świergotanie, oznacza to bliski koniec trwającego wichru. Zlatywanie się morskich ptaków na brzegi lądu, zapowiada burzę. Jeżeli ptactwo drapieżne, jako to: kanie, kobuzy, itp. zgromadza się w znacznej liczbie i krąży wysoko w powietrzu, jest to niezawodnym znakiem burzy gwałtownej i nadzwyczajnej. Na burzę także drozdy śpiewają głośniejsz niż zwykle.

I. Z uważania zwierząt i ludzi.

Przed burzą bydło rogate i owce skupiają się razem i obracają się głowami w stronę przeciwną względem wiatru. Kiedy wicher ma się wszczać, świnie chrzączą mocno, podnoszą ryje, biegają

i kwiczą. Ile razy bydło jest niespokojne i biega tu i owdzie, wyskakując i wierzgając nogami, można się z tego spodziewać gwałtownej zmiany powietrza. Kiedy w czasie wichru krety pokazują się na powierzchni ziemi, jest to znakiem, że wkrótce nastąpi cisza.

ODDZIAŁ IV. ZNAKI URODZAJU I INNYCH ODLEGŁYCH ZDARZEŃ W NATURZE.

W porze zimowej obfite śniegi obiecują rok urodzajny, a przeciwnie obfite deszcze, zagrażają nieurodzajem. Wiosna dżdżysta znaczy, że wiele będzie siana, a mało zboża, ciepła zapowiada obfitość owoców, lecz te bywają zwykle robaczywe, zimna zaś ostrzega nas, że pora zbiorów będzie spóźniona. Jeżeli wiosna i lato są oboje razem suche lub wilgotne, trzeba się obawiać wielkiego niedostatku i głodu; jeżeli zaś samo lato jest bardzo ciepłe to należy się lękać różnych chorób, które po większej części pochodzą z nieumiarkowanego jedzenia surowych owoców i zbytecznego picia nieprzegotowanej wody; gotowane bowiem owoce i woda przewarzona, zwłaszcza z upieczoną skórką chleba, nigdy nie szkodzą zdrowiu, choćby upały podczas lata były jak największe. Jesień dżdżysta zapowiada nieurodzaj na wino i mierny zbiór zboża na rok następny; przeciwnie pogodna, rokuje na to oboje niewątpliwy urodzaj, zwłaszcza jeżeli następna zima będzie śnieżna, pierwsza połowa wiosny sucha, a druga przepadzista. Po pięknej jesieni następuje zwykle zima wietrzna. W ogólności długie nieumiarkowanie pór co do panującego w nich: bądź wiatru, bądź suszy, bądź wilgoci, bądź zimna, bądź nareszcie ciepła, staje się szkodliwym zarówno dla roślin, jak dla zwierząt, a zatem niepomysłnym dla ludzi. Po wiosnie wilgotnej i takimże lecie następuje zwykle piękna i pogodna jesień. Zima dżdżysta zapowiada suchą wiosnę, a sucha wilgotną. Kiedy jesień jest piękna, to w takim razie należy się spodziewać dżdżystej wiosny, co się może sprawdzić w r. b., albowiem w roku upłynionym jesień była jak najpogodniejsza, a nawet bardzo sucha.

Urodzaj żołądźi i owoców, każą się spodziewać nieurodzaju zbóż w roku następnym: czego dowiódł u nas rok 1843 i 1844.

PRZEDRUK ZA: *Przepowiednie pogody, śloty, wiatru i innych zmian powietrza wzięte z uważania słońca, chmur, barometru, roślin, robactwa, pająków, ryb, płazów, ptastwa, zwierząt, ludzi i innych t.p. martwych oraz żyjących rzeczy, zebrał i ułożył Wojciech Jastrzębowski, profesor Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Marymoncie, Warszawa 1847.*

9. Nieco historii

Jan Baranowski (1800–1879)

Przedmowa tłumacza [fragmenty]

Sądzimy za rzecz stosowną wspomnieć tu o badaczach, którzy się w różnych czasach, i już to rodacy, już cudzoziemcy, meteorologią u nas zajmowali.

Najpierwsze doświadczenie z barometrem, mające związek z meteorologią, wykonał w Warszawie Włoch (we trzy lata po wynalezieniu barometru) w miesiącu lipcu 1647 roku, na zamku królewskim w obecności króla i jego rodziny, ksiądz Walerian Magini, kapucyn, sprowadzony do Polski przez Władysława IV. Tenże Magini napisał ważną rozprawę fizyczną *De Vacuo*, która dała powód do żywej polemiki uczonym¹.

Pierwsze dostrzeżenia meteorologiczne narzędziami w Warszawie robił Erndtel², filozofii i medycyny doktor, lekarz nadworny króla polskiego i elektora saskiego, przez cztery lata od roku 1725 do 1728 włącznie, i te ogłosił w znanym swoim dziele: *Warsavia physice illustrata*, roku 1730 w Dreźnie wydanym.

W rozdziale 11-gim o powietrzu warszawskim Erndtel mówi: „Tak dalece przyzwyczailiśmy się i oswoili z powietrzem, że setny nawet nie zwraca uwagi na nieodzowną jego potrzebę do życia, a cóż

¹ Valeriano Magini (1586–1661) – teolog, misjonarz, wykładowca na uniwersytecie w Pradze. Tytuł jego pracy brzmiał *Demonstratio ocularis loci sine locato [...] / a Valeriano Magno fratre capuccino exhibita [...] Vladislao IV regi et Ludovicae Mariae reginae Poloniae et Sveciae [...] dicata*, Varsaviae 1647.

² Christian Heinrich Erndtel (1676–1734), lekarz nadworny króla Augusta II Sasa. Książka dotyczyła nie tylko meteorologii, lecz była opisem i pochwałą osiemnastowiecznej Warszawy (*Warsavia Physice Illustrata, Sive De Aere, Aquis, Locis Et Incolis Warsaviae, Eorundemque Moribus Et Morbis Tractatus; Cui Annexum Est Viridarium, Vel Catalogus Plantarum Circa Warsaviam Nascentium*, Dresdae 1730).

dopiero na jego skład i własności, aż przypadkowym trafem przez chwilowe onego pozbawienie, przez zatkanie ust przekona się, że bez niego i przez minutę bez wystawienia się na widoczne niebezpieczeństwo obejść się nie może. Gdy więc widocznie i koniecznie potrzebnym jest powietrze do życia naszego, dlatego u wszystkich oświeconych narodów zasługują na wdzięczność ci, którzy przyrodę tego żywiołu ściślej starali się zbadać. Wiadomo zaś z ostatnich odkryć i dochodzeń ludzi uczonych, iż powietrze jest jakby powłoką z różnych gazów złożoną, otaczającą zewsząd kulę ziemską, która nie tylko przy jej powierzchni rozciąga się, ale i do najwyższych stref eteru unosi się, który to eter wchodząc we wszystkie ciała i wszystko przenikając swoją subtelnością, lekkością i ruchem, powietrze łagodzi i ożywczy ruch wszystkim istotom żyjącym nadaje³.

We trzydzieści cztery lata, uczony Francuz Guettard⁴, członek akademii paryskiej, w czasie dwuletniego pobytu swego w Warszawie czynił postrzeżenia meteorologiczne w r. 1761 i 1762 i wypadki ich ogłosił najprzód w *Pamiętnikach akademii paryskiej* na rok 1762, a potem i same postrzeżenia szczegółowo w tomie pierwszym dzieł swoich (*Mémoires sur différentes parties des sciences et arts, par Guettard*. Paris, 1768, in 4to). Autor w przedmowie mówi: „Rozprawa, która następuje, z porządku ósma, zawiera postrzeżenia meteorologiczne czynione przeze mnie w Warszawie w Polsce. Wiadomo dziś bardziej niż kiedykolwiek, jakiego są użytku podobne postrzeżenia: żądają dziś, aby takowe podawane były ze wszystkimi szczegółami. Wypadki średnie, otrzymane każdego miesiąca z tego wszystkiego, co się w powietrzu wydarza, nie zawsze są wystarczającymi do różnych celów, jakie sobie różni fizycy zakładają w pracach przedsię-

³ Autor łączy w swoim poglądzie arystotelesowską teorię eteru jako piątego żywiołu z kartezjańską, wg której eter wypełnia wszelką wolną przestrzeń.

⁴ Jean-Étienne Guettard (1715–1786) – geolog i przyrodnik francuski, w l. 1760–1762 prowadził badania geologiczne i meteorologiczne w Polsce, czego efektem było kilka prac geologicznych i jedna o klimacie Polski, *Observations météorologiques, faites à Varsovie pendant les années 1760, 1761 et 1762*, w: „Mémoires de l'Académie Royale des Sciences 1762”, Paris 1764, s. 402–430.

wziętych; te pobudki skłoniły mię do ogłoszenia mych postrzeżeń, codziennie przez dwa lata prowadzonych”.

Po wyjeździe Guettarda z Polski odbywał postrzeżenia od dnia 6 maja 1761 roku do końca marca 1762 roku ksiądz Delsuc⁵, sekretarz poselstwa francuskiego przy królu polskim. Cały szereg postrzeżeń przez dwóch Francuzów wykonanych wynosi 1566.

W szesnaście lat potem zaczął się porządnym szeregiem postrzeżeń, dokładniej niż dotąd prowadzonych przez dwadzieścia lat (od roku 1779 do 1800), w obserwatorium królewskim na zamku, przez księdza Jowina Bończę Bystrzyckiego, astronoma nadwornego króla Stanisława Augusta. Postrzeżenia te Magier starannie przeniósł w tablice drukowane miesięczne i razem z wypadkami rocznymi w jeden tom in folio zebrał i ozdobnie oprawił. One więc składają tom pierwszy ogólnego zbioru (tomów trzy) postrzeżeń A. Magiera w Warszawie robionych i od jego spadkobierców przez Obserwatorium warszawskie na własność nabytych.

W pierwszych siedmiu latach terażniejszego wieku (od roku 1800 do 1807 włącznie) czynił postrzeżenia meteorologiczne w Warszawie Karol Kortum⁶, w miejscu wzniesionym na 83 stóp i 3 cale nad poziom Wisły, i te obejmują tylko wysokość barometru trzy razy dziennie uważaną i wysokość wody na Wiśle.

Od roku 1803 do 1828 przez dwadzieścia pięć lat czynił postrzeżenia z rzadką pilnością i szczególnym zamięłowaniem Antoni Magier, profesor liceum warszawskiego, członek królewsko-warszawskiego Towarzystwa Przyj. Nauk, w domu własnym przy ulicy Piwnej pod Nr 95 na trzecim piętrze, w wysokości 69 stóp par. nad poziom gruntu, a 108 stóp nad średnią wysokość Wisły. Postrzeżenia te, trzy razy dziennie zapisywane, tj. o godz. 6 rano, 2 po południu i 10 wieczór, zawierają wysokość barometru, termometru,

⁵ Ojciec Delsuc, późniejszy kanonik w Verdun. Wiadomość o nim czerpie autor z pracy Guettarda.

⁶ Karol Ludwik Kortum (1749–1808) – fizyk, chemik, autor m.in. pracy o piorunochronach (*O konduktorach w budowlach mieszkalnych*, „Pamiętnik Warszawski” 1810, t. 3).

udometr⁷, anemometr⁸ i stan nieba. Obok dostrzeżeń miejscowych, zamieszczone są różne wiadomości meteorologiczne z różnych krajów w gazetach warszawskich ogłaszane, które Magier starannie z gazet wycinał i w dziennik dostrzeżeń wklejał.

W *Roczniku Towarzystwa Warszawskiego Przyj. Nauk*, tom VIII, z roku 1808, znajdują się wypadki średnie miesięczne dostrzeżeń meteorologicznych z dwudziestu lat od r. 1779 do 1800, przez księdza Jowina Bystrzyckiego, astronoma królewskiego, a od roku 1800 do 1807 przez Karola Kortum, członka Towarzystwa Warszawskiego Przyj. Nauk robionych. Tablice te poprzedza opis narzędzi użytych do dostrzeżeń, ich ustawienie i godziny, w których były czynione. W tychże *Rocznikach*, w tomie XV z r. 1825, są umieszczone wypadki dostrzeżeń z dwunastu lat, od roku 1813 do 1824, przez Antoniego Magiera czynionych. Na koniec jest dołączona tablica, zawierająca średnie i najwyższe z dwudziestu lat wypadki.

Z dostrzeżeń powyższych p. Wojciech Jastrzębowski, magister filozofii, w roku 1826 wprowadził wypadki średnie i te ułożył w jedną tablicę. Następnie pan Jastrzębowski przedstawił graficznie wypadki dostrzeżeń Magiera, na karcie rytowanej z napisem podwójnym, polskim i francuskim: „*Karta meteorograficzna stolicy królestwa Polskiego*, czyli obraz odmian powietrza, wystawiający graficznym sposobem najważniejsze wypadki dostrzeżeń meteorologicznych, czynionych w Warszawie od roku 1803 do 1828 przez Antoniego Magiera, członka Towarzystwa królewskiego Przyjaciół Nauk, ułożony, i zmianami długości dnia, obliczonymi na szerokość geograficzną Warszawy, pomnożony przez Wojciecha Jastrzębowskiego, z dołączeniem osobnego objaśnienia potrzebnego do użycia tej karty”⁹.

W roku 1846, na podstawie dwudziestoletnich postrzeżeń od roku 1779 do 1800 przez księdza Bystrzyckiego i dwudziestopięcioletnich od roku 1803 do 1828 przez Antoniego Magiera robionych, pan Jastrzębowski wydał powtórnie kartę klimatologiczną

⁷ Udometr – deszczomierz, przyrząd do mierzenia ilości wody spadłej z atmosfery.

⁸ Anemometr – wiatromierz.

⁹ *Karta meteorograficzna stolicy Królestwa Polskiego...*, Warszawa 1829.

w języku polskim i francuskim (poświęconą przyjaciółom nauk ścisłych i użytecznych), przedstawiającą graficznie wszelkie zjawiska meteorologiczne, wraz ze stosownym objaśnieniem¹⁰.

Pan Jastrzębowski prawdziwą zrobił przysługę dla klimatologii kraju naszego, umiejętnym opracowaniem dostrzeżeń przez innych postrzegaczy robionych i wyprowadzeniem średnich wypadków i wniosków; pracę swoje ogłosił w „Bibliotece Warszawskiej” za rok 1841, tom 11, str. 687–776, pod napisem: „Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych czynionych w Warszawie blisko przez pół wieku, to jest od roku 1779 do 1828 włącznie, przez księdza Bystrzyckiego, Antoniego Magier i innych, oraz uwagi nad nimi, dotyczące klimatu Polski; rzecz wypracowana roku 1829 przez Wojciecha Jastrzębowskiego”.

Od roku 1825 (od d. 20 listopada) zaczyna się szereg postrzeżeń dokładniejszymi narzędziami, robionych w Obserwatorium astronomicznym warszawskim¹¹, niedługo po wystawieniu tego zakładu. Narzędzia umieszczone są na drugim piętrze obok głównej sali, w wysokości 32 stóp par.¹² nad podstawę gmachu, 144,3 stóp nad poziom Wisły w jej najniższym stanie, a 367,6 stóp nad poziom morza. Postrzeżenia zapisywane są cztery razy dziennie, to jest o godzinie 6 i 10 rano i 4 i 10 wieczór, i odnoszą się do wysokości barometru, termometru, najwyższego i najniższego stanu temperatury, wilgotności powietrza wskazywanej psychrometrem Augusta¹³, kierunku wiatru, stanu nieba, ilości wody z deszczu

¹⁰ Zob. tekst nr 8, przyp. 1.

¹¹ Warszawskie Obserwatorium Astronomiczne w Ogrodzie Botanicznym, ukończone w l. 1824–1825.

¹² Stopa paryska – miara długości, wynosząca 0,32484 metra.

¹³ „Psychrometr Augusta składa się z 2 termometrów umieszczonych na podstawie, z których jeden utrzymuje się w stanie wilgotnym za pomocą tkanki otaczającej jego kulkę i zanurzonej końcem w wodzie. Im suchszym jest powietrze, tym z tej cieczy więcej będzie się ulatniało, a tym samym termometr będzie się obniżał, gdy drugi termometr podaje temperaturę powietrza. Z różnicy termometrycznej obliczyć można prężność istniejącej w powietrzu pary wodnej, do czego podane są tablice i wzory” (*S. Orgelbranda Encyklopedia Powszechna*, t. VII, Warszawa 1900).

i śniegu. Od r. 1825 do 1835 czynił postrzeżenia tłumacz niniejszego dzieła, następnie p. Adam Prażmowski¹⁴, a od r. 1851 p. Leopold Berkiewicz¹⁵. Postrzeżenia te, po wykonaniu potrzebnych redukcji, zapisują się szczegółowo w osobny dziennik, prócz tego od r. 1841 co miesiąc ogłaszane są w Bibliotece Warszawskiej, z dołączaniem przy końcu roku tablicy ogólnej rocznej. Nadto wypadki średnie dostrzeżeń z opisem szczegółowym stanu roku pod względem meteorologicznym, zamieszczane były najprzód od roku 1835 w kalendarzu warszawskim Gałęzowskiego, potem Janickiego, a od roku 1856 w kalendarzu Jana Jaworskiego i w kalendarzu przez Obserwatorium astronomiczne wydawanym¹⁶. Cały ciąg postrzeżeń robionych w Warszawie, które tutejsze Obserwatorium posiada, obejmuje 77 lat, nie rachując w to postrzeżeń Erndtela z lat czterech i Guettarda z lat dwóch, i innych.

Klimatologią Polski wiele się u nas zajmował Jerzy Bogumił Pusch¹⁷, najprzód jako profesor szkoły górniczej w Kielcach, a później intendent mennicy warszawskiej. Wypadki postrzeżeń meteorologicznych, czynionych przez siebie w Kielcach, i oznaczenie z nich wyniesienia niektórych miejsc nad poziom morza, ogłosił w dziele swoim: *Geognostische Beschreibung von Polen so wie der übrigen Nord Karpaten-Laender, von Georg Gottlieb Pusch*, 1831. W Warszawie zajmował się również postrzeżeniami meteorologicznymi, a szczególnie oznaczeniem temperatury źródeł i zwojów, tak w obrębie samej Warszawy, jako i jej okolicach; wypadki swych poszukiwań ogłosił w „Bibliotece Warszawskiej” na rok 1844, tom IV, str. 1–36.

Najważniejszą pracą, którą Pusch w ostatnich latach się zajmował, jest klimatologia Polski, uważana pod różnymi względami; do

14 Adam Józef Ignacy Prażmowski (1821–1885) – najwybitniejszy polski astronom XIX wieku.

W latach 1839–1863 pracował w warszawskim obserwatorium.

15 Leopold Berkiewicz (1828–1898) – astronom.

16 *Kalendarz wydawany przez Obserwatorium Astronomiczne Warszawskie na rok zwyczajny...*, Warszawa 1857–1861.

17 Jerzy Bogumił Pusch (Georg Gottlieb Pusch, 1791–1846) – niemiecko-polski geolog pochodzący z Saksonii.

jej opisu, prócz własnych, użył postrzeżeń, które czyniono w miejscach przyległych teraźniejszemu Królestwu Polskiemu, jako to: w Wilnie, Krakowie, Lwowie i Gdańsku. Tej nader ważnej pracy nie dozwoliła mu wczesna śmierć ogłosić. Rękopis w języku niemieckim jest dziś własnością jego syna Stanisława Pusch, urzędnika przy tutejszej mennicy; rękopis ten dla pożytku nauki, a szczególnie dla poznania klimatu kraju naszego, zasługuje, aby był wydany na widok publiczny¹⁸.

W latach 1829 i 1830, w czasie pomiarów trygonometrycznych dóbr i lasów górniczych i fabryk rządowych, czynione były dostrzeżenia meteorologiczne na najwyższym punkcie Królestwa na Łysej górze, zwanej Łysicą, od dnia 25 maja 1829 do 5 listopada 1830 roku, siedemnaście razy dziennie; a w miesiącach zimowych w mieście Kielcach w pałacu biskupów krakowskich, pod kierunkiem ówczesnego rewizora pomiarów Wojciecha Niemyskiego. Podobne dostrzeżenia czynione były i na innych miejscach, a to dla wyznaczenia wyniesień punktów, przez równoważenie trygonometryczne otrzymanych. Liczne postrzeżenia we trzy tomy in folio razem zebrane znajdują się w biurze Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu.

Położenie geograficzne góry Łysicy oznaczył w latach 1828 i 1829 ś. p. Franciszek Armiński¹⁹, ówczesny Dyrektor Obserwatorium Astronomicznego Warszawskiego, i otrzymał na szerokość geograficzną $50^{\circ} 53' 35''$, 3; długość przybliżoną w łuku na wschód względem południka Ferro $38^{\circ} 33' 9''$; wyniesienie nad Warszawę 1516,8 stóp, a nad poziom morza 1884,4 stóp paryskich.

Ludwik Zejszner²⁰, jako profesor mineralogii w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, dziś profesor akademii medyko-

18 Pośmiertnie opublikowano z rękopisu (w przekładzie Bronisława Reychmana) tylko jedną pracę Puscha *Nowe przyczynki do gieognozyi Polski* (część w „Pamiętniku Fizjograficznym” 1881, t. 1, s. 133–167, całość – Warszawa 1881, 1884, 1885).

19 Franciszek Armiński (1789–1848) – od 1816 profesor astronomii nowo otwartego Uniwersytetu Warszawskiego, pomysłodawca budowy Obserwatorium i od 1825 jego dożywny dyrektor. Po nim dyrektorem Obserwatorium został (do 1869) Jan Baranowski.

20 Ludwik Zejszner (1805–1871) – geolog i kartograf.

-chirurgicznej, w czasie swoich podróży i wycieczek do gór Karpackich i Tatrów czynił dostrzeżenia z barometrem dla oznaczenia wysokości gór i różnych miejsc oraz z termometrem nad temperaturą źródeł i zdrojów w różnych wysokościach. Wypadki swoich dochodzeń ogłosił jedne w oddzielnych swoich rozprawach, a inne, jak *O temperaturze źródeł Tatrowych i pasm przyległych*, w „Bibliotece Warszawskiej” na rok 1844, tom 11.

Meteorologia w różnych czasach miała u nas swoich zwolenników różnego stanu i powołania. Do liczby gorliwych miłośników tej nauki należy Lew Ludmił Korylski (Kobecki)²¹, niegdyś nauczyciel nauk przyrodzonych w szkołach warszawskich, który przez kilka lat już to jako ogrodnik z Polesia, już jako ogrodnik warszawski, w pismach tutejszych szczęśliwie przepowiadał przyszłe zmiany powietrza, opierając wnioski swoje na własnych postrzeżeniach zjawisk przyrody organicznej, łącznie z położeniem słońca i księżyca.

Wielkim równie zwolennikiem badań meteorologicznych był Jan Bazyli Tomicki²², doktor medycyny, który od roku 1815 osiadłszy w mieście Chełmie w guberni lubelskiej, aż do epoki śmierci, nastąpionej w roku 1855, starannie zapisywał zmiany powietrza, mając głównie wzgląd na wpływ i położenie ciał niebieskich, osobliwie księżyca. Zostawił on wiele postrzeżeń własnych. Podobne notatki odnoszące się do stanu powietrza, prowadził w tymże mieście Chełmie ś. p. biskup Feliks Szumborski²³.

W przeszłym wieku szczególnym zamiłowaniem do meteorologii odznaczał się obywatel i kupiec starego miasta Warszawy

21 Ludwik (Ludmiew) Korylski (Kurylski, właśc. Kobecki, 1784–1857) – pochodził ze Żmudzi, ukończył Uniwersytet Wileński. Po powstaniu więziony w Austrii, dostał się następnie do Paryża i tu należał do bliskich znajomych Mickiewicza, którego dzieciom udzielał lekcji. Zajmował się matematyką, wydał kilka pism prozą i wierszowaną satyrę pt. *Nefelonikon, urywek z ociemnicieństwa* (Paryż 1836).

22 Jan Bazyli Tomicki (1780–1855) – absolwent medycyny Uniw. Jagiellońskiego, lekarz w wojsku napoleońskim, po 1815 osiedlił się w Chełmie, gdzie pracował w swoim zawodzie. Autor publikacji z różnych dziedzin. Przez prawie 40 lat prowadził obserwacje meteorologiczne.

23 Filip Felicjan Szumborski (1771–1851) – chełmski biskup greckokatolicki od 1830 roku.

Dawidson, który bez pomocy narzędzi przez ośm lat, od roku 1755 do 1763, co dzień pilnie zapisywał wszelkie zmiany powietrza. Dziennik jego obejmuje wiele szczegółów, nie tylko odnoszących się do stanu powietrza, ale i do ówczesnych niektórych wypadków warszawskich. Podobnego rodzaju notatki, zwykle w kalendarzach i dziennikach robione, są nader ważne, i te z wielu lat zebrane i z sobą porównane mogłyby do ważnych wniosków naukowych posłużyć. Przykład tego mamy w *Dyaryuszu życia Jana Antoniego Chrapowickiego*, wojewody witebskiego, który na Litwie od roku 1665 przez wiele lat w dzienniku, obok wypadków krajowych i rodzinnych, starannie co dzień na końcu zapisywał stan powietrza ze wszystkimi szczegółami²⁴. Podobny dziennik przed kilkunastu laty oglądaliśmy u śp. Stanisława Grabowskiego²⁵, niegdyś ministra oświecenia, który od roku 1809 aż do 1845 starannie zapisywał co dzień, obok wypadków krajowych i rodzinnych, temperaturę i stan powietrza i ważniejsze zjawiska przyrody.

[...]

Przystosowanie telegrafów elektrycznych do meteorologii, dziś w użycie wprowadzone, wiele się przyczyni do postępu tej nauki, a to przez możność prędkiego porównywania zjawisk i zmian powietrza w różnych miejscach jednocześnie dostrzeganych.

Nauki przyrodzone są dziś w ścisłym związku z sobą: jedna drugą wspiera i nawzajem jest wspieraną. Meteorologia ważną gra rolę w rolnictwie i w sztuce lekarskiej, a to z powodu wpływu, jaki wywiera powietrze i jego zmiany na ciało ludzkie i w ogóle na przyrodę organiczną. Przykład tego wpływu między innymi dał nam poznać zasłużony w świecie naukowym Józef Majer w piśmie swoim w roku 1844 w Krakowie wydanym pod tytułem *Skutki*

²⁴ Jan Antoni Chrapowicki (1612–ok. 1685), *Dyaryusz wojewody witebskiego Jana Antoniego dwóch imion Chrapowickiego jako przyczynek do dziejów z czasów Jana Kazimierza, Michała Wiszniowickiego i Jana Sobieskiego, królów polskich*, Warszawa 1845. Kolejne wydania 1978, 1988, 2009.

²⁵ Stanisław Grabowski (1780–1845) – naturalny syn Stanisława Augusta Poniatowskiego, poseł, w l. 1821–1832 minister oświaty i wyznań Królestwa Kongresowego.

ciśnienia powietrza pod względem fizyologicznym i patologicznym rozebrane.

Z pomiędzy dzieł o meteorologii wydanych, obraliśmy za przedmiot niniejszego przekładu dzieło uczonego francuskiego lekarza Foissac, które najlepiej przedstawiając dzisiejszy stan nauki, a przy tym napisane jasno i przystępnie, jest dla naszej publiczności najstosowniejszym. [...]

Podając niniejszy przekład dzieła uczonego francuskiego, mieliśmy głównie na celu zwrócenie uwagi czytelników na jedną z ważnych części nauk fizycznych, meteorologię, i zachęcenie do bacznego postrzegania zjawisk i zmian powietrza, tak blisko nas obchodzących.

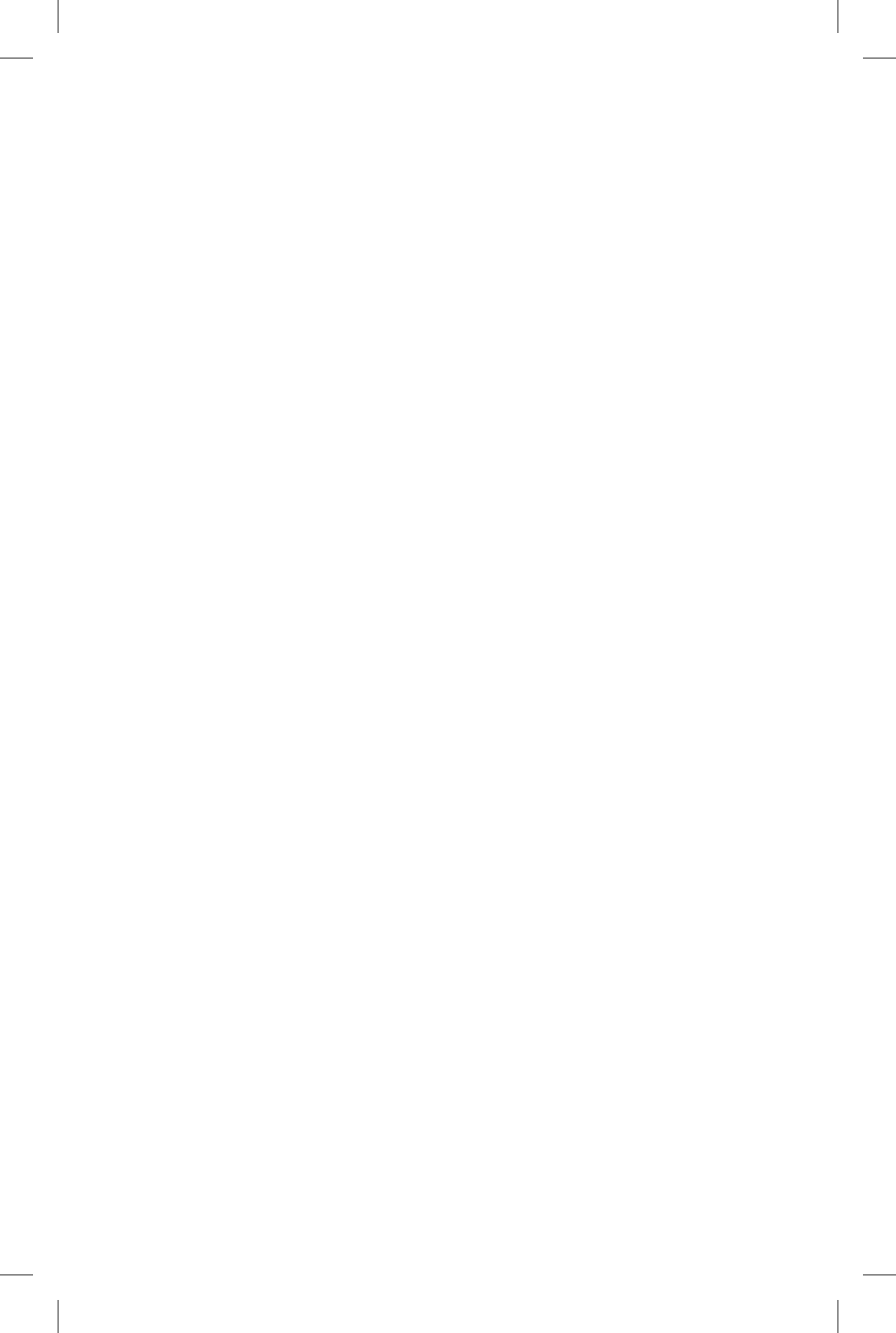
Warszawa, dnia 14 lutego 1858 roku.

Jan Baranowski.

PRZEDRUK ZA: *Przedmowa tłumacza w: Pierre Foissac (1801–1886), Meteorologia, czyli Nauka o zjawiskach w powietrzu dostrzeganych, o ich związku i wpływie na królestwo organiczne, a głównie na człowieka, przekład Jan Baranowski, t. 1, Warszawa 1858, s. 1–XIX.*



W PRASIE



10. Sposób na grad

„Gazeta Warszawska” 1812

Pavrot w swojej Meteorologii między innymi podaje sposób zaprawienia atmosfery nawałnicą w przyzwoitym czasie, ażeby grad nie przynosił szkody. Dzieje się to przez wystrzelenie bomby w górę, która pęka między chmurami i rozprasza działanie, z którego grad powstaje.

PRZEDRUK ZA: „Gazeta Warszawska” 1812, nr 47, s. 833.

11. Ostra wiosna 1812

„Gazeta Warszawska” 1812

Dr. Haberle¹ za przyczynę tegorocznej ostrej wiosny naznacza największą księżycą bliskość i odległość na przemian od ziemi; większa bowiem odległość tego przykłada się wiele do pomnożenia, większa zaś bliskość do zmniejszenia ciepła powietrznego, to jednak więcej lub mniej, stosownie jak w różnych latach i miesiącach nawet różna jest największa bliskość lub odległość. Że przeto od marca 18 największa bliskość księżycą nastąpiła przy wstępie w znak Barana, a największa odległość przy wstępie w znak Wagi, musiała także zimna doba powietrza nastąpić. Mają więc i planety istotny wpływ na ciepło lub zimno.

PRZEDRUK ZA: „Gazeta Warszawska” 1812, nr 47, s. 834.

¹ Carl Constantin Christian Haberle (1764–1832) austriacki przyrodnik, farmaceuta i meteorolog.

12. Niezwyczajne deszcze

„Dziennik Wileński” 1821

viii. Dnia 5 maja r. t.,¹ około godziny dziewiątej z rana, w różnych częściach miasta Giessen² i na rynku z tamtej strony rzeki Lahn położonym, padał deszcz czerwony (od pospólstwa deszczem krwawym nazwany). Podług rozbioru profesora Zimmermanna, w wodzie tego deszczu znajdowały się: kwas chromowy, niedokwas³ żelaza, wapno, krzemionka i ślady talku, gaz węglowy i inne części płynne.

ix. Kapitan marynarki francuskiej Russen, który przez półtora roku zdejmował⁴ brzegi Brazylii, donosi z Kajenny pod 28 lutego r. z. „Jak wielkie spadają deszcze w krajach między zwrotnikami, można mieć o nich wyobrażenie z tego co następuje: „Na wyspie Cayenne, gdzie się teraz znajduję, od dnia 1-go do 14-go t. m. spadło deszczu do 12 stóp i 7 cali. Uwiadomił mię o tym świątły jeden i uważny obserwator na wsi mieszkający; wreszcie własne moje doświadczenia nie pozwalają wątpić o rzeczywistości tego doniesienia, gdyż w nocy z 14-go na 15-ty lutego dostrzegłem, że woda deszczowa, która spadła od godziny 8 wieczornej do 6-tej rannej, w naczyniu otwartym, umyślnie dla tego na dziedzińcu mieszkania mego postawionym, dochodziła 10½ cali wysokości”.

PRZEDRUK ZA: „Dziennik Wileński” 1821, t. 2, nr 6, s. 252–253.

1 R. t. – roku tego; r. z. – roku zeszłego; t. m. – tego miesiąca.

2 Giessen (Gießen) niemieckie miasto nad rzeką Lahn w Hesji.

3 Dawna nazwa tlenku.

4 Tj. odrysowywał.

13. Nietypowe wstrząsy ziemi

„Gazeta Krakowska” 1823

Z Salzburga d. 29 kwietnia.

Gazeta tutejsza donosi z Taxenbach: „Od 16 b.m. czuć się tu codziennie w różnych czasach dały wstrząśnienia ziemi z rozmaitego rodzaju podziemnym łaskotem. W nocy jeszcze d. 15 słyszeć się dał brzęk okien. D. 16 o godzinie 2 z południa czuć się dało powtórne trzęsienie ziemi, a najmocniej około godziny 7 w wieczór, któremu towarzyszył podziemny huk, podobny do turkotu wozu po podłodze toczącego się, w kierunku od północo-zachodu ku południowo-zachodowi. Postrzeżono w wielu domach trzęsące się okna, drzwi i ściany. Toż samo nastąpiło o godzinie 10 w wieczór i o północy z d. 17 na 18. Wiatru nie było żadnego, barometr opadł dnia tego o trzy strychy¹, a ciepłomierz stał na 8 stopniu powyżej punktu lodu. D. 18 w południe dał się w obłokach słyszeć lekki grzmot w kierunku od północo-zachodu. Po południu, kwadrans na 4-tą słyszano podobne do wozu turkotanie od północy ku południowi, które ziemię wstrząsnęło, i w 5 minut potem nastąpiło od południa słabsze i bez żadnego wiatru. Barometr spadł znowu o 2 strychy, a ciepłomierz okazywał 10 stopni powyżej punktu lodu. W wieczór padał deszcz, a w górach śnieg. W nocy 18 słyszeć się dał podziemny huk, podobny do dalekich wystrzałów; barometr w nocy o jeden strych, a ciepłomierz na 3-ci stopień powyżej punktu lodu opadł; padał deszcz i śnieg, a mgła okryła góry. D. 20 o godzinie 3 z rana słyszeć się dał w niektórych miejscach mocny huk podziemny, a w innych podobny do grzmotu łaskot w kierunku od północo-wschodu; śnieg okrył dolinę, ciepłomierz okazywał jeden stopień nad zero, a barometr podniósł

¹ Strych (z niem.) – kreska, linia.

się o jeden stych. D. 28 nastąpiła północna burza, padał śnieg i na kilka dni pierwej przemijały się wiatry północny z zimnym wschodnim.

PRZEDRUK ZA: Dodatek do nr-u 37 „Gazety Krakowskiej” z 7 maja 1823.

14. Luksusowy pojazd zimowy

„Kurier Warszawski” 1827

Są do sprzedania sanie rosyjskie wygodne do podróży, z budą, z fartuchem¹ nowym, z poduszkami w siedzeniu, i inne porządki², za pomierną cenę. Życzący sobie ma się zgłosić przy ulicy Długiej pod nr 489 Lit. B. na pierwsze piętro.

PRZEDRUK ZA: „Kurier Warszawski” 1827, nr 7, s. 28.

¹ Tj. nakryciem na nogi dla podróżnych.

² Porządki – tu: akcesoria.

15. Niestala Wisła

„Gazeta Warszawska” 1832

Wisła, która tego roku tak niestała się okazuje, przedstawia i to szczególne zjawisko, iż stanęła tylko po most Toruński¹; dalej zaś aż do Gdańska jest wolna od lodu, który tylko gdzieniegdzie przy brzegach stoi. Przed trzema tygodniami ładowano nawet i statki z Grudziądza do Gdańska. W tej chwili lód na Wiśle pod Warszawą tak jest słaby, że wszelki przez nią przejazd i przechód jest niebezpieczny.

PRZEDRUK ZA: „Gazeta Warszawska” 23 I 1832, nr 22, s. 176.

¹ Tj. przy moście w Toruniu.

16. Nowoczesne parasole

„Powszechny Pamiętnik Nauk i Umiejętności” 1835

W Paryżu wynaleziono nowy rodzaj deszczo-chronów *polybranches*¹ zwanych, które się zupełnie różnią od wszelkich dotąd znanych. Deszczochrony te są osadzone w laskach rogowych, nieprzechodzących grubości wielkiego palca; laska w okamgnieniu za pociśnięciem sprężyny może się na deszczochron przekształcić. Wynalazca uzyskał przywilej do wyrabiania tych deszczo-chronnych lasek, które bez wątpienia w powszechne pójdą użycie.

PRZEDRUK ZA: „Powszechny Pamiętnik Nauk i Umiejętności” 1835,
t. 1, z. 2, s. 358.

¹ Branche (fr.) – gałąź. Nazwa fr. *parapluie-polybranche* nie przyjęła się i jest znana jedynie z tego okresu, występuje np. u Flauberta.

17. Niebezpieczna wilgoć greckiego powietrza

„Powszechny Pamiętnik Nauk i Umiejętności” 1835

Obciążanie powietrza parą wodną tak jest znakomite w Grecji, iż rzeczy zostawione przez noc pod gołym niebem w poranku wydają się jakby w wodzie zmaczane były. Rosa taka osiada zwykle na pół godziny przed świtem. Grecy mocno jej się obawiają, a w ogólności zimno poranne i wieczorne uważają za najczęstszą przyczynę chorobową. Zresztą, wielką śmiertelność żołnierzy bawarskich¹ przypisują niedostatecznym upuszczeniom krwi², do których sami uciekają się w lada jakiej słabości.

PRZEDRUK ZA: „Powszechny Pamiętnik Nauk i Umiejętności” 1835,
t. 1, z. 2, s. 360.

¹ W latach 1832–1862 na tronie greckim zasiadał książę bawarski Otton Wittelsbach.

² Tą metodą był leczony Byron, który zmarł w Missolongi 19 kwietnia 1824 roku.

18. Wielka powódź na Powiślu

„Kurier Warszawski” 1844

20 VII

Onegdaj i wczoraj obeszło się przecież bez deszczu. Za to we czwartek wiatr o mało nie zrywał kamieni. Codziennie powodzie i deszcze trzymały dotychczas zbiory siana na przeszkodzie; wiele z niego niedobrze wysuszonego i nie wczas zebranego uległo zgniliźnie i pomnożyło bardzo znaczne szkody. Takież powodzie, nawiedzające tak często Warszawę w ciągu bieżącego lata, wytopiły mnóstwo szczurów. Po każdym deszczu nawalnym do kilkunastu nieboszczyków tego rodzaju wypływało spod mostków i kanałów wodą zalanych. Dziś w nocy znowu deszcz zasmucił rolników.

22 VII

Wszelkie przepowiednie, prognostyki, obrachunki itp. pod względem pogody lub słoty są już wyczerpane. Najbieglejsi w tej materii tracą zupełnie głowę. Wczoraj znowu przez dzień cały deszcz lał bez ustanku, ulice jakby zamieniły się w rzeki i przez całą noc dzisiejszą lał, leje i teraz, gdy to piszemy o godzinie 5-tej rano. Takiego lata nikt nie pamięta, bo wielekroć jest dokuczliwsze od roku 1837-go¹. Te ciągłe deszcze i słoty jeśli nie ustaną, mogą stać się prawdziwą klęską. Jedyna ufność w litości BOGA.

23 VII

Wedle odebranej wczoraj o godz. 2-iej po północy wiadomości z Krakowa, woda na Wiśle pod tym miastem dnia 8/20 b. m. od godz. 9-iej z rana do 5-iej po połud. podniosła się o stóp² 2 nad stan zwyczajny,

¹ Wtedy również Warszawę nawiedziła powódź.

² Stopa – około 30 cm.

i podnosząc się dalej wielkim przybytkiem z powodu ciągłych deszczów zagraża. Magistrat m. Warszawy, zawiadamiając o tym mieszkańców okolic nadwiślańskich, aby na przypadek spodziewanego, zwłaszcza przy ciągłym wietrze pod wodę³, podniesienia się wody na Wiśle pod Warszawą, wcześniej obmyśleć mogli stosowne środki bezpieczeństwa, wzywa ich, żeby wszelkie przedmioty bądź na rzece, bądź nad jej brzegiem, mianowicie powyżej mostu⁴ znajdujące się, tak ubezpieczyć starali się, iżby most z tego powodu na żadne uszkodzenie narażonym nie został.

24 VII

Wedle odebranej wczoraj wiadomości z Zawichostu, woda na Wiśle pod tym miastem od godziny 8-ej wieczorem dnia 21, do godz. 11-ej przed południem dnia następnego, w skutku ciągłych deszczów i wiatrów ciągnących pod wodę, z stóp 5-ciu cali 5-ciu, podniosła się do stóp 9-ciu nad zero i następnie ciągle przybywając, wielką powodzią zagraża. Magistrat m. Warszawy, zawiadamiając o tym mieszkańców okolic nadwiślańskich w dalszym ciągu obwieszczenia, ażeby na przypadek spodziewanego wezbrania Wisły pod Warszawą, wcześniej obmyśleć mogli środki bezpieczeństwa, ponawia wezwanie, ażeby wszelkie przedmioty, bądź na rzece, bądź nad jej brzegami, powyżej mostu znajdujące się, tak ubezpieczyć starali się, iżby most z tego powodu na żadne uszkodzenie narażony nie był.

25 VII

Wisła gwałtownie przybiera; onegdaj w Zawichoście już było wysokości wody stóp 16, a jeszcze więcej przybywało. Pod Warszawą dziś rano było stóp 13 cali 5 i ciągle widocznie przybywa. Ulice nadbrzeżne i Saska Kępa są zagrożone. Magistrat m. Warszawy ponowił ostrzeżenia i przedsięwzięto wszelkie środki ochrony od szkody.

³ Tj. przeciwnym do kierunku prądu rzeki.

⁴ Most łyżwowy znajdował się u wylotu ulicy Bednarskiej.

26 VII

Wisła wczoraj przez cały dzień widocznie wzbierała, płynęły drzewa, siano, stare szczątki zabudowań. Dziś rano do ulic nadbrzeżnych w Warszawie już czółnami dostawać się trzeba. Wysokość wody jest stóp 20 cali 3. Wczoraj raniutko zabłysło słońce, ucieszono się niezmiernie nadzieją, że wróci obiecana na ten dzień przez zagranicznych przewidywaczy pogoda, co trwało do 2-iej z połud., po czym znowu słońca pomnożyła zmartwienie.

27 VII

Okropne wylewy Wisły zdarzyły się w r. 1475, 1593, 1647, 1724 dnia 9 lipca i 1751 dnia 14 lutego. Za naszych czasów powódź gwałtowna wydarzyła się 28-go sierpnia 1813, w r. 1837, toż w d. tym samym 28-go sierpnia 1839 r. Teraźniejszy wylew liczyć się może do bardzo szkodliwych. Wczoraj z rana po 7-iej ulice: Dobra, Browarna, Furmańska całe, a Bednarska, Sowią i Mariensztat w części były zalane. Łazienki Majewskiego⁵, Kurtza, Czernieckiego stały w wodzie. Mnóstwo mieszkańców Powiśla musiało opuszczać domy albo chronić się na piętra lub pod dach, woda bowiem drzwiami i oknami dostawała się do mieszkań, zalewając je na stóp kilka. Tymczasem Wisła ciągle niosła z sobą, drzewa, siano, rozmaite przedmioty lub części budowli. Widziano stado gęsi, pędzone gwałtownie wśród największego waru, i biednego psa, który pasował się z nurtami. Cała Saska Kępa, Praga i pola okoliczne tego przedmieścia zalane zostały wodą. W niektórych punktach wymiar odległości wody zdawał się niedoścignąć okiem. Był to widok wspaniały, ale jakże okropny i przerażający przez wspomnienie, co mienia i własności, po największej części najbiedniejszej klasy ludu zniszczonego i niepowetowanie utraconego zostało. Około południa zwiedziliśmy część miasta dotkniętą powodzią; na ulicy Rybaki pływały czółna, woda dochodziła do wejścia dziedzińca Łazienek Kozłowskiego

⁵ Gmach dawnych Łazienek Teodozji Majewskiej, do dziś istniejący, znajduje się przy ulicy Bednarskiej 2/4.

przy ulicy Mostowej. W podwórzu zaś przeciwległej Łażni Parowej i w dziedzińcu dawnej Prochowni było jej pełno; ulica Bolesć w części znacznej jest zalaną. W Magazynie Rządowym drzewa woda stoi. Na ulicy Bugaj pływają czółna. Jedna z zacnych obywaterek, która mieszkała na tej ulicy w czasie wylewu r. 1813-go, pokazywała nam miejsce, gdzie wówczas woda dosięgła. Wczoraj była ona wyższą i dosięgała bliżej. Wylew tegoroczny jest daleko większy aniżeli r. 1813, ale w tym mniej zatrważający, bo nie tak gwałtowny. Wówczas fale były mocne i rzeka nader burzliwą. Klomby dolne ogrodu u stóp tarasu Zamkowego są zupełnie otoczone wodą. Woda dosięgła Nowego Zjazdu do Wisły budowanego⁶, wzdłuż zabudowań Zamkowych w kierunku zniszonego Kościoła Bernardynek⁷. Mnóstwo osób przypatrywało się przez dzień cały tej straszliwej dramie rozwijającej się przed oczami naszymi ze wszystkich wysokich punktów Warszawy. O godz. wpół do 3-ej most nie zdołał wytrzymać wylewu, a w 2/3 części długości jego od Warszawy uszło kilka łyżew. Słysząc o mianych wydarzyć się przypadkach, to jest o utonięciu kilku osób. Wczoraj wieczorem wysokość wody wynosiła stóp 21 cali 5. O 4-tej płynący budynek młynu wodnego oberwał dwie łyżwy u mostu. Razem więc braknie 8. Ulicę Bednarską zamknięto dla usunięcia zbytecznego natłoku. Woda zalała Hotel Podlaski aż do samego rogu ulicy Furmańskiej, z której jako wyżej położonej, wylewała się na Bednarską. Wszystkie ogrody nad Wisłą, a mianowicie pp. Wizytek, Pałacu Kazimirowskiego itd. są dotknięte powodzią. Woda wystąpiła za bulwark⁸ niżej Nowej Drogi Jerozolimskiej i Solec także w części zalała. W Wilanowie i innych okolicach także są szkody. Wiadomości z prowincji wspominają o wylewie innych rzek i stawów. Tam nawet, gdzie stawy zwykle

⁶ Trwała wówczas budowa wiaduktu do projektowanego stałego mostu przez Wisłę.

⁷ Budynek poklasztorne i kościół, mieszczące (po przeniesieniu zakonu do Przasnysza) szkołę muzyczną (gdzie uczył się Chopin) i salę koncertową, zostały w 1844 roku rozebrane pod budowę Nowego Zjazdu.

⁸ Bulwark (z niem.) – ściana drewniana, żelazna lub kamienna zabezpieczająca brzeg rzeki od osypania lub podmycia wodą.

były suche, wody jest tak pełno, że szluz⁹ kamienne nawet znosi. Dziś rano wysokość wody na Wiśle pod Warszawą jest stóp 22 cali 3.

28 VII

Widok wylewu Wisły trwa jeszcze. Wczoraj do południa wysokość była stóp 22 cali 9, po czym zaczęła nieco opadać (dziś rano jest stóp 22 cali 4). Mnóstwo mieszkańców ulic nadbrzeżnych rzeki wyprowadzało się jeszcze z mieszkań swoich, wywożąc pościel, bieliznę, odzież i różne sprzęty. Czółna krążyły na wszystkich tych punktach. Wszędzie rozstawiona policja i straż pilnowały porządku i bezpieczeństwa rzeczy. 10. Książę Namiestnik¹⁰ i inne władze zwiedzały kilkakrotnie miejsca dotknięte powodzią. Przez cały dzień rozwiezono żywność tym, którzy mieszkań swych opuścić nie mogli dla posilania się w mieście. I od strony ulicy Czerniakowskiej rzeka wylała znacznie. Onegdaj czółno, na którym przeprowaiało się 19 osób z Pragi, przewróciło się i wszystkie te osoby wpadły w Wisłę, za udzieleniem jednak spieszej pomocy, zdołano wyratować 9 osób, reszta zaś w nurtach rzeki śmierć znalazła; to jest: Kozak, tutejszy rzeźnik, 5 włościan i 3-ch starozakonnych.

29 VII

Wczoraj wszystko jeszcze nad Wisłą okropnym wylewem było zalane. Powódź terazniejsza, chociaż z początku, jako mniej gwałtowna, zdawała się być mniej dotkliwą od powodzi 1813 roku, w istocie rzeczy jest jednak daleko dotkliwszą. Wówczas woda jak prędko przybyła, tak prędko opadła i odeszła, a teraz ubywanie jest bardzo powolne. W Bogu jednak nadzieja, że klęskę tę uśmierzyć i kielich ten goryczy Miłosierdzie Jego w części odwrócić raczy. Ale jakikolwiek okaże się skutek, nie wątpim, że dusza chrześcijańska mieszkańców Powiśla Warszawy bez szemrania we wszystkim podda się woli Bożej. Wylew Wisły, jak nam doniesiono,

⁹ Tj. śluz.

¹⁰ Iwan Paskiewicz.

zaległ zupełnie Siekierki oraz Czerniaków, gdzie kościół, oberża, ogród i domy stoją jeszcze w wodzie. Obory także mają być zalane, w Mniszewie wylew Wisły dotkliwie dał się uczuć. Wczoraj sztafeta z Zawichostu doniosła, iż tam woda opada, jakoż i pod Warszawą umniejszać się zaczęła. Dziś rano było jej wysokości stóp 21. –

PRZEDRUK ZA: „Kurier Warszawski” 1844, nr-y 191, 193–200, s. 922, 925, 929, 934, 938, 941–942, 947, 953.

19. Kometa w Warszawie

„Kurier Warszawski” 1844

Dla ciągle zachmurzonego nieba¹ komety teraz pokazującej się dotąd u nas nie można było widzieć; dopiero d. 26 b. m. w nocy, po raz pierwszy widziano ją z tutejszego Obserwatorium w konstelacji Wolarza między gwiazdami Delta i Eta, obok Korony północnej. W lunecie Kometa pokazuje się w postaci obłoczku białego, w środku z jądrem dość jasnym i wyraźnym. D. 26 b. m. o godz. 10 m. 29 sek. 37 wieczór położenie jej było, co do wznoszenia prostego 223 stop. 23 min. 50 sek., co do zboczenia północnego 34 stop. 13 min. 47 sek. Bieży ona wstecznie, to jest od wschodu na zachód, i dość szybko, gdyż w ciągu 19 dni przebiegła na niebie łuk w kierunku równika 24 stopnie 6 minut, a w kierunku południka 12 stopni 1 minut. Zbliża się coraz więcej do słońca i do równika. Następane obserwacje okażą, czy ta kometa jest nową, czy też dawniej już uważaną.

PRZEDRUK ZA: „Kurier Warszawski” 1844, nr 199 z 28 VII, s. 947.

¹ Był to okres intensywnych opadów i wielkiej powodzi w Warszawie, zob. tekst poprzedni.

20. Łagodny klimat warszawski

„Kurier Warszawski” 1853

Przy naszej dosyć kapryśnej pogodzie nie mamy jeszcze powodów uskarżać się bardzo. Oprócz bowiem deszczu lub mniej szkodliwego wichru, nie znamy dzięki BOGU ani tych orkanów (od pół wieku blisko niepamiętnych), ani owych gradów, wielkości jaj kurzych, ani wreszcie piorunów, które łamią drzewa, palą budowle lub niszczą potem czoła złane plony rolnika, a które ciągle nawiedzają okolice Krakowskie. Ostatnia z tego rodzaju klęsk była tamże 10-go b. m. i można sobie wyobrazić skutki, skoro grad spadł wielkości pięści.

PRZEDRUK ZA: „Kurier Warszawski” 1853, nr 182 z 4(16) lipca.

21. Kronika burz i ulew

„Gazeta Narodowa” 1864

Kronika burz i ulew dotąd jeszcze nie zamknięta. Donoszą z Wadowickiego, że dnia 15. z. m.¹ srożyła się okropna burza nad wsiami Slemień, Gilowice i Pewel. Plony poniosły bardzo wielką szkodę, a nawet kilka osób padło ofiarą burzy. Dwudziestosześcioletnia kobieta Marianna Mikłuszek i 10-letni chłopiec Jan Rozumak zostali zabici przez piorun przy pędzeniu bydła, dwie inne dziewczęta zostały tylko ogłuszone i po dwudniowym ciężkim śnie wróciły znowu do przytomności.

W powiecie grzymałowskim w obwodzie tarnopolskim zalały wody na dniu 22. z. m. znaczną część pól i łąk dworskich w Kozinie, Wolicy i Kałaharówce, a oprócz tego powybił grad oziminę.

PRZEDRUK ZA: „Gazeta Narodowa” 1864, nr 151, 5 VII, s. 3.

¹ Z. m. – zeszłego miesiąca.

22. Prorocy od pogody

„Gazeta Narodowa” 1864

Nie zgadnie pan Niewiezki, co robi Pan Niebieski! – mówiono dawniej w Polsce¹, kiedy jeden z pierwszych u nas przedsiębiorców kalendarzowych, Niewiezki², przepowiadał słoty i burze, pogody i upały, które wszakże nigdy jakoś nie chciały się poddać zaoktrojowanym³ przez niepowołanego proroka warunkom miejsca i czasu. Jakoż długo żartowała sobie kapryśna natura z przepowiedni meteorologów i proroków kalendarzowych ku wielkiemu despektowi ich imienia i sławy, aż dopiero teraz trafiła podobno kosa na kamień! Oto znalazł się jakiś uczony Francuz, pan Mathieu de la Drome⁴, który mimo niepraktykowanej dotąd kapryśności tegorocznego lata, przepowiedział trafnie i szczegółowo jego stan meteorologiczny, czyli mówiąc ze względu na ustawiczną niepogodę i słoty, prawdziwie martyrologiczny... Na tym wszakże nie poprzestał pan Mathieu de la Drome. Chcąc gruntownie rehabilitować wielce uszkodzoną sławę meteorologów, przepowiada z wielką stanowczością, że około 22 listopada nastąpi niewidziana

1 Przytacza to przysłowie Z. Gloger w *Encyklopedii staropolskiej* (Warszawa 1900–1903) w haśle „Kalendarz”.

2 Jan Stanisław Niewieski (zm. 1699), wydawca kalendarzy (zob. np. *Obrot Słoneczny Albo Wschod y Zachod Słońca, na Pułzegarzu y na całym Zegarze, dla nakręcania roznych Zegarow, y ustanowienia Słonecznych Kompasow, na każdy Rok y Dzień Miesiąca Służący...*, Zamość 1674).

3 Tj. narzuconym.

4 *Mathieu de la Drôme* (właściwie Antoine Philippe Mathieu – 1808–1865) – uczony i polityk francuski, pochodzący z Romans w departamencie de la Drôme. Na temat prognozowania pogody w oparciu o fazy księżyca i obserwacje meteorologiczne opublikował książkę *De la Prédiction du Temps*, Paris 1862. W 1863 wydał pierwszy *Almanach* z przepowiedniami na następny rok (*Le Triple Almanach Mathieu de la Drôme: indicateur du temps pour 1864: indispensable à tout le monde, rédigé par les sommités scientifiques et littéraires*, Paris 1863).

dotąd nigdzie okropna burza w Wenecji. Burza ta trwać będzie aż do 3 grudnia. Pan de la Drome zaprasza, aby kto ciekaw, udał się w oznaczonym czasie do Wenecji w celu przypatrzenia się tej olbrzymiej walce żywiołów. Ciekawiśmy tylko, czy i ksiądz de la Drome⁵ przyjedzie na to widowisko?

PRZEDRUK ZA: „Gazeta Narodowa” 1864, nr 151, 5 VII, s. 3.

⁵ Aluzja niejasna. Drôme – departament francuski słynny z intensywnych burz, zwłaszcza w jesieni.

23. Dwie zimy: 1821/22 – 1829/30

„Czas” 1866

Historia zimy r. 1821 na 1822.

(Wypis z książki Ambrożego Grabowskiego pod napisem:
„Pamiętki ojczyste w pismach i drukach”)¹

Z przyjemnością podziwiamy łagodną obecną zimą, bo w rzeczy samej jest ona u nas rzadko zdarzającym się zjawiskiem. W ciągu 68 lat pobytu mojego w Krakowie, zaledwo trzy takie zimy pamiętam, z których jedną z czasu, jak wyżej oznaczyłem, opisałem, a opis ten jest następujący:

W roku 1821/22 prawie jak nie było zimy. Jesień pogodna, ciepła i sucha przeciągała się nad podziw: w grudniu można było widzieć lud wiejski boso do Krakowa przychodzący. Przez całą zimą śnieg wcale nie padał, słońce świeciło, pola i łąki były zielone, drogi pokryte były kurzem (pyłem), jak wśród lata.

W dniu 25 grudnia 1821 r. po rannym nabożeństwie zachęcony piękną pogodą udałem się na górę św. Bronisławy, albowiem miejsce to ulubione często i zawsze z jednaką przyjemnością odwiedzam – wiatr tylko utrudzał mi cokolwiek drogę na górę. Stanąwszy na wierzchu góry, schroniony przed wiatrem za pustelnicy domek, siedziałem dwie lub trzy godzin w słodkim zadumaniu na słońcu, niewymownej doznając przyjemności, jaką mnie czas pogodny o tak niezwykłej porze napawał. Obchodząc wkoło mogiłę Kościuszki, a nade wszystko zszedłszy do zarośli na pochyłości góry leżących, zbierałem kwiaty jeszcze rozwite jako to: *Bellis*

¹ Ambroży Grabowski – krakowski księgarz, antykwariusz, autor wielu historycznych publikacji, przez całe życie gromadził zebrane materiały w tematycznych księgach, zawierających rękopisy, wycinki prasowe, druki, litografie oraz własnoręczne notatki. Tu mowa o jednej z nich. Zob. też tekst nr 27.

perennis – stokrótkę, *Scabiosa arvensis* – driakiew polną, *Ranunculus flavus* – jaskier, *Achillea millefolium* – krwawnik, *Delphinium consolida* – ostrózkę itp., z których ułożyłem bukiet, dodając mu listków bluszczu (*Hedera helix*); a gdym takowy pokazywał, zaledwo temu wierzyć chciano, że kwiatki te na wolnym powietrzu zebrane były. Osobliwość ta wspomnianą nawet została w pisemku czasowym pod tytułem „Telegraf” dnia 30 grudnia 1821 r. wychodzącym, jako dodatek do „Pszczółki krakowskiej”. Przechadzkę tę powtórzyłem jeszcze i w dniu następnym 26 grudnia 1821 r. i równą jak dnia poprzedniego odniosłem przyjemność.

Powszechną prawie była obawa, że po tak lekkiej zimie zjawią się na wiosnę choroby i wielka śmiertelność ludziom zagrażać będzie, jednakże wiosna nastąpiła bardzo wczesnie, zboża wzrosły i dojrzały z początkiem lata i żniwa już się w czerwcu rozpoczęły. Obawa chorób i pomoru okazała się bezzasadną: na kogo przyszła niezbędna kolej wypłacenia długu naturze zaciągniętego w dniu urodzin, ten umarł; żył, kto dłużej żyć miał i wszystko szło zwykłym rzeczy porządkiem.

Przez całą tę zimę r. 1821–1822 można było widzieć bydło chodzące po polach, błoniach i pastwiskach paszące się.

Wspomnianą wyżej górę Bronisławy lud miejscowy nazywa Sikornik, a dawno już zmarły Zorian Chodakowski (Czarnocki)² powiadał śp. Jerzemu Bandkemu³, iż w odległej starożytności góra ta nazywała się *J a s n a g ó r a*, jak to wiem od śp. Bandkego.

Pisemko „Telegraf”, o którym wyżej mowa, znajduje się w moim zbiorze.

Kiedy się mówiło wyżej o łagodnej zimie, nie zawadzi wspomnieć też o zimie bardzo ciężkiej, przeciągłej, która ludziom mocno się uczuć dała. Wiadomość o niej wyjęta jest z tej samej książki co o zimie łagodnej.

² Zorian Dołęga Chodakowski (właściwie Adam Czarnocki – 1784–1825) – etnograf i archeolog, badacz Słowiańszczyzny.

³ Jerzy Samuel Bandtke (1768–1835) – niemiecki historyk i językoznawca, od 1811 kierownik Biblioteki Jagiellońskiej.

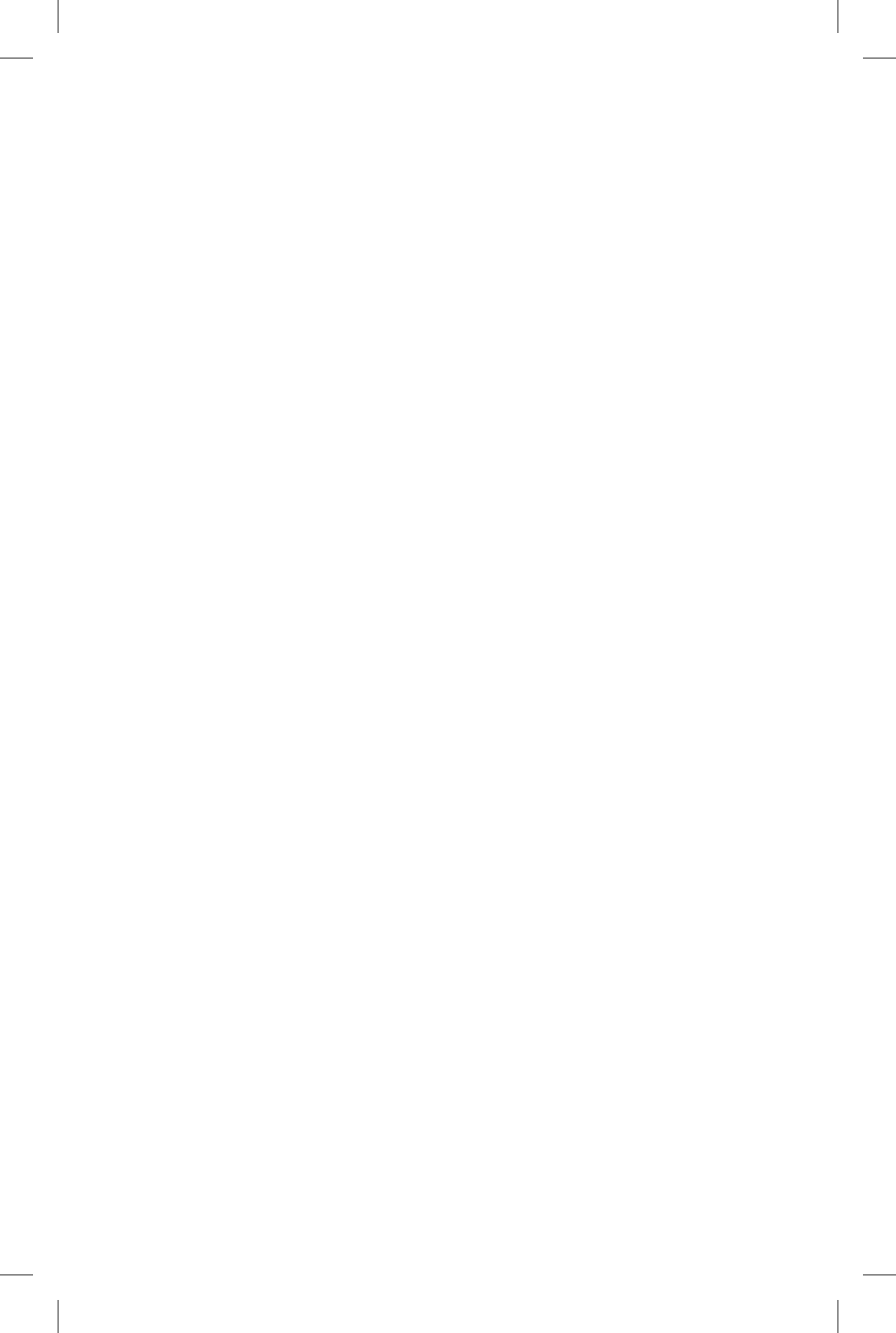
Zima nadzwyczaj tęga w r. 1829–1830⁴.

Rozpoczęła się nader wcześniej i była długą oraz mocną. Pierwszy śnieg spadł dnia 20 października 1829 r. i ten stale przeleżał aż do wiosny. Wisła stanęła w połowie listopada. Mrozy ciągle około 20 stopni i więcej nawet trwały bez żadnej folgi przez miesiąc grudzień, styczeń i luty aż do pierwszych dni marca. Przy tak nadzwyczajnej tęgości była jeszcze nader w śniegi obfita. W całym ciągu pobytu mego w Krakowie od r. 1797 nie pamiętam nigdy tak wielkich śniegowych zaspów po mieście i ulicach, jak w ciągu tej zimy. Lody i śniegi zbite w jedną masę zalegały środek ulic w całej długości na kształt grobli 3 do 4 łokci wysokich. Tylko chodzono ścieżkami (*trottoir*) około samych kamienic, a z tych wyrzucano śniegi na środek drogi, i z tych urosły takie wały. Z ulicy Grodzkiej i Floriańskiej zaprzęgi miejskie (rządowe) śniegi kilka razy sprzątały i wywoziły, ale postronne ulice, jak np. Szpitalna, Mikołajska, Sienna, Gołębia i inne nieczyszczone przez całą zimę tak były nawalone, iż nimi jeździć nie można było. W ulicy Szpitalnej grobla śniegowa tak była wysoka, iż z wierzchu jej można było głową dorównać pierwszemu piętru. Była ta zima długo pamiętną. Lud ubogi ucierpiał niezmiernie, gdyż opału prawie w połowie jej zabrakło, a stąd węgle i drzewo do zbyt wysokiej doszły ceny, a nawet ich dostać nie było można.

A. Gr.

PRZEDRUK ZA: „Czas” 1866, nr 12 (z 17 1), s. 3.

4 O tej zimie pisał również w swym dzienniku Niemcewicz, zob. tekst nr 69.



NA CO DZIEŃ



24. Tułacze lata poety

Juliusz Słowacki (1809–1849)

Listy do matki [fragmety]

D. 6 lipca 1831 r., Drezno.

[...]

O Mamo, jaki czas teraz prześliczny na naszym horyzoncie – na chwilę zachmurzyło się niebo – było to skutkiem stosu galwanicznego (niech to świadomi elektryczności Mamie wytłumaczą), stosu złożonego z krążków srebrnych i złotych, przekładanych sinym papierem¹. Odkryto stos – fizycy od butelek lejdejskich poginą... bo tak byli nieroztropni, że robiąc doświadczenia z elektrycznością, na ramionach nosili metalowe przewodniki... Otóż znów wpadłem na fizykę, jestem jak student z klasy 3-ciej; to zdarzyło się w uniwersytecie Getyngi². [...]

Paryż, d. 9 listop. 1832 r.

Kochana Mamo! Siadam z przerażeniem do tego ogromnego papieru, bo prawdziwie, że przez cały ten miesiąc tak siedziałem w domu, że przebiegając mój dziennik, nic nie znajduję, tylko wasze

¹ Ogniwo Galwaniego. Składało się z płytek cynkowych i miedzianych przekładanych papierem nasączonym roztworem soli. W przeciwieństwie do butelki lejdejskiej wytwarzało ono prąd ciągły.

² W tym okresie na uniwersytecie w Getyndze Carl Friedrich Gauss i Wilhelm Eduard Weber pracowali nad ulepszeniem telegrafu elektromagnetycznego, który uruchomili w 1833 roku na dystansie 1,2 km. Cały ten fragment nie jest jednak opisem naukowego eksperymentu z pogodą, lecz próbą przemylenia informacji o nadziejach poety związanych z powstaniem listopadowym. Wg Sawrymowicza (*Korespondencja Juliusza Słowackiego*, Wrocław 1962–1963, t.1) złote i srebrne krążki stosu galwanicznego symbolizują flagę rosyjską (srebro – biel, złoto – czerwień, siny papier – niebieski), moim zdaniem – symbolizują pieniądze, o które posłowie powstańczego rządu zabiegali za granicą.

listy, które mi jednobrzmienność czasu przerwały. Jesień, nudna jesień jest tego przyczyną. Ciągłe słoty; mgły angielskie przeniosły się do Paryża – i często wieczorem nie można znaleźć dobrze znajomej ulicy. Dziwnie się wtenczas miasto wydaje – słychać huk i turkot niewidomych³ powozów – i tylko latarnie kabrioletów, czyli fiaków, we mgle płyną i migają. [...]

Widziałem tu niegdyś ludzi trochę podstarzałych, na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym, jasno watowym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dniu mniej zimne w długim aż po kostki, ciemno-ceglastym surducie, krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy – w dniu zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowym futrem, które mam od kochanej Mamy, a w dniu ciepłe w czarnym tuzurku krótkim. [...]

Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna: kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał – a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moją uwagę. Zdaje się, że nam zima tęga zagraża, bo już śnieg mieliśmy, gdy przeszłego roku raz tylko dachy pobieleły. [...]

Genewa, d. 30 grudnia 1832 r.

Kochana Mamo! Nie masz smutniejszej dla mnie chwili, jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5-tej wieczór przyjechałem do Genewy – wniosłem się do hotelu „Pod Wielkim Orłem” i nie mogąc po nocy włóczyć się po nieznanym mieście, kazałem sobie do pokoju przynieść herbaty – i przy ogniu kominka marzę – i piszę list ten do kochanej Mamy. [...] Jaką mi przykrość robi ten wiatr, co szumi i wyje po Jeziorze Genewskim... [...]

Ale wracam do opisu mojej podróży. Przejeżdżałem przez ładną Francją, ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dyliżansie, w którym jechałem,

³ Tj. niewidzialnych.

znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z pociągu i szli piechotą – zacząłem ich naśladować i często po całej mili uchodziłem. Co dziwniejsza, że w towarzystwie naszym znajdował się jeden sławny szybkobiegacz, który się w Paryżu popisывał – i któremu dotrzymywałem kroku. Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszymi wędrówkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jedną górę spotkałem się po raz pierwszy z zimą – murawa cała była szronem okryta. Futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dyliżans – i stałem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszymi imionami próbowałem ich echa. Jechałem przez Tonnèrre – Dijon – Dole – wszędzie śliczne okolice. Na koniec trzeciego dnia o godzinie 5 z rana przyjechaliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi tej góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem, Szwajcarem, w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz – śnieg dawno nie widziany – tu sanna – tu po gołedzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz – jechać na południe sankami! O siódmej zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety – domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tym ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi jak srebrna kurtyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarły obraz. W oberży samotnej na górze Jura jedliśmy obiad – a po obiedzie, po krzepieniu, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dostyc wam powiedzieć, że prędkim kłusem jechaliśmy z tej góry godzinę – i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy na otaczający nas wokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, aby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło.

Zjechawszy z Jura w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów – w ojczyźnie Wilhelma Tel[!] a. Jechałem koło Ferney – widziałem z daleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. Ferney mniej na mnie zrobiło wrażenia niż sama droga. Przez dwanaście godzin widząc śniegi wokół o was marzyłem – marzyłem o dawnym dzieciństwie – o dniach spędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. O półtóry mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o piątej wieczór wjechaliśmy do miasta. [...]

Genewa, 1833 r., d. 15 marca.

[...]

Ogród nasz okrył się tysiącami fijołków i pierwiosnków, które tu żółtego i różowego są koloru. Drzewa już się zaczynają rozwijać. Piję wszystkimi zmysłami poezją wiosny i szwajcarskiego powietrza. [...]

G[enewa], 1833 r, 24 kwiet[nia].

[...]

U nas tu zimno dosyć, bo śniegi topniejące na górach, ciepło kradną – słowem, wiosna nie jest przyjemną w Szwajcarii i dziś nawet od rana deszcz pada. Siedzę więc w domu i bawię się z wnuczką pani Pattey. [...]

Genewa 15 lipca 1833 r.

[...]

Czas mamy teraz dosyć chłodny. Podczas dni gorących wstawałem zawsze o godzinie 6 – tej z rana i kąpałem się w jeziorze. Kąpiele te bardzo na zdrowie mi były... i zdrów jestem do zadziwienia – nigdy mię piersi nie bołą. Nie uwierzycie, jaka to przyjemność kąpać się w jeziorze pod drzewami] pięknego ogrodu. Zdaje mi się, że kiedyś będę żałował dni teraz upływających – wy mi może teraz gór szwajcarskich zazdrościcie? [...]

Genève, dnia 22 września 1833 r.

[...]

U nas tu jesień zaczyna się, ale piękna. Często z panną Eglantyną siadamy na ziemi w ogrodzie i słuchając szmeru spadających liści marzymy o wielu rzeczach. [...]

Genewa, d. 27 października. 1833 r.

[...]

Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień. Dotąd czas najpiękniejszy – słońce świecąc na wpół pożółkłych drzewach zdaje się być bardziej złociste i piękne, murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia: murawy tu dotąd zachowały wiosenną, szmaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czółnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po nim z daleka przepłynął parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fałd czarny rozbitej kołem parnego statku wody. Fałd ten posuwał się z wolna, wspinał się i czółnem moim lekko zakołysał; przeszedł, popłynął dalej, a czółno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone – nad brzegami w oddaleniu topole pożółkłym liściem okryte jak złote kolumny – wiele drzew zielonych – wiele białych domków i pałacyków – a za tym brzegiem Mont Blanc – biały, świeżym śniegiem z przyległymi mu górami okryty, podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krainy. [...]

Gene[wa], 1834, d. 3 stycznia n. s.

[...]

Śliczny klimat tutejszy zachwyca mię; dotąd raz tylko śnieg padał, ale tak lekki, że śladów na ziemi nie zostawił – dzisiaj najpiękniejsze świeci słońce, w ogrodzie zbierałem bukiet fijołków – szron rannego przymrozku stopniał na nich i zamienił się w brylantową rosę. [...]

Genewa, d. 20 lutego n. s. 1834

[...]

Dzięki Bogu śliczne tu dnie mamy. Ledwo raz śnieg się pokazał. Murawa ogrodu ciągle zielona, jak szmaragdy, ogród, pełny małych jodeł, ciągle ma przyjemną postać. Fijołki zawsze kwitną. W takim czarującym kraju potrzeba mieć tylko serce napełnione i spokojne; ani jednego, ani drugiego nigdy w życiu nie miałem [...].

Gen[ewa], 24 marca 1834 r, n. s.

[...]

Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dnie mi upływają. Śliczny czas mamy – słońce – listki na drzewach pokazują się – a murawa już okryta białymi kwiatkami wiosny. Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą – i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy. [...]

Gen[ewa] 1834 r., d. 27 kwiet[nia].

Najukochańsza! Najdroższa!

Wiosna – dziś w nocy spadł deszcz wiosenny – wszystkie drzewa rozwinęły się – chodziłem po ogrodzie i piłem ustami pachnące powietrze. Czy to deszcz wiosenny – czy jakiś stróż anioł przyniósł mi tej nocy sen o was. [...]

Gen[ewa], 1834 r. 28 września.

[...]

Jesień, ulubiona moja pora roku, zachwyca mię bardziej teraz niż kiedykolwiek. Kąpię się w złotych promieniach słońca, chodzę po ogrodzie, słuchając z rozkoszą lekkiego szelestu spadających liści. Nie dosyć jeszcze opadło – jeszcze nie wydają smutnego szumu pod moimi stopami. W tej ciszy usypiającej natury marzę często o twoich projektach ostatnich. [...]

D. 18 grudn[ia], Gen[ewa] 1834 r.

[...]

Miasteczko nasze tej zimy dosyć nudne dla tych, co się chcą bawić. Teatr taki zły, że raz będąc na nim nasyciłem się zupełnie. Mieszkając za miastem, nie chce mi się w chłodne i wietrzne wieczory włóczyć tak daleko, szukając nudy. [...]

Zimę mamy tęgą tego roku w porównania z innymi latami. Przed trzema dniami upadł śnieg – cieszyłem się jak dziecko widokiem białej ziemi i oprószonych jodeł przed moimi oknami i razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia cisnęły mi się do głowy, a nade wszystko wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w uniwersytecie. [...]

G[enewa]. d. 5 lutego 1835 r.

[...]

Co do mnie, zdrów jestem i uśmiecham się do wiosennego słońca, bo już u nas błyskają czasem dni piękne. Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra w porównaniu z innymi zimami. Mieliśmy kilka dni śnieżnych, i niektóre kanały zamarzły. Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się latać po lodzie nie mogłem. Dzisiaj pierwszy raz tegorocznego słyszałem skowronka – gdzieś daleko w niebie błękitnym śpiewał nade mną – a u was jeszcze wrony czarne muszą skakać po ulicach. [...]

Gen[ewa], d. 7 marca 1835 r.

[...]

Robię teraz różne projekta na wiosnę. [...]

Muszę tylko zaczekać, aby się wiosna pokazała, bo tego roku niesłychane tu mamy zimna; dziś nawet śnieg pada. Nudzi mię ta białość – zimno – odwykłem już od marcowego śniegu – i wyznaję, że wołę południowe zimy – ozłocone pięknym słońcem i ciągle pachnące fijołkami. Taka była przeszła zima. [...]

Gen[ewa], d. 20 paździer[nika] 1835 r.

Moja najdroższa! Po trzech miesiącach pustelniczego życia nad jeziorem wróciłem do mego dawnego mieszkania i z przyjemnością osiadłem w moim dawnym pokoju – przed kominkiem, bo takie mamy zimna, że już się drwa palą w kominie. [...] Mgły i deszcze wypędziły mnie z zaciszy, która przy złych nieporogach stawała się nadto ponurą i do mizantropii zaczynała nakłaniać moje władze umysłowe. [...]

Bejrut, 1837 r. 17 lutego.

[...]

Uważam już podróż moją za skończoną prawie. Zwiedziłem Grecją, Egipt, Syrię, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bejrut, skąd ruszę prosto do Włoch; czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. [...]

d. 19 lutego 1837 r. Bejrut.

[...]

Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach dano nam na odbycie kwarantanny 12-dniowej równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi dokoła i nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, zakreślono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić – i zostawiono na łasce Pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie – jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można było schronić na przypadek deszczu, słowem, miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego Morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym własnym maleńkim rozłożył swoje graty i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia... Wieczorem towarzysz mój, dobywszy

zapomnianego czakana⁴, zagrał mi wiejską kolędę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu – i wieczór nadszedł...

Wtem niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca, kilkakroć zapalona, zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże, podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinienia wszystkiego w jeden pakiet i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Na koniec nad rankiem ustała burza i deszczu lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtem patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi i białymi, krągłymi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok tej nowej inundacji⁵ nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt pochmurny przeszedł nam smutnie suszącym się na górze. Głodni, bo o kuchni nawet myśleć było nie można, przemocli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy się mokrą rogożą⁶ i dywanem. Potem czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. [...]

Florencja, d. 2 kwietnia 1838 r.

[...]

Wynalazł teraz jeden astronom w Anglii kalendarz przepowiadający pogodę i deszcz na cały rok – umieszczono jego przepowiednie na

⁴ Czakan – długa fujarka, flet pasterski.

⁵ Inundacja (z łac.) – sztuczne nawodnienie gruntu, sztuczny zalew.

⁶ Rogoża – mata z sitowia lub innych łądyg.

15 dni marcowych naprzód w gazetach, i sprawdziło się co do joty. Komisja uczonych ludzi w Paryżu zajmuje się roztrząśnieniem tego wynalazku – jeżeli okaże się prorocstwo prawdziwe, gospodarze wiejscy, jak Teofil, szczęśliwi będą, a ja postaram się, aby ten kalendarzyk jak najprędzej w Pereniatynie⁷ błękitną okładką spoza lustra wyglądał – pod wiankiem przeszłorocznym z kłosów i bławatków. [...]

Florencja, 19 maja 1838 r.

[...]

Florencja smutna dla mnie jak grobowiec [...] Przywykłem widzieć zawsze wiosenne słońce, rozwijające się drzewa – w obudzeniu się tym [nieraz] melancholicznie mię ogarniały tęsknoty. Zdawało mi się, że jestem z rodzaju węży, zmieniających skórę i szaty. Tego roku ciągle deszcze, niebo żelaznego koloru; rozwinęły się drzewa bez żadnej w sobie radości, dlatego tylko, że przysła na nie życia godzina, nigdy prawie słońce nie uśmiechnęło się patrząc na białe i różowe jabłonie. Z belwederu mego widzę dolinę Arna przez wstęgi, przez warkocze deszczowe; od dalekiego morza płyną i coraz nowe nadpływają chmury. Morze te, co takie dla mnie było przyjaźnie błękitne, co okręt mój kołysało, jak sennego łabędzia, teraz przysyła mi tylko smutki – i chce, abym ze splinu umarł. Nie dziw się, droga, że tak wyrzekam – od dawna moje przyjemności przywykłem czerpać z błękitnego tylko nieba i od dwóch miesięcy nie widzę gwiazd, chociaż teraz Orion – konstelacja podobna do lutni, którą ja ukochałem widząc ją w pustyni nad moim namiotem – musi być na samym szczycie nieba, i wiem, że się chce ze mną zobaczyć. – Po deszczu więc z parasolem chodzę po smutnych ulicach, jak mara piekielna [...].

⁷ Pereniatyn – wieś na Wołyniu.

[Paryż], Dnia 2 lutego 1844 r.

[...]

Piszę ten list smutniej niż kiedykolwiek, bo pierwszy raz tej zimy śnieg pada i zupełnie pokrywa galerią przed moimi oknami i wazonami z kwiatkami na niej stojące, widząc tę białość przypominam sobie mimowolnie ów ogródek, gdzieś ja niegdyś, u Filów mieszkając, po śniegu przechodził, aby się przez okno piekarni do ciebie dostać. [...]

[Paryż], d. 30 listopada 1844

Biało dzisiaj od śniegu i to mię do was przybliży myślami. Nad tym śniegiem myśl moja zwykle ulatuje więcej kolorowa, jak nimfa gwiazdami i kwiatami sypiąca, ale na pół senna – dlatego i list mój taki. [...]

PRZEDRUK ZA: Juliusz Słowacki, *Listy do matki*, oprac. Zofia Krzyżanowska, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1983.

25. Rok 1834 we Francji

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą [fragmenty]

Rok 1834¹

1 stycznia. [...] ² Nowy rok, pracowite, expensowne to jest święto u Francuzów. Wszyscy odwiedzać się muszą i dawać sobie kolendy³. Ruch wielki, fiakry i omnibusy wszystkie zajęte, a deszcz niezmierny.

10 stycznia. [...] Po ustawnych deszczach wypogodziło się nieco. Ni mrozu, ni śniegu dotąd jeszcze nie było.

17 stycznia. [...] Rano u p. Gros, który usta, nos i brodę prawie skończył. Silnym pędzlem wymalował on facjatę moją, lecz trzeba ją widzieć z daleka, większą jest bowiem niż w naturze. Nastawiałem, by na szpilce umieścić orła białego, a na palcu położył pierścień konstytucyjny trzeciego maja 1791 r. ⁴ Na powrót zaskoczył mnie deszcz obfity; dla zdrowia jednak postanowiłem iść piechotą.

20 stycznia. [...] Łaziłem powoli, czas był łagodny; dotąd ni śniegu, ni najmniejszego mrozu nie było: skądże to, jakaż na świecie zmiana, co ona rokuje?

26 stycznia. Zamoczyłem wczoraj nogi, stąd dziś potężny katar. W katarze, mówił niegdyś ks. Piramowicz, człowiek zupełnie do

¹ Niemcewicz w lipcu 1831 roku opuścił Polskę, udając się z misją dyplomatyczną rządu powstańczego do Londynu, gdzie po upadku powstania pozostał przeszło dwa lata, a od połowy listopada 1833 roku zamieszkał na stałe w Paryżu.

² Opuszczenia oznaczono tylko wewnątrz zapisów dziennych.

³ Tj. podarki świąteczne.

⁴ Antoine-Jean Gros (1771–1835) – francuski malarz neoklasycyzy. Malowany wówczas portret Niemcewicza znajduje się obecnie w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

głupiego podobny; ja zaś powiadam, że nie tylko do głupiego podobny, ale całkiem głupi; doświadczyłem tego dziś, będąc do niczego niezdatnym. Gdybym miał familią, żonę, dzieci, czytałyby mi, rozmawiałyby ze mną, lecz w starości, w wygnaniu, sam jeden. Cały więc dzień przetrwałem sam jeden, czytając, póki oczy nie zaboląły, rozmyślając nad niedolą naszą.

31 stycznia. Że była zimna pogoda ze słońcem, czułem się lepiej, wyszedłem na bulwary kupić sobie lampę, jako mniej rażącą oczy moje.

6 lutego. Dzień wilgotny, zdrowie moje nie lepsze, nie pozwala mi wychodzić; zawsze mam ból w prawym boku, czyli psuje się wątroba, czy zatkanie wiatry, czyli też *arthritis vaga*, latająca podagra⁵, bo się ból ten przenosi z boku do głowy, do uda, czasem do palca, więc odetchnąć, mniej jeszcze kichnąć bez wielkiego bólu nie mogę.

10 lutego. [...] Po zbyt łagodnym grudniu i styczniu prawdziwa zima dopiero w lutym chwyciła; dziś zimno dojmujące, lód w rynsztokach, lecz dotąd nic śniegu. Wypadłem na parę godzin dla przechadzki; mróz przymusił mnie wrócić o piątej i zostać w domu. Dziękowałem Bogu, że miał za co mieć ogień na kominku i na obiadek kilka ostryg, kotlet i szklanę porteru.

11 lutego. Do godziny trzeciej spać nie mogłem. Z rana mróz, w południe wilgoć i deszcz. Do godziny piątej siedziałem u siebie.

13 lutego. Dziś pierwszy raz prószył śnieg: brzydka ślota! Śnieg biały i liście na krzewach zielone ciekawą okazują sprzeczność. W naturze jak w świecie politycznym prawdziwe pomieszanie.

19 lutego. Lubo niebo pogodne, przymrozek i zimno.

22 lutego. Że czas był dość pogodny, wyszedłem, przez Tuliery i Pola Elizejskie poszedłem odwiedzić ks. C.⁶

⁵ Tj. artretyzm, dna moczanowa.

⁶ Adama Jerzego Czartoryskiego.

4 marca. Już powietrze słodkie i dość pogodne i ciepłe, tak, że ognia prócz z rana nie używam.

16 marca. Od więcej tygodnia przy jasnym słońcu wiatr wschodnio-północny dmie z przykrym zimnem.

19 marca. [...] Przerażliwy wiatr północny trwa zawsze⁷, marzło nawet z poranku, powróciłem do siebie czytać.

22 marca. Dziś porównanie dnia z nocą; nie ma nawałnic, ale przykre zimno wcale nie ustaje.

24 marca. [...] Zimny czas trwa zawsze i posępny zawsze umysł mój ogarnia.

25 marca. Zimno, pochmurno.

28 marca. Zimno jak zawsze; od miesiąca ni kropli deszczu. Kwiaty marzną; rozwijające się na drzewach liście marszczą i myśl moja choć skrzepła, usiłuje jednak dla rozerwania się kleić rymy.

31 marca. Zimny wiatr, tęgi i przykry, i czas, i myśli zawsze strapione łączą się, by starganą już machinę coraz bardziej pognębiać. Skoro otworzę oczy, niepokodne widzenia i otwierający się grób staje przed oczyma.

1 kwietnia. Wczoraj zaczęły się deszcze; dziś pogoda, lecz jeszcze zimno, wina cierpią i drzewa owocowe.

4 kwietnia. [...] Szturm i wietrzno zawsze. Coraz to leniwiej łązę i prędko się morduję.

7 kwietnia. Pierwszy dzień pogodny i wcale ciepły. Korzystałem z niego, by odwiedzić botaniczny ogród, a raczej *museum de l'anatomie comparée*⁸, założone przez Cuviera z kości zwierząt przedpotopowych.

⁷ Tj. ciągle.

⁸ *Anatomie comparée* (fr.) – anatomia porównawcza.

11 kwietnia. Im bardziej postępujem ku wiosnie, tym wiatr wschodnio-północny ostry i zimny zdaje się bardziej dojmować. Łagodne klima niemało się przyczynia do szczęścia człowieka. Jak czas, tak i ludzie zdają się postrzeleni w głowę. Francuzi nie przestają burzyć po prowincjach.

13 kwietnia. Przykrym był srodze dzień wczorajszy i fizycznie, i moralnie. Do zimna i wiatru przejmującego przystąpił deszcz, śnieg i grad razem. Właściem był wyszedł dla szukania stancji, gdy wszystko spadło na mnie i mimo parasola splążyło⁹ mnie dobrze.

19 kwietnia. [...] Od wczoraj piękny i ciepły czas. Drzewa dziewiczą okrywają się świeżością. Starzec się tylko nie odmłodnia; zima wielce ścina krew jego, a śnieżny szron okrywa skronie.

25 kwietnia. [...] Będąc już raz na tamtej stronie Sekwany, poszedłem z p. Mączewiczem do pałacu Luxemburg, a raczej do ogrodu dziwnie pięknie utrzymanego. Bzy wszystkie były w rozkwicie, równie jak wiele naszych kwiatów. Chłodny czas jednak niewiele przechodzących sprowadził.

28 kwietnia. Długo odkładana wizyta moja do Passy, by odwiedzić dowcipnego poetę i filozofa, spełnioną na koniec została. [...] Czarne chmury zbierały się wokoło, gdy się omnibus zatrzymał, puściłem się Rue Basse, acz długa, trzy tylko osoby spotkałem przechodzące przez nią. Co za różnica po hałasie i ścisku paryskim. Jeszcze mi nie otworzono, gdy deszcz obfity padać zaczął, gospodyni pana Beranger¹⁰ otworzyła mi, prosząc, że gdy lokatora jej nie ma, abym się do niej schronił. Deszcz gwałtowny z grzmotami ustawał i ujrzałem na koniec p. Beranger, całego zmokłego, bez deszczochrona powracającego. Poprowadził mnie zaraz do stancji swojej, wygodnej i ciepłej; ma on wszystko, co życzyć można: pewny dochód, rozum, zdrowie i dobre imię. Piosnki jego dowcipne, popularne,

⁹ Tj. wybiło, wychłostało.

¹⁰ Pierre-Jean de Béranger (1780–1857) – poeta i bard francuski.

często śmiałe i sprowadzające karę więzienia, uczyniły go wielce wziętym; wesołość i dowcip żądane w społeczeństwach.

1 maja. Od rześistego, lecz potrzebnego deszczu zaczął się miesiąc dzisiejszych imienin Ludwika Filipa.

2 maja. Byłem dziś na publicznej sesji instytutu, corocznie odprawianej w dzień imienin królewskich, gdzie wszystkie trzy klasy zgromadzają się i z każdej ktoś co czyta. [...] Wyszedłszy za drzwi, zastałem wielką ulewę; wszyscy w wielkim kłopotcie, bo przyszli za pogody. Pan Bignon¹¹ zabrał mnie z sobą i zawiózł do ks. A. Cz., gdzie był czekany.

13 maja. [...] Cały dzień deszcz lał jak z rynny.

17 maja. [...] Ulewa przez dzień cały.

Montmorency, dnia 19 maja¹².

O godzinie dziesiątej z rana wyjechałem z Paryża do Montmorency, słono okupiwszy gospodarzowi cztery dni, com nadto¹³ dla sesjów bawił.

26 maja. [...] Wiatr dął jak zwykle od dni kilku.

1 czerwca. Boże Ciało, gorąco. W domu odprawiłem nabożeństwo moje. Nie jadę na osle¹⁴; wyszedłem piechotą na piękne wzgórze; siedłem pod kasztanem, pozierając na przepyszną dolinę Montmorency. Widok zachwycający pięknnością swoją. Naliczyłem w pół okręgu widokresu¹⁵ przede mną około dwudziestu wiosek, które by u nas miastami zwać się mogły. Przyćmiły piękność widoku spalone już gorącym grochy; łąki także żółte, wiśnie sławne w ten miesiąc dojrzałe.

¹¹ Baron Louis Bignon (1771–1841) – wówczas deputowany i członek Izby Parów.

¹² Niemcewicz, począwszy od 1834 roku, spędzał w podparyskim Montmorency każde lato.

¹³ Tj. ponad umówiony termin najmu mieszkania.

¹⁴ W Montmorency wynajmowano osły do przejażdżek turystycznych.

¹⁵ Widokres – widnokrąg.

3 czerwca. Upał niezmierny; wczoraj dwie niedziele, jakem tu przybył, odtąd i kropli deszczu.

4 czerwca. Mały deszczyk spadł dziś rano; gdy ustał około ósmej, wyjechałem do Eubonne, miejsca, gdzie Russo odwiedzał hr. d' H...,¹⁶ gdzie tyle doświadczył zachwyceń najgwałtowniejszej miłości [...]. Czas był pogodny, lecz ciągłymi upały nie tylko rośliny, lecz owocowe nawet drzewa, wiśnie, najbardziej zwiędłe i sparzone. [...] Po długiej suszy około godziny piątej wieczorem spadł deszcz jak najobfitszy, a padając przerwami, napoił upragnioną ziemię.

8 czerwca. Deszcz rzęsiasty z małymi przerwami padał dzień cały; była to oktawa Bożego Ciała i odbyła się zwyczajną procesją. [...] Przybyło z Paryża mnóstwo kobiet i mężczyzn w zamiarze użycia rozkoszy przejażdżki na koniach i osłach, lecz po małej przerwie wątpliwej pogody, lunął deszcz ogromny, tak, że zachwycone¹⁷ przezeń damy w perkalikach ubrane, powróciły do nitki zmokłe, blade, krzywiące się. Czysty obraz życia naszego. Ileż razy zajaśnieje nam pogoda, pełni nadziei, że potrwa, puszcza się w dalekiej imaginacji podróże, nie ujedziem i cząstkę drogi, aż burza, skały, bezdroża ścigają nas wszędy zniechęconych, wracamy do miejsca, z któregośmy pełni nadziei ruszyli.

9 czerwca. Czas niepewny i chłodny.

12 czerwca. Chłód i deszcze codzienne; wyszedłem około godziny ósmej i obszedłem część okolic tutejszych.

17 czerwca. Mimo zimnego i pochmurnego poranku, wyszedłem polami do wsi Groslet, odwiedzić żołnierza polskiego, Żukowskiego, który tam osiadł, lecz był w polu.

21 czerwca. Upały letnie już się w całej swej sile zaczęły; wyszedłem dziś rano ku Andilli, zapuściłem się w ciemną gęstwinę, wziąwszy

¹⁶ Mowa o Sophie d'Houdetot (1730–1813), uwiecznionej w *Wyznaniach* J.J. Rousseau.

¹⁷ Tu w znaczeniu: pochwycone, zaskoczone.

z sobą do przełożenia strofy l'Abbé de Laménais *L'Exilé*¹⁸. Jakoż przełożyłem je prawie całe. Powróciłem koło jedenastej. Termometr Réaumura oznaczał 28 gradusów¹⁹.

22 czerwca. Wyszedłem rano o godzinie siódmej ku Engien. Zaledwem się spuścił na dół, gdzie tyle i tyle ładnych wiosek wśród zielonych gajów bieli się wesoło, deszczyk mały zaczął kropić; schroniłem się w dużą bramę i piękny ogród. [...] Skoro deszcz ustał na chwilę, powróciłem do stacji. Mnóstwo przybyłych wczoraj jeszcze w niedzielę mężczyzn i kobiet, ufając małej przerwie od słoty, puściło się na koniach wśród niezmiernego, jak zwyczaj, krzyku kobiet, napierających się koniecznie z końmi swymi o zapłatę.

25 czerwca. [...] Klimat tutejszy nie bardzo stałszy od angielskiego. Upał przez dzień, wieczór zimny.

27 czerwca. [...] Wyszedłem dziś rano na przechadzkę, zmuszony wkrótce deszczem do powrotu.

9 lipca. [...] Czas nie był gorący i przyjemny.

12 lipca. Upał niezmierny od dni już kilku, zapuściłem się do Sui-sy, ale cofnąłem się nazad w równiejsze i chłodniejsze miejsca. Wczorajsza bowiem pod górę i na powrót z Engien przechadzka osłabiła mnie znacznie.

13 lipca. Po niezmiernym wczorajszym upale deszcz obfity w nocy. Chłodnym wieczorkiem wyszedłem odwiedzić proboszcza, który długo był w Polsce.

14 lipca. [...] Dowiaduję się, że wczoraj, mimo gęstego deszczu, wesoło Francuzi z parasolami nad głową w najlepsze tańczyli pod kasztanami. Co to za naród!

¹⁸ *L'Exilé* (fr.) – wygnaniec. Mowa o rozdziale XI książki *Paroles d'un croyant*, która wyszła w Paryżu w końcu kwietnia 1834. W tymże roku ukazał się polski przekład Aleksandra Jelowickiego (*Słowa wieszczki księdza Laménego*).

¹⁹ Tj. 35°C.

18 lipca. Po wczorajszym nieznośnym upale czas niepewny.

27 lipca. Ranek był pochmurny; deszcz padał aż do godziny dziesiątej, gdy przestał, wyszedłem na mszę do Grosley, lecz nie trafiłem na całą; więcej w kościele znalazłem mężczyzn, niżli w Montmorency. [...] Dzień był chłodny i wyborny do chodzenia.

30 lipca. Skończyły się przecież w Paryżu huczne trzydniowe festyny²⁰. Więcej pół miliona ludzi wysypało się na ulice. Ulice te, mosty, place, ogrody, napełnione były tłumami. O drugiej teatry darmo; rozmaite igrzyska, gonitwy po wodzie; fajerwerki na koniec. Lecz jak w życiu ludzkim pełno jest zawodów, tak i dziś, gdy już fajerwerk miał być zapalonym, lunął deszcz gęsty, ustawał i znów zaczynał. Prześliczny atoli był snop z tysiąca rac w trzech narodowych kolorach; i ja z okna mego, acz o 4 mile oddalony, przecież zachwycony byłem jego pięknnością.

2 sierpnia. Czyli niezmierne upały, czyli coś w powietrzu, ale wielu i tu w Paryżu skarży się na rozwolnienie żołądka; mówią, że to jest choleryna, wróżka cholery. I ja cierpię już na nią i dużo osłabionym się czuję; nie mogłem więc wiele chodzić.

8 sierpnia. Powietrze równie tu niestałe jak w Anglii; mniej mgły, ale odmiany gwałtowne, deszcze toż samo; dziś upał i razem wiatr tęgi, nie mogłem wiele chodzić, a ciągle pisać i czytać już słaba głowa nie pozwala.

14 sierpnia. Oprócz dwóch godzin chłodnych w poranku, w których korzystam przechadzką w Champion, nastął upał prawdziwie kanikuły, czyniący człowieka niesposobnym do niczego.

22 sierpnia. W Paryżu wczoraj po długiej suszy otworzyły się okna niebieskie i taka była ulewa, iż na cztery stóp wysokości zalały się ulice. Woda szła w omnibusy, pojazdy, do piwnic i pięter dolnych. Chłodny i pochmurny poranek, jak gdyby w jesieni.

²⁰ Z okazji rocznicy rewolucji lipcowej 1830 roku.

23 sierpnia. I dziś dzień do jesiennego podobien chłodny i mglisty.

24 sierpnia. [...] Słota i zimno.

25 sierpnia. [...] Chodziłem z rana jak zwykle, takie zimno, żem kaftanik wziąć musiał.

26 sierpnia. Mglisto, dżdżysto, chłodno od samego rana, wynieść nie można.

27 sierpnia. To samo co wczoraj, deszcz gęsty ciągle pada, błoto i zimno; piszę, czytam, czekam, czy gazety czego nie przyniosą.

28 sierpnia. Wypogodziło się; popisawszy do dwunastej, wyszedłem do Gosley.

29 sierpnia. Zimno i chmurno; siedzę od kilku dni. W tej pięknej, ciepłej Francji palą na kominkach. Chodzę ile można i jem mało, to mi sprawia sny lekkie i myśl jeszcze do pracy zdolną.

30 sierpnia. Jeszcze niegodziwa pogoda, pochmurno, zimno, ledwie kiedy wynieść można.

31 sierpnia. Równie zimno jak wczoraj.

1 września. Czas się nieco ocieplił.

4 września. Lato znowu powraca, lubo poranki już jesień zwiastują; dziś gorąco.

8 września. Niebo zachmurzone, zabiera się na deszcz przez dzień cały, ledwie miałem chwilę do zwykłej przechadzki.

16 września. Dzień gorący jak latem. Po zwyczajnej przechadzce, zwyczajne prace.

17 września. Gorąco jak jeszcze tego lata nie było. Termometr wskazywał 25½ gradusów. W Rzymie kilka osób umarło ze zbytznego upału. [...] W wieczór najpiękniejszy powracałem z ermitażu od

pani Dupuis. Księżyc w pełni świecił w całym swoim przepychu. Srebrna jasność rozlewała się po całej naturze, jakże pięknie ten pysznymi drzewami zacieniony kraj, te białe wioski wydawały się. Mówią, że w polach elizejskich takie jest ciągle światło. Czy to jest zmyśleniem poetów, czy nie? Ja wierzę temu.

18 września. Gorąco mocne jak wczoraj; obszedłem na około do Caisey, skąd nazad nosząc z sobą składany stołek, siadając na nim, czytając lub klejąc rymy zaczęte pod tytułem: „Jeden dzień w Ursinowie”. Pisząc to, słodka smętność ogarnia mnie całego.

19 września. Wciąż trwa upał niezmierny. Termometr Réaumura w cieniu 27 stopni. Mimo tego wyszedłem rano na zwykłą niedaleko przechadzkę. Winobranie trwa zawsze; przystępuje do tego otrząsanie kasztanów. Mnóstwo ubogich chłopców i dziewcząt zbiera opadłe, za ich przykładem zebrałem i ja ich kilkanaście; ugotowane lub pieczone przyjemne do jedzenia. Przez ciągłe upały dojrzały winogrona; zewsząd donoszą, że wina tegoroczne będą wyborne. [...] Upał zdaje się jeszcze powiększać, jest to coś przeciw zwykłemu porządkowi natury. Może ogon komety jakiej położy koniec wszystkim kongresom i głupstwom ludzkim.

21 września. Porównanie dnia z nocą; ranek mglisty i zimny, koło południa zwykły upał.

25 września. [...] Dziś dzień pogodny, lecz umysł mój coraz się bardziej zasępiea i cała machina słabnie; małom chodził, a nic nie napisał.

28 września. [...] Odwiedziłem wczoraj w Gosley państwo Lagrange; powracając do Ermitażu do p. Dupuis, chcąc wziąć krótszą drogę, zabłądziłem, zaszedłszy aż na Champon, przykrą górę, rzęsiasty deszcz mnie napadł, zmokłem do nitki, zmarnowałem się niezmiernie. Stanąwszy na miejscu, musiałem wziąć cudzą opończę, przemienić obuwie.

30 września. Ranek pogodny, lecz zimny. Przechadzka moja dzisiaj była do St. Brie o milę francuską²¹.

3 października. Jesień tak piękna i ciepła, jakiej najstarsi tu ludzie nie pamiętają.

5 października. Czas także wariuje, bo lubo poranki i wieczory chłodne, dni tak gorące jak w kanikule. W Polsce, Austrii, na Moskwie, dla upałów chybają urodzaje, kartofle zupełnie chybiły. We Francji przeciwnie, wszystko się obficie zrodziło; po jednych zbiorach następują drugie. Już zboża i wino zebrane, dziś wykopują kartofle, otrząsają kasztany.

6 października. Wyszedłem z książką pod kasztany, gorąco jak w sierpniu; niebo błękitne, pogodne, tak czyste, bez najmniejszej chmury, jak piękniejszego ni we Włoszech, ni w Sycylii nie widziałem; jak wesoło te zielone dęby i kasztany odbijały się o czyste tło niebieskie; w starym wydrążonym kasztanie szerszenie założyły swe gniazda.

8 i 9 października. Pogoda i upał trwają ciągle.

11 października. Prawdziwa zaczyna się jesień. Mgła gęsta, zimna zakrywa horyzont wokoło.

13 października. Piękny, pogodny dzień jesienny.

15 października. Jenerał Kniaziewicz pojechał do Paryża. Ja jutro tam jadę dla opatrzenia sobie kątka na zimę. Czas dosyć zimny.

20 października. Jeszcze pogoda; dobry przymrozek, o jedenastej śnieg trochę prószył. Nie mogłem wyjść.

22 października. [...] Tak zimno, że już ani myśleć o przechadzkach z książką, pugilaresem, ołówkiem.

23 października. Zimno i ślota szkaradna, do czwartej wyjść nie mogłem. W kominku więcej dymu jak ciepła.

²¹ Mila francuska (*lieue*) – około 4 km.

25 października. Zimno nie z tak jednak przykrym wiatrem jak wczoraj.

26 października. Musiałem ulec naleganiom i zostać tu aż do środy²². Zimno przykre, palić ogień dym nie pozwala; niewygodnie czytać czy pisać; wyjdę jednak do Gosley.

3 listopada. Zaczyna się prawdziwe babie lato. Korzystałem z niego, by pooddawać wizyty znajomym i przejść się po polach elizejskich.

4 listopada. O dziesiątej rano wyjechałem do generała Kniaziewiczza powinszować mu imienin [...]. Czas był przedziwnie piękny. Miło mi było odwiedzić miejsce, gdzie spokojnie 6 miesięcy przepędził i gdzie wszyscy, przekupki nawet, witali mnie z przychylnością.

5 listopada. Pogoda trwa ciągle, o ósmej rano wyjechałem. [...] We dwie godziny czasu stanąłem w stacji, rad, że do własnego dostał się kominka.

6 listopada. Po pięknej przez dni kilka pogodzie ciepły dziś deszcz ciągle puścił się.

14 listopada. Prawdziwa zaczęła się zima. Wiatr mroźny, ostry.

8–10 grudnia. Posępno i ślota.

17 grudnia. Ślota najszykardniejsza.

27 grudnia. [...] Błoto, wilgotno; omnibusy są dla mnie wielką wygodą; za 6 sous można aż na koniec miasta pojechać.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą*, t. 11: 1833–1834, Poznań 1877, s. 195–518.

22 Niemcewicz powrócił z Montmorency do Paryża 29 października.

26. Rok w Berezowie

Ewa Felińska (1793–1859)

Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie¹ i w Saratowie [fragmenty]

D. 2 czerwca, 1839.

[...]²

Jak też dziś gorąco! Przeskoczyliśmy nagle od zimna do upałów. Wczora w piecu palono, dziś gorąco niezmierne. Wczora ziemia była szara, drzewa nagie, dziś trawa zazieleniała, drzewa zaczęły się rozwijać, czeremcha zakwitła. Czyste, czyste czary!!

Ledwie można wierzyć, że przespanych godzin ośm tak wielką zrobiły zmianę. Gdzież się podziała wiosna? Ta wiosna, która u nas poi zmysły taką rozkoszą, która przedziela ostrą zimę od skwarnych upałów lata. Tu skok nagły; wczora tuliłam się w ciepłe odzienie, dziś upał tak silny, że trzeba się chłodzić wodą z lodem.

Cała okolica wczora martwa, dziś przywdziała szatę godową; każda roślina, drzewo, śmieje się młodością. [...]

Dzień trwa nieustannie, i upał nieustanny. Czy się ockniesz, czy znużone powieki do snu się nachyła, zawsze spotkasz dzień w twych oknach i słońce na widnokręgu. Nigdy rosa nie odświeży ziemi pod twymi stopami.

O wiosno mego kraju, wiecznie będę tęsknić za tobą! [...]

12 czerwca 1839.

Upały nieznośne trzymają nas ciągle w domu, jak w więzieniu. Nie ma rosy, nie ma świeżego powietrza, wiatru wieczornego, nie

1 Berezowo (Берёзово, Bieriozowo) – osada na Uralu w północnozachodniej Syberii, nad rzeką Północną Soswą, około 660 km (w linii prostej) na północ od Tobolska. Od XVIII wieku miejsce zsyłki.

2 Opuśczenia oznaczono tylko wewnątrz zapisów dziennych.

ma chłodu poranka. Słońce ciągle świeci i piecze, jeszcze jakby ogniem piekielnym bez przerwy, bez ochłody. Ledwo się spuści za widnokrąg, chowając tylko tarczę, lecz nie skrywając jaskrawych promieni, znów wysadza głowę, i zdaje się mówić z urąganiem, jak silny i okrutny nieprzyjaciel: „Myślałeś, że mię już nie ma, a ja tu, za twymi plecami; chodź, niech cię piekę na nowo!”.

Nie można oddychać, nie można siedzieć na krześle, nie można zając się żadną robotą; jakaś niedołość ugniata, uciska, wskazuje na gnuśność, oglupia prawie.

Szukając ulgi, leżę na ziemi rozciągnięta jak zwierzę, przemieniając miejsce dla ochłody; a gdy tego nie dosyć, biegnę do łaźni i oblewam się zimną wodą. Wszakże ta chwilowa ochłoda nie na długo ukrzepia siły. [...]

1 lipca 1839.

Wiatr wieje od Oceanu i zimno trwa już dni kilka. Komary się pochowały, ziemia obeschła z deszczu. Wzięła mię ochota, korzystając z pory, użyć przechadzki. [...]

3 sierpnia, 1839.

Teraz okolica Berezowa ma fizjonomię zupełnie jesienną. Mróz porwarzył delikatniejsze rośliny, liście na drzewach pożółkły, lecą za każdym powiewem wiatru, wody opadły, trawa pożółkła. Jednym słowem głęboka jesień, a przecież to tylko początek sierpnia. To dobrze, że lato tutejsze niewiele obudza za sobą żalu.

Mamy już trochę nocy, mamy nawet dość chłodu szczególniej nocą, ale za to jest rzeźwiej. [...]

30 sierpnia 1839.

Dziś mróz tak mocny, że ziemia umarza jak u nas w grudniu. [...]

6 września, 1839.

Duży śnieg upadł i okrył całą okolicę, która wyglądała już bardzo brudno. Ten śnieg zmienił fizjonomię kraju do niepoznania, bo

nie tylko że przykrył białym kobiercem przykrą szarość śmiecia i błota, ale zamienił miasteczko niejako w zwierzyńiec; ogół bowiem mieszkańców przywdział strój ostiacki, to jest odział się cały w skóry z renów sierścią do wierzchu obrócone od stóp aż do głowy.

Widząc tak nagle przekształcenie, trudno oswoić się z myślą, że pod tymi kosmatymi skórami znajduje się postać człowieka. [...]

Jeżeli Ostiak oddala się gdzie z domu w tęgie mrozy, wtedy na wyż wymienione odzienie [...] bierze jeszcze trzecie obszerniejsze, równie ze skór renów, z kapturem na głowie i sterczącymi uszami i równie nierozerżnięte na przodzie. To odzienie nazywają *gusią*, a tak ubrany człowiek traci ślady postaci człowieka.

W takim odzieniu można śmiało wytrzymać mrozy pięćdziesięcio-gradusowe; jakoż mieszkańcy Berezowa nie pamiętają ani jednego wypadku, aby w tamtych stronach człowiek zginął od mrozu, wtenczas kiedy u nas w klimacie nierównie łagodniejszym, takowe wypadki nie są rzadkie; czemu się dziwić nie będziemy, gdy porównamy odzież północnych Sybiraków z odzieniem używanym przez nasze pospólstwo. Czymże jest kozuch, najlepsze odzienie naszego wieśniaka, dający wszędzie przystęp zimnu, lub boty słabo opatrzone słomą i szmatami, w porównaniu z odzieniem Ostiaka?

W czasie silnych bardzo mrozów, kiedy merkuriusz³ zamarza, trafia się niekiedy przymrozenie twarzy, jako jedynej części niezupełnie pokrytej; w takim razie okładają zaraz wódką zimną miejsce przymrożone, i kończy się na czerwonych plamach, które pomału schodzą, jak plamy po synopizmach⁴. [...]

Ruscy mieszkańcy Berezowa, przekonawszy się zapewne doświadczeniem, że żadne odzienie europejskie nie odpowiada dostatecznie potrzebom wymaganym przez tak ostry klimat jak berezowski, skoro nadejdzie zima, przywdziewają strój ostiacki, szczególnie wychodząc z domu; urzędnicy tylko zniewoleni zachować decorum swego urzędu, po miasteczku przechadzają się

³ Tj. rtęć, która zamarza w temperaturze -38°C .

⁴ Synapizm – okład rozgrzewający z nasion gorczycy zmieszanych z wodą lub plaster z olejkiem gorzycowym.

w szubach lub płaszczach; wszakże gdy się wychylają za miasto lub jadą w drogę, przywdziewają ubiór narodowy. Kobiety nawet, celujące wykwintnością ubrania podczas zgromadzeń wieczornych, chodzą w domu lub po ulicach w odzieniu ostiackim.

Powiedziałam więc, że za pierwszym pojawieniem śniegu ulice Berezowa zamieniły się w zwierzyniec, do którego została wpuszczona trzoda białych niedźwiedzi. Nie mogłam się oderwać od okna, tak szczególnie ten widok robił na mnie wrażenie. [...]

4 października 1839.

Co za dni krótkie! O czwartej godzinie już zupełnie ciemno. Czuję bardzo żywo zmniejszenie godzin oświetlonych dnia jasnością; przy świecy bowiem nie mogę robić na kanwie, która jest mi najulubieńszą rozrywką. [...]

18 października

Mróz się wzmaga. Trzody renów wracają ze swej letniej rezydencji między górami Uralskimi. Błóń zamarzała ponad brzegami Soswy, służy im za gościniec. Pięknie patrzeć na ogromne trzody tych zwierząt pożytecznych, które niosąc jakby las na głowie, przesuwną przez pustynie. [...]

Mróz silny trzyma od dni kilku; pomniejsze rzeki już zamarzły. Soswa zaczyna także stawać. Ta rzeka, jak mówią, potrzebuje mrozu stopni 17⁵ dla zamarczenia.

Czas marznięcia rzek jest dla mnie najprzykrzejszy, bo poczta chodzić przestaje przez tygodni pięć albo sześć. Nie wszystkie bowiem rzeki stają jednorazowie⁶: ustaje przeto żegluga, a podróż lądowa jeszcze nieodkryta. [...]

Każdy z mieszkańców Berezowa, biegnie teraz z interesem nad brzeg rzeki, dla uważania stanu jej marznięcia. Czas bowiem przejścia, kiedy wody ze stanu płynnego przechodzą do stałego,

⁵ Felińska podaje temperatury skali Réaumur, gdzie jeden stopień równa się 1,25 stopnia Celsjusza.

⁶ Tj. jednocześnie.

jest jakby więzieniem dla mieszkańców nadbrzeżnych. Jedyna bowiem droga jest zniszczona⁷, i wszelka komunikacja zewnętrzna ustaje.

Choć biuletyn stanu rzeki, dość dokładnie utrzymywany i komunikowany co chwila przez publiczność interesowaną, nie był mi obcym, obróciłam jednak przechadzkę nad brzeg Soswy, aby widzieć własnymi oczyma, w jakim ona jest stanie.

Za zbliżeniem, słyszałam huk podobny do grzmotów lub do powozów jadących po bruku. Brzegi rzeki były już umarźłe na znaczną odległość, woda zaś płynęła wąskim korytem, unosząc na swym grzbiecie duże bryły lodu. Te bryły, ścierając się jedne z drugimi, wydawały huk, który słyszałam. Inne zaś sparły się koło brzegów już zamarźłych, naciśnione od innych brył, gdy nie mogły znaleźć przejścia, w kilka minut ścięte zimnem, powiększały masę brzegów już umarźłych. Tym sposobem przestrzeń wody niepokrytej lodem umniejszała się widocznie i zupełne zamarźnięcie przewidziane było w bliskości przez znawców, jak biegły lekarz wylicza dobijające godziny chorego. [...]

5 listopada, 1839.

Mróz mamy na stopni 30 Reomiura. Jeden z mieszczan tutejszych przyjechał z nartą⁸, zapraszając, abyśmy użyły przejażdżki renami.

Przyjęłyśmy wezwanie z ochotą. [...] Mimo dzielność renów, mimo zręczność grzecznego woźnicy, mocno żądałam, aby co prędzej wrócić do domu, gdyż jakkolwiek opatrzyłam nogi w najlepsze ciepłe obuwie, jakie miałam, to jest w boty wełniane pończochową robotą, w których przebyłam całą drogę do Syberii, to okrycie skóry tak było mało znaczące w miarę mrozów berezowskich, że się wydawało dla czucia, jakbym była bez pończoch nawet. Zimno tym mocniej czuć się dawało, że nogi musiały być z narty na bok spuszczone, a tym samym wystawione na działanie powietrza.

⁷ Głównym traktem komunikacyjnym Berezowa były rzeki Soswa i Irtysz.

⁸ Narta – tu: rodzaj sań bez dyszla.

Widząc wszakże zadowolenie naszego przewodnika i z dziarskości renów, i z własnej zręczności, nie śmiałam prosić o skrócenie podróży; wszakże na końcu wróciłyśmy do domu.

Mysząc, że mam nogi odmrożone, zaraz je zanurzyłam w zimnej wodzie; pokazało się jednak, że obawa była próżną, była to nieczułość, pochodząca z mocnego przeziębienia⁹. [...]

8 grudnia, 1839.

W Berezowie we wszystkich domach mieszkalnych, wyjąwszy strojnieszkie komnaty, wyjmują na zimę okna szklane, a na ich miejsce wstawiają ramy, naciągnięte rybią skórą. Mieszkańcy utrzymują, że takie okna mniej przepuszczają zimna, przy tym, iż mają tę korzyść, że można z nich zamróż nożem oskrobać.

Wymienione korzyści nie dość trafiły do mego przekonania, a choć widziałam, że okna ze skóry rybiej dają dość światła w pokoju, jednak ponieważ przez nie nic nie widać na zewnątrz, prosiłam, aby w naszym mieszkaniu zostawiono okna szklane.

Wprawdzie nie wiele na tym wygrałam, bowiem gruba powłoka zamrozu, okrywając szkło jakby tynkiem, robi je tak nieprzezroczystym, że chcąc nie chcąc, oko musi poprzestać na przedmiotach widzianych wewnątrz pokoju; wszakże nadzieja słodzi to chwilowe zasklepienie, bo lada ciepło może stopić choć część grubej powłoki, i pozwoli spojrzeć na świat Boży. [...]

Doszliśmy już do największej długości nocy. Dnia ledwie mamy trzy godziny, jednak czas nie jest pochmurny, owszem słońce świeci choć przez krótki przeciąg. Powietrze czyste, a jednak widzialnie dla oka zostaje w ciągłym ruchu, jak żeby całe złożone było z atomów drżących bez ustanku. [...]

11 stycznia, 1840.

[...]

Mróz się natężył. Termometr z żywego srebra zamarzł. Na spirytusowym rachują, że doszedł 50 Reaum.

⁹ Tj. wychłodzenia.

Wychodziłam na przechadzkę dla doświadczenia, jakie działanie taki stopień zimna wywierać będzie na moje płuca i skórę. Nad moje spodziewanie jednak nie doświadczyłam żadnego przykrego uczucia. Wyziew tylko z oddechu zamienił się zaraz w widoczną kolumnę zgęszczonej pary. Może być, że ta sama kolumna broniła od bezpośredniego zetknięcia płuc z zimnem zewnętrznym. Ślina, nim doleciała do ziemi, ścisnęła się w powietrzu.

Byłam bardzo dobrze odziana, mróz więc nie doszedł aż do skóry, a mała część twarzy odkrytej wyszła całą z doświadczenia. [...]

6 marca, 1840.

Dzień piękny, choć mroźny. Promienie słońca, które zakreśla już na niebie łuk duży, odbijając od skryzalizowanego śniegu, odsyłają do oka blask miliona brylantów rozsypanych po białym kobiercu, którego krańców oko dojrzeć nie może. Powietrze ciche, choć mroźne. Chodziłam sama na przechadzkę.

14 kwietnia, 1840.

[...]

Poczta odeszła jeszcze po lodzie. Choć słońce wielki łuk obiega tak, że mało bardzo nocy, jednak nie grzeje zgoła. Jest to zimny uśmiech zalotnicy. Wielki blask odbiły od śniegu razi tylko oczy, ćmi wzrok. Może ten blask słońca, połączony z białością śniegową, przyczyną jest częstego ślepienia Ostiaków, równie jak blask ogniska świecącego bez przerwy w porze zimowej tak dla ogrzania, jak dla światła. Zapalenie oczu jest chorobą panującą u Ostiaków, kończącą się najczęściej ślepotą.

Co dzień prawie mamy zjawiska meteoryczne, to słupy ogniste nad słońcem, lub obok słońca, to trzy słońca. Zjawiska te wszakże są tak zwyczajne, tak spowszedniały, że nikt nie zwraca na nie uwagi.

3 maja 1840.

Doleciał mię głos z podwórza: wrona! wrona!!... Słowo to powtórzone zostało razy kilkanaście przez rozmaite głosy. Nareszcie drzwi

do mego pokoju się otworzyły, wetknął głowę czternastoletni chłopiec, krzyknął: wrona przyleciała!, zamknął drzwi i pobiegł dalej.

– Bóg z nimi! Co się też im stało? powiedziałam sobie. Czy powariowali? Wszakże rzucam swoje krośna i wychodzę z pokoju, aby się dowiedzieć przyczyny tego harmideru.

Zaledwie wyszłam, pokazują mi palcem powtarzając: wrona! wrona!

– Cóż w niej tak pociesznego? zapytałam.

– Będzie wiosna, odpowiedziano wesoło.

Zrozumiałam więc, że wrona jest skowronkiem berezowskim; ona pierwsza po zimie wraca do Berezowa, uprzedzając inne wędrownie ptastwo, jakoż jej powrót jest niezawodnym zwiastunem zbliżającej się wiosny. [...]

Mimo te oznaki wiosny, głęboki śnieg okrywa całą powierzchnią ziemi. Czasem trochę mróz zelży i słońce zdaje się rozpoczynać walkę ze śniegiem, wszakże zwycięstwo zostaje zawsze przy ziemi. Okna grubo zamarzły, ogórki, które hoduję w skrzynce na oknie, liściem do szyb przymarzły. Łód na rzece wzdął się, ale od brzegów nawet nie odstał. Kiedyż, kiedy będzie wiosna? [...]

10 maja 1840.

Nadchodzi wiosna z całą pompą sobie właściwą. Śniegi przygrzane słońcem topnieją, wlewając z burczeniem, z hałasem do rzeki swe obfite wody. Łód na rzece oderwany od brzegów wzniosł się na grzbiecie wody o sążni kilka wyżej od zimowego łożyska, wszakże stoi jeszcze cały, nieporuszony, mimo rozhukane fale szeroko rozlanych wybrzeży, które jak taranem biją w jego boki, chcąc go jak najprędzej zepchnąć ze swego grzbietu. Jest to walka żywiołów w całym rozwinięciu. [...]

13 maja 1840.

Wielka nowina w Berezowie! Łód na Soswie, który mimo wielkie wezbranie wody, i szeroko rozlane wybrzeża, stał niewzruszony, opierając się nieprzyjaznym działaniom żywiołów, przerwał się

w górze, i całą masą zaczął się posuwać ku północy, unosząc na swym grzbiecie ślady gospodarstwa zimowego, założonego przez ludzi na tym gruncie niestałym. [...]

Po kilku godzinach wypoczynku, masa lodu naciskana z góry, oswobodziwszy sobie przejście, ruszyła w dalszą podróż. Co godzina dzieło oswobodzenia szło żywszym krokiem. Ku wieczorowi sina woda Soswy oczyściła się ze swej twardej skorupy i znów wolna, swobodna, nadyma grzbiet i wyrzuca fale wysoko, jakby się ciesząc wolnością, jakby urągając pokonanemu wrogowi, pędząc przed sobą do oceanu kawałki lodu, które oderwane od masy, wystawione na wszelkie igraszki losu, tułały się samotne, rozbite na cząstki. [...]

20 maja, 1840.

Nie uszło doby po oczyszczeniu się lodów, poczta przysłała, która zatrzymana była niedaleko, oczekując odkrycia rzeki. Jaka pociecha po tęsknym oczekiwaniu! [...]

Już wiosna, choć nie taka jak u nas. Nie ma ciepła, nie ma zieloności, nie ma kwiatów jak u nas, ale wody rozlały szeroko na wiorst kilkadziesiąt, łódki zwijają się po tym ruchomym przestworze, polowanie na ptastwo idzie czynnie. [...]

29 maja, 1840.

Jutro rocznica przybycia mego do Berezowa. Jakaż ten rok przyniósł zmianę w moim położeniu, czy to w duszy? Jeden rok tęsknoty, cierpienia wygluzowany z życia, oto całe zdobycie.

Jakaż tu wiosna zimna i tęskna! Nie. Tu nie ma wiosny. Nie mogę wyrazu wiosna rozłączyć z wyobrazeniami ciepła, życia, wdzięku, rozkoszy. Możnaż tu przeczuć, domyślić się którego z tych warunków, kiedy się trawa nie zieleni, drzewa nie rozwijają, woda na dworze w kałużkach pozamarzała, w piecu trzeba palić. Prawda, że pączki na drzewach znacznie nabrzmiały, że ptastwo napełnia powietrze świągotaniem, wszakże to tylko przygotowanie do wiosny, zapowiadające przyjazd tej królowej, oczekiwanej z taką niecierpliwością. [...]

1 czerwca, 1840.

Jakże skok nagły od zimna do upału! Wczoraj zziębłe członki tuliły się pod ciepłe odzienie, w piecu palono; dziś od rana objawił się upał najsilniejszy. Ubiór jak można najlżejszy zastąpił miejsce waty, dzbanek wody z lodem stanął na oknie dla odświeżania chłodnym napojem sił zwątłonych zbyt czynnym gorącem. Okna pootwierane, wszyscy witają powrót lata z niewymówną radością. [...]

Słońce oddychało trochę zanadto gorącą miłością, karesy jego były prawie do niezniesienia. Dom strapczynej¹⁰ był niedaleko, zaszyliśmy do niej odpocząć, schronić się przed doskwierającym upałem. I tam równie wesoło obchodzono powrót lata. Okna pootwierane, gospoia lekko, strojnie ubrana zdawała się święcić uroczyste miłe przebudzenie natury.

Pijąc zimną wodę, jedząc konfitury, skarżąc się na gorąco, czekaliśmy, czy nie ochłodnie powietrze, którego temperatura coraz zdawała się podnosić.

Zabawiliśmy tam godzin ze dwie; uprzejma gospodyni zatrzymywała nas i namawiała, aby później razem z nią pójść na przechadzkę. Jakoż miałyśmy już wychodzić, kiedy postrzegłam przez otwarte okno małą chmurkę. Ledwie ją dałam zauważyć moim towarzyszkom, kiedy powstał wiatr gwałtowny i zaczął zrzucić różne fanty ze stolików na ziemię. Widząc że się zanosi nie na żarty, wszystkie trzy rzuciłyśmy się do zamykania okien. Próżny pośpiech! Wiatr wyrwał okno z ręki gospodyni i cisnął je o ziemię. Mnie i Józii lepiej się udało, bo przynajmniej okna ocalały.

W momencie deszcz ulewny z grzmotem i piorunami, zakończył tę scenę.

O! pomyślałam sobie. Tutejsze przyrodzenie¹¹ to nie kłiwa kochanka oddychająca równie czułą miłością w każdej chwili życia, ale kapryśna zalotnica.

¹⁰ Strapczyzna (z ros.) – żona urzędnika sądowego.

¹¹ Tj. przyroda.

Musiałśmy zostać u strapczynej, nim deszcz przeszedł i strumyki wody pozbiegały do rzeki.

Upłynęło godzin kilka od czasu, jakżeśmy wyszły z domu. Słońce już było nisko, powietrze ochłodziło po deszczu, grzmoty huczały tylko z dala, ziemia była wilgotna, ale po trotuarach przynajmniej można było przejść mniej więcej suchą nogą. Powietrze i ziemia musiały pić wodę z pragnieniem, bo po takiej ulewie nie zostało widocznych jej śladów, i słońce jakby tylko się skąpawszy zaświeciło jeszcze piękniej. I cicho, wesoło, jakby nic nie było.

Wracamy do domu. O dziwy!! Trawa zazieleniała, zdaje się, że urosła w oka mgnieniu. Czeremcha rozkwitła, pączki rozpękły na modrzewiach, strojąc je w śliczną zieloność i zaprawiając powietrze najmiłszą wonią. Jednym słowem, cała postać okolicy zmieniła się w oka mgnieniu jakby czarami.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską*, Wilno 1853, t. 1, s. 79–81, 92–93, 119, 141, 159, 169, 171, 192, 196, 198–199, 201, 208–209, 254, 259, 271–276, 279, 284–286, 291, 298–300.

27. Lata 1861–1865 w Krakowie

Ambroży Grabowski (1782–1868)

Kronika domowa [fragmenty]

Meteorologiczne.

D. 20 grudnia 1861 – zima dotąd łagodna, poprzednie kilka dni były słotne i stopiły ciekłą warstewkę śniegu, a trawniki okazały się zielone. – Wczoraj wieczór śnieg trochę świat obieleł, a dzisiaj trochę większe zimno.

Wigilia Boż. Narodz. – Zimno małe, dzień piękny, słoneczny.

Boże Narodz. – Pochmurno, drobny deszcz, odwilż.

Sty Szczepan – Pochmurno bez zimna – śniegu bardzo mało i brak sanny. Świat biały, w południe słońce świeciło.

Dni następane po świątach były lekko mroźne, ale za to ostatni dzień kończącego się roku 31 Xbra¹ zima przypomniła się mrozem 16 stopni². Pogoda słoneczna.

Rok 1862

Nowy Rok. Wiatr mroźny, zadymiło śniegiem.

D. 6 stycznia, Trzech Królów – Dnie poprzednie lekko mroźne. Dziś rano zawieja śnieżna, potem śliczna pogoda z słońcem, po południu mroźno i śnieg pada.

D. 9, 10, 11 stycznia wilgoć i rozciecz śniegów.

D. 12. Zawieja śnieżna. Zimno st. 12. Wicher, potem pogoda.

D. 13. Zima się skrzepia. Zimno st. 18 z ostrym wiatrem.

17. Przybyła zima z całym taborem, mróz ostry, wiatr szczypiący od czterech dni, śniegu obficie.

¹ Xbra (łac.) – skrót od decembra.

² Grabowski podaje temperatury w skali Réaumura, gdzie 1 stopień = 1,25 stopnia Celsjusza.

Styczeń do końca był łagodniejszy niż dni poprzednie. Ostatnie dni zimno zelżało do 5–6 stopni. Pochmurno i śnieg stopniał, a nastąpiła śłota.

Luty.

Mies. Luty 1862.

1 lutego. Jak wczoraj, czas bezmroźny. Rozciecz, a nawet i drobny deszcz.

2-gi lutego. W nocy śnieg poprószył. Rano mróz w wiatr ostry – zatem niedźwiedź będzie chatę swą burzył³. Później słońce i śnieg taje. Piękna pogoda. D. 3 lutego, dzień jasny. D. 4 lut. śłota, wicher. D. 5 lut. pochmurno, potem słońce.

Przeszedł i miesiąc luty, a w ciągu jego zima nie okazała się zbyt srogą i ciężkie mrozy zaledwie dni kilka w pierwszej połowie tego miesiąca czuć się dały. Czas był niekiedy piękny, niekiedy odwilż i roztop śniegu – to znowu trochę ostrzejszy mróz, ale zima w ogóle niezbyt przykrą.

Przyjemna wiadomość. D. 14 marca.

Gości dzikie dzisiaj przeciągały z powrotem do kraju i donośnym radosnym krzykiem w powietrzu witały ziemię rodzinną. [...]

D. 17 marca. Pierwszy raz słyszałem śpiew zięby, świergoczący na topoli na plantacjach⁴.

Marzec do końca był ciepły i pogodny, co by nam zwiastowało wczesną wiosnę: przecież należy być w tym względzie ostrożnym i nie uwodzić się tym wczesnym uśmiechem, bo już nie-raz po dniach ciepłych marca potrzeba było w kwietniu wrócić do opalania mieszkań, jak było w r. 1861. *Timeo et Danaos dona ferentes*⁵.

³ Z powodu bliskiej wiosny; zob. niżej fragment pt. „Niedźwiedź architekt”.

⁴ Tak przez długi czas krakowianie nazywali Planty.

⁵ Niedokładny cytat z *Eneidy*, 11, 49 (*Timeo Danaos et dona ferentes* – łac. Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary).

D. 13 kwietnia. Niedziela palmowa.

Spełniły się moje przewidywania o wczesnej wiosnie. Dni kilka kwietniowych mieliśmy zimne wiatry, które nieprzyjemnie oziębiły powietrzną⁶, a od 4 dni czas bardzo przykry. Dziś mamy i drobny śnieg, i pochmurno, a nawet mamy to, o czym mówi Drużbacka:

Wiosno wesoła! toć się wdzięcznie śmiejesz,
Wolność jak dziecku dla swojej zabawki,
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.⁷

D. 14 kwietnia. W nocy spadł spory śnieg i obilił dachy. Rano drobny śnieg i ciągle pada i topnieje. Deszcz przepada.

D. 15-17 kwietnia. Czas mroźny, wiatr ostry, śnieg topnieje i pada.

D. 25-26 kwietnia. Wiosna w całej wspaniałości okazała się, słońce jaśnie świeci i dogrzewa drzewa, rozzieleniały trawniki młodej zielonej barwy, uśmiechają się i błyszczą radością cała Przyroda... O! cudneż to zjawisko, ta pierwsza chwila młodej wiosny.

Maj. – Stosownie do życzeń rolników po suchym marcu był mokry maj, z tego też powodu zboża pięknie stoją, żyto wyrosło i gęste, i jest nadzieja obfitego urodzaju, jeżeli jeszcze do zbioru piękna posłuży pora.

Od połowy czerwca do końca tegoż trwało powietrze oziębione, wiatr i co dzień deszcz, co wiele przerywało sprzęt siana. Musiano też wrócić do cieplejszego ubrania, jakby w jesieni.

D. 16 paździer. R. 1862. Pierwszy siwy mróz osrebrzył dachy i trawniki. Wiatr mroźny.

⁶ Powietrzna – przestrzeń nad ziemią wypełniona powietrzem, atmosfera.

⁷ Z wiersza Elżbiety Drużbackiej *Wiosna*.

Uwaga zimowa

Po kilku nader ostrych mrozach w połowie stycznia Wisła potężnie zamarzała... Stoi ona i duma, rozważa i namyśla się, co ma zrobić z resztą lodów, których krakowscy cukiernicy⁸ nie potrzebują? Mniema ona, że może byłoby korzystnie spławić je do Gdańska, gdzie przyplłyną okręty z południowych Włoch, których mieszkańcy może nie będą mieli czasu zwozić lody z Etny i Wezuwiusza, bo Garibaldi ogłasza, iż nadeszła chwila, w której każdy Włoch musi i powinien być żołnierzem, jeżeli to jest ogólnym życzeniem, aby całe Włochy zostały jednym wielkim narodem...

I w rzeczy samej, gazety ciągle donoszą, iż we Włoszech czynią się wielkie uzbrojenia celem wypędzenia z Włoch północnych Austriaków i odebrania im Wenecji, a może i co więcej.

Wielkanoc, d. 20 kwietnia 1862

Niedziela. Chmury zakrywały słońce. Czas był chłodny, lecz bez deszczu.

Poniedziałek, trochę podejrzany czas o pogodę, ale Emaus⁹, a nade wszystko Mogiła Kościuszki roiła się mnóstwem, gdyż było przy ostrożności i licznej straży¹⁰ wolne wejście na jej szczyt.

Wiosna. – W początkowe dni maja już ta piękna pora zjawiła się nam w całej okazałości, w pełni swojego wdzięku... Trawniki i drzewa grają o lepszą z prawdziwymi szmaragdami. Gałązki bzu (*Syringa*) uginają się pod ciężarem bukietów, wylewających w powietrze strumienie zapachów... Piękne dni młodej wiosny to przeczucie raj, to przedsmak rozkoszy przyszłego życia dusz naszych, temu, kto będzie szczęśliwy raj ten pozyskać.

⁸ Lód zbierany z rzek i stawów zakopywano w specjalnych lodowniach (ocembrowanych piwniczkach w ziemi), by mógł służyć i latem.

⁹ Odpust odbywający się w poniedziałek Wielkanocny przy klasztorze Norbertanek na Zwierzyńcu, u zbiegu ulic Emaus, św. Bronisławy i T. Kościuszki.

¹⁰ W okresie poprzedzającym powstanie styczniowe w Krakowie miały miejsce liczne demonstracje patriotyczne, stąd działania władz austriackich.

Wiosna i miłość to prawdziwa poezja życia. Pierwsza napawa mnie nieokreśloną rozkoszą... drugiej tylko mi pozostało wspomnienie.

D. 8 maja – w towarzystwie rodziny zrobiłem wycieczkę na Bielany, od mostu na Rudawie do Woli Josta¹¹ na wiejskim wozie, a stąd przez las pieszo, mimo gniotącego mnie 80-go roku życia. Tam Król Maj rozgościł się już z całym przepychem; podziwialiśmy jego wspałałość, jakiej nie dorównają bogactwa żadnego króla ziemskiego.

Ku czci Wiosny w Maju

O! jakże dziś cudny ranek...
 Niebo ma kolor niezapominajki,
 I jakby weselny wianek
 Ziemię otacza dokoła
 A słońce to dziecięcia twarz wesoła
 Uśmiechem niewinnym się śmieje:
 Uśmiechem, z jakim zdrój toczy swe wody,
 Jakim nas wabią ku sobie nadzieje
 Lub z jakim kwiatek wita dzień pogody.

A ta trawka bardzo mała
 Ledwie główkę pokazała,
 Taka miła, jasnozielona,
 Iż chęć bierze przycisnąć do łona
 Tę miłuchną pieszczoszkę.
 Z radości ledwo serce mi nie pęknie:
 O!... jakże w maju na świecie jest pięknie...¹²

Boże Ciało. D. 19 czerwca. Procesja Katedralna nie udała się. Całą noc poprzednią padał deszcz, a rano wielka była ulewa. Po południu pogoda.

¹¹ Tj. Wola Justowska.

¹² Wiersz autorstwa Grabowskiego, pisującego okolicznościowe poezje.

Pierwszy śnieg. D. 19 listop. Pierwszy śnieg pomalował ziemię i dachy na biało i malarka się udała. Wczoraj 2-gie okna założone.

Ostatni dzień listopada piękna, słoneczna pogoda. Śnieg pierwszy zniknął do odrobiny. Niewielkie przymrozki trwały do końca listopada.

D. 8 g r u d n i a. Do d. dzisiejszego mrozy były silne, dochodząc do 12 stopni, lecz bez śniegu. Dziś w nocy spadł śnieg i okrył białą kołderką ziemię.

D. 10 X b r i s. Zimna st. 19. D. 11 Xbris mróz ostry z wiatrem. D. 12 Xbris nagła zmiana stanu powietrza.

Do końca roku zima była mniej uciążliwą i były odwilże, śnieg topniał, sanna zginęła, i było znośnie na świecie, co do stanu atmosfery – ale co do czasu, ten zawsze coraz gorszym jest, i koniec r. 1862 przyczynił ciężaru dosyć już ogromnych podatków i przysporzył biedy.

1-sze nie palenie d. 6 marca¹⁵.

Do połowy stycznia 1863 po kilku w grudniu uciążliwych mrozach, była dosyć łagodna zima, a niekiedy i słońce używało swoich ciepłych promieni. Śnieg zginął i pola są odkryte.

D. 19 s t y c z. Cały dzień wiatr silny.

D. 20 s t y c z. Wiatr jak wczoraj, wywracał topole na plantacjach. Wieczór wielka ulewa z błyskawicami.

D. 21 s t y c z. Przed południem jasna pogoda, po południu śnieg kłapciami¹⁶ sypie.

D. 24 s t y c z n i a. Dzień prześliczny, z słońcem, jakby w maju.

D. 25 s t y c z. Rano ulewny deszcz. Mokry śnieg.

D. 26, 27, 28. Wiośniana słoneczna pora.

D. 29. Czas pochmurno-łagodny. Rano wicher.

¹⁵ Zapis wzdłuż prawego marginesu.

¹⁶ Kłapeć – strzęp, kłak.

D. 31 stycznia. Czas prześliczny, gdyby w maju. Ciepła na dworze st. 15. Słońce przygrzewa, styczeń pięknie się zakończy. Daj Boże, aby zima nie wróciła.

D. 1-5 lutego. Czas piękny, wiosniany.

D. 6 lutego. Śnieg rano, później stopniał.

Cały miesiąc luty powietrze było często zmienne, dni piękne, pogodne, przeplatane śniegiem, który zaraz topniał, deszczem, wiatrem, ale zawsze zimno umiarkowane, tak jak cała zima, wyjąwszy kilka większych mrozów w grudniu. Całą też zimę z synem sypialiśmy w mieszkaniu nieopalanym.

Marzec rozpoczął się pięknym czasem, ale czy tak będzie do końca?... Obaczymy.

Dzień 40 Męczenników. Rok 1863.

W Krakowie pomiędzy ludem klasy niższej utrzymuje się gadka, że stan powietrza, jaki jest w tym dniu, takim będzie przez dni następnych czterdzieści – co się nie sprawdza, jak zapis następujący.

Rok 1863

Po półrocznym zaopatrzeniu okien przed zimą i jej zimnem kazałem zdjąć wewnętrzne okna w mieszkaniu moim d. 16 m. kwietnia, bo się zapowiada upragniona wiosna – bo przykro jest nie mieć zetknięcia z czystym zewnętrznym powietrzem.

Dzień 40 Męczenników. R. 1863.

Dnia 10 marca 40 Męczenników. Brzydko.

Dnia 11 marca brzydko, deszcz pada.

" 12 " Z rana pochmurno, po południu czas pogodny.

" 13 " Czas pogodny.

" 14 " Czas śliczny.

" 15 " Rano pochmurno, po południu pogoda.

" 16 " Dość pogodnie, wiatr.

" 17 " Dość pogodnie.

- " 18 " Pochmurno, zimno, deszcz pokrapuje. Wieczór śnieg spadł.
" 19 " Pochmurno, śnieg stopniał.
" 20 " Pochmurny, chwilami ze słońcem.
" 21 " Pochmurno.
" 22 " Pochmurno.
" 23 " Pochmurno, chwilami ze słońcem.
" 24 " Pochmurno, deszcz padał.
" 25 " Rano pochmurno, po południu pogoda.
" 26 " Śliczna pogoda.
" 27 " Śnieg, wiatr, dość brzydko.
" 28 " Wiatr ogromny.
" 29 " Wiatr ogromny, wieczór śnieg padał.
" 30 " Wiatr się zmniejszył, czas bardzo zmienny, raz pogoda, to znów śnieg i deszcz.
" 31 " Dość pogodnie.
Dnia 1 kwietnia. Dosyć pogodnie, lecz zimno.
Dnia 2 " Deszcz, śnieg pokrapuje.
" 3 " Pochmurno.
" 4 " Dość pogodnie.
" 5 " Pochmurno, deszcz pokrapywał.
" 6 " Czas śliczny.
" 7 " " "
" 8 " " " po południu pochmurno.
" 9 " Pochmurno.
" 10 " Deszcz
" 11 " Dość pogodnie.
" 12 " Pochmurno.
" 13 " Dość pogodnie.
" 14 " Pogoda.
" 15 " Pogoda.
" 16 " Pogoda.
" 17 " Pogoda, ale zimno.
" 18 " Dość pogodnie, ale zimno.
" 19 " Dość pogodnie.

” 20 ” Pogoda.

Dni pogodnych – 9.

” półpogodnych – 3.

” dość pogodnych – 9.

” pochmurnych – 9.

” brzydkich – 7.

” wietrznych – 3.

Cały mies. maj r. 1863 nie można twierdzić, aby nam dał uznać piękną porę wiośnianą, był bowiem niestateczny, na przemian zimno-wietrzny, słotny, a przynajmniej pochmurny i zawsze grozący deszczem. Nie można było puścić się na dalszą przechadzkę pod obawą deszczu.

Rzecz nigdy nie bywała.

Zdarzają się w czasach naszych takie wypadki, o jakich się nigdy nie śniło filozofom naszym, ani francuskim i niemieckim Heglom, a nawet greckim i arabskim... Oto Wiedeń pożyczał nam wszystko i pieniądze nam wyciągał, a nic od nas nie prowadził i pieniędzy nam nie zwracał, a teraz, o dziwy!... Zgadnijcie, czego od nas zażądał?... Oto rzeczy niespodziewanej, której im brakło, a my jej mamy z łaski zimniejszego klimatu bardzo wiele, a nawet nad potrzebę, której niezmierną ilość posyłamy g r a t i s Wisłą do Gdańska i Morza Bałtyckiego...

Oto w końcu lutego zażądał od nas Wiedeń l o d u... bo tam zima nagle ubiegła i zaniedbano wcześniej się weń opatrzyć. W ostatnich zatem [dniach] lutego 17 wagonów, *dico*¹⁷ siedemnaście, wyprawiono stąd do Wiednia koleją żelazną naładowanych lodem, który brano w ogrodzie śp. Macewicza na stawie, zapewne za małą jaką nagrodą terażniejszemu posiadaczowi za pozwolenie. Wiozą ten towar w nocy, bo ocieplone dzienne powietrze ilość tę mocno by zmniejszyło. Lód ten zamówiony jest przez cukierników i zapewne drogo ich kosztować będzie.

¹⁷ *Dico* (łac.) – powiadam.

Wielkanoc d. 5 kwietnia r. 1863.

Niedziela. Ranek chłodny, trochę pochmurny. W południe deszcz drobny i po południu. Reszta dnia pochmurna, zasępiąca.

Poniedziałek. Przymróż siwy rano. Mgła. Od południa czas piękny, słoneczny. Emaus liczny, a zgromadzonym tłumom krakowian przygrywała na Sikorniku¹⁸ muzyka wojskowa austriacka.

Wtorek. Dzień prześliczny, ciepło, w słońcu stopni 20. Cały też Kraków wyruszył na Rękawkę¹⁹ i tłumy zaległy wzgórze Lasoty (Krzemionki) około mogiły Krakusa.

Wiośnianie. D. 9 czerwca. A przed oknami mojego domu stoi wiosna w najbogatszym ubraniu. Dwie akacje, te mieszkanki cieplejszej strefy, które przyjęły nasze obywatelstwo, okryły się tak bogato białym kwiatem, iż prawie zasłoniły zieloność. A przez otwarte okna słą do mojego mieszkania przyjemny zapach, woń miłsza od wszelkich sztucznych kadzideł.

Koniec czerwca, zatem i koniec wiosny. Słowik, ten mieszkaniec naszych cienistych ogrodów i zarośli, ten mistrz śpiewu, zaprzestaje dawać gratisowe koncerty, w których udziela razem naukę innym ptakom, jakby śpiewać powinny.

Po przewlokłej zimie, kiedym pierwszy raz wyszedł za obręb miasta i owiało mię wiośniane powietrze, gdym się znalazł otoczony szmaragdową zielenią pól i rozwijających się liści drzew, serce moje dotąd przygniecione przykrościami przeciągłej zimy, żywiej bić zaczęło. Podniosłem wzrok pod błękit nieba i tam oczami duszy ujrzałem Stwórcę na tronie wiekuistej potęgi, Pana światów... i wydała się z piersi mojej rzewna modlitwa z podzięką za darowane mi

¹⁸ Sikornik – dwuwierzchołkowe wzgórze, gdzie znajduje się kapliczka św. Bronisławy i kopiec Kościuszki.

¹⁹ Rękawka – obchód ludowy odprowadzany we wtorek po Wielkanocy na mogile Krakusa, polegający na rzucaniu z niej jaj gotowanych, bułek, orzechów itd. ubogim żakom u dołu stojącym.

zdrowie i późne lata, że jeszcze mogą oglądać cuda 80-tej wiosny, obok błogosławieństwa Boskiego w opatrzeniu potrzeb mojego życia i pociechy z rodziny mojej.

Przechadzka do lasu na Bielanach

Dnia 13 lipca. Tęskny za dawno niewidzianym lasem przedsięwzięłem dzisiaj zwiedzić tę miłą ustron w pobliżu Krakowa, jakoż w towarzystwie trzech wnuków, Stanisława, Henryka i Józefa, opatrzeni w pożywienie, rano po godz. 8-ej ruszyliśmy przez błonie do Woli, a następnie do Skał Panieńskich, gdzie spoczęliśmy blisko przez godzinę, po upływie której dążyliśmy zaroślami, bo posiadacze obecni²⁰ tej pięknej włości niemiłosiernie drzewa wycięli, tylko zostawując chrost²¹ i małe krzaki... Sławne to małżeństwo z marnotrawstwa, oboje na wyścigi robili długi zarywając, kogo im się udało, a teraz kryją się przed wierzycielami i tułają się, wycierając obce kąty poza granicą. Mąż i żona dobrani w jednym smaku, a zatem: wart Pałac pałaca, a pałac Paca.

Dzień był wielce upalny, jak bywa w porę lata, przeto mocnego doznaliśmy utrudzenia, lecz to wkrótce przemineło, gdy spoczęliśmy w cieniu jedyne go ogromnego dębu, który tam jeszcze dotąd pozostał, w otoczeniu młodych brzoź, których znać się może prapradziadem... Padli już koledzy i rówieśnicy jego, za którymi on ogląda się i cichym szelestem liści mówi: *Fratres mei evanescent et non sunt*²².

Cisza była w lesie bielańskim, nikt nie przechadzał się, ani ludzi nie było widzieć. Ucichło ptactwo tu na wiosnę koncerta wyśpiewujące... Po czterogodzinnym spoczynku ruszyliśmy gościńcem ku domowi, lecz powrót był mocno utrudzający z powodu gorąca, które nam mocno dokuczyło.

²⁰ Wola Justowska należała wówczas do Henrietty z Ankwiczków i Kazimierza Kuczkowskich. Po śmierci Kuczkowskiego w 1863 została zlicytowana.

²¹ Chrost, chróst – zarośla.

²² *Fratres mei evanescent et non sunt* (łac.) – bracia moi znikają i nie ma ich.

Stare moje osiemdziesięcioletnie nogi jeszcze posługę swoją należycie spełniły i młodym wnukom jeszcze dotrzymały kroku... Ale daj Panie Boże! aby to już nie była ostatnia próba użyteczności tych narzędzi chodzenia.

Zmienność powietrzni (atmosfery).

Koniec lipca. Od połowy t. miesiąca nastąpiło niepraktykowane oziębienie powietrza, a były nawet i takie poranki, że trawniki były obielone szronem. Czas najczęściej pochmurny, brak słońca, wiatr ostry, dokuczliwy, a każdy deszcz sprowadza oziębienie. Nie ma nic dziwnego, że ludzie powyciągali watowe jesienne ubrania, a lud wiejski przywdział kożuchy baranie. Pospólstwo utrzymuje, że te chłody przyciągły ku nam za Moskalami, którzy Krakowskie zalewają. Szlachetna krew młodzieży naszej płynie strumieniami, która przy złym uzbrojeniu i braku wszelkich potrzeb wojennych walczy z rozbewstwoną dziczą potworną i nieszczęśliwie stacza boje, jak są porażki w Miechowie, Pieskowej Skale i w wielu innych potyczkach na ziemi krakowskiej, o czym bolesne są doniesienia w piśmie krak[owskim] „Czas”.

Wszchemocny Panie!... Zlituj się miłościwie nad nędzą i niedolą naszą, daj koniec nieszczęściu i zniszczeniu, pod jakimi cały obszar ziemi polskiej upada.

Trzy początkowe dni sierpnia takie, jak końcowe lipca. Czas ponury, słońce schowane za ołowianą kurtynę, chłód niemiły.

Jesień r. 1863...

d. 24 października.

Dzisiaj przy oziębionym powietrzu i przykrym wietrze piec rozpoczął swe urzędowanie i element ognia wszedł do swego Biura, w którym przez 6 lub 7 miesięcy obowiązki swe pełnić będzie. Pierwsze palenie samym drzewem nastąpiło dzisiaj jak wyżej.

Pierwszy śnieg spadł d. 7 listopada wieczór – lecz w nocy rozplynał się w błoto. d. 8 listop. Czas brzydki, wiatr.

Je sień. – Mies. Październik aż do d. 22-go był stale pogodny, ciepły, a nawet były niekiedy dni upalne, lecz od tego dnia czas nagle się zmienił, a po małym deszczu powietrze tak się oziębiło, iż dokuczliwe nastąpiło zimno przy ostrym wietrze.

Tak więc zbliża się ku nam niemiła zima, a jedzie ta Pani w koronie z lodu, a paludament²³ ma z śniegu... Mroźny wiatr, niby kurier poprzedza ją, urządzający jej stanowiska, czyli miejsca odpoczynku, otrząsa on liście z drzew, niby kwiatami posypując jej drogę...

D. 26 paźdź. Przybył też i marszałek jej dworu, siwy przymroz, który obielił trawniki i dachy... Tuż za jej rydwanem postępują dworzanie tej północnej monarchini, a są to następni: katar, chrypka, kaszel, fluksja i inni. Jest też i poborca jej dworu, który nałoży na nas podatek z węgla i drzewa, który koniecznie płacić będzie trzeba. A jest to podatek dosyć uciążliwy przy wysokiej cenie opału, gdy sięga²⁴ drzewa twardego kosztuje ryńskich²⁵ 11–12, a sięga węgla kamiennego ryń. przeszło 20, którego będą zaledwie dwa niezbyt naładowane wozy.

D. 20 – 21 liściopada²⁶. Po dwu tygodniach bardzo łagodnego zimna czas najpiękniejszy, ciepły, spokojny, zgoła nadzwyczajny. Śniegu ani na lekarstwo (wyrażenie ludowe). W polach zielono i bydło chodzi po pastwiskach, dogryzając resztki traw. Można widzieć chłopców i dziewczęta bosobiegające... Stan taki powietrzni (atmosfery) jest bardzo pożądany, bo dla klasy ubogiej, a najliczniejszej, jest wielka oszczędność opału – a przy braku karmy bydłowej, gdyż z powodu wielkiej latowej²⁷ posuchy prawie nie było drugiego

²³ Paludament (z łac. – *paludamentum*) – płaszcz żołnierzy rzymskich, spinany na prawym ramieniu.

²⁴ Siąg – sześcienna miara objętości, stos drzewa o wymiarach 3 łokcie × 3 łokcie × 1,25 łokcia (ok. 4 m³).

²⁵ Tj. złotych reńskich, czyli austriackich guldenów.

²⁶ Grabowski używał niekiedy takiego neologizmu.

²⁷ Tj. letniej.

siana, potrawu²⁸, i jest wielki niedostatek artykułu tego niezbędnego w gospodarstwie. Daj miłościwy Stwórcu! jak najdłużej takiej pogody. Pamiętam z r. 182[1] całą taką zimę, jak te dwa dni, o czym jest zapis u mnie w Voluminie²⁹.

Zapiski meteorologiczne

Listopad d. 22–23. Bardzo piękne.

D. 24-ty pochmurny, lecz nie zimny. D. 25 takież. 26 takież. D. 26 wieczór z deszczem. D. 28 pochmurny, zimny.

D. 29. Rano ostre zimno. D. 30. Skończył się listopad, a cały ten miesiąc nie był uciążliwy zimnem, nie było też dni słotnych, pod nogami sucho, a zupełnie bez śniegu. Dziś czas pochmurny, mglisty.

Grudzień – d. 1–2 pochmurne.

D. 3 bardzo piękna słoneczna pogoda. – d. 4–5-ty posępne. D. 7. W nocy spadł śnieg. – d. 8 śnieg stajał. D. 9. Prześliczna słoneczna pogoda. D. 10. Czas pochmurny. D. 11. Wicher gwałtowny. D. 12. W nocy spadł śnieg. Czas wilgotny. D. 13. Słota, wicher, czas pochmurny. D. 14. W nocy spadł śnieg obficie. D. 15. Słota. D. 16. Czas wilgotny, pochmurny. D. 17. Pogoda słoneczna. D. 18, 19. Pochmurno, wiatr. D. 20. Takież. D. 21. Jesień jakoby w zemście za to, że się jej trwanie dzisiaj kończy, wywarła całą złość, dając, co ma najbrzydszego: słotę, wiatr, mgły, powietrze pochmurne – zgoła taki stan powietrza, jaki bywa najbrzydszy w Londynie... d. 22 jak poprzednio. D. 23. Prawdziwa zima zaczęła się mroźnym wiatrem i śniegiem. D. 24. Wczoraj wieczór wicher gwałtowny. – Wili a pochmurno.

Zima w święt. Bożego Narodz., a bardziej jeszcze od nowego roku zgromadziła swoje rządy. Początek stycznia dnie mroźne, wiatry ostre. D. 4-go stycznia przy pogodnym stanie powietrza mrozu st. 13.

²⁸ Potraw – siano z drugiego i trzeciego koszenia trawy.

²⁹ Zob. tekst nr 23.

Rok 1864

W styczniu, około połowy, mrozy dochodziły do 15-17 stop., lecz takich tylko było kilka.

Niedźwiedź architekt.

Pospólstwo nasze ma tę dykteryjkę, iż gdy w święto Oczyszczenia N. P. Maryi, tj. d. 2 lutego mróz będzie dobry, to niedźwiedź rozburzy swój zimowy szałas, czyli budę, jako już mu niepotrzebną, gdyż wiosna niedaleka. W przeciwnym razie, gdyby zimno zwolniało, to ją naprawi dla dłuższego zachowania jej, bo zima się przeciągnie.

Dzisiaj d. 2 lutego mamy około 10 st. mrozu, a zatem mi iś zwali swoją siedzibę. I może to zrobić bez przeszkody – bo gdyby chciał rozpocząć jaką reparacją, to musiałby podać prośbę do urzędu budowniczego w Krakowie i załączyć plan reparacji, a co jeszcze trudniejsza, to wyrobienie sobie na to pozwolenia z Komisji Fortyfikacyjnej Krakowskiej, która z łona swego wydelegowałaby znawców *ad hoc*, czy reparacja ta nie byłaby przeszkodą systemowi fortec otaczających Kraków. A zanim by Urząd wojskowy pozwolenia udzielił – to i zima by się skończyła i buda stałaby się niepotrzebną.

Boże Narodzenie – Piątek. Rano mały przym[rozek], reszta dnia pochmurna, ciemno jak w rogu.

Drugie święto. Chłodno i czas wilgotny, mglisty, ciemno jak wczoraj, słowem brzydkie święta.

D. 27 grudnia. Poranek piękny. Przy małym przymrozku pogoda, słońce świeci. Śniegu wciąż prawie nie ma – wiatr się uciszył. Po południu czas się zmienił. Pochmurno, ciemno.

Już po świętach Bożego Narodzenia pojawiła się prawdziwa zima i zaczęła swoje panowanie obfitym śniegiem, sanna, mocniejszym mrozem, ale dalej była ona łaskawą i oszczędziła nam śloty, błota itp. Ale ta grzeczność jesieni jest mi wielce podejrzaną i może za zbliżeniem się wiosny, tj. w kwietniu, a nawet maju, dokuczy nam za to zimnem, ostrym wiatrem, tak jak to było przed dwoma laty, że w maju ludzie wydobyli z schowania futra i kożuchy, watowane odzienie.

Wiosna r. 1864 – Kapryśna ta kokieta, po zimie niezbyt uciążliwej, o wiele się spóźniła, gdyż dopiero d. 24 kwietnia zaczęły się cieplejsze dni i dotąd piece musiały być opalane, gdyż były dni wielce przykre i zimne.

Jaskółki także przylot swój spóźniły i pierwsze dopiero d. 24 kwietnia widzieć dały się.

Wielkanoc r. 1864. – Pascha w t. r. bardzo wczesnie wypadła, bo już 28 marca. Stąd też święta były zimne, wietrzne i niepogodne. Nie było ani owego zebrania ludzi na Zwierzyńcu, znanego pod nazwą Emaus, czyli, jak go zwie prostactwo – Hamens.

Rękawka u mogiły Krakusa była dosyć liczną jak [na] chłodny czas, ale nie tyle, jak zwykle bywa w porę piękniejszą... Atoli nie brakło gawiedzi pauprów³⁰, których stan powietrzni nie ustraszła, ale nie było takich, którzy by obficie rzucali bułkami, a uliczniki dotrzymywali placu, aby nie zaszło przedawnienie i zwyczaj nie został zapomniany.

Zawiedziona nadzieja. Po lekkiej, a wcale nie uciążliwej zimie, bo tylko w grudniu i styczniu było kilka większych mrozów, tak że ja z wyjątkiem tylko 5–6 dni przysypiałem zimę w nieopalonej izbie – po kilkunastu dniach cieplejszych zdawało się, że już wiosna tuż stoi u progu... Ależ ten niestatek, ta kapryśna dziewczyna w wiosna wyrządziła nam psikusa i okropnie nas oszukała. Przewidywałem z obawą, że zima sfolgowawszy nam w zimie, wytrąci nam na wiosnę i nieprędko się od nas oddali i tak się też stało. Pierwsze dni kwietnia często zasypywał nas śnieg i prędko roztapiał się... ale panowały przy-mrozki, ostre wiatry i nieprzyjemne powietrze, a d. 8 kwietnia zwałił się śnieg tak wielki, jakby w samym środku zimy... D. 10 tegoż, mrozu st. 8... a biedne sierotki *Bellus perennis* i *Crocus*³¹ w ogrodach pochowały się pod białą płachtę śniegu w nadziei przyjaźniejszego czasu.

³⁰ Pauper (z łac.) – ubogi.

³¹ *Bellus perennis*, właśc. *Bellis perennis* (łac.) – stokrotka pospolita; *crocus* (łac.) – krokus.

D. 11 kwietnia. Wilgotne zimno, wiatr, śnieg pada i zaraz topnieje. D. 12 kwietnia. Krzywdzą i gniołzą nas mściwą dłońią rządy, które rozdarły Polskę, więżą i prześladują za chęć przywrócenia bytu Ojczyzny, ale nawet niebo pogniewało się na nas i zabroniło słońcu, aby nas ogrzewało swoimi promieniami. Dzisiaj zimno, ponuro, ciemno, aż przykro żyć w takim czasie. Około południa błysnęło słońce bladymi promieniami. Lud ma przysłowie: lepszy rydz niż nic.

D. 13, 14, 15. Czas ciągle nieznośny, rano przymrozki siwe, zimno, bez słońca, pochmurno i opalenie pieców trwa ciągle... Użał się Boże nad nami.

Cały kwiecień, z wyjątkiem zaledwie kilku dni ciepłych, pogodnych, był arcynieprzyjemny, zimny, pochmurny, z ostrym wiatrem, aż do samego końca, i opóźniła się wegetacja, trawniki i drzewa mało zielone.

Zdaje się, że słońce zawiesiło swe wypłaty i przed wierzytciem ziemią zasłania i kryje się za parawanem z chmur... Wkrótce zapewne ogłosi konkurs i rozpocznie się likwidacja.

D. 1 m a j a... Śnieg rano okrył białą płachtą świat. Zimno dokuczliwe. Wiatr ostry, czas pochmurny. Śnieg co chwila pada i topnieje. Słońce się pokazuje i wnet kryją go chmury. Wiatr zimny aż do uprzykrzenia.

D. 2 m a j a. Śnieg pada kłopciami i taje. Zgoła czas nieznośny. W piecu się pali, bo zimno.

D. 6 m a j a. Desperacja bierze na taki czas, jaki mamy. Zimno przeraźliwe. Wiatr nieznośny. Śnieg pada kłopciami, jakby wśród zimy. Gdyby tu żył jaki Anglik, to byłby sobie niezawodnie w łeb palnął. W piecach wciąż pali się. Czas klasycznie-brzydki.

W i o s n a. Najbrzydsza, jaka tylko być może. Cały maj zimno, wiatry ostre, przenikliwe. Zielone świątki, ranek słoneczny. Ludność podążyła jak zwykle na Bielany, a po południu deszcz ulewny i wrócili przemokli.

Boże Ciało d. 26 maja. Zimno, wietrzno, cały dzień deszcz i nie było procesji zamkowej. Procesja Katedralna odbyła się w niedzielę rano, była bardzo świetna... Tegoż dnia po poł. była procesja dominikańska. W oktawę procesję od Panny Maryi deszcz przerwał i po pierwszej Ewangelii wróciła do kościoła.

Jest nadzieja w tym roku obfitości owoców. Drzewa ogrodowe tak są okwitnione, że prawie zielonych listków nie widzieć. – W małym ogródku moim wielka grusza cała oblana kwiatem, która przez dwa poprzednie lata nie miała wcale owocu, w r. t. obiecuje obfity dać plon darów Pomony i Vertumna. *Dabit se violare*³².

D. 27 maja. Rano zimno dotkliwe. Po południu słońce nie śmiało świecić, ale nie grzeje. Lud wiejski chodzi w kozuchach, tylko wstyd wstrzymuje od palenia w piecu. Na trawnikach był mróz siwy.

D. 28 maja. Rano przymróz siwy.

Do d. 31 maja dotrwały zimne poranki z ostrym wiatrem. Żegnamy cię, zimny maju. Idź, a nie wracaj do naszego kraju.

Obfitość owoców. W r. b. drzewa ogrodowe obficie obrodziły, za to, że w dwóch latach poprzednich prawie żadnego plonu nie dała nam Pomona i Wertumnus, tylko mieliśmy owoce przywożne z Wiednia i Węgier. Teraz mamy ilość wielką gruszek i jabłek, ale że jak wiosna, tak i lato były słotne i chłodne, owoce te nie mają zwykłego smaku i psują się.

Pierwszy śnieg obieleł w nocy ziemie d. 4 8bris³³, co było nie bardzo przyjemną niespodzianką.

³² Pomona – rzymska bogini sadów, Wertumnus (łac. *Vertumnus*, *Vortumnus*, *Voltumnus*) – w rzymskiej mitologii bóg wegetacji. *Dabit se violare* (łac.) – daj się złamać, skuś się – nawiązanie do księgi xiv *Metamorfoz* Owidiusza, opisującej historię Pomony i Wertumnusa.

³³ 4 8bris (*octobris* – łac.) – 4 października.

Rok 1864 cały prawie był arcy niepogodny. Wiosna zimna, lato chłodne i niepogodne, a jesień nieznośna zimnem, wilgocią, wiatrem przejmującym, grozi nam wczesną nieznośną zimą.

Meteorologiczne. Zima długa się w t. r. przeciągnęła, tak że bardzo mało mieliśmy wiosnianego czasu, i dni były tak zimne w miesiącach wiosny, iż bez cieplejszego okrycia trudno się było obejść. Lato mieliśmy słotne i wielka była bieda ze sprzętem zboża i siana, bo słoty wielkie były przeszkodą. Urodzaje w ogóle małe, ledwo do połowy przeszłorocznych dochodzące. Ziemiaki, kapusta równie się nie zrodziły. I drożyzna żywności do nas zagłada. Owoców pestkowych, śliwek, bardzo zbiór lichey, i te, co się zebrały, są liche, kwaśne i niedojrzałe z braku ciepła. Tylko owoców jądrowych, jabłek i gruszek obfitość wielka, ale i tym brak dobrego smaku, bo słońce i pogody wcale im nie sprzyjały.

Dopiero w końcu października zjawilo się nam kilka dni pięknych, ciepłych pogody jesiennej, ale już 30 d. m. nastąpiła ślota, zimny deszcz przyprawiony wichrem i osłodzony śniegiem.

D. 31 8bris. Śnieg bieli dachy.

Liściopad r. 1864. Listy nie spadają, tylko liście.

D. 1. Rano ostry mróz. Cały dzień słoneczny, pogodny, przy chłodnym wietrze.

D. 2. Dzień zaduszny. Powietrze jak wyżej.

Okna wewnętrzne założone d. 9 listopada, co znaczy, że wczesna zima nastąpiła.

Rok 1864. Nie godzien jest, abym tu o nim wzmiankę wpisał. Był to plugawiec zimny, słotny, bez wiosny i lata, i zasłużył na to, aby został zapomniany. Rok to był klęsk nie tylko elementarnych, ale najsmutniejszy, jaki kiedykolwiek był na ziemi naszej.

D. 1 stycznia, r. 1865. Z tym dniem zaczynam rok 83-ci życia. Czy dosnuję go do końca?... Wszechmocnemu tylko wiadomo.

Z końcem roku przyniosłem [w] następny jego znużenie, zmniejszone siły wzroku i osłabienie słuchu. I tylko jeszcze wniosłem mu nieostatnie narzędzia chodu, tj. nogi.

D. 13 s t y c z n i a. Sobota. Biję godzina 9-ta. Niebo zsyła śliczną pogodę zimową. Słońce jasno przyświeca i miłe roni ciepłe promienie. Wychodzę z domu z zamiarem dalszej przechadzki i dążę do Bielan. Przechadzka ta trwała blisko dwie godziny. Nie udaję się na górę, bo śnieg roztapia się i droga błotna i śliska. Usiadam na wielkim kamieniu u wrót stajni karczemnej naprzeciwko studni, i tam spocząłem przez pół godziny, a uważając, że coraz śnieg bardziej roztaja, puściłem się z powrotem do domu, gdzie stanąłem przed godziną 2-gą.

Prześliczny był to dzionek, aż się żyć pragnęło w nadziei zbliżającej się wiosny... Poznały się na piękności jego stadka gęsi, i chodząc przed karczmą z podniesioną głową, śpiewały swoim sposobem jego pochwały.

PODSTAWA DRUKU: Ambroży Grabowski, „Kronika domowa”, tom 3-ci (1862, 1863, 1864). in 4-o., rkp. Archiwum Narodowe w Krakowie, sygn. 1 (dawna E. 4).

„Kronika domowa” Grabowskiego jest rodzajem albumu, gdzie autor wklejał prasowe wycinki, kwity, niewielkie broszury, rękopisy listów od rodziny, litografie oraz karty i karteczki z własnymi tekstami, komentarzami i refleksjami na różne tematy. Informacje o pogodzie mają tam dwojaki charakter. Część figuruje pod tytułami: „Zapiski meteorologiczne” i zawiera syntetyczne dane dotyczące określonego okresu, pozostałe są szerszymi opisami o charakterze notatek dziennikowych. Grabowski często dopisywał kolejne uwagi na wcześniej wklejonych i częściowo zapełnionych kartach, toteż chronologia obserwacji meteorologicznych w księdze nie zawsze pokrywa się z kolejnością kart w albumie, zgodnie z którą przedstawiono zapiski w niniejszej edycji.

28. Francuskie lato

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Pamiętniki [fragmenty]

11 sierpnia. – Lato tutejsze wcale niegorące, a z zadziwieniem wszystkich i rozpaczą ogrodników bardzo suche – owoców dużo i wcale tanie, można i pewnością mówić, że o miesiąc wszystko wcześniej jak u nas. Ale gruszek letnich to nie mają i czwartej części: ani cukrówek, ani winiówek, ani panien; kwiaty takie same, tylko w większej ilości, i wiele rzeczy, co u nas w doniczkach i chowane na zimę, tu w gruncie rośnie. Róże bengalskie cały rok gruntuja i cały rok kwitną, tym sposobem ciągle ogród ozdobiony różami; przy domach zwłaszcza, do drugiego piętra krzaki prowadzą; róże jednak w zimie nie kwitną, tylko całe lato. Poziomki tu mają także od maja dotąd, w maju i czerwcu są leśne, a teraz ciągle miesięczne ogrodowe. Słowem wiele zapewne winne klimatowi, bo zimy ich acz przykre, nie są w połowie tak mocne jak nasze. [...] W czym wielką widzę różnicę, to w drzewach, bardzo wiele mają takich, których my nie mamy wcale i które by zapewne u nas wymarzły. Lecz w czym nasza Polska przechodzi wszystko, com widziała we Francji, a przejechałam ją duży kawał, bo od Strasburga do Boulogne, to w piękności pól, łąk i lasów, w całym wiejskim uroku. Tu koło Paryża, wcale wsi i natury nie ma, a dalej bardzo mało. Wszystko sztuczne; lasu jednego nie widziałam ani łąki, co by Pan Bóg stworzył, wszystko dzieło ludzkie. Stare drzewo jest osobliwością; lasy siane co dwadzieścia lat częściami wycinają. Jest jakaś czczość, jakiś brak w widoku takiego kraju; zdaje się, że serce schnie, tak go nic w naturze nie porusza mile, a przy tym i ptaków bardzo mało (wyjąwszy na targu), słowika wolnego nie usłyszysz, bociana nie zobaczysz; wróble tylko i wrony, tych nikt nie łapie.

PRZEDRUK ZA: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*, t. 2, Berlin 1849, s. 207–208.

29. Wiosna na Ukrainie

Aleksander Jełowicki (1804–1877)

Wspomnienia

Taki jest Boh w Hubniku¹. Zima zazdrosna zamroziła jego piękności, schowała je pod lód. O, jakże wyglądamy, żeby upokorzona zima uciekła, a Boh żeby skruszył kajdany, które przez całą zimę dźwigał hardo, bo ciągle odgrażał się, pomrukując na porohach². Wczesna wiosna zaweseliła prześliczną wieś naszą. Wiatr ciągły od morza ciepłym tchem swoim ogrzewał powietrze, słońce wybrylantowane podnosiło się coraz wyżej na ciemno-błękitnym niebie, śnieg przed słońcem uciekając albo się krył pod ziemię, albo przemieniwszy się w wodę, żeby go nie poznano, zmykał do rzek i stawów, tym groble, a tamtym zrywać lody i mosty; już tylko gdzieniegdzie po łąkach i wzgórzach bieli się szmatami, a przy nim łąki zieleńsze, a przy łąkach śnieg bielszy. Jeszcze najupartszy i najśmielszy śnieg w lesie nietknięty, bo on się tam wiatru nie boi, on się tam najdłużej ze słońcem pasuje, a już Bohowi tyle sił przyrosło, że lód podniósł i sam spod lodu wystąpił, jak gdyby chciał przypomnieć: tu jestem. Na porohach szumi straszniej a straszniej, wspina się coraz wyżej – już równo z brzegami, lód trzyma go a trzyma, Boh się z nim mocuje, lód się zarysował, pęka, a gromkim hukiem doniósłszy, że skonał, rozpada się w sto części, kra cofa się leniwo, piętrzy się groźnie, i groźnie stanęła; a Boh zapieniony złością rzuca nią o porohy, rozpija na miazgę i przez trzy dni niesie ją na grzbiecie swoim, na znak zwycięstwa na ofiarę Czarnemu morzu; a wzniósłszy swą dumę, rozszerzył panowanie swoje od góry do góry, powiedział: to

¹ Hubnik na Podolu w powiecie hajsyńskim.

² Porohy (z ukr.) – progi skalne, przegradzające koryto rzeki.

wszystko moje, i co napotka, zabiera i pędzi przed sobą. Tam zabrał most cały i niesie, tu porwał młyn cały i niesie, tam rozgruchotał lodem ludzkie schronienie i pastwi się nad jego szczątkami, tu rwie drzewa z rodzinnego lasu i precz wygania, tam jednym liźnięciem maże kilka lat pracy i trudów człowieka, tam porywa chatę ze starą matką i drobną dziatwą; nie słyhać ich jęku, tylko widać, jak wyciągnąwszy ręce, modlą się do Boga i ludzi; Bóg ich do brzegu przybije i ludzie poratują, jeśli Bóg pozwoli. Rybacy, panowie Bohu, biegną na ratunek lotnymi czółnami, a wydarłszy Bohowi niewinne ofiary, spieszą wydzierać mu wszystko, co on ludziom zabrał. Tak to Boh hula dni kilka, a nahulawszy się do woli, użyźniwszy łąki, a ludziom za szkodę płacąc rybami, które tu i owdzie po dołach zostawia, wraca do koryta, jak żołnierz do domu.

I znowu płynie tak strojnie, jak przedtem, i znowu jego ostrowy rozkwitły różnobarwnym kwiatem, zaludniły się rozliczną ptaszyną, co cały dzień świegoce, a wieczorem słucha słodkiego śpiewu słowika. I któż go nie słucha? Słucha go wszelkie stworzenie, słucha go wszelki człowiek, szczęśliwy i tęskny; młody marzy przy nim o przyszłym, stary o przeszłym szczęściu, a oba wzdychają; ten do tego, co będzie, ten za tym, co było. Sam Boh go słucha, bo mruczenie swoje stroi do śpiewu słowika, bo śpiew jego porywa na swoje wody i krętą drogą roznosi po całej krainie swojej.

PRZEDRUK ZA: Aleksander Jełowicki, *Wspomnienia*, Kraków 1877, s. 35–36.

30. Syberyjska zima

Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)

Pamiętnik [fragment]

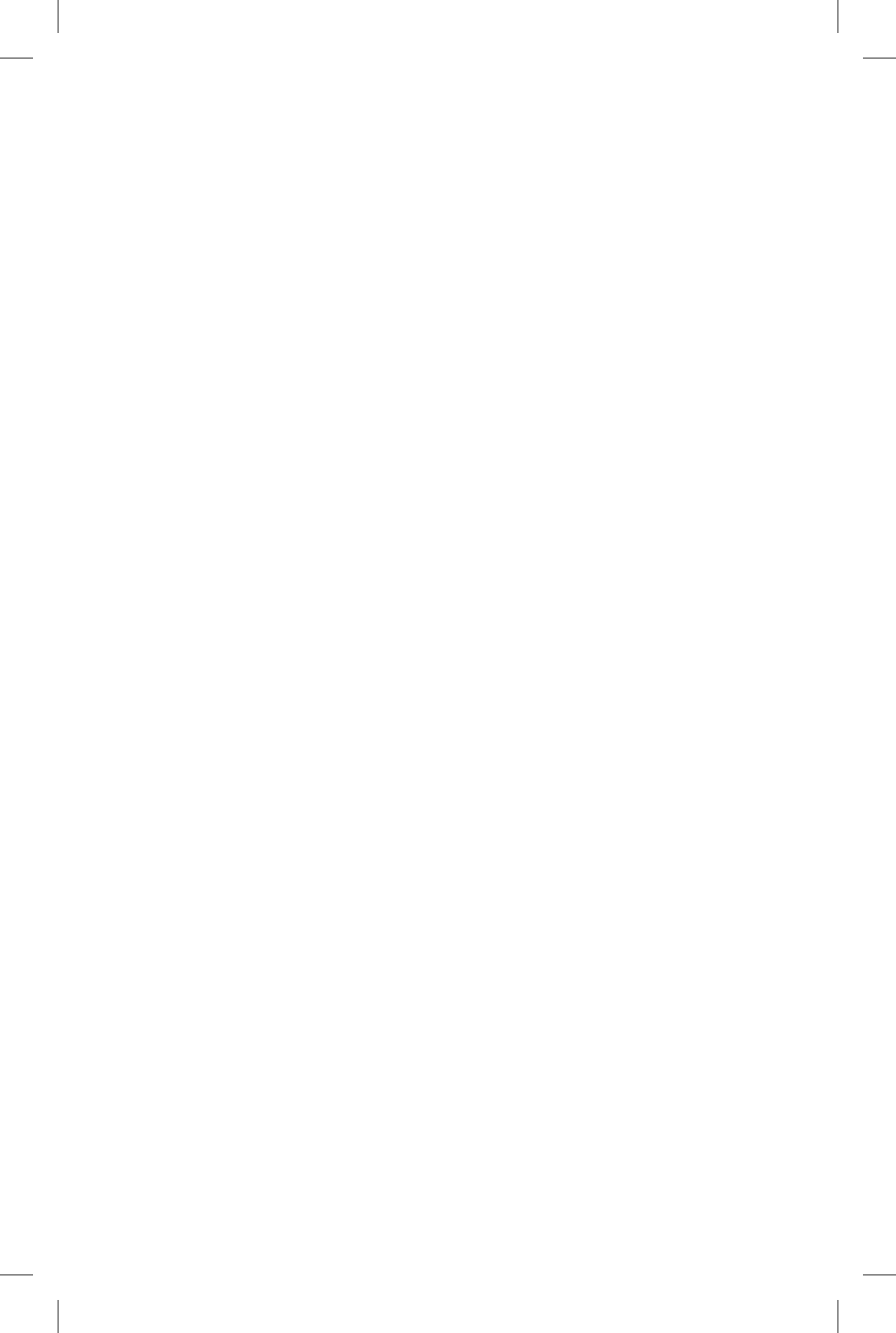
Podczas kiedy w Warszawie marcowe słońce przygrzewało, u nas jeszcze szalone zimna trwały bez wytchnienia. Cała zima była bardzo ciężka. Często w pokoju musieliśmy wdziewać futra, a raz, gdy mróz trzydziestostopniowy trzymał przez dziesięć dni z rzędu, powietrze w mieszkaniach tak zrzędniało, żeśmy się zataczali jakby na okręcie. Inną razą – pamiętam – wyszedłszy na miasto, dziwiłiśmy się, „jak dzisiaj ciepło?”. Za powrotem do domu patrzymy na termometr, ten wskazuje piętnaście stopni Réamura¹. To się tam dla nas nazywało „ciepłem”. Na koniec w kwietniu nastąpiły roztopy. U nas nikt nie ma wyobrażenia o podobnych zalewach. Bo cóż to za góry śniegu tajały! Cały kraj stał pod wodą. Ogromny plac w Jadyrnie, ubrany jakimi sześcioma czy ośmioma chałupami, wśród których była i nasza, zmienił się na rwące, burzliwe jezioro. Po tym jeziorze od domu do domu pływano łódkami, a fale spienione biły z szumem o nasze okienka. [...]

I tym to porządkiem zawsze rok toczy się dla tamtych gubernij. Dziewięć miesięcy zimy twardej, nigdy nierozmarzającej. Potem sześć tygodni potopu. Dalej sześć tygodni senegalskich upałów. I znów dziewięć miesięcy zimy – i tak ciągle w kółko.

PRZEDRUK ZA: Deotyma [Jadwiga Łuszczewska], *Pamiętnik*, Warszawa 1910, s. 65, 71.

¹ Tj. –18,7°C.

W PODRÓŻY



31. Przez poleskie błota

Ewa Felińska (1793–1859)

Pamiętniki z życia

Po ukończeniu wszystkich drobnych i większych interesów, które zatrzymywały Gierarda¹, 14 czy też 15 marca wyjechaliśmy z Mińska. Mimo wiosenne powietrze, droga sanna jeszcze nie opuszczała, każdy korzystał, jeżeli nie ze śniegu, który niknął wyraźnie pod promieniami słońca, to przynajmniej z grubego naboju², który leżał na drodze, i nikt jeszcze nie przebierał się na koła, jakoż i Gierard kazał swoją brykę położyć na sanie, a pod rzeczy dokupił parę koni i drugie sanki i tym sposobem puściliśmy się w drogę.

Hołynka³ leżała nam po drodze, jednak ledwie można było wstąpić do niej, bo czas był bardzo pilny. Mój mąż miał nadzieję, że przed rozpuszczeniem rzek jeszcze się przeberzemy przez błota Pińskie i Mozyrskie, co skracало znacznie drogę. Oprócz bliskości jeszcze względ drugi skłaniał go za tą drogą, ona prowadziła przez Osowę, gdzie mieszkała jego matka i brat starszy Alojzy, którym chciał mię naprzód przedstawić, a gdyby rzeki puściły i trzeba było krążyć gościncem, nie tylko nałożylibyśmy drogi, ale musielibyśmy wyminać całkiem Osowę. Jakoż dla tej przyczyny największy pośpiech był potrzebny, musieliśmy czas mierzyć skąpą ręką.

Gierard, jadąc do Ziębina, wstępował do pp. Tadeuszostwa Półjanowskich. P. Półjanowska była Wołynianka rodem, z domu Oraczewska, siostra rodzona p. Wojskiej Moszczyńskiej, sąsiadki

1 Gerard Feliński (1787–1833) – mąż Ewy Felińskiej i brat Alojzego (1771–1820), poety i dramaturga.

2 Nabój – ubity stwardniały śnieg na drodze, zalegający mimo roztopów.

3 W Hołynce (w Nowogródzkim) mieszkała (u stryja) Ewa Wendorffówna przed poślubięciem Gerarda Felińskiego.

Gierarda, od której Gierard przywiózł jej list i ustne wiadomości i obiecał z powrotem wstąpić po odpowiedź. Teraz, dla uciekającej drogi, dotrzymanie tego słowa było trudnym, ale że było danym, więc bądź co bądź trzeba było uprzętnąć przeszkody i być rzetelnym. Aby pogodzić trudności, nie było innego środka tylko rozdzielić się z Gierardem, jakoż z Kiecka ja pojechałam do Hołynki, a Gierard pojechał do Zachwinowicz, gdzie mieszkali naówczas pp. Półjanowscy, z umową, że się zjedziemy na pewien dzień w Deniskowiczach, wiosce leżącej na drodze zimowej Poleskiej o cztery mile za Hołynką. Tym sposobem Gierard w powrocie całkiem wymijał Hołynkę.

Stało się według zrobionego układu. Zajechałam do Hołynki i nie zastałam już stryja, który wyjechał na kontrakta Nowogródzkie, stryjenka była tylko sama. Upakowałam swoje rzeczy, odprawiłam służącą szlachciankę, aby z nią nie mieć kłopotu w stronie oddalonej, gdyby się zatęskniła za rodziną, a na jej miejsce stryjenka dała mi do usług dziewczynę pokojową, która nie miała ani rodziców, ani krewnych, i która z wielką ochotą ze mną pojechała, znając mię od dawna, a jeszcze więcej z ciekawości widzieć obcą okolicę, o której różne bajki słyszała.

Pobyt mój w Hołynce nie trwał nad dzień jeden. [...] Kiedy wyjechałam i straciłam z oczu Hołynkę, serce się ścisnęło; tylko kłopoty drogi myśl odrywały od smutnego pożegnania ze stroną rodzinną i oddalenia od krewnych, znajomych i przyjaciół. Jakoż, droga była wcale kłopotliwa: śniegu było jeszcze dosyć, ale ten śnieg rozmiękł, zdradliwie usuwając się pod kopytami końskimi, które zamiast oczekiwanego ładu spotykały pod sobą kąpiel wodną, mniej lub więcej głęboką.

Otóż wymijam Krzyszyłowicze; [...]. Za Krzyszyłowiczami las coraz się zgęszcza, kraj przybiera postać coraz głębszego Polesia. Otóż Ostrów, Jasieniec, kraj trochę znany, bośmy jeździli raz przez ciekawość zwiedzić fabrykę sukienną założoną przez p. Obuchowicza, tylko dwie małe milki od Hołynki, ale tu już koniec znajomego mi świata. – Jedziemy dalej – śnieg robi się coraz rzadszy, wody coraz więcej, niższe miejsca nią się wypełniają, tworząc małe jeziora,

postęp wiosny odbywa się widocznie, tylko nabój na drodze trochę się opiera i walczy z promieniami słońca wiosennego, trzymamy się tego naboju i za jego pomocą przemykamy się coraz dalej i dalej.

Ale otóż i droga niknie, małe jeziorko stanęło na drodze, zdaje się być głębokie, a nie wiadomo, co kryje w swej głębi. Furmanowi się zdaje rozsądniej objechać jeziorko wkoło, gdzie śnieg panuje nad wodą, jakoż skierował konie na bok i torujemy sobie drogę śniegiem. Już ujechaliśmy znaczny kawał drogi, a zawsze mamy jeziorko na prawo. Wtem konie lejcowe⁴, stąpiwszy wprzód na jakieś podniesienie, później raptem w głąb zapadają, ale furman zaciął batogiem i wyskoczyły, a w ich trop poszły dyszlowe, ale tym nie tak łatwo wyskoczyć. Jednak czego nie dokáže silna wola furmana z tymi biednymi zwierzętami? Poforsowały się, pomęczyły, ale choć mokre i robiąc bokami, wyskoczyły z pułapki, a sanie zajęły ich miejsce i zapadły głęboko. Był to podobno rów przekopany dla ściągnięcia wody, rozmyty później pracą żywiołu.

Furman znowu zacina konie, gestem i głosem zachęca, aby sił dobyły, jakoż konie słuchają, ale sanie uwięzły i stoją w dole nieporuszone. Nowa praca furmana, nowe wysilenie koni, ale wszystko daremnie, powiedziałbyś, że jakiś duch Poleski przykuł je do spodu. Żadne wytężenie sił koni na nic się nie przydaje, uprząż się rwie, drzewo się łamie, a sanie siedzą na miejscu.

Nie zważając na śnieg i wodę, każde z nas przynosi wedle możliwości dań ze swej siły i przemysłu, ale wszystko na nic. Uprząż powiązana rwie się na nowo, drzewo naprawione znowu się łamie, a sanie siedzą w rowie, ani się ruszają. Wszystkie środki wyczerpane i nie wiadomo, co robić dalej. Ludzi mało, aby wydzwignąć sanie drągami, a droga pusta, nikt nie jedzie. Wsi nie ma blisko – to Poleśie – siedzimy blisko godziny, a żaden postęp na lepsze nie zrobił się w naszym położeniu, chyba na gorsze; bo i konie zmęczone i uprząż porwana i orczyki⁵ połamane. Jednym słowem bieda! bieda!

⁴ Tj. idące w lejcach przed końmi dyszłowymi.

⁵ Orczyk (z niem.) – poziomy drążek do połączenia uprzęży.

Wtem słyhać jakiś głos ludzki w stronie lasu, z którejśmy przyjechali. To niby głos zbawienia. Zawiesiliśmy wszystkie nasze prace, przysłuchując się, czy słuch nie omylił. Po chwili głos się powtórzył, niby nas bliżej, nadzieja wstąpiła do duszy; wszystkich wzrok zwrócony w tę stronę, skąd głos dał się słyszeć.

Otóż wysuwa się z lasu gruby koń kasztanowaty, z konopiatą grzywą; za nim budka pokryta rohożą⁶, a na przodzie, z nogami na bok spuszczoneymi siedzi markietan⁷ z długą ryżą brodą, z szyją obnażoną, która wysuwając się z sinej koszuli drylichowej świecącej spod kożucha, zdaje się urągać zimnu i wiatrom marcowym.

Koń stąpa powoli mierzonym krokiem, markietan dla uweślenia samotności zanucił jakąś piosenkę, a my czekamy niecierpliwie, aby się zbliżył do nas, żeby można poprosić o ratunek. Ale markietan zbliżywszy się do jeziora nie pojechał naszym śladem, ale prosto w wodę. – A jeżeli nas wyminie i pojedzie dalej, co będzie z naszą nadzieją ratunku?

Bojąc się stracić jedynej pomocy, jaką nam Bóg zesłał w tej pustyni, wychylam głowę z budy i zaczynam wołać tak aby posłyszano.

– Pomóżcie! Pomóżcie!

Markietan czy głos posłyszał, czy gest zrozumiał, dość, że zatrzymał swoją powózkę, a nie zważając, że zamoczy nogi, wysiadł w wodę i przyszedł do nas.

Nie trzeba mu było tłumaczyć naszego położenia, ono było widoczne. Pochodził na oko[ło] powozu, pokręcił głową, a potem mówi:

– Czego żeście tu pojechali? Czemu nie było jechać drogą, ot tam, którędy ja pojechałem.

– Bo drogi nie było widno. Myśliliśmy, że tam głęboko, a tu zdawało się niczego, dołu pod śniegiem nie było widno. [...]

Ta rozmowa nie zabrała dużo czasu, a nawet mówiąc, markietan nie tracił z oka sani, szukając oczyma przyczyn przeszkadzających

⁶ Tj. rogożą, matą z suchych łądyg.

⁷ Tj. handlarz wędrowny.

oswobodzeniu. Wreszcie zbadawszy okiem, popróbowwał jeszcze rękami, a potem plecami ich ciężaru, a opatrzywszy dobrze miejscowość i zdeptawszy śnieg własnymi nogami, poszedł do swojej powózki, wyprzągnął swego kasztana o grubych nogach i przyprowadził go ze swoją własną uprzężą.

– Wasza uprzęż nic niewarta – powiedział. – Wyprzężcie wszystkie swoje konie. –

Furman usłuchał bez sprzeczek i zrobił, co kazał markietan, a ten na miejscu czterech koni dość silnych, któreśmy mieli w naszych saniach, przyprzągnął swego jedynaka, a dopomógł mu głosem i własnymi plecami i ramieniem, z największym naszym podziwieniem ruszył sanie od razu, wyciągnął z rowu i postawił na suchym. [...]

Rozstaliśmy się po przyjacielsku z markietanem; a skoro mi konie zaprzężono, do czego i on dopomógł, opatrując, czy nie ma co nadwerężonego lub popsutego, puściłam się w dalszą drogę, markietan zaś został przy swojej powózce, wprzęgając do niej na nowo kasztana.

Nauka w las nie poszła, nie zjeżdżając więcej na objazdki, tylko pilnując się utartej drogi, choć na niej stawały nieraz kałuże z wody, dojechalśmy do Deniskowicz bez przypadku. Choć jeszcze można by ujechać jaką milę, miarkując po czasie, ale że to był punkt umówiony, w którym miałam zjechać się z Gierardem, kazałam wjechać do karczmy, nie bez nadziei, że go tam znajdę. Wszakże, choć ta nadzieja zawiodła, byłam pewna, że się tylko odwlekła, bo Gierard lubił być słownym. [...]

Doczekałam się nareszcie Gierarda. Nie widzieliśmy się z sobą trzy dni. Ileż to rzeczy do mówienia ze stron obydwóch! Trudno było wiedzieć, od czego zacząć, co przed czym mówić; ale w końcu na wszystko znalazło się miejsce, a naturalnie, że pocziwy markietan nie był zapomniany. Tak miło popieścić duszę prostym a pocziwym obrazkiem, że i Gierard podzielił dla niego przyjazne uczucia. [...]

Nazajutrz wyjechalśmy z Deniskowicz. Ta wioska jest ostatnim punktem dotykającym suchego łądu na drodze zimowej prowadzącej przez błota i łączącej Wołyn z Litwą. [...]

Deniskowicze są kluczem otwierającym wstęp do niskich płaszczyn dostępnych zimą, a nieprzebytych latem.

Stanąwszy na krawędzi suchego łądu, z żalem niejaki obejrzeliliśmy się poza siebie, żegnając ziemię bezpieczną, gdzie w każdym czasie można stawić nogę z pewnością, a z nieufnością spojrzeliśmy na tę przestrzeń zagadkową zostającą do przebycia, kryjącą w sobie tyle niebezpieczeństw, zgubnych zasadzek, pod fizjonomią jednostajną.

Wyjechawszy z Deniskowicz, zaczęliśmy przebywać sznur wąskich grobelek, ułożonych z krąglego drzewa, niedługo jednak one nam służyły za przewodnika, bo wjechaliśmy na ocean błot nieścignionych okiem, znajomej w topografii miejscowej pod nazwą Małego i Wielkiego Hryczyna. [...]

Otóż wjechaliśmy na ten sławny Hryczyn, jest to przestrzeń kilkomiłowa, na której nie ma osady ludzkiej dla niskiego położenia. Zimą ucierają gościniec na owej taflii lodowej i robi się droga równa, gładka i najbliższa, bo w prostej linii przecinająca błotnistą przestrzeń dzielącą Wołyń od Litwy. Latem to warownia niezdojta dla obcego podróżnego, jednak miejscowi mieszkańcy, trzymając w rękę nić Ariadny, umieją się kierować po tych przestrzeniach. Oni znają twardsze przesmyki, im tylko wiadomą głębokość brodów, oni i drzewa wywrócone przypadkiem, niby od niechcienia, umieją użyć zamiast kładek i po nich przebrać się z miejsca na miejsce i zapanować nad tą dziką ojczyzną.

Nie ma tu sosen wyniosłych i prostych jak świece, jak w puszczech Deniskowickich i innych leżących na wyższym gruncie, tu roślinność karłowata nie śmie w niebo wystrzelić; gdzieniegdzie sterczy nad poziom krzak łoży, lub pnie się do góry nędzna brzezinka, a resztę niższej roślinności pokryła woda powstała z roztopów śniegowych, która zajmąwszy pod swe panowanie całą niską płaszczynę, rozpostarła się po niej, kształcąc ogromne jezioro.

Aż strach się zrobiło, wjechawszy na tę okazałą przestrzeń wody; za całe bezpieczeństwo służyły ślady ubitej drogi, które przeświecały pod płytko rozlanym płynem, ale ta skazówka co

chwila robiła się ciemniejszą, bo wody przybywało coraz więcej, a śniegi i lody w miarę topnienia utracaly zimowe kształty. Coraz było trudniej kierować się po tym bezbrzeżnym jeziorze, a tu żadnego podróżnego nie obaczyć, żadnego mieszkańca ludzkiego ani się spodziewać. Tylko dwa punkta ruchome posuwają się po tej przestrzeni wodnistej, a każda piędź przebytej drogi jest tryumfem zdobytym na groźnej przyrodzie.

Ale cóż znaczy trochę drogi z trudnością przebytej wobec obszaru, który mamy przed sobą? wobec tego splotu rzek, których pominąć nie można, a które co godzina więcej przybierają wody? Jednak odwaga nie opuszcza, śpieszymy, byle dalej, dalej.

Przebyliśmy na koniec Mały Hryczyn, a wjechaliśmy na Wielki, tak przynajmniej utrzymuje nasz furman udający, że zna lepiej od nas miejscowość, bo ją kiedyś przebywał, a oprócz niego zapytać się nie było u kogo; nie spotkaliśmy na tej przestrzeni żadnej ludzkiej twarzy, tylko chmury kaczek i ptasiwa wodnego rozmaitych nazw i kształtów, szybujących swobodnie w powietrzu, ale to nie rozmowni współpodróżni, niczego się od nich dowiedzieć nie można. [...]

Wielki Hryczyn przedstawił nam fizjonomią nierównie groźniejszą niż mały. Pierwszy świecąc spokojną taflą o wodzie przezroczystej, ukazywał po przyjacielsku tajemnice na swym dnie złożone. Tam dostrzegałeś skorupę lodu porysowaną śladami płózów, które jeszcze nie znikły całkiem pod działaniem wody, tu lód zlizany, a spod niego świeci szczyry żółty piasek, ale oko twoje tuż za tym piaskiem znów się czepia do bryły lodu i szuka na niej śladu dawniejszej drogi. Na wielkim zaś Hryczynie sina woda nie patrzy na ciebie tak wesoło, nie chce z tobą wchodzić w poufne stosunki. Ruchoma fala, marszcząc grzbiet swój, igrającymi bałwanami zakryła sobą wszystkie tajemnice swej głębi, musisz jej powierzać się na oślep, a ona żadnym uśmiechem dobrej wróżby nie odpowiada twemu zaufaniu, oblicze jej ciemne, dno niewiadome, mruczy pieśń wiosny, ale ten głos zdaje się być więcej groźnym niż pieszczącym. Jednak potrzeba cię nagli, musisz choć z trwogą puszczać się na te niezbadane przestrzenie, instynktem tylko szukając dawnej drogi

i drząc, aby nie natrafić na nurty Łani lub innej rzeki, które po-
krzyżowały rozległą nizinę.

Zapuściwszy się jednak w te błota trzeba je przebyć, a prze-
być jak można najprędzej. Za dzień, za dwa, może być za późno. Póki łód nie puścił na rzekach, jeszcze przeprawa podobna⁸, ale chwile są policzone, przy końcu marca wiosna nie żartuje, jeden dzień, jedna godzina może zmienić postać kraju i rzuci przed wę-
drowcami tamy nieprzebyte. W takim razie nie byłoby nawet drogi
praktycznej, aby z punktu, na którym byliśmy, dostać się do go-
ścińca pocztowego, który został na prawo. Brniemy więc po tych
wodach, aby jak najspieszniej przebyć tę nizinę i rzek węzeł, i do-
stać się na ląd wyższy. Nie bez obawy jednak myśl się zwraca do
chwili, w której mogą runąć pod nogami te mosty lodowe, które
jeszcze trzymają się jako tako.

Kilka razy byliśmy zagrożeni niebezpieczeństwem zgubienia
zupełnie drogi, kilka razy zbiwszy się na bok, zagrzęzialiśmy w bło-
cie, ale przy natężonych usiłowaniach wydobywaliśmy się z biedy
i znów posuwaliśmy się naprzód, choć żółwim krokiem w miarę
chęci pośpiechu. Każda prawie godzina mnożyła trudność, bo wody
wraz przybywało, a ta masa robiła się coraz groźniejszą.

Otóż znów zbiliśmy się na bok z ubitej drogi, której nie widać
pod wodą, i sanie zagrzęzły w błocie.

Konie wyężdżają wszystkie swoje siły, ludzie i siły, i przemysł⁹,
ale sanie osiadły na miejscu, a co gorsza, że straciliśmy zupełnie
drogę. W prawo, w lewo, nigdzie nie można znaleźć odrobiny lodu,
tylko czysta ziemia daje się czuć pod wodą, tak że nawet wydo-
bywszy się z obecnego niebezpieczeństwa, nie wiadomo jak sobą
zakierować; i koniom niedługo stałoby siły, ciągnąc ciężkie sanie
po gołym piasku.

A tu jak na nieszczęście żadnego podróżnego, żadnej żywej
duszy nie obaczyć, aby rozpytać się przynajmniej, bo któż wyjedzie

⁸ Tj. możliwa.

⁹ Przemysł – tu w dawnym znaczeniu – zdolność, zręczność do robienia czego.

na taką bezdróż? Jednak z drogi już przebytej miarkujemy, że wielki Hryczyn powinien się prędko skończyć, a za nim, że znajdziemy łąd wyższy i wioskę.

Po próżnych usiłowaniach wydobyć się z biedy, mój mąż zdecydował, aby nie męczyć więcej koni i ludzi, a że on sam pojedzie konno szukać wioski, skąd przyprowadzi jakiś ratunek w ludziach lub koniach; jakoż kazał zaraz wyprząć konia, nakiełzać i sobie podać.

Widząc, że przychodzi zostać może na kilka godzin samej jednej w saniach, niby na wyspie otoczonej wodą, z której nie można zrobić ani jednego kroku, wzięła mię ochota towarzyszyć Gierardowi, jakoż podałam mu tę myśl. Gierard się nie sprzeciwił, więc przyrządzono mi zaraz drugiego konia jak można było najlepiej, podprowadzono blisko sań, z których było bardzo wygodnie przemieść się na grzbiet rumaka.

Otóż jestem już na koniu, czuję się swobodną opuścić te przekłete błoto, które nas złapało niby w pułapkę. Moja postać amazońska musiała być dosyć śmieszna, ale mię to nie obchodziło; wiedziałam, że nie spotkam nikogo na tej pustyni, a już mię znudziło nic nie mieć przed oczyma, tylko obłoki, wodę i trochę krzewów karłowatych.

Oprócz nas dwojga wsadzono jeszcze na koń jednego człowieka, który by pokazał drogę ugodzonym ludziom do wydobyć sań, a tak, w dość dziwacznej kawalkadzie puściliśmy się jak nowy Kolumb na odkrycie nieznanego, lecz przeczuwanego łądu.

Jechaliśmy jaki kwadrans przez wodę, później las zaczął wyglądać gęściej, i coraz mniej wody, nareszcie obaczyliśmy drożynę, a tą drożyną jadąc to lasem, to znów wyjeżdżając na moczary, nie więcej jak po godzinnej drodze, obaczyliśmy małą poleską wioseczkę. Wszyscy troje postrzegłszy ją, wykrzyknęliśmy z radości, pokazujemy ją sobie nawzajem palcami, jakby jaką osobliwość. Widok najpyszniejszego pałacu postrzeżonego w mieście nie zrobiłby ani dziesiątej części tej przyjemności, jakiej doświadczyliśmy za ukazaniem się małej gromadki chat niskich okopconych dymem, które zaledwie wyglądały na ludzkie mieszkania. [...]

Wjechawszy nareszcie do wiosieczki, zajechaliśmy do budyneczku, który choć nie miał miny domu zajezdnego, jednak inaczej trochę wyglądał niż reszta chatek wieśniaczych. Nie pomyliliśmy się. Istotnie był to ratusz miejscowy czyli szynkownia, można było zaraz się domyślić po obecności Żyda, Żydówek i Żydziątek.

W innym razie może by się skrzywiło na brudne ściany, po których łążyły gromady prusaków, może by się nos zatknęło, kiedy uderzyły wyziewy z dymu, ryby, pomieszane z zapachem bahunu¹⁰, dziegciu, przy nieznośnym gorącu, ale wtenczas na nic się nie zważało, a powitało się gościnną izdebkę z prawdziwą przyjemnością. Tyle godzin byliśmy wśród błota i wody, że suche i ciepłe powietrze, nawet ze wszystkimi niepotrzebnymi dodatkami, zdawało się być rzeczą pożądaną.

Mój mąż zajął się zaraz wyszukaniem ludzi do wyciągnięcia sań z błota i dostawienia ich na miejsce, jakoż wkrótce znaleźli się tacy, ale zdecydowano, że konie trzeba zostawić na boku, a wyciągać sanie wołami. Mój mąż nie sprzeciwiał się temu, jakoż ludzie miejscowi wzięwszy z sobą kilka par wołów z przewodnictwem naszego człowieka poszli ratować sanie.

PRZEDRUK ZA: Ewa Felińska, *Pamiętniki z życia*, seria 11, t. 1, Wilno 1858, s. 149–183.

¹⁰ Bahun (*Azalea pontica*) – różanecznik żółty, roślina z rodziny wrzosowatych.

32. W śnieżnej zawiei

Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887)

Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy

Lecz potrzeba mi było jeszcze widzieć pustynie Zarzecza, te błota ogromne, zimną, gdy je biały śnieg pokryje, gdy w górze nad nimi białe śniegi zawisną, gdy fale śnieżyste zewsząd otaczają podróżnego, a człowiek jadący lub idący, wedle tutejszego wyrażenia, znajduje się wśród tej jednostajnej białości – jak w jaju. Jest coś osobliwszego w położeniu i rodzących się z niego uczuciach podróżnego, który dokoła siebie, nad sobą, przed sobą, nic prócz tej jednostajnej białości nie widzi. Wyobrażenie niebezpieczeństwa, które istotnie bywa wielkie, jeśli się jedzie tymi błotami wśród zawiei, ta nieskończona jednostajność, wiatr i śnieg wionące na niego dziwnie go cieszą i w dumę wbijają, może dlatego, że się czuje silnym przeciwko wszystkim żywiołom, jak rycerz stojący do boju. Tym, którzy by nie wierząc w rzeczywistość niebezpieczeństwa, mieli ochotę śmiać się z niego, moglibyśmy przywieść aż nadto częste przykłady ludzi zbłąkanych wśród zamieci i zmarłych o kilkadziesiąt kroków od domu, którego dojrzeć, przeczuć ani się domyślić nie mogli.

Kiedy wiatr ze śniegiem suchym zapełnią powietrze, zabiela cały świat, nikt się w drogę nie rusza, wszyscy siedzą, gdzie kogo zastała zawierucha, a kogo konieczność wypycha z domu, ten ufa w Opatrzność, że go jak nurka z głębi przepaści wydzwignie. Zawieja w lasach najmniej jest straszna, bo się tam rozbita drzewami czuć prawie nie daje, a droga zostaje widoczna; lecz w miejscach odkrytych, zamiatając drogi i rzeki wszystkie, po których poznać by można miejsce, zasłaniając najmniej nawet oddalone przedmioty, na oślep, instynktem puszczając się przymusza. Najbezpieczniej

w takim razie uważać kierunek wiatru, aby zawsze przynajmniej w jedną jechać stronę i w kółko się nie kręcić; lecz i wiatr może zdradzić, gdy się niespodzianie obróci, co się bardzo trafia.

Na szerokich pińskich błotach zawieja straszna; nic tu drogi nie wskaże obłąkanemu, a stóg spotkany nic nie nauczy, gdyż ich tu ilość taka po ogromnych łąkach, że sam właściciel do swojego by w zawieruchę nie trafił. Trzeba dla wybrania się w taką podróż być zakochanym, kupcem lub szalonym – tak mi mówił jeden nieznamy podróżny, któregom wśród zamieci spotkał na błotach. – Zapomniał o turystach.

Tu jak w lecie płyną, tak zimą jadą po rzekach szczególnie, gdyż one najlepiej wskazują drogę. Można się wprawdzie załamać gdzie na oparzelisku¹ i utonąć, ale któżby na taką fraszkę uważał? Ogromne szeregi furmanek ciągną się nieraz pomimo odwilży, po kostki w wodzie przez rzeki i jeziora chruszczące pod nogami i dopóki kto się nie załame, uparcie ufają w siłę lodów.

Warto choć raz w życiu tą drogą jechać wśród zamieci dla uczucia widoku tej nieskończonej białości nieprzerwanej niczym, dla natrzenia się w te przestrzenie jednakie jak wieczność, które chyba w śnie gorączkowym wymarzyć by można, nie widząc ich nigdy.

PRZEDRUK ZA: Józef Ignacy Kraszewski, *Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy*, Paryż [1860], s. 116–117.

Wydanie to różni się w szczegółach i autorskich uzupełnieniach od pierwodruku (Wilno 1840), na którym oparto edycję współczesną (ŁSW, Warszawa 1985).

¹ Oparzelisko – wydzielające ciepło torfowisko niezamarzające zimą, nad którym unoszą się opary.

33. Zwodnicze ciepło Ekaterynburga

Ewa Felińska (1793–1859)

Wspomnienia z podróży do Syberii [fragmenty]

Dotąd jechałyśmy saniami po wcale dobrej drodze, a ponieważ dążyłyśmy na wschód-północ, miałyśmy nadzieję zajechać bez przeszkody, nie będąc zmuszone odmieniać rodzaju powozu, przynajmniej do Tobolska. Wszakże wjeżdżając do Ekaterynburga, inny przedstawił się nam widok. Zamiast śniegu, konie miesiły nogami szare i rzadkie błoto.

Było to dla nas wcale niemiłe zdziwienie. Zajechałyśmy na kwaterę: tymczasem nasz przewodnik poszedł zasięgnąć wiadomości, i stosownie do nich obmyślać środki dalszej podróży. Niedługo wrócił z niepokieszną wiadomością, że dalej ku Tobolskowi śniegu nie ma, a zatem że tu wypada rozstać się z saniami.

Arcy nieprzyjemna była to dla nas okoliczność: mając worek źle opatrzonej, bez nadziei podkrzepienia go z jakiegokolwiek strony, niepodobieństwem było zaopatrzyć się choćby w najlichszy powóz kołowy na własność, trzeba było zdecydować się jechać *perekładną*, czyli wózkami pocztowym.

Nie było nad czym myśleć. Wygodne sanie zostały własnością gospodarza domu, w którymeśmy się zatrzymały, który wspaniało-myślnie, jak mówił przez wzgląd na nasze położenie, zapłacił za nie kilka rubli naszemu przewodnikowi; my zaś, przełożywszy rzeczy nasze na wózki pocztowe, puściłyśmy się dalej. [...]

Przebywszy po błocie ulice Ekaterynburga i oddaliwszy się nie więcej jak na wiorstę od tego miasta, znaleźliśmy się znów na gościńcu okrytym śniegiem; jedziemy dalej, wszędzie śnieg okrywa okolicę rozścielającą się przed okiem. Rozpaczynam rozmowę z woźnicą, i ze zdziwieniem dowiaduję się, że oprócz samego

miasta Ekaterynburga, nigdzie się nie spotkamy z błotem po drodze do Tobolska. Tenże sam woźnica powiedział mi, że cały sztat¹ pocztarski mocno był zdziwiony, kiedy zapotrzebowano dla nas powózek kołowych zamiast sani.

Pomiarkowałam, że jesteśmy ofiarą jakiegoś niewyrozumienia, czy też oszukaństwa.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską*, Wilno 1853, t. 1, s. 30–31, 34.

¹ Sztat – (z ros.) – zespół pracowników urzędu czy instytucji.

34. Burza na rzece

Ewa Felińska (1793–1859)

Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie [fragment]

Po ranku bardzo pięknym gwałtowna zerwała się burza. Statek, nie przewidując tak nagłej zmiany, znajdował się na pełni rzeki. Powstał krzyk, hałas. Trzeba było zbliżyć się na miejsce płytsze, aby można zarzucić kotwicę. Z jednej strony brzeg był wyniosły i nurt głęboki, a wiatr właśnie pędził ku temu brzegowi; do drugiego, gdzie była szyba wody nieco spokojniejsza, zbliżyć się przy wietrze trudno było. Bałwany gwałtownie kołysały statkiem. Najbieglejszych i najsilniejszych ludzi użyto do steru. Była obawa, aby rudel się nie złamał, co by wystawiło statek na wielkie niebezpieczeństwo. Przygotowano ogromne wiosła, leżące umyślnie w zapasie na podobny przypadek. Potrafiono jednak bez przypadku przybić do miejsca, gdzie woda, tworząc kolano, zasłoniąca była nieco od wiatrów okalającym lasem, i tam zarzucono kotwicę.

Przestaliśmy dzień cały na miejscu. Zimno było przenikliwie, śnieg padał pędzony mocnym wiatrem.

Nad rankiem wiatr ustał; puściliśmy się w dalszą podróż¹.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską*, Wilno 1853, t. 1, s. 68–69.

¹ Felińska płynęła z Tobolska po rzece Irtysz do miejsca zsyłki w Berezowie.

35. Wichura i rzeka

Ewa Felińska (1793–1859)

Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie [fragment]

Opatrzywszy się zatem we wszystko, co potrzeba było do łapania kaczek, oraz zrobiwszy zapas żywności na jeden wieczór, wyruszyliśmy z Berezowa, mając zamiar wylądować o wiorst piętnaście, gdzie miało być miejsce najdogodniejsze na ten rodzaj polowania.

Zaledwie ujechaliśmy wiorst kilka, powstała silna burza. Bałwany rzucały gwałtownie naszą rozkołysaną łódkę, grożąc niebezpieczeństwem; bryzgi bałwanów, rozbijając się o boki łodzi, kropiły nas jak deszczem. Sternik musiał użyć całej baczności, aby kierując zawsze przód łodzi naprzeciw bałwanom, uniknąć jej zalania.

Złożono walną radę, z której wypadło, aby nie płynąć do miejsca oznaczonego, wylądować na bliższym brzegu, czekając przyjaźniejszej pory do dalszej żeglugi.

Przy silnej burzy nie było łatwo przybić do brzegu. Trzeba było z największym niebezpieczeństwem przepływać w poprzek głęb, czyli koryto rzeki, na którym bałwany były najbardziej rozhukane. Jednak, przebywszy prąd z wielkim usiłowaniem, wpłynęliśmy w zatokę, która osłoniąca będąc wierzbami, miała powierzchnię mniej rozhukaną.

Z wielkim ukontentowaniem wylądowaliśmy z całym bagażem, i rozłożyliśmy ogień.

Po rozłożeniu ognia, następnym aktem było nastawienie samowaru. Tymczasem pani x. i Wakuliński poszli strzelać kaczki, obiecując upolować zwierzyny na wieczór, i z powiększonym zapasem spiżarniowym, jechać na dalsze stanowisko, gdy wiatr trochę ucichnie.

Wszakże herbata była gotowa, a wiatr nie ustawał. Na domiar niepomyślności, kompania strzelająca, wystrzelawszy wszystkie naboje wróciła bez zdobyczy, ale za to, jak zwykle na polowaniu, z zapasem dobrych przyczyn, dla których polowanie się nie powiodło.

Pocieszając się, piliśmy herbatę, wyglądając lepszej pory. Po niejakiem czasie, gdy ta lepsza pora nie nadchodziła, zjedliśmy zrazy, któreśmy wzięli z sobą na wieczerzę, a tu wiatr jak huczy, tak huczy.

Wreszcie wieczór nadszedł, nie było czasu myśleć o dalszej wyprawie. Uradzono, aby na tymże miejscu noc przepędzić, a zatem i sieci rozwiesić.

Członkowie myśliwskiego towarzystwa rozbiegli się, aby znaleźć stosowne miejsce do rozpięcia sieci, a gdy wrócili ze wzwiadów, zebraliśmy bagaże, usiedliśmy znów na łódkę i płynęliśmy dalej w zatokę.

Tam woda była zupełnie cicha, przywiązawszy zatem łódź do wierzby pochylonej nad wodą, zaczęliśmy rozwieszać sieci.

Z wielką trudnością ta praca dokonać się dała, bo wiatr był bardzo silny, przeto wywracał tyczki, a miotając siecią, nie pozwalał swobodnie ją rozpinać. Jednak gorliwa praca pokonała trudność, nie zapewniwszy wszakże dobrego powodzenia. Kaczek było bardzo dużo, ale że noc była widna jakby w dzień, do tego wiatr, silnie nadymając *perewies*¹, robił go tym widoczniejszym, kaczki nie chciały nań lecieć. Uważaliśmy przeto polowanie za zupełnie chybione.

Straciwszy nadzieję pomyślnego łowu, przejęci zimnem porzuciliśmy sieć rozpiętą na igraszkę wiatrom, sami zaś zasiedliśmy grzać się u ogniska, kiedy niebo zaczęło się czerwienić od wschodu, co znaczyło bliskie wejście słońca na widnokrąg. Tymczasem wiatr nie przestawał huczeć z największą siłą nad naszymi głowami, opuszczony od wszystkich *perewies* miotał się w powietrzu jak wściekły.

Na koniec słońce zaczęło wynurzać swą głowę nad ziemię; wyglądaliśmy go dość niecierpliwie, mając nadzieję, że wejście tej gwiazdy wpłynie na uciszenie wiatru, jak to nieraz się trafia.

¹ *Perewies* (ros.) – sieć na ptaki.

Próżna nadzieja! Słońce świeci, a wiatr nie przestaje miotać wściekle drzew wierzchołkami. Zaczęliśmy serio się niepokoić, co będziemy robić dalej.

Brzeg, na którym znajdowaliśmy się wówczas, był przeciwny temu, na którym zbudowany był Berezow, a dla niskości gruntu, zgoła był niezamieszkały. Gdybyśmy szli wiorst kilkadziesiąt, nie znaleźlibyśmy mieszkania ludzkiego. Burza mogła potrwać dni kilka, podczas której przeprowić się za rzekę w błażej łódce jak nasza, bez największego niebezpieczeństwa, było niepodobnym; tym bardziej, żeśmy nie mieli biegłego sternika. Żywności żadnej nie mieliśmy, proch wszystkim był wystrzelany, który by pomógł do zdobycia żywności. Co robić w tak niepokojącym położeniu?

Cierpliwość i ufność w BOGU, była hasłem nas wszystkich. Nie mogąc nic działać, jedni z nas zasiedli grazić się koło ogniska, inni machinalnie usiedli koło *perewiesa*, oczy mając zwrócone na stada kaczek, które zrywały się z wody i odlatywały dalej; ja z nudy poszłam błąkać się ponad brzegiem zatoki, a gdy weszłam dość daleko, zachciało mi się dojść aż do Soswy i spojrzeć na pieniające się bałwany tej szeroko rozlanej rzeki. Burza bowiem hucząca w powietrzu obiecywała wspaniałe widowisko.

Uszłam z wiorstę. Już szeroka tafla wody przegląda przez gałęzie wierzb. Zbliżam się do brzegu, o dziwy!!! Mimo wiatr silny, pochylający ku ziemi drzew wierzchołki, powierzchnia wody na Soswie lekkimi tylko była okryta marszczkami, kiedy wczoraj, przy mniej silnej burzy, bałwany były wysoko.

Oczom swoim nie wierzę. Myślę, czy nie zbłądziłam, czy nie jestem nad jaką inną zatoką, inną wodą. Dla uspokojenia wątpliwości, rozpatruję się w miejscowości² i znajduję szczątki wczoraj nałożonego ogniska, przy którym piliśmy herbatę, porozrzucone papiery i inne ślady naszego chwilowego koczowania nad tym brzegiem.

Rzuciwszy jeszcze raz okiem na Soswę, zapewniwszy się, że nie jestem w błędzie, lecę co tchu zwiastować ten cud, tę radością

² Tj. okolicy.

nowinę moim współtowarzyszom. Jakoż nie tracąc czasu, zbieramy *perewies*, zabieramy się na łódkę i odbijamy od brzegu.

Na domiar pomyslności, w czasie moich wzwiadów, stado kaczek osłepione zapewne blaskiem wschodzącego słońca wpadło na *perewies*, i Wakulińskiemu poszczyściło się nakryć ich cztery.

Przyczyną uciszenia fal na rzece było jak się zdaje to, że wiatr wczoraj, wiejąc z północy, był w sprzeczności z biegiem wody, a zatem dwie siły, spierając się sprzecznie, podnosiły silne bałwany. Dziś, obróciwszy się z południa, wiał zgodnie z biegiem wody. Ta więc, nie odpychana wstecz siłą wiatru, płynęła spokojnie.

Z prawdziwą przyjemnością wpłynęliśmy na Soswę, a jakby niedowierzając własnym zmysłom, jakby bojąc się jakiej zdrady, wszyscy wzięliśmy się silnie do wiosł, aby przepłynąć przynajmniej co prędzej rzekę w poprzek i być w stanie w każdym momencie, w złej chwili szukać schronienia na brzegu przeciwnym, skąd i piechotą można by się dostać do naszego pomieszkania.

Obawa nasza była próżną. Bez żadnego niebezpieczeństwa przy płynęliśmy do Berezowa, i na bajraku³ wylądowaliśmy prawie pod samym domem naszym.

Wielka to prawda, że tylko niepokoje, kłopoty, prywacje mogą oznaczyć cenę przyjemności codziennych.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską*, Wilno 1853, t. 1, s. 286–290.

³ Tj. drewnianym pomoście.

36. W zamieci

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragmenty]

Święta i wakacje spędzaliśmy w domu. Wyobrazić sobie trudno coś bardziej ożywionego, jak wyjazd z zakładu takiego jak koszary chłopców, zimową zwłaszcza porą. Zapanowuje nagle ruch nie do opisanego. Zajeżdżają co moment sanie i sanki, zaprzężone parą lub czterema w lejc końmi, i zabierają nieposiadającą się z uradowania młodź. Pożegnania pomiędzy kolegami odbywają się szybko, przechwałki w powietrzu się krzyżują. Przedmiotem przechwałek były konie. Ten, po kogo przysłano chmyzy¹ folwarczne, nos na kwintę spuszczał. Ten, po kogo zajechały konie stajenne, czwaniał się i wynosił.

– Chodź ino, zobacz: w dyszlu wilczaty, w lejcu siwy, o których ci opowiadałem... Na szyjach mają dzwonki...

Fantazja ukraińska grała. Najjaskrawiej z nią występowali Zapolscy i Sagatowscy. Starszy Sagatowski, chłopak rudy i piegowaty, gdy po niego sanki w cztery konie zaprzężone zaszyły, natychmiast na kozioł wskoczył, furmana po tłumoki wysłał, i począł po podwórzu ósemki wywijać, strzelając z bata z ręki raz prawej, znów lewej. Szło mu to doskonale. Konie chodziły, jak skoczki po linie, wykonywując zwroty, jakie im nadawała wprawna młodego wóznicy ręka. [...]

Po nas w czasie owym przyjechała była matka. Oprócz nas dwóch miała jeszcze do zabrania siostrę moją Bronisję, która się uczyła w Iłce², u państwa Rubczyńskich, rodziców pojedynkowego

¹ Chmyz – mały, niepozorny okaz zwierzęcia.

² Iłka, Ildzka – wieś w powiecie braclawskim.

przeciwnika mego. Podróż mieliśmy bardzo uciążliwą. Gdyśmy już do domu dojeżdżali, zaskoczyła nas noc i zawieja śnieżna. Minęliśmy Markówkę; do Wysokiej Grobli mieliśmy nie więcej, jak pół mili; na pół mili tej zbłądziliśmy i trzykrotnie do Markówki wracali. Konie lejcowe³ w jar jakiś wpadły, wydobywać je trzeba było. Furman i lokaj uparli się, do domu dojechać koniecznie chcieli; musieli jednak ustąpić: nocowaliśmy w Markówce.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 167–168.

³ Koń lejcowy – koń idący w lejcach przed koniem dyszlowym.

37. Na skróty przez rzekę

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Od stryja do Kurzańskich droga wypadła mi na Krzywe Jezioro i czyniła kąt ostry dla mostu, rzuconego na Kodymie, oddzielającej gubernię chersońską od podolskiej. Krzywe Jezioro leży nad Kodymą, niżej zaś, o mil parę odległości, nad rzeką tąż samą położone są Berezki, wieś spora, którą Kurzański dzierżawił. Od stryja do Berezek w linii prostej było o mil dwie przynajmniej bliżej, aniżeli na Krzywe Jezioro. Kodymą jednak na przeszkodzie stała, a to pomimo że w Berezkach znajdował się młyn i zagroblenie¹. Zagroblenie to nie służyło do komunikacji wozowej, nie przejeżdżano tamtędy, przechodzono jednak. Wydało się mi, iżbym się mógł przeprawić tamtędy, przechodząc, konie po jednym przeprowadzając i wózek przenosząc. Przyszło mi to na myśl, gdym od stryja wyjechał; zapytałem furmana, czyby tego skutecznie nie można. Furman, człek młody, krasnopolski poddany, nazwiskiem Hnat, rzecz tę za możliwą uważał, mając ku pomocy kozaczka, który funkcję lokajską pełnił. Szczęsnemu także nie wydało się to rzeczą niemożliwą. Chodziło jeno o wynalezienie przekątnej przez step i wyprostowanie drogi na młyn w Berezkach. I to się niepodobnym nie wydało. Wzięliśmy się więc w prawo, z traktu zjeżdżając, i puściliśmy się w kierunku ukośnym, bacząc na to, ażeby się trzymać linii prostej, która by nas poniżej Krzywego Jeziora nad brzeg Kodymy zaprowadziła. Jazda nam dobrze szła, do Kodymyśmy się dostali, aleśmy nie wyjechali na Berezki i zmiarkować nie mogli, czy leżą one powyżej, czyli też poniżej. Słońce zachodziło, rozpytać nie było kogo.

¹ Zagroblenie – wał ziemny spiętrzający wodę.

Oglądaliśmy się, czekali, podjechali trochę w górę rzeki, wrócili i nie wiedzieli, czego się ostatecznie chwycić.

– Gdyby się tak za rzekę dostać – odezwał się ktoś spomiędzy nas – to na tamtej stronie kogoś by się przecie spotkało.

Tamtą stroną równoległe do rzeki przechodził trakt pocztowy z Bałty do Olhopola. Widzieliśmy w dali przebiegające bryczki i ciągnące wałki czumackie², uszów naszych dochodziły odgłosy, świadczące o ruchu podróżnych; aleśmy z tego korzystać celem dowiedzenia się o położeniu Berezek nie mogli.

– A czyżby wpływ przejechać nie można? – rzucił bodaj czy nie Szczęsny.

– Onoby to można – odrzekł Hnat.

– Gdyby nie to, iżby się można utopić... – wtrąciłem.

– Ij... – podchwycił furman. Niby to nie, jak ten powiada, raz matka rodziła?...

– Próbuji... – rzekłem, tknięty w miłości mojej własnej tym, że Hnat okazał się odważniejszym ode mnie. Do przeprawy podobnej miejscowość nadawała się o tyle, że grunt twardy i na pół piaszczysty wybrzeża świadczył o twardości gruntu rzeki, przepływającej wśród oczeretów³, porastających na jednym i drugim brzegu. Spomiędzy oczeretów ukazywał się nurt, który od słońca zachodzącego brał połysk szklisty. Hnat nie kazał sobie dwa razy wyrazu „próbuj” powtarzać. Huknął na konie, odjechał trochę od rzeki, nawrócił, wziął prostopadły do brzegu kierunek i rozwinąwszy bat, palnął nad końmi, które się nieco przed oczeretem wzdragały.

– Wio, ha-hi!... – z naciskiem zawołał. Konie lejcowe w oczerety weszły. Poszły za nimi i dyszlowe. Bryczka wtoczyła się z szumem, jaki sprawiało łamanie się roślin w połączeniu z pluskiem wody. Niebawem wydostaliśmy się na nurt. Konie szły równo, zagłębiając się coraz bardziej. Wreszcie lejcowe spłynęły i na prawo w kierunku biegu rzeki się zwróciły.

² Zaprzężone w woły wozy ukraińskich chłopów, trudniących się przewożeniem towarów.

³ Tj. trzciny.

– Wio, ha-hi!... – huknął Hnat i naręcznego batem smagnął. Moment ten był momentem decydującym. Przeminał on prędko. Gdy konie dyszlowe z kolei spłynęły, lejcowe kopytami już się gruntu chwyciły i bryczkę, która się całkowicie zanurzyła, tak że nam woda ramion dostała, wyciągnęły. Na brzegu przeciwnym znowuśmy się przez oczerety darli, przedarliśmy się i szczęśliwie z toni wydostali. W chwilę później na trakcie, wodą ociekając, zaczęliśmy człowieka o drogę do Berezek.

– A wyż skąd?... – zapytał zdziwiony tym, żeśmy w dniu suchym tak zmoknąć potrafili.

– Z Kodymy... kąpaliśmy się...

– Chyba że tak... – odrzekł i drogę nam wskazał. Myliż mi Kurzańscy głowę, co się zowie, gdym im o przeprawie rozpowiedział!... Mieli rację. Wybryk ten należał do wybryków tego rodzaju, za które życiem się płaci najniepotrzebniej w świecie.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 220–223.

38. Droga przez przerębel

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]

Pora mi sprzyjała. Mróz, silny zrazu, sfolgował tak dalece, że dnie nastaly iście wiośniane, słoneczne i pogodne. Dogadzało mi to, ale o mało o nieszczęście nie przyprawilo. W Soroce trzeba było przez Dniestr się przepawić. Pewny byłem, że jak przeszedłem Prut, tak Dniestr przejadę po lodzie; jechałem spokojnie drogą, do rzeki prowadzącą. Zdziwiła mnie nieco gromadka spora ludzi, którą z daleka na brzegu ujrzalem. Co by to miało znaczyć? Znaczenie zgromadzenia tego wyjaśniło mi się, gdym na miejsce dojechał. Na łód przechodniów, a tym bardziej przejezdnych nie puszczano i dla przepawy przerąbywano przerębel, na który spuszczano łódź dużą. Czynność ta odbywała się pod dozorem inwalida, który rozkazy dawał i porządek pomiędzy oczekującymi na przewóz utrzymywał. Stałem pomiędzy tymi ostatnimi i czekałem. Godzina może upłynęła, zanim robota ukończoną została. Gdy wreszcie łód funkcjonować poczęła, ludzie się pocisnęli i rozpychali, ażeby miejsce na niej dostać. Inwalida nakazał brać pieszych tylko; kiedy się przeto z koniem do łodzi zbliżył, puszczać mnie nie chciał. Jam go prosić i tłumaczyć mu począł. Nastąpiła z racji tej pomiędzy nim a sternikiem narada, z której w rezultacie wypadło, że mnie z koniem przepawić można, jeżeli dobrze zapłacę.

– Ile? – zapytałem. Chłop, pomysławszy chwilkę, wyznaczył rubla; spuścił jednak z ceny i po targu krótkim przystał na pięć złotych. Wydobyłem pięć złotych z kieszeni i zapłaciłem. Działo się to w obecności inwalida, który, gdym na łódz konia wprowadzał, zatrzymał mnie i zapytał:

– Coś ty za jeden, że tyle płacić możesz?

– Ja z listem... – odrzekłem.

– Z jakim? Wydobyłem z zanadru kopertę i pokazałem, dodając:

– Pan mi dał pieniądze i nakazał pośpiech.

– Jakże się pan nazywa? Zmyśliłem nazwisko jakieś i inwalida usunął się, pozostawiając mi swobodę przejścia. Gdyby był trochę ciekawszy, nie byłbym swobodnie przez Dniestr się przeprawił¹. Wprowadziłem konia na łódź i miałem następnie trudność z wyprowadzeniem go z niej. Nie chciał wchodzić na łód, do którego przypierał przerębel. Skończyło się jednak na tym, że wszedł. Stałem wreszcie na ziemię rodzinną. Dziwnie rzewnego doznałem uczucia, gdym ziemię tę pod nogami poczuł. Modlić się do niej, uklęknąć i całować ją chciałem. Byłbym to może uczynił, gdybym się świadków nie lękał.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 2, s. 23–24.

¹ Jeż podróżował jako emisariusz.

39. Na saniach w błocie

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]

I upływał mi czas słodko, rozkosznie. Z Czortkowa rzadko wyjeżdżałem¹, a nigdy sam. W towarzystwie rodziny Wróblewskich² jeździłem niekiedy do Kalinowszczyzny, do Słobódki, do Biały. Do Biały wybraliśmy się saniami po kilku dniach odwilży, skutkiem której śnieg stopniał na drogach i na traktach bocznych sanice się głęboko w grunt wrzynały. W jednym miejscu tak się głęboko w grunt werznęły, że cztery w lejc zaprzężone, prawda że nietęgkie, konie stanęły. Ojciec kazał, dla ulżenia saniom, z kozła furmanowi zsiąść, lejce w ręce ujął, z bata palnął: „Wio... wio...” – konie nie ruszyły.

– Proszę no mnie pozwolić – rzekłem.

– Co? ty? – odrzekł i od niechcienia pobłażliwie dodał:

– Ano spróbuj. Miał mnie za pogrążonego w literaturze po uszy łacinnika³, nie umiejącego się z końmi obchodzić. Lejce i bat mi wręczył i kiedym z furmańskim przyciskiem huknął, kiedy od tego huknięcia konie całych z siebie wydobyły sił, sanie z miejsca ruszyły i dalej rażno poszły, odezwał się:

1 Czortków – miasto na Ukrainie w powiecie tarnopolskim, wówczas pod zaborem austriackim. Zygmunt Miłkowski w 1860 roku działał jako emisariusz i przebywał w mołdawskich nadgranicznych Michalenach, skąd pod fałszywym nazwiskiem przedostawał się do Galicji. W trakcie tych podróży zakochał się w Zofii Wróblewskiej z Czortkowa i postanowił się ożenić.

2 Rodzina Zofii Wróblewskiej, przyszłej żony autora.

3 Od 1858 roku Miłkowski publikował już swoje powieści pod pseudonimem Tomasza Teodora Jeża w lwowskim „Dzienniku Literackim”.

– A... tegom się nie spodziewał po tobie. W oczach ojca mojej narzeczonej uzyskałem jedną więcej zaletę, z którąm się wypadkowym zdradził sposobem.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 2, s. 315–316.

40. Wypadek zimowy

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]

Przyjechaliśmy późno wieczorem. Ludwik przedstawił mnie żonie jako kuzyna. Pani, słuszna, smukła, przystojna bardzo blondynka, ani postawą, ani wiekiem nie pasowała do niego, krępego, o niedźwiedziowatych trochę ruchach i o jowialnym wyrazie twarzy szlachcica, starszego od niej o tyle, że z pozoru mógłby za jej ojca uchodzić. Była to jego druga żona. Pierwsza, Tarnowska (z Tarnowskich dzikowskich) z domu, tragiczny miała koniec. Mąż wioził ją zimową porą sankami do Buczacza; gdy z góry zjeżdżał, sanki poszły w zatokę, ona wypadła, o słup się głową uderzyła i na miejscu zabiła się, zostawiając syna, który się przy babce w Dzikowie wychowywał, ale niedługo matkę przeżył.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 2, s. 465.

41. Śnieżycyca na morzu

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragmenty]

Podróż rozpoczęła się nam źle. U wyjścia z Bosforu spotkała nas niepogoda pod postacią pędzonej silnym wiatrem północnym śnieżycy. Morze do głębi wrzało i huczało; statek się raz na jedną, znów na drugą stronę wywracał; spienione bałwany przez pokład się przelewały; na pokład nosa wytknąć nie można było. Nie doznawałem już jednak skutków niepogody. Towarzysze moi chorowali, ja – nie. Zaprawiłem się do morza w podróżach poprzednich i wyładowałem w Warnie zdrów zupełnie, podczas kiedy Rumuni ze statku wysiedli niemocą skołatani. [...]

Podróż z Warny do Szumli i wiodła się nam nie lepiej, jak morska. Niepogoda nas prześladowała. Jechaliśmy we trzy haraby¹ parokonne: jedną zajmował Kuczyński², drugą Anglik, trzecią my. Jazda po błocie odbywała się powolnie, towarzysze moi chorowali. Nie zapomnę jednego popasu, na którym Kuczyński, posiadający samowar, utraktować nas chciał herbatą: wody się nie doczekawszy, żaru, wbrew moim i jednego ze służących swoich przestrogom, do samowara wsypał i samowar rozlutował.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 2, s. 95–96, 97.

¹ Duże, rogózkami pokryte wozy (nota T. T. Jeża).

² Hipolit Kuczyński (Iskinder-Bey, Skander Bey, 1818–1858) wojskowy, uciekinier z armii rosyjskiej, w 1848 walczył na Węgrzech, a po upadku powstania uszedł do Turcji. Był jednym ze świadków choroby i śmierci Adama Mickiewicza w Konstantynopolu.

42. Zima w Konstantynopolu

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]

W grudniu i styczniu zimna panowały, marzęm więc nocami pod okryciem i celem ogrzewania izby sprawiłem sobie tak zwany „mangał”. Mangał w Turcji jest w użyciu pospolitym; jest to w najprostszym kształcie swoim miska gliniana, popiołem napełniona, w której węgiel przepalony pełni funkcję ogniska. Łatwiej mi było kupić miskę i kupować codziennie po funcie albo i mniej węgla, aniżeli zdobyć się na pościel lub płaszcz ciepły. W warunkach takich Mikułowskiego przyjąłem na szlafkamrata¹. Że zaś we dwóch na sienniku nie mogliśmy się pomieścić, więc urządziliśmy kolej: jeden spał, drugi się przy mangale grzał. Mikułowski czynił wymówki naturze, która ludzi w futro nie zaopatrzyła; powinna była, zdaniem jego, bodaj kość pacierzową włosem od karku do dołu okryć, według niego bowiem kość pacierzowa ochrony od zimna wymaga najbardziej.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 2, s. 91–92.

¹ Szlafkamrat (z niem.) – współlokator.

43. Przeciw żywiołom i żandarm nie pomoże

Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)

Pamiętnik [fragment]

A myśmy się puścili w ową tajemną drogę, gdzie nikt nie wiedział, dokąd zmierza¹. Jechało nas przeszło trzydzieści osób w jednym ogromnym wagonie, a że był trzeciej klasy, twardy i nieopalany, więc przy grudniowym czasie, jeśli kto się oparł o ścianę, to mu włosy do niej przymarzały. [...] Dla nas przypadł Kazań.

Do Niżnego Nowogrodu wieziono nas jeszcze razem, ale tu już kończyła się droga żelazna i tu nastąpiło ogólne żeganie się z towarzyszymi podróży, z którymi te dni wspólnych cierpień związały nas niejedną nicią, chociaż... nie ze wszystkimi. Odtąd, każdy już musiał radzić sobie z osobna. Nie mając pozwolenia na pójście do miasta, musieliśmy na poczcie kupić co się trafiło, rodzaj starej karetki na saniach, najsmieszniejsze w świecie pudło dziurawe, poobijane rogózkami². Ciasno tam było i niewygodnie, ale, prawdę mówiąc, uczuliśmy się szczęśliwi, że jesteśmy już tylko we dwoje i że możemy na koniec rozmawiać poufnie, co w ciągłym dotąd tłumie było niewykonalnym. Po drodze nie spotykaliśmy żadnych ciekawości. Kraj pusty, bezleśny, poprzecinany głębokimi jarami, śniegi bezbrzeżne, które olśnionym oczom wydawały się czasem purpurowe, wicher szalejący dniem i nocą. [...]

Ale jeśli ciekawości było mało, za to niebezpieczeństw co nie miara; kraj wszędzie falisty, czynił drogi śliskimi jak zwierciadła; spuszczenie się do jarów przedstawiało niezmierne trudności, a już najstraszniejszą była przeprawa przez Wołgę, jeszcze

¹ Deotyma towarzyszyła ojcu, Wacławowi Łuszczewskiemu, skazanemu na zesłanie za złożenie godności szambelana carskiego po wybuchu powstania styczniowego.

² Rogoża – mata pleciona z łądy.

źle zamarznąętą. Wprawdzie żandarmi, tworzący naszą eskortę i odpowiadający za nasze życie, czuwali nad nami bardzo pilnie, ale przeciw żywiołom i żandarm nie pomoże. Mieliśmy nadzieję, że w Kazaniu będziemy mogli wypocząć, choćby za więziennymi kratami, tymczasem gubernator, przejrawszy nasze papiery, kazał nam natychmiast ruszać znowu do jakiegoś Jadryna, o którym, jako żywi, nie słyszeliśmy nigdy. Przebywszy na powrót Wołgę, i to w nocy, wśród kry i wodnych przepaści, musieliśmy wracać się o paręset wiorst drogi. Na koniec dziewiętnastego dnia po wyjeździe ze Pskowa dotarliśmy do Jadryna, miejsciny, złożonej z kilkudziesięciu chałup i kilkunastu dworków, tak grubo zasutych³ zaspami śnieżnymi, że tylko dachy wypukły się cokolwiek nad ziemią, jakby jakieś białe mogiłki.

PRZEDRUK ZA: Deotyma [Jadwiga Łuszczewska], *Pamiętnik*, Warszawa 1910, s. 59–61.

³ Tj. zasypanych.

44. Przez wezbrane rzeki

Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)

Pamiętnik [fragment]

W takiej to chwili spadła na nas wiadomość, którą przyjęliśmy z niemalym zmartwieniem. Wskutek zabiegów, poczynionych bez naszej wiedzy w Warszawie, przyszedł rozkaz przeniesienia nas do innej guberni. Była to niby łaska, bo mieliśmy zamieszkać w mieście gubernialnym, ale w jakim! W Symbirsku, o którym prawie nikt z Warszawian za owych czasów nie wiedział. Ja przynajmniej pierwszy raz wtedy posłyszałam tę nazwę. [...]

Niebezpieczeństwa tej drogi były bardzo wielkie. Mostów tam nie ma nigdzie, a choćby i były, to w tej porze roku powódź by je wszystkie na drzazgi rozniosła. Tak więc po dziesięć razy dziennie musieliśmy wplaw przejeżdżać przez wezbrane rzeki, a w miejscu, gdzie Świaga łączy się z Wołą, znaleźliśmy zupełne morze. Przyszła wnet po nas łódź spora; na niej pomieszczono i powozy, i konie, i nas wszystkich, i jak puściliśmy się na wicherzyste, wzbławiane głębie, tak od brzegu do brzegu płynęliśmy przez dwadzieścia i jedną wiorst¹, czyli całe polskie trzy mile! Od Kazania już statek parowy przeniósł nas na miejsce przeznaczenia.

PRZEDRUK ZA: Deotyma [Jadwiga Łuszczewska], *Pamiętnik*, Warszawa 1910, s. 66–67.

¹ Wiorsta rosyjska liczyła wówczas 1066,8 m.

45. Zamieć i mróz

Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)

Pamiętnik [fragment]

Prawdziwym dla nas ciosem był nowy rozkaz z Petersburga, który w końcu grudnia spadł na nas, jak piorun, oznajmiając, że „z powodu spalenia się miasta Symbirska, mamy być przeniesieni do Penzy”. W czas się wybrano z tą łaską! W połowie września rozkaz byłby nas ucieszył, ale teraz, kiedy już całe cztery miesiące przebyliśmy na miejscu, kiedy trzydzieści stopni mrozu trzaskało w powietrzu, zgryźliśmy się okrutnie. Jednak nie było wyboru; podobne rozkazy muszą być wypełniane w przeciągu dwudziestu czterech, a najdalej czterdziestu ośmiu godzin.

Kupiliśmy co prędzej nową budę na saniach i w wilię Nowego Roku 1865-go wyruszyliśmy, nieco już znużeni tym ciągłym prześladowaniem losu. Droga poszła dosyć spokojnie, ale w Penzie czekało nas nowe zmartwienie. Gubernator miejscowy, człowiek niegodziwy, tym niegodziwszy, że Polak, i niegdyś w Warszawie znany memu ojcu, drwiąc sobie z woli ministra, nie pozwolił nam zamieszkać w Penzie, ale wysłał nas do powiatowego miasteczka Czembaru.

Ta ostatnia podróż, chociaż stosunkowo niedaleka, okazała się najbardziej przerażającą ze wszystkich. Za czwartą stacją¹ chywiła nas okropna zadymka; w kilka minut nie było już znać żadnej drogi, nie mogliśmy ani wrócić, ani rozpoznać, gdzie mamy ruszać dalej, całe powietrze zakłębiło się gęstym, jakby ścianą, śniegiem i przez piętnaście godzin błądziliśmy w chaosie białości, w bezdennych ciemnościach, zagrożeni to zmarznięciem, to stoczeniem się

¹ Tj. stacją pocztową, gdzie przemieniano konie.

w jary, to pożarciem przez wilki. Taka noc stanie za sto lat. Dopiero nad ranem dosłyszane z daleka dzwony doprowadziły nas do jakiejś wioszcyny, skąd po długich krążeńiach dotarliśmy na koniec do Czembaru.

PRZEDRUK ZA: Deotyma [Jadwiga Łuszczewska], *Pamiętnik*, Warszawa 1910, s. 71–72.

NA WOJNIE



46. Rok 1812. Od Możajska do Smoleńska

Franciszek Gajewski (1792–1868)

Pamiętniki [fragment]

Nastąpiła zatem smutna konieczność powracania krajem, którym poszło wojsko do Moskwy, krajem całkowicie zniszczonym, żadnych zasobów niemającym do wyżywienia żołnierzy i koni. Dnia 29 października stanęło wojsko pod Możajskiem. Mróz chwycił nagle, bez jakiegokolwiek wstępu doszedł od razu do 15 stopni Réaumura¹. Wojsko cierpiało z braku żywności, a odzież żołnierza, zastosowana do łagodnego klimatu, nic nie znaczyła w kraju pod strefą tak na wschód posuniętą. Konie okute bez ocelów², według zwyczaju francuskiego, nie były w stanie ciągnąć ciężaru, konnica musiała prowadzić konie za cugle, gdzie tylko jakiekolwiek gołoledzie się znajdowało. W pierwszym i drugim etapie jeszcze wojsko się trzymało jako tako, ale trzeciego dnia rzuciło kilka tysięcy broń, a każdy pobiegł za żywnością i odzieżą według instynktu. Liczba włóczęgów była przerażającą, a pomnażała się z każdym dniem. Bagaże stały opuszczone na drodze dla braku koni, zdychających codziennie z głodu. Wkrótce przyszła kolej na wozy prochowe i armaty; mnóstwo wozów, których nie było można uprowadzić, wysadzono w powietrze; słyszałem od rana do wieczora huk wybuchów tego rodzaju. Zrazu biegli kozacy skwapliwie do każdego furgonu opuszczonego, wszakże zaniechali tego, gdy wyleciało w powietrze kilka wozów prochowych i kilkudziesięciu ludzi, zabici albo ranni zostali; odtąd minęło zawsze nieco czasu, zanim który z nich zbliżył się do pozostawionego wozu.

¹ Tj. prawie 19 stopni Celsjusza.

² Ocel – hak na podkowie.

Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci widok owych nieszczęśliwych żołnierzy, przed kilku tygodniami jeszcze pełnych zapału i energii. Przyodziani w najosobliwszy sposób, w szaty jakiej bądź płci i stanu, byle tylko mogły ich osłonić od mrozu dokuczliwego, byliby pobudzili do pustego śmiechu w innych okolicznościach. Otóż wlokło się kilkanaście tysięcy takich istot nieszczęśliwych, przemarznętych i zgłodniałych; żadnego piętna nie zatrzymali ludzkiego prócz powierzchowności. Oczy powychodziły im nadzwyczajnie z głowy, warstwą brudu i dymu powleczeni, nie zatrzymali nawet barwy skóry ludzkiej właściwej. Wzrok ich był dziki, twarz wychudzona, wszyscy niejako osłupieli, każdy milczał, a zdawał się niczym niezajęty. Długa kolumna taka postępowała milcząco ku Smoleńskowi, a następnie ku Wilnu. Gdzie końskie ścierwo leżało, czy dopiero co padłe, czy zwierz zdechł w pochodzie naszym do Moskwy, tam się rzucało kilkadziesiąt nieszczęśliwych, rozrzynali obrzydliwą strawę na kawałki i pożerali surową. Żadnego apelu ni komendy nie słuchali, wszystkie stopnie hierarchii znikły, każdy był tylko sobą zajęty. Zebrani w gromadę po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu, postępowali od rana do późnej nocy, ile sił każdemu starczyło. Który z nich padł, temu żaden nie dopomógł do powstania. Każdy go mijał obojętnie, pozostawiając losowi. Co więcej, znajdowali się tacy, którzy takiego odzierali z odzieży, okrywając własne członki łańchmanami zabranymi konającemu koledze, nie zważając wcale na jego jęki i złorzeczenia, a nie było nikogo, który by się ujął za nim. Wieczorem zatrzymywała się owa kolumna, gdy się gwiazdy ukazały, równym instynktem. Co było drzewa w okolicy, budynek czy płot, rozbierano na ogień, nie zważając, że w domostwach znajdowali się generałowie albo ranni, a jeżeli zgrają taką odpędzali chwilowi mieszkańcy, palono domostwa i częstokroć ginęli w płomieniach ci, którzy chwilowego spoczynku pod dachem szukali. Po rozpaleniu ogni szukał każdy sposobu do uśmierzenia głodu dokuczającego; najwięcej służył do tego kawał ścierwa końskiego, niekiedy pies albo jakie bądź zwierzę, co tam pod rękę wpadło. Byli tacy, którzy mieli mieszek mąki, pilnie strzeżonej, ci rozpuszczali

nad ogniem śnieg w kociołku, sypali garść mąki do wody wrzącej, dodawali do niej parę naboju prochu i spożywali łakomo ten rodzaj czerniny. Ów kłajster obrzydliwy stawał się przedmiotem zazdrości wielu innych, a częstokroć płacono 20 franków i więcej za porcję tego przysmaku. Ja sam zapłaciłem pod Krasnem, już za Smoleńskiem, 20 franków za mały kieliszek wódki; pod Wiaźmą schwyciłem kota, zabiłem, ociągnąłem, upiekłem i spożyłem jako kąsek najwyborniejszy.

Zaspokoiwszy głód, ugasiwszy pragnienie śniegiem roztopionym, kładła się owa tłuszcza naokoło ognisk w ten sposób, że jeden kładł głowę na nogi drugiego; utworzywszy zatem koło naokoło ognia, zasypiali owi nieszczęśliwi, zapominali o cierpieniach swoich na chwilę. Każdej nocy umierało ich wielu, ci już przestawali cierpieć.

Zdarzało się często, że śnieg przykrył wielkim całunem wszystkich, żaden się nie ruszył z miejsca; nikt nie byłby się domyślił, że kilkanaście żebraków koczuje na owym polu; wszyscy leżeli w jakimś rodzaju odrętwienia. Nie było straży, co by ich pilnowała, nie było dowódcy między nimi. Im już było wszystko obojętne, gdyż doszli do tego stopnia nieszczęścia, że dla nich było jednym i tym samym umrzeć od razu albo powlec się o kilka mil dalej; wiedzieli, że się nie wydobędą z położenia swego. Nad ranem podnosili się, ile ich jeszcze pozostało przy życiu, reszta już nie cierpiała – snem wiecznym zasypiali, śmierć przynosiła im ulgę. Nie potrzebowali ni bębna, ni trąbki do odebrania hasła; kto mógł, ten wstawał razem ze świtem, chwycił za kij i ruszał dalej. W tym okropnym czasie ustały wszelkie uczucia przyjaźni i życzliwości; ktokolwiek się rozrzewnił nad losem kolegi, przepadł; należało posiadać nadzwyczajną siłę moralną, ażeby zdobyć zobojętnienie na wszystko, co otaczało, w przeciwnych warunkach człek ginął. Kto pragnął uratować własne życie, ten musiał mijać nawet rodzzonego brata, choć siły mu ustawały, a spieszyć czym prędzej dalej. Siła fizyczna stanowiła wszystko; różnica stopni wojskowych już nie miała żadnej wartości. Złoto było niczym, kęs chleba skarbem nieocenionym. Były wypadki, że włóczęga włóczęgę obdzierał nawzajem, w tym

przypadku powstawał bój zacięty, kończący się bardzo często śmiercią jednego z nich; inni mijali obojętnie zapaśników. Powszechne hasło u wszystkich było: „Jeść!”.

Taki sam niedostatek żywności panował pomiędzy końmi; słoma z dachów, która nawet była bardzo rzadka, bo kozaki wszystko palili, stała się pokarmem wielu pułków konnych i wielu baterii. Oczywiście, że konie opadły z sił w tym niedostatku; porzucano zatem najprzód bagaże, następnie wozy amunicyjne, a wreszcie i armaty. Konnica zjadła konie swoje. Począwszy od Możajaska, widziałem armaty pozostawione na trakcie, a nieustanne wysadzanie w powietrze wozów prochowych przekonywało o niemożliwości uprowadzenia ich.

Wojsko pozostałe pod bronią dostawało resztki żywności uprowadzonej z Moskwy, było przedmiotem pieczołowitości cesarza. Mianowicie gwardia pobierała regularnie żywność z Moskwy aż do Smoleńska, gdzie znów zaopatrzoną została we wszystko na dwa tygodnie. Konie artylerii i konnica gwardii dostawały, począwszy od Możajaska aż do Smoleńska, po jednym garncu owsa dziennie, a zatem nie utraciły siły, lubo wychudły. Wszakże niegodziwy zwyczaj kucia koni u Francuzów, nie zostawiających oceli przy podkowach, spowodował wielkie straty nawet i w gwardii. O żołnierzy zdemoralizowanych nikt się nie troszczył, byli plagą wojska pozostałego pod bronią.

Kawaleria liniowa zniknęła zupełnie, konie padały z powodu całkowitego niedostatku furazu, a w miarę padania były natychmiast rozściartkowywane i zjadane. Jeździec odpinał mantelzak i przyłączał się do maruderów; w parę dni tracił powierzchowność żołnierza, stawał się takim jak inni. [...]

Dnia 5-go listopada puściłem się do Smoleńska z porucznikiem Lambertem, adiutantem generała Grouchy³. Był to nieoszaczony kolega, nie opuszczało go nigdy wesołe usposobienie, nawet w smutnym położeniu naszym. Przekonawszy się, że musimy

³ Emmanuel de Grouchy (1766–1847) – marszałek i par Francji.

koniecznie stanąć w jednym dniu w Smoleńsku, chcąc uniknąć niechybnej śmierci przy mrozie, dochodzącym 26 stopni, pogodził się z tą perspektywą, tym smutniejszą, że nie posiadał futra, posiadał tylko jako jedyne okrycie płaszcz kolisty. – Puściliśmy się zatem kłusem z Dorohobuża o wschodzie słońca dnia 6-go listopada. Dotąd dziwię się, że Lambert był w stanie wytrzymać straszny mróz bez futra. Jechaliśmy dobrym kłusem, dopóki sił starczyło, następnie biegliśmy pieszo dla rozgrzania się, znowu kłusem – i tak na przemian bez wytchnienia do wieczora. Któż pojmie rozkosz naszą na widok wież Smoleńska! Już nas siły upuszczały, głód straszny nam dokuczał, a konie, lubo wytrzymałe, widocznie ustawały. Wieże obiecane miasta, lśniące się przy zachodzącym słońcu, podwoiły nasze męstwo; batog kozacki wydobywał resztę sił z koni. „Vivat!”, zawołałem, wjeżdżając przy gwiazdach do Smoleńska.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Gajewski, *Pamiętniki*, Poznań 1913, t. 1, s. 263–268.

47. Rok 1812. Berezyna

Franciszek Gajewski (1792–1868)

Pamiętniki [fragment]

Przybyłem do Borysowa 23 listopada. [...] Cesarz, przybywszy dnia 24 do Borysowa, rozkazał gromadzić wszelkie materiały do postawienia mostu potrzebne i takim sposobem wprowadził w błąd Czyczagowa, który cały swój korpus ściągnął pod Borysów w celu przeszkodzenia zamiarom Napoleona. Cały dzień 25-go zeszedł na przygotowaniach z jednej i drugiej strony. W nocy z 25 na 26 odebrał marszałek Victor rozkaz udania się bez straty czasu do wsi Wesołowa, o dwie mile od Borysowa, i rzucenia tam dwóch mostów na Berezynie, które miały być wykończone razem ze świtem. Gwardia pociągnęła pod Wesołowo około południa 26-go i ja za nią udałem się w tę stronę. Reszta wojska pociągnęła za gwardią. W Borysowie pozostała tylko dywizja piechoty generała Partouneaux. Legia nadwiślańska stanęła pod dowództwem generała Girard na trakcie ku Tołoczynowi, o milę od Borysowa, dla wstrzymania pierwszego zapędu Kutuzowa, nadciągającego od Orszy. Mróz panujący pozwolił nam przejść bagna otaczające Berezynę, a ciągnące się jakie pół mili od jej koryta. Rzeka ta nie zamarzła dla błotnisteo gruntu. Generał Drouot, skoro tylko nadciągnął z artylerią gwardii, uszykował 40 dział pozycyjnych nad rzeką dla zabezpieczenia robotników, reszta wojska rozkładała się biwakiem w miarę, jak przybywała. Wnet zbudowano kilka tratw z bali, wyjętych z budynków tej wsi, którą rozebrano całkowicie i użyto na materiał do zbudowania mostów. Na tratwach poczęli się przeprowiać wołyżerzy młodej gwardii przez rzekę, zaledwie 100 kroków szeroką. Jakich 1000 koni rozmaitej broni przebyło ją wplaw. Jakkolwiek słabe to były

siły, wystarczyły jednak na wstrzymanie nieprzyjacielskich podjazdów. Tratwy przewoziły nieustannie wojsko nasze na drugi brzeg, a saperzy z heroicznym poświęceniem pracowali nad ustawieniem mostów, stojąc we wodzie do połowy ciała podczas mrozu, dochodzącego tego dnia do 16 stopni.

Mieli przekonanie, że od nich zawisł ratunek cesarza i wojska, toteż gorliwość ich przechodziła wszelkie wyobrażenia. Luzowali się przy tej ciężkiej robocie, jedni suszyli się przy ogniskach, drudzy pracowali. Rzeczą godną uwagi, że pomimo kozaków, uwijających się po całej okolicy, nie dowiedział się Czyczagow o stawianiu mostów o dwie mile od swego stanowiska. Cała robota została wykonaną bez jednego wystrzału, a około 4-tej po południu zaczęło już wojsko przechodzić na drugi brzeg Berezyny.

Marszałek Victor przedostał się pierwszy na drugi brzeg rzeki i posunął się niebawem pod nieprzyjaciela, którego forpocztę spędził. Po nim przedostał się marszałek Oudinot z grenadierami swymi; następnie przechodziła stara i młoda gwardia, wszystko w największym porządku. Przeprawa trwała cały dzień i całą noc 27 listopada. Jakież to było poświęcenie saperów! Nie tylko że mosty stawiali, ale pilnowali ich i naprawiali za każdym razem, gdy się psuły; niepodobna bowiem, aby te mosty, tak spieszenie stawiane, były trwałe. Waleczni ci ludzie byli zatem ustawicznie we wodzie, a nie słyszano żadnego szemrania. Cesarz przeprawił się 27 listopada. Ja na moich saneczkach przemknąłem się za ekwipażami generała de la Riboissière, udając, że należę do nich.

Do tej chwili szło wszystko jak najporządniej, nieprzyjaciel nas wcale nie niepokoił; artyleria już się przeprawiła całkowicie, teraz następowały furgony, których była jeszcze wielka liczba. Most psuł się coraz więcej. Piechota przechodziła ciągle drugim mostem, lekko zbudowanym i li tylko dla piechoty przeznaczonym. Ludzie zdemoralizowani oczekiwali dotąd dosyć spokojnie, póki wojsko się przeprawiało, zatem nie było żadnego natłoku. Ja, dostawszy się na drugi brzeg Berezyny, nie czekałem dłużej, lecz puściłem się

natychmiast ku Wilnu; z opowiadania zatem tylko opisuję dalszy ciąg epizodu owej pamiętnej przeprawy.

Dopóki Kutuzow nie nadciągnął, pozostawała jakakolwiek nadzieja, że się wszystko dostanie na drugą stronę Berezyny. Czyżagow, poznawszy swój błąd, cofnął się ku Mińskowi przed korpusami marszałków Oudinota i Victora, a resztki wojska naszego przeprawiły się w porządku należytym. Jednakże most, wystawiony dla artylerii, zepsuł się całkowicie w nocy z 27-go na 28-go, tak dalece, że już nie był do naprawienia. Furgony obróciły się skutkiem tego ku mostowi, przeznaczonemu dla ludzi pieszych; a właśnie w tym czasie poczęły padać pierwsze granaty rosyjskie, puszczane przez korpus Kutuzowa pomiędzy maroderów¹ naszych.

Jak tylko rozeszła się wieść, że pociągi zwróciły się ku mostowi, dla pieszych przeznaczonego [sic!], rzuciła się cała tłuszcza rozprzężonego żołnierstwa w tę stronę. Urzędnicy wojskowi, kobiety, żołnierze, jeźdźcy, jednym słowem, wszystko, co żyło, poczęło się cisnąć ku mostowi pozostałemu. Nie do opisania zamieszanie, jakie powstało. Jedni drugich deptali, wielu było zgruchotanych pod kołami wozów, wielu pospychano z mostu w rzekę i nastąpiła scena okropna. Jęk, krzyk, przekleństwa, wzywanie litości, wrzawa, jakiej trudno sobie wyobrazić. Czy przypadkiem, czy z rachuby natarł nieprzyjaciel w tejże chwili. Waleczny Ney, Legia nadwiślańska i kilkuset Bawarczyków zatrzymali go, Oudinot i Victor zmusili Czyżagowa do odwrotu, a marszałek Mortier zatrzymywał Wittgensteina, przybywającego od Witebska na czele 40 000 wojska; 15 000-czny korpus ks. Belluno był zmuszony cofnąć się przed nim nad wieczorem ku mostowi. Tu panowała scena okropna, wszystko się garnęło w tę stronę, granaty nieprzyjacielskie pękały w pośrodku tego tłumu. Zbliżający się nieprzyjaciel przerażał cały rój motłochu, a wojsko, pozostałe pod bronią, torowało sobie drogę na most bagnietami. Gęsty śnieg począł padać i zasępił tak dalece

¹ Maroder (z fr.) – żołnierz opóźniający się, pozostający w tyle za oddziałem wskutek zmęczenia i wyczerpania.

widnokrag, że dywizja Partouneaux, która ostatnia Borysów opuściła, a miała się połączyć z Legią nadwiślańską, chybiła kierunek i dostała się wśród wojska nieprzyjacielskie. Otoczona z wszech stron, musiała broń złożyć.

Legia nadwiślańska, przyparta do Berezyny, utorowała sobie bagnietem przechód przez most i ostatnia spomiędzy wojska, pozostałego pod bronią, przepawiła się przez rzekę, po czym załamał się pod ciężarem motłochu. Kilkuset ludzi przebyło rzekę w pław, inni, porobiwszy tratwy zawczasu, przepawili się po ustroniach; śmiało jednak liczyć można do 6000 liczbę ludzi, którzy życie utracili przy tej przepawie, drugie tyle dostało się do niewoli. Nieprzyjacielowi dostały się niezmierne łupy, pozostały bowiem nieomal wszystkie bagaże wojska naszego nad Berezyną. Wiele kosztowności porzucano do wody wraz z furgonami, które z mostu pospychano. Wszystko to chłopstwo z okolic wydobywało w czasie późniejszym. Ileż to matek postradało dzieci swoje, zabrane na tę kampanię! Niektóre dostały się w ręce nieprzyjaciela, a nie umiając wskazać nazwiska rodziców, pozostały na zawsze przy tych, w ręce których los wojenny je rzucił. Nie rozpisuję się nad tym epizodem kampanii 12-go roku, do sytu albowiem przedstawiali go wszyscy dziępisarze tej epoki. Dość, że powiem, iż wszystkie łupy, w Moskwie zabrane, a pomiędzy innymi i krzyż, zabrany z cerkwi św. Iwana w Kremlinie, dostały się na powrót Moskalom.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Gajewski, *Pamiętniki*, Poznań 1913, t. 1, s. 274–278.

48. Rok 1812. Od Berezyny do Wilna

JÓZEF GRABOWSKI (1791–1881)

Pamiętniki wojskowe [fragment]

Już przy przejściu Berezyny, pod Studzianką, zostało po tamtej stronie rzeki kilkaset powozów, wózków różnych, częścią w rzekę wepchniętych, częścią przez Rosjan razem z pilnującymi tych wozów oficerami i żołnierzami zabranych. Co się mogło przez mosty przepawić oraz co przed bitwą jeszcze ku Wilnu zdążyło, zatrzymało się pod Ponarską Górą.

Ekwipaże cesarskie, skarb armii (dwadzieścia milionów franków), pojazdy wielu marszałków, generałów, wozy amunicyjne, armaty i kilkaset innych pociągów tam się zgromadziło. Mróz był okrutny, a mimo śniegu ślizgawica taka, że koń ostro nie kuty pod górę nie mógł podejść. Wozy, które zdołały się dostać, szły przez Wilno ku Niemnowi, lecz największa ich część uwięzła pod Górą Ponarską; wówczas to pokazali się kozacy i zaczęli nacierać.

Kilkuset żołnierzy ze szczątków gwardii pieszej francuskiej eskortowało skarb, ekwipaże cesarskie i wozy, ładowane dowodami pobytu armii francuskiej w Moskwie, jak na przykład wielkim krzyżem wyłaczanym z cerkwi Iwana, mającym być Paryżowi pamiątką zwycięstw odniesionych. Otóż, mimo wszelkie użyte sposoby, pojazdy te nie mogły wjechać na ową Górę Ponarską; po pierwsze dlatego, że owe wozy, powozy, amunicje ciągnęły się w największym nieładzie, a każdy broniąc swej własności, chciał przed innym się wydostać i zawadzał o drugiego, po wtóre, że upór Francuzów i ich zarozumiałość, że tak dawno wojując mędrsi są od innych i rady nie potrzebują, nie zezwoliła im kucia koni ostro. Nadto podkowy mieli bez ocelów i płaskie, a wiele koni zupełnie było rozkutych, choć te lepiej jeszcze się trzymały na ślizgawicy niż kute na modę

francuską; niejednokrotnie radzono i wystawiano cesarzowi i marszałkom, aby rozkazano ostro kuć konie – na próżno. Mieli potem przykład na naszej armii, która po gołoledzi szarżowała i która wróciła z tymi samymi stu armatami, z którymi na kampanię wyciągnęła, a miała też same mrozy, śniegi i gołoledzi co Francuzi. Ba, lecz ci znów na przekór mieli przekonanie, że podkowy z ocelami psują i niszczą konia, że osłabiają mu nogi i że koń łatwo się wiąże, zaczepiając przednie podkowy o tylne. Mogło się takie związanie kiedy wydarzyć, lecz czy dla pojedynczego wypadku można było dobrowolnie zapomnieć o korzyściach, jakie daje koniowi kucie z ocelami i szczególnie ostrymi podczas ślizgawicy?

A temu tylko uporowi czy niedbałości zawdzięczają Francuzi straty większej części swej artylerii, furgonów, amunicji i niezdolnej do marszu i nacierania kawalerii.

Wróćmy do skupionej pod górą masy koni, wozów i ludzi. Gdy powoząc przekonali się, że podjazd pod górę jest niemożliwy, a kozacy coraz śmieiej nacierali, zasypując już gradem kul cały tabór, powstał popłoch, jak Francuzi mówią: *sauve-qui-peut*¹, to jest hasło demoralizacji ogólnej. Zaczęto odrzynać konie od pojazdów i armat, chcąc bodaj z końmi uciekać, a kto miał jakie droższe lub potrzebniejsze sprzęty w powózkach, wyciągał je pospiesznie. Równocześnie gwardziści, widząc kasę cesarską, odbili wieko kolbami i jęli grabić złoto w sądki² pakowane. Obładowawszy się nim do woli, poszli, zostawiając innym resztę.

Tu już zaczął się rabunek. Do skarbów cesarskich rzucili się wszyscy, napoleondory tarzały się po śniegu. Niejeden życiem przypłacił chciwość, powalony kulą kozacką. Rozbito cały skarb i zrabowano doszczętnie ekwipaże cesarskie. Srebro stołowe, mundury haftowane, klejnoty, tabakierki, zegarki i złoto objuczyło łupieżców tak, że niejeden ruszyć się nie mógł. Ostatki bogactw wpadły w ręce kozaków, a wraz z nimi i ci, którzy zbyt objuczeni, stali się

¹ *Sauve-qui-peut!* (fr.) – ratuj się, kto może!

² Sądek (regionalizm poznański) – naczynie na ciecz.

do marszu niezdolnymi. Nadto i tych, co spod Ponarskiej Góry uszli, czekał los nie mniej okrutny.

Pod Wilnem i w samym Wilnie, gdzie zmęczeni i zziębnięci chcieli spocząć i użyć zrabowanych pieniędzy na pokrzepienie sił, tam najwięcej dostało się ich do niewoli. Żydzi szczególnie, spostrzegłszy pieniądze i kosztowności, ściągali do siebie biednych uchodzących pod pozorem dostarczenia im futer, ubiorów, obuwia i koni, i podpitych lub sennych zabijali i z bogactw obdzierali. Ci zaś, którzy zdołali dostać konia, wóz czy sił tyle mieli, by zdążyć za cofającą się armią, napadani byli i zamordowywani na drogach i noclegach przez chłopów pruskich i mieszczan. Rozgłosiło się już bowiem, że każdy Francuz jest bogactwami obładowany. Gdy więc przybywał do austerii, żądano odeń kilku napoleondorów za kieliszek, a jeżeli nocował i nie był tyle przezornym, żeby z kolegami się trzymać i straż z nimi ustanowić, zabijano go w nocy i grabiono. Niekiedy chorych a samotrzeć idących w biały dzień łupiono i puszczano bez grosza.

Przejście pruskiego generała Yorcka do Rosjan podniecało patriotyzm i obudziło wściekłość ludu niemieckiego do tego stopnia, że nawet kobiety dopuszczały się mordów i łupiestwa na biednych Francuzach.

Kto nie był świadkiem tych wypadków, ten wiary nie da temu, co się działo. Chociaż widok rannych lub ze zmarzłymi członkami pełzających żołnierzy i oficerów francuskich był godnym litości, to śmiech często zdejmował obojętnych na widok ich dziwacznych ubiorów, a obraz nędzy i niedołęstwa zachęcał nieprzyjaciół do obelg i poniewierania.

Ci nędzarze, uchodzący przed niewolą Rosjan, a walczący z mrozem, istotnie bardzo niezwykle wyglądali. Na przykład w czapach wielkich futrzanych, w salopach, spódnicach kobiecych, w chustkach i szalach, nawet bardzo kosztownych, lub w łachmanach i siermięgach chłopskich. Jedni mieli proste kozuchy, drudzy dery i koce wełniane, ci płaszczki żołnierskie opalone przy ogniach biwaków. I tak opierając się na kijach, z nogami spowiniętymi

rozmaitymi płachtami, z trudnością tylko wlec się mogli po śniegu. Uczucia ludzkie między tymi biedakami zamarły. Przyjaciel odmawiał przyjacielowi miejsca w wózku, na sankach, nie troszcząc się, że go skazuje na śmierć. Trupami i konającymi były drogi wymoszczone.

PRZEDRUK ZA: Józef Grabowski, *Pamiętniki wojskowe*, Warszawa 1905, s. 6–10.

49. Rok 1831. Przed wymarszem w Warszawie

Ludwik Jabłonowski (1810–1887)

Złote czasy i wywczasy. Pamiętnik szlachcica z pierwszej połowy XIX wieku

Zdaje mi się że 5-go lutego mieliśmy wyruszać w pole, zimno było krzepkie, wicher i śnieżycza. Ułańska kurtka wprawdzie rabatami¹ grzała, ale płaszcz niepodszyty mógł sobie zostać na kołku obok parasola. [...]

„O Warszawo, słodka Ojczyzno i Lessla, i Loursa,² wolałabyś nam dać na pożegnanie choć po kieliszku kapciachy, niż te lody i lody, a do tego bez cukru” – takeśmy do siebie szeptali po szeregach, obcierając lód z wąsów i stojąc na mrozie długie dwie godziny przed Namiestnikowskim pałacem, nim wyszedł stary generał Klicki, lustrator jazdy, rzucił okiem po froncie, przemówił słów parę do Gawrońskiego i lekkim kiwnięciem głowy dał znak, że lustracja skończona. – Gdy odszedł, wzięliśmy „na ramię broń” i rotami od prawego poszło się na Pragę.

PRZEDRUK ZA: Ludwik Jabłonowski, *Złote czasy i wywczasy. Pamiętnik szlachcica z pierwszej połowy XIX wieku*, z przedmową Stanisława Wasylewskiego, Lwów 1920, 122–123.

¹ Rabaty (z fr.) – wyłogi, w mundurze ułańskim dość szerokie, stanowiące dodatkową warstwę.

² Cukiernie warszawskie.

50. Rok 1831. Wisła i Moskale

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Dziennik rewolucji

[fragmenty]

Dn. 13 lutego. Ustawna słota, obawa, by nie puścili rzeki, przymuszają Moskale do cofania się nazad, tak że opuścili Siedlce, Węgrów, a nawet Łomżę; gdziekolwiek pokażą się nasze podjazdy, choć w nierównie większej liczbie, cofają się Moskale. [...]

Nie na długo cofnęli się Moskale; dziś przyszły wieści, że ich w masach pod Wyszkiem widziano; w wieczór, że już od Kałuszyna, sześć mil stąd, słyszano strzelanie: skutki szczupłości kraju naszego i granic, o 20 tylko mil oddalonych od stolicy. Jakoż, jak zapamiętam, wojny nasze od stolicy zaczynały się i kończyły. Co za stan dla jej mieszkańców! Moskale, wysypawszy ze wszech stron przednie straże swoje, w nadziei, że i my oddzielnie za nimi uganiać się będziem, ufni w zamarzelą Wisłę, masą wojska całego chcieli przejść pod Jabłonną i od Powązek na Warszawę uderzyć. Widząc, że im to się nie udało, długo rozmaitymi obrotami nużąc nas i siebie, postanowili na koniec na całą linię naszą uderzyć; podług wszelkiego podobieństwa, dziś, 14-go lutego, krwawy i uparty bój zaczęli się. Boże, czuwaj nad nami! Jeśli przewaga sił ustąpić każe, wniwdzie wojsko do Warszawy i tam wraz z mieszkańcami do ostatka bronić się będzie, lecz ufajmy odwadze naszych. [...]

Na nieszczęście Wisła, już dużo słabiejąca, znów się mrozami pokrzepia; Boże; odwróć, lecz lękam się, że jeżeli cudem nie zwalczymy sił moskiewskich tak, by uchodzić przymuszone były, lękam się, mówię, by znaczna kolumna nie przeszła przez Wisłę na lewy brzeg jej i nie otoczyła stolicy wokoło. [...]

19 l u t e g o. W nocy i z rana puścił się śnieg gęsty, wypogodziło się atoli koło dziesiątej; słońce silnie dogrzewać zaczęło tak, iż w wielu miejscach Wisła pękać zaczęła. Z tą pogodą zaczęło i wojsko moskiewskie od Miłosny uderzać na całą linię naszą; jeszcze nie mamy o skutkach urzędowego doniesienia, to tylko głośno jest, że bitwa¹ ta trwała do późnego wieczora, że nasi zdobyli jeden sztandar moskiewski, który sam na Radzie Najwyższej widziałem. Moskale stanęli pod lasami, a raczej pochowali się w las. [...]

20 l u t e g o. Dzień nader pogodny; o ósmej z rana znów, jak wczoraj, zaczął się morderczy z dział moskiewskich ogień, znowu, jak wczoraj, wojsko ich w lesie stało ukryte. [...]

D n. 21 l u t e g o. [...] Dzień, acz na pół pochmurny, dość łagodny. Spokojność między walczącymi; mówią, że Moskale cofnęli się w tył; wieść, że Dybicz raniony w nogę, coraz się bardziej przez jeńców potwierdza. [...] Dziś, 21 lutego, jako w pierwszy dzień postu ruskiego, cichość na linii moskiewskiej; kozacy tylko przez dość mocny jeszcze w niektórych miejscach lód przeprawiają się i rabują z rozbojem i okrucieństwem. Posłano przeciw nim znaczne oddziały. [...]

D z i ś 22 l u t e g o. Jutro, pojutrze krwawe boje nastąpią, boje decydujące o losie naszym. Boże, nie opuszczaj nieszczęśliwego ludu twego! W Warszawie i okolicach pełno jest włóczęgów, uchodzących od biedy nowo zaciężnych. Jakoż biedny żołnierz nasz całą aż dotąd zimę pod gołym niebem przepędził. [...]

D n i a 24 l u t e g o. Już czwarty dzień, jak nieprzyjacieli, odsunawszy się nieco i okopawszy w lasach, trzyma się spokojnie. Nam, z słabszymi siłami, trudno go w lasach i okopach dobywać. Jeśliśmy więc

¹ Była to bitwa pod Wawrem (19–20 11 1831).

wolni od huku dział, nie jesteśmy wolni od niespokojnościów. Słoty i niepogody nie oziębiają w niczym zapału i ochoty w naszych: wrą do boju, lecz długo w takich trudach wytrwać nie mogą. Moskale mają wielką pomoc i wygodę z kozaków; ci trzymają przednie strażę, a wojsko regularne spoczywa; u nas nie schodzi siodło z konia, ni hełm z żołnierza, któremu wszystko dowozić z miasta potrzeba, drzewo nawet rąbane, by miał przy czym ogrzać się i ugotować strawę. Fałszywe trwogi za każdym wkoło Warszawy pokazaniem się kilku kozaków nużą będących w mieście żołnierzy, wysyłanych naprzeciw nim. Trudno jest zgadnąć, jaki jest zamiar ich: czy zbyt znużać, czy odkąd inąd uderzyć na nas zamyślają, czekając tylko, aż Wisła puści, czy na koniec, co najpodobniejsza, spodziewają się posiłków. W stolicy coraz większa drożyzna, chleb bardzo podrożał, gdyż wojsko całe z Warszawy karmić trzeba. Po tak nieurodzajnym roku, po zabranych nam magazynach, na wiosnę głodu spodziewać się należy; byłoby nawet chłopci rzną, bojąc się, by nie poszło na pastwę nieprzyjacielowi. [...] Wisła sprawuje się wybornie: ani puszczą, ani dość mocna, by Moskale przez nią z działami przejść mogli.

25 lutego. Dziś lub jutro walnej i krwawej bitwy² spodziewać się trzeba. [...] Dybicz, chcąc zapewne wziąć Warszawę w aniwersarz³ ogłoszonej 25-go stycznia detronizacji, wszystkich sił, wszystkich dział swoich użył dzisiaj. Jakoż walczone od ósmej z rana do 6 wieczór. Na lewym skrzydle naszym, od Białołęki, jakem już powiedział, ustał ogień koło południa; lecz na prawym zaczął się gęsty i ciągły. Nieprzyjacieli i piechotę i jazdę swoją trzymał zawsze w lesie, wystawując tylko działa, z których, jak z plutonów, strzelano bez przestanku. Około 4-tej pokazały się na prawem skrzydle naszym niewidziane jeszcze kirysjery, z Petersburga nadeszłe, i posunęły

2 25 11 1831 miała miejsce bitwa o Olszynkę Grochowską.

3 Aniwersarz (z fr.) – rocznica; tu chodzi o miesięcznicę detronizacji cara Mikołaja przez sejm polski.

się aż pod kolumnę żelazną⁴ na szosie, o małe ćwierć mili od okopów praskich. Na widok ten robotnicy, kończący na Pradze przedmost, zdjęci strachem, uciekać do Warszawy zaczęli; kosyniery od Kępy Saskiej uciekali lodem gęsiego. Kilku potrwożonych nowo zaciągłych przyleciało do Warszawy, wołając, że już Moskale na moście. Trzeba było widzieć, jak ten popłoch prędko rozszedł się po mieście; zamykano sklepy, kobiety przelęknięte ku Nowemu Światu uciekać zaczęły. Z wielką biedą uśmierzone ten popłoch. [...]

26 lutego. Drobny i gęsty śnieg zaczął padać w nocy, i jeszcze pada. Nieprzyjacieli i nasi cicho się trzymają; zresztą gęsta mgła nie daje nic dobrze rozeznąć. [...]

27 lutego. Przymrozek w nocy, z rana śnieg gęsty. [...] Jakoż położenie nasze nie jest jeszcze rozpaczającym⁵. Kiedy nieprzyjaciel topnieje wśród śniegu, nasze wojsko, cofnięte do miasta, odpoczywa pod dachem. [...]

28 lutego. Pochmurno i śnieg gęsty; byłem wcześniej u ks. Czartoryskiego dla wywiedzenia się, co się dzieje. Jakżem się zmartwił, dowiedziawszy się o szczegółach morderczej bitwy piątkowej. [...]

1 marca. Słota i rozciecz⁶. [...]

2 marca. Pogoda i odwilż. Moskale mającą na Pradze, wysławszy tam strzelców swoich, którzy się tam z naszymi ucierają. Jest to zapewne majak Dybicza, który gdzie indziej myśli o przeprawie. Skrzynecki odprawił przegląd wojska, zachęcał mową, odznaczającym się rozdawał krzyże. Wisła lada godzina puści: nie ciężko

⁴ Mowa o pomniku Budowy Szosy Brzeskiej, odsłoniętym w roku 1825; obecnie przy ul. Grochowskiej 262.

⁵ Tj. rozpaczliwym.

⁶ Tj. odwilż.

będzie wtenczas nie wojsku, ale paruset kozakom przeprowić się, napadać na jadących, rabować i kryć się w lasy. [...]

3 m a r c a. [...] Dziś pogoda i ciepło. Wisła, acz nie puszcza, taje jednak. Mówią, że Moskale, chcąc przeprowadzić 4 działa na Kępę Saską, stracili je przez załamanie się lodu. [...]

4 m a r c a. [...] Śnieg, słońce i zimno.

5 m a r c a. Jeszcze słońce i zimno; jutro zapewne puści już Wisła, lecz potrzeba będzie ze sześciu dni, nim wolną od lodów zostanie. Tymczasem Moskale gotują się do przejścia jej już to na pontonach, już na mostach w Zawadach, Zastowie, Karczewie; porozbierali wszystkie domy dworskie, całe wsie na drzewo do tychże mostów robienia. Burzenia ich i niszczenia wszędzie, gdzie tylko są i byli, okazują prawdziwie azjatyckie barbarzyństwo. [...]

6 m a r c a. [...] Moskale, zdaje się, zapewne, że suną się ku Puławom, by tam siły swoje przez Wisłę przeprowić; lecz Wisła ta, jedyny nasz sprzymierzeniec, nie puszczając, ni trwając, zabierze im czasu przynajmniej dni dziesięć. [...]

D n i a 7 m a r c a. Deszcz od wczoraj wieczór trwa dotąd i jeśli potrwa, Wisła puści; 5 lub 6 dni potrzeba będzie najmniej do oczyszczenia jej i uczynienia dogodną do przeprawy. Moskale wprawni są do rzucania pontonów. [...]

9 m a r c a. Z zadziwieniem postrzeżono dziś rano, że Moskale, którzy byli się kryli na podwałach naszych i ku Grochowu, znikli zupełnie, zostawiwszy chorych i cokolwiek żywności, kaszę i baryłki z wódką; zniknęli także spod Grochowa. Wysłany patrol spotkał tylną ich straż Geismara. Ten mu powiedział: „Nie dziw się odwrotowi naszemu; feldmarszałek Dybicz, nie mogąc

jeszcze przeprowić się przez Wisłę, cofnął się na lepsze kwatery, by dać wytchnąć wojsku swemu”. – Jakoż to, podług zeznania ustawicznych do nas zbiegów, w najnędnieszym znajduje się stanie. [...]

10 m a r c a. [...] Wisła już prawie puszcza. [...]

11 m a r c a. [...] Wisła puściła i most nieco uszkodzony: to może przeszkodzi drugiemu rozpoznaniu, o którym wódz najwyższy zamyślał. [...] Niespodzianie mróz 10 stopni chwycił tej nocy; w obozach cicho, gdyż lód zerwał cztery łyżwy i wojsko z Pragi przeprować się nie może. [...] Moskale gotują się do przeprowy na Wisłę: zbudowali most na Wieprzu i wodą chcą go spuścić do Wisły. [...] Pułkownik Błędowski bez żadnej zamiany odesłany na Pragę, ale dla zerwanego mostu dostać się tu nie może.

13 m a r c a. Mróz równie tęgi z pogodą. [...]

14 m a r c a. Odwilż i śnieg; droga się psuje, a gorzej stargane zdrowie moje; dzień i noc ogarniają mię niespokojności o losy ojczyzny mojej. [...]

15 m a r c a. [...] Deszcz i słońca niezmienna. [...]

16 m a r c a. Zawsze przykra marcowa słońca. [...] Podług wieści przednich straż naszych, ciągiem Wisły stojących, zdaje się, iż Moskale w bliskości Sieciechowa i Bobrownik przeprowić się usiłują. [...] Wisła coraz się bardziej roztapia. Ma być wysłany za Wisłę dziś, jutro może, generał Umiński z mocnym oddziałem piechoty, jazdy i kilku działami. Wyprawa ta partyzancka często się udaje, jest jednak bardzo hazardowna. [...]

17 m a r c a. Marcowe słońca, coraz większe rozcieki między walczącymi naturalny sprawiły rozejm: ciężko się przeprowić, ciężko

działa prowadzić; Moskale trudnią się przygotowaniem mostów, my opatrywaniem się w co można – och, ile nam potrzeba! [...]

18 m a r c a. Dziś wieczór nie ma słoty; wyszły dwa pułki ułanów i drugi mazowiecki za Wisłę dla zachwycenia, jeśli się uda, armat moskiewskich, po rozkisłej ziemi ku Bobrownikom nad Wisłą ciągnących. O Boże, pobłogosław im.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki z 1830–1831 roku*, wyd. Marian Antoni Kurpiel, Kraków 1909, s. 61–97.

51. Rok 1849. Na Węgrzech od zimy do lata

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Wyprawa z Czibakhazy skuteczną się w warunkach fatalnych. Przeprawiliśmy się przez rzekę po nowo zbudowanym moście, maszerowaliśmy dzień cały, na noc stanęliśmy obozem. Dzień był chłodny; z południa padać począł deszczyk, który nas przemoczył na wskroś; wieczorem wziął mróz. Przy ogniskach sposobu nie było ani się odegrzać, ani osuszyć. Spędziliśmy noc, próbując się zagrzać za pomocą ciepłika, jaki wydzielają ciała ludzkie. W celu tym kładliśmy się jeden obok drugiego i okrywali płaszczami, kładzionymi jeden na drugiego. Nazywa się to „spać w maszynkę”. Sposób ten dostarczył nam spoczynku trochę. W dniu następnym, gdyśmy w kierunku odwrotnym maszerowali, powtórzyła się pogoda dnia poprzedniego, ale w spotęgowaniu: z rana odwilż, następnie deszczyk drobny i gęsty, nad wieczorem mróz, ale tęgi, taki, że zlodowaciały na nas poły od płaszczów. Zatrzymano nas w obozie na błoni, naprzeciwko Czibakhazy, i kazano biwakować. Zabraliśmy się do rozpalania ognisk. Drzewo mokre palić się nie chciało. Rozpacz ogarniała. Po drugiej stronie rzeki leżała wieś, na moście stała warta i odpychała każdego, co się z obozu wymykał. Gdy ściemniało się, żołnierstwo tłumnie do mostu się rzuciło, wartę strąciło i wieś zalało, cisnąc się do chałup, w których miejsca nie było. Około godziny dziesiątej odezwały się bębny. Kazano nam w pochód iść. Woleliśmy to, aniżeli pozostawanie w obozie. Ruszyliśmy w marsz, śnieg gęsty padać począł. Wykomenderowano mnie na kwatermistrza kompanii. Ruszyłem razem z kwatermistrzami od ułanów i oni konno, ja piechotą, zaszedłem z nimi do Török Sz. Miklosz, gdzie zakwaterowałem się z sekcją w domu, w którym na katafalku,

w otoczeniu światła spoczywał nieboszczyk. On spoczywał na katarfalku, my zaś, gdzie który przyległ. Spaliśmy tak twardo, żeśmy nie słyszeli eksportacji zwłok, co się bez księdza, służby kościelnej, śpiewów i ruchu nie obyło zapewne. W Török Sz. Miklosz wypoczęliśmy należycie. Nastąpiły potem marsze i kontrmarsze. Wspomnienia moje przedstawiają mi je mętnie z powodu, żeśmy odbywali pochody przy niepogodzie ustawicznej i myśleliśmy nie o czym innym, jeno o spoczynku. [...]

*

Po zwycięstwie pod Solnokiem¹ spodziewaliśmy się drugiej w dniu tym samym bitwy. W Czeględzie, w odległości dwóch stacyj koleją żelazną, stała brygada austriacka. Widzieliśmy, jak równocześnie ze strzałami sygnałowymi do Czeględu pomknęła lokomotywa. Uszykowano nas przeto na drodze żelaznej, wysłano podjazdy, dowódcy szklami horyzont badali; gdy słońce przygrzało, pokazywały się nam miraże, nieprzyjaciel atoli nie pokazał się. Bitwa skończyła się około dziewiątej rano. Przestaliśmy na pozycji do pierwszej zapewne. Słońce dogrzewało, pragnienie paliło; gasiłem je w kałuży, w której zwłoki psa mokły; wreszcie poprowadzono nas do miasta na kwatery. [...]

*

Pod Isaszegh pozostawaliśmy dni dwa czy trzy, zażywając dobrze zasłużonego spoczynku. Staliśmy obozem, który upamiętnił się mi Świętami Wielkanocnymi, obchodzonymi bez bab i placków, ale za to z pieczenią sarnią. [...] Słońce i piasek, na którym staliśmy, sprawiły, jak się zdaje, to, że mi się wygoiły pokaleczone w bitwie nogi. Dostałem trzewiki jakieś przechodzone; w marszu więc dalszym nie figurowałem już boso. [...]

¹ Bitwa pod Solnokiem miała miejsce 5 III 1849.

*

We dwa dni później, przy zmienionej pogodzie, stanęliśmy o południu we wsi jakiejś i rozłożyliśmy się tak, jakbyśmy nocować mieli. Postawiono nas na kwaterach ciasnych; wieczorem jednak wystąpić kazano i w pochód poprowadzono. Powietrze nasiąknięte było wilgocią chłodną. Po godzinie marszu zatrzymano nas; nadjechał Wysocki i przemówił do nas w te słowa:

– Idziemy do Komorna, przechodzić mamy pod doniosłością² baterij austriackich; zostawiam jednak do woli waszej: iść w nocy, albo też czekać dnia...

– Idźmy! idźmy!... – odezwały się głosy.

– Uprzedzam was – ciągnął dalej – że na drodze do przechodzenia będziecie mieli trzy wody.

– Głębokie? – ktoś zapytał.

– Po kolana.

– Idźmy! idźmy! – wołano.

– To dobrze, żeście się na marsz nocny zgodzili – rzekł Wysocki. Węgrzy zapytywani zgodzili się także. W Komornie osuszyć się na kwaterach wygodnych...

Ruszyliśmy i niebawem brnąć nam przyszło przez wodę, nie po kolana wszakże, ale po pas. Po pierwszej nastąpiła druga, po drugiej trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma. Rozpacz nas ogarniała. Kłapaliśmy się noc całą; nad ranem zaledwie wybrnęliśmy z wylewów rzeki Neutry czy Wagi, zdarzających się zazwyczaj na wiosnę na nizinach, otaczających Komorn od północy. O dnia świtanu przemokli i zziębli stanęliśmy na stoku twierdzy, przed jedną z bram do środka prowadzących. Poranek był mglisty i chłodny.

Stanęliśmy i stali w oczekiwaniu na kwatery, dzwoniąc zębami i przypatrując się chodzącym po wałach szyldwachom, których płaszcze całe i wyglądanie dobre irytację w nas wzbudzały. Zazdrościliśmy im. Minęła godzina jedna, druga, o kwaterach słyhać nie

² Tj. w zasięgu.

było. Cierpliwość nasza z granic wychodziła, objawiając się w głośnych na Węgrów i na Wysockiego narzekaniach. Pierwszych pomawiano o niewdzięczność, drugiego o niedbalstwo. Wreszcie nadchodzi oficer jakiś i oznajmia nam nie kwatery, ale biwaki, i zapowiada, że dostawią nam niebawem drzewa i jadła. Powściągane do tego momentu oburzenie nagle z siłą wielką wybuchło. [...]

*

W dni parę później ruszyliśmy z korpusem całym w pochód. Droga, którąśmy przechodzili, prowadziła nizinami podmokłymi. Brodziliśmy po trzęsawiskach, na których wodę miejscami okrywała śnieź czerwona. Dnie były upalne, lipcowe. Na trzęsawiskach tych pozbyłem się nagniotków, ale się za to nabawił febry, napastującej mnie co dzień trzeci.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeź [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 292–340.

52. Rok 1863. Zima i powstanie w oczach Francuza

Jules Labbé (18...– 18...?)

Zima w Polsce¹

I.

Tam, w głębi borów sosnowych w milczeniu ostrzą kosy, a księża po cichu odmawiają modlitwy za umarłych. Wytężają ucho, azali ich nie doleci wołanie z zachodu, wołanie oburzonej Francji, zwiastujące wybawienie ofiarom, a sprawcom karę.

Nie słyszają nic jednak prócz świstu kul moskiewskich przelatujących po lesistej gęszczy i echa szyderstw Murawiewa, co pali i wiesza.

II.

Ale patrzcie! wszakże to rozbójnicy? – ci mężowie, co konają, tuląc się do krzyża z imieniem ojczyzny na ustach, te niewiasty, których córki znieważyli Baszkiry, ci starce, w których żyłach pika kozacka już kropli krwi nie znalazła – ci szesnastoletni młodzieńcy, dojrzały do męczeństwa. Powiadam wam, to zbójcy! Z powodu tych nędzników upadek na giełdzie! oni to nie dają zasnąć kupcom Londynu – oni psują najszustczniejsze kombinacje naszych finansistów. – Gdyby ich słuchać chciano, gotowi by całą zakłócić Europę. Prawdziwe szczęście, że ich nikt nie słucha.

¹ „Artykuł niniejszy p. J. Labbé podajemy w przekładzie z 1076 nru *Illustracji francuskiej*, z dnia 10 paźdz. r. b., a podajemy z uwagą, iż zima nie straszy bynajmniej powstańców polskich, którzy z ufnością w Bogu i siebie, z dwojonną energią gotują się do kampanii zimowej, która i dla Moskali będzie przykrzejsza niż w lecie. P. R. Cz.” [przypis redakcji „Czasu”]. – Mowa o artykule Jules’a Labbégo, *L’hiver et la Pologne*, „L’Illustration, Journal Universel” 1863, nr 1076, s. 254.

III.

Jeszcze kilka miesięcy i nad wrogami porządku dopełni się sprawiedliwość. – Zbliża się zima, ten tajemniczy sprzymierzeniec Moskwy. Lasy utracą liście, a pola pokryje całun biały, oświetlany gdzieniegdzie łunami pożarów. Wtenczas, po łanach Polski harcować będą hufce dońskich kozaków i wierna tłuszcza z głównią w pięści, a pałaszem w zębach, przekazywać będzie echem tej ziemi buntu imię swojego ojca – cara. Z okrzykiem wścieklej radości rzuci się na Polaków, obdartych, zgłodniałych, których Francja opuściła i pan Bóg opuścił.

O, dni to będą straszliwe – już żadnych półśrodków. Dotychczas były to tylko murawiewowskie idylle! Rzeki krwi popłyną, runą pałace i dwory, wioski w ogromne zamienią się zgliszcza – jedne kościoły oszczędzone będą, by służyć mogły za stajnie.

IV.

Owego dnia może Warszawa, to miasto żałoby, w godzinie nierozważnej rozpaczy, powstanie cała. Ognia, na ten gród buntowniczy! Bomby i granaty krzyżować się będą w powietrzu – bezimienny krzyk raz jeszcze wzniesie się ku niebu i będzie wszystkim koniec.

V.

Zaświta wiosna i w odległych zakątkach Litwy ostatni powstańcy, pokryci ranami, konać gdzieś będą u stóp drewnianych krzyżów; a w gasnącym ich oku, utkwionym w krwawą twarz Zbawiciela, będzie pytanie, czy też car z nieba i Pana Boga wypędził?

VI.

Wtenczas „wspaniałomyślny” Aleksander da amnestię Polakom, a przez długie lata obszerne ich łany bujne zboże rodzić będą; zadumany wędrowiec zapyta siebie, dlaczego takie czerwone róże tej ziemi?

VII.

A po upływie wieku historia powie, że Austria rozprawiała o wolności, Anglia żaglami swymi pokrywała morza, Francja liczyła

sześćkroć sto tysięcy żołnierza, kiedy się ta straszna dokonała zbrodnia. Albo raczej i historia zamilknie, bo i ona będzie na stronie zwycięzców. Pająk moskiewski ohydną sieć swoją rozsnuje od morza chińskiego aż po Adriatyk, a Francja żelaznym objęta obręczem zacznie się uczyć powoli, jak stać się kozacką.

PRZEDRUK ZA: *Zima w Polsce*, „Czas” 1863, nr 244 z 25 x.

PRZYJEMNOŚCI



53. Radości szkolnego wieku

Aleksander Jełowicki (1804–1877)

Wspomnienia [fragmenty]

Klasy wyższe wynosiły się nad niższe, stąd w lecie rodziły się niesnaski, a w zimie toczyła się wojna na śnieżki, zwykle między pierwszym a drugim dzwonieniem, to jest między pierwszą a drugą po obiedzie. Z jednej i drugiej strony zbierają się niesforne gromady, sposobią zasób wojenny, to jest stopy śnieżek. Niecierpliwi wybiegają naprzód i z niecierpliwymi drugiej strony staczają bój pojedynczy; stopniami zapala się bitwa powszechna, najzażartsza. Słabsi celniejszym strzelcom podają śnieżki: krzyk, hałas niesłychany. Chmury śnieżek krzyżują się straszliwym pędem, śniegowe bomby warczą i pękają na mężnych piersiach, ten je odbija teką, co mu puklerzem, ten nieustraszony chwytą bombę w powietrzu i zdwojonym pędem zwraca, temu wrzeszczącemu malcowi śnieżka gębę zamknęła, oczy zabryzgała, idzie malec do klasy jak do szpitala; tam znowu wdarła się w zanadrze rozchłystanemu bimbasowi¹ i oziębła dalszą ochotę do wojny. Wrzawa, zamieszanie, walka się wzmaga, wściekłości przyrasta; już nie ma śnieżek, to śnieg garściami rzucając strony zbliżają się; już, już przy sobie, już, już rozdzierać się mają; wtem dzwonią raz drugi, w mgnieniu oka bój ustał, wojska walczące zniknęły, już w ławkach; już wchodzi nauczyciel, już przeminęła zawziętość i strach wojny, a panuje bez zawziętości strach nauki.

[...]

Zawitała wiosna, a z nią nowe rozkosze uczniom; ustała wojna na śnieżki, a zaczynała się wojna w piłki; ustały ślizgawki,

¹ Bimbas – słusznej postury, dragal.

a zaczynały się dalekie przechadzki i gry rozliczne. Pierwszego i ostatniego maja była całodzienna majowa pohulanka. Wszyscy uczniowie ze wszystkimi nauczycielami, z muzyką i z jakimiś zawsze chorągwiami na czele, wyruszali z murów przez miasto do lasu, porządnym pochodem.

PRZEDRUK ZA: Aleksander Jełowicki, *Wspomnienia*, Kraków 1877, s. 13-14, 19-20.

54. Wiosna nad Berezyną

Ewa Felińska (1793–1859)
Pamiętniki z życia [fragment]

Zima w r. 1809 była mroźna i długa. Śniegi spadły obficie i leżały długo. Pamiętam, że na Wielkanoc jadąc do pp. Rogowskich, przejeżdżaliśmy Berezynę po lodzie pięcią końmi i dużymi saniami, a nie tylko że żadne oznaki nie zdradzały wiosny, żadnej wody, żadnej odelgi¹, ale przeciwnie: droga sanna była doskonała, skrzypiało pod płozami, a od mrozu, przy promieniach słońca, śnieg błyszczał niby usypany brylantami. Wprawdzie Wielkanoc tego roku przypadała wcześniej: o ile przypominam, pierwszy dzień wypadał 28 marca.

Z niecierpliwością wyglądałam wiosny. Zawsze ona miała dla mnie urok niewysłowiony, a dziś jeszcze więcej od niej oczekiwałam. Pragnęłam widzieć tę piękną rzekę Berezynę, którą już kochałam, w całej potędze, w całym jej majestacie. Jakoż Berezyna nie zawiodła moich nadziei. Im bardziej spaźniało się jej oswobodzenie, tym się ono dopełniło z większą gwałtownością.

Nie pamiętam, jak prędko po Wielkanocy powietrze się ociepliło i wody z gór lecieć zaczęły, wiem tylko, że postęp każdodzienny był nadzwyczaj szybki. Od mrozów przeszło do zupełnej odelgi, koryto rzeki nagle się wypełniło, a nie mogąc zmieścić nadmiaru przybywającej wody, ta się wylała na brzeg płaski szeroko, tak że łąka, krzaki skryły się pod wodę, a z łądu zrobiło się jezioro, którego brzegi niknęły gdzieś w dali. Tylko rzadkie i wzniosłe drzewa, wychylając gdzieś w powodzi swe dumne czoła, świadczyły,

¹ Tj. odwilży.

że ten nowy żywioł nie na właściwym usadowił się gruncie, i że jego panowanie trwałe nie będzie.

Te drzewa, stojąc osamotnione, ale niezatopione, zdawały się pysznić, że ocalały wśród ogólnej klęski wtenczas, kiedy żywioł nieprzyjazny pochłoniął młodsze ich rodzeństwo, tak że nie zostało śladu jego istnienia, a w osamotnieniu przeglądając się w wodzie niby we zwierciadle, zdawały się pocieszać marnym cieniem swych postaci, które zostały teraz ich jedynym towarzystwem. Samoluby! Niedługo cieszyć się będziecie waszym szczęściem wyłącznym. Wkrótce wasi bracia wyjdą z topieli, wzmożą się w siły, będą rość, olbrzymieć, a wy będziecie próchnieć i usychać pomału.

Po rozlaniu wód na kilka niedziel wszelka komunikacja z przeciwnym brzegiem ustała. Promy, czółna zostały pościągane, aby powódź nie uniosła. Na koniec ława lodu, która uparcie się trzymała koryta rzeki, zaczyna chwiać się, zmieniać postać, w bokach robią się tu i ówdzie szczyby, w końcu łamie się na kawałki i z hukiem, łoskotem wybiera się w podróż.

Nie mogłam się dość nasycić tym zajmującym widokiem. Mimo zimno i mokroć, co chwila wybiegałam nad brzeg rzeki, aby nie stracić żadnego wypadku z odbywającej się rewolucji. Zawsze zmokła, zblocona wracałam do domu, a ledwie przemieniłam obuwie i odzienie, ciekawość i zajęcie znów nad brzeg rzeki wypychały.

PRZEDRUK ZA: Ewa Felińska, *Pamiętniki z życia*, t. 3, Wilno 1856, s. 40-42.

55. Pierwsze świadome spotkanie z wiosną

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]

Potem we wspomnieniach moich zachodzi przerwa aż do przyścia na świat brata mego Józefa, dnia 19 marca 1828. Ojciec mój pojechał był do Kijowa na kontrakty i nadjechał bodaj czy nie w tymże dniu. Były to imieniny jego. Brat mój, którego przyście na świat poszło na rachunek wiązania¹ solenizantowi, dostał na chrzcie imię, które przyniósł sobie. W roku tym w marcu śniegi leżały jeszcze. Topnienie takowych nastąpiło w sposób gwałtowny. Naraz nagle mrozy zelżyły i wody ruszyły; strumień rybecki² w rzekę się wydął; lasy napełniły się szumem i hukiem. Trwało to przez dni kilka. Z domu się ruszyć nie było można, najprzód dla wód, następnie dla błota, w którym koła po osie grzęzły. Było to najpierwsze moje świadome spotkanie się z wiosną. Czyniłem spostrzeżenia. Zajmowały mnie wielce potoki: pomniejsze próbowałem zatrzymywać grobelkami, do stawiania których używałem błota i kamyków; dopomagały mi w tym dzieci wiejskie, chłopcy i dziewczęta, bieglejsze w robocie tej aniżeli ja. One młynki nawet stawiały, czego ja dokazać nie mogłem. Zajęcie to jednak ustać musiało, wody bowiem spłynęły – zazieleniało, zapachło; teatrem wycieczek moich stał się ogród, który zbiegiwałem wszecz i wzdłuż, z góry na dół i z dołu do góry, zaznajamiając się z osobliwościami, jakie co chwila odkrywałem. A osobliwością było wszystko: trawy, zioła i kwiaty, które pomiędzy wiśniami i czereśniami rosły, pokrzywy, łobody, łopuchy i inne chwasty, które przyplócia i zapuściska³ okrywały, listki, jagódki,

¹ Tj. podarunku.

² Tj. należący do wsi Rybki, gdzie mieszkała wówczas rodzina autora.

³ Tj. miejscza zapuszczane, nieuprawiane.

gałęzie, szramy na korze drzewnej, mchy, narośla i klej, który mi się do jedzenia ogromnie smacznym wydawał. Niemniejszą osobliwością były wszelkie pełzające, chodzące i latające stworzenia: robaczki, żuczki, żuki, muszki, muchy, gąsienice, motyle, myszy, łasice, ptaszki, ptaki, wszystko – wszystko, co się pod oczy nawijało, co się przesuwało i przelatywało, co brzęczało i śpiewało.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 40–41.

56. Świt na Łopienniku

Zygmunt Kaczkowski (1825–1896)
Mój pamiętnik z lat 1833–1843 [fragment]

Nazajutrz po rannym śniadaniu wyprawiliśmy się na Łopiennik¹. Było nas siedmiu czy ośmiu, wszyscy na koniach, ja na moim kucu huculskim, na którym wszędzie jeździłem przy ojcu, wytrzymując już wtenczas nawet kilkugodzinne przejażdżki. Dobrze jest takie wychowanie dzieci, bo chroni od chorób w późniejszym wieku, a z dziecka zahartowane siły wytrzymują zazwyczaj do późnej starości. O zachodzie słońca przyjechaliśmy do samego podnóża tej góry i tam rozłożyliśmy się obozem. Wieczorem nałożono ogromny ogień z drzew szpilkowych i jałowcowych gałęzi, których ożywiający zapach jeszcze dziś mi się przypomina. Noc spędziliśmy w szałasach, których nam odstępili owczarze. Nazajutrz, na dobrą godzinę przed świtem wstaliśmy, a owczarze poprowadzili nas dalszymi, lecz za to nie bardzo stromymi ścieżkami na sam szczyt Łopiennika.

Kiedyśmy stanęli na szczycie, dopiero trochę szarzyć zaczęło. Na wschodzie po naszej prawej już gwiazdy pogasły, na dalekim zachodzie jeszcze te ciała niebieskie tu i ówdzie świeciły. W tej chwili czuliśmy się jak gdyby zawieszeni w powietrzu, bo mgły okrywały wszystkie góry koło nas, ziemi nic widać nie było, tylko

¹ Łopiennik (1069 m) – góra w Bieszczadach Zachodnich. Na jej szczycie znajduje się obecnie tablica upamiętniająca Wincentego Pola (inicjatora i uczestnika tej wyprawy) z wrytymi następującymi fragmentami z Kaczkowskiego: „Łopiennik, w sierpniu 1833. Nazajutrz wyprawiliśmy się na Łopiennik [...] Pol zabrał głos i wskazywał nam i opowiadał, gdzie leżą, jak wyglądają wszystkie ziemie Rzeczypospolitej Polskiej [...]. Były to pierwsze nuty do *Pieśni o ziemi naszej*, z którą Pol już się nosił od roku” (*Mój pamiętnik*, s. 19–20).

niebo i szarzące powietrze, przez które po naszej lewej przebijały się gromady gasnących gwiazdeczek. Mieliśmy wszyscy to złudzenie, że jesteśmy jak ludzkie dusze, które opuściły swe ciała i wyleciały nad ziemię: nikt z nas nie czuł tęsknoty za tym padłem płaczu – i tośmy sobie mówili. Ktoś ze starszych dodał do tego: Jak z oczu, tak z myśli.

Wszakże niebawem ostatni kres widnokregu na wschodzie zaczął się rozjaśniać, obciągając się światłem białawo-różowym. To światło szybko się rozjaśniało, podnosząc się coraz wyżej i wyżej, bledsze u góry, jaśniejsze u kresu. Jużeśmy dobrze widzieli kres ziemi na wschodzie, najeżony górami, mgły znikać zaczęły – a wtedy zdawało nam się, jak gdyby światło spoza ostatecznego kresu wybuchało falami.

Było to tylko złudzenie oka, którego wzrok chwilami na kilka sekund omdlewał. Potem mogliśmy już rozróżnić drzewa na grzbietach gór wschodnich, które się na biało-żółtawym dnie rysowały, potem roztoczył się jakoby wachlarz ogromny na wschodzie, z jasnego światła utkany, aż wreszcie słońce się wytoczyło zza gór w całej swej wspaniałości i tym blasku olśniewającym, przed którym oko tak samo się korzy, jak umysł ludzki przed Bogiem, i wolno mu tylko jego dzieła podziwiać na ziemi, ale w twarz jemu zajrzeć nie może. Za światłem słońca, z szarego świata duchów, w którym nasza wyobraźnia nas trzymała przez chwilę, przenieśliśmy się znowu na ziemię, która teraz się rozłożyła przed nami w całej wspaniałości.

PRZEDRUK ZA: Zygmunt Kaczkowski, *Mój pamiętnik z lat 1833–1843*,
Lwów 1899, s. 17–19.

57. Alpejskie widoki

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Pamiętniki [fragmenty]

Stamtąd ciągle droga pełna widoków i miejsc ciekawych; wśród chmur raz tylko przecie mieliśmy widok tak czarujący, jakiego byśmy nie mieli wśród najpiękniejszej pogody. Jedna z wysokich i śnieżnych gór była przed nami, ale myśmy jej nie widzieli. Nagle nad jej szczytem rozsunęły się obłoki, słońce zaświeciło i ukazało się oczom naszym, w całej okazałości i srebrze swoim jakby nadpoietrzne widziadło. Był jakiś urok, jakieś czary, jakaś fantasmagoria w tym widzeniu i nasz towarzysz, zawołany wędrownik, przyznał, że mało tak pięknych rzeczy widzieć mu się udało. [...]

Przed udaniem się na spoczynek ktoś zwiastował, że pokazują się gwiazdy na niebie; radość powszechna i wszyscy poszliśmy spać w nadziei pięknej pogody nazajutrz. Jakoż nie zawiodła nas. Za obudzeniem się ujrzałam jasność wielką, słońce najświetniejsze i obraz dziwny i nowy. Zima w całym blasku i doskonałości swojej. Wspaniała Mont Blanc, jak starzec odwieczną siwizną pokryty, panował nad sędziwym już pokoleniem swoim; dźwigał się ku niebu wśród lodów, śniegów i szronów. Niezaspokojona widokiem z okna, pobiegłam na belweder¹ na dachu hotelu będący, ależ jakie zimno! Włożyłam na siebie wszystko, co miałam, a jeszcze mi nie było ciepło; kto do Chamonix jedzie, choćby w lipcu lub sierpniu, niech się dobrze w ciepłą odzież opatrzy.

PRZEDRUK ZA: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*, t. 3, Berlin 1849, s. 73, 76.

¹ Belweder (z włos.) – piękny widok; miejsce, skąd roztacza się piękny widok.

58. Pierwszy śnieg w Londynie

Aleksander Chodźko (1804–1891)

List do Adama Mickiewicza z 13 I 1842 [fragment]

Nareszcie doczekaliśmy się śniegu. Na parkach sadzawki zamarzły, cała ludność, starzy i młodzi, wysypała się ślizgać na łyżwach. Pierwszego dnia tylko trzynastu utonęło, jest nadzieja o więcej.

PRZEDRUK ZA: *Listy do Adama Mickiewicza*, red. Elżbieta Jaworska i Maria Prussak, oprac. Maria Dernałowicz, Elżbieta Jaworska, Wiesława Kordaczuk, Joanna Krauze-Karpińska, Czytelnik, Warszawa 2014, t. 1, s. 187–188.

59. Urok wiosny

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Pamiętniki [fragmenty]

6 maja, Neuilly. – Któż jest, co by nie uczuł, nie podzielił wesołości natury w pierwszych dniach po jej zupełnym ocknieniu, w pierwszych chwilach tego stroju godowego, tej świeżej odzieży, tych szat weselnych, tej słowem jednym młodości roku. Im starsza jestem, tym więcej ten urok wiosny ma nade mną władzy, i już zaczynam doznawać, że dzięki wiosnie nie zestarzeję się nigdy, bo wśród tej natury tak świeżej, tak pięknej, tyle czuję życia, swobody, tyle błogości, że mi się zdaje, że mam lat piętnaście... Tych wszystkich uczuć doznałam w zupełności dziś w Neuilly, i choćbym już nigdzie przez czas pięknej pory nie była, powiem jednak użyłam wiosny. Ależ bo ile rzeczy się zebrało, żeby tę przejażdżkę miłą uczynić, dzień cudowny, maj w całej świetności, miejsce śliczne. Wsiedliśmy do dyliżansu rue Rivoli i za 10 sous dowiózł nas na miejsce. Neuilly jest miasteczko, które się zdaje dalszym ciągiem Paryża i wszystkie miasta w ten sposób powinny być stawiane. Wielka ulica sadzona drzewami i po obudwóch stronach domy [...]. Niezbyt daleko od tej głównej ulicy, która się zowie avenue de Paris, jest pałac i park dzisiejszego króla¹. Sekwana na dwa ramiona się dzieląc, oblewa go i tworzy śliczne wysepki; drzew mnóstwo, dzikie laski, mosty, wszystko to składa park śliczny.

PRZEDRUK ZA: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*, t. 2, Berlin 1849, s. 165–166.

¹ Tj. Ludwika Filipa.

60. Letnia kąpiel

Ewa Felińska (1793–1859)
Pamiętniki z życia [fragment]

Tegoż samego lata, gdy już dobrze było ciepło, poszliśmy z Antosią do kąpeli. Cóż bo to za rozkoszne kąpiele były w Hołyncce! aż dziś miło wspomnieć. Na Wołyniu nie można mieć wyobrażenia takich kąpeli¹. Dno twarde, piaszczyste, bez kamieni, a woda tak przezroczysta, że kiedy słońce świeci, wszystko widno, co się w głębi dzieje: i konchy², i rybki różnej wielkości pływające w wodzie, i raki łączące po dnie rzeki, nawet ziarenka piasku i jego kolor, wszystko widno było jak w zwierciadle. Było też z parę miejsc takich, gdzie można było bez niebezpieczeństwa przebrnąć całą rzekę, nie mając wody więcej jak po pachy, lub po szyję, stosownie do wzrostu; i właśnie te miejsca obrane były na urzędowe kąpiele. Były dalej i głębie i wiry, o których chodziły podania, jak ten i ów śmierć w nich znalazł, ale takich zazwyczaj unikano. Zwłaszcza że te głębie czarne, przepaściście, odbierały ochotę tym, co pływać nie umieli, wdawać się z nimi.

Jedna z takich uprzywilejowanych kąpeli znajdowała się po prawej stronie dziedzińca, a druga po lewej.

Otóż, kiedy był wielki upał, poszliśmy z Antosią raz i drugi do kąpeli na lewo. Piękna łąka sucha przypierała do samego brzegu, spad w wodę był wolno pochyły, nawet kładki były pomoszczone w wodzie, bo zwykle to miejsce było przeznaczone na blech³ i pranie. Jednym słowem, nie można było żądać rozkoszniejszej kąpeli. Ale cóż zrobić z tą brzydką naturą ludzką, która ni stąd, ni zowąd

¹ W Hołyncce w Nowogródzkim autorka spędziła dzieciństwo i młodość, po ślubie zamieszkała w Wajutynie na Wołyniu.

² Tj. muszle.

³ Blech (z niem.) – bielnik, miejsce, gdzie płótno biela.

nuży się dobrym, a puszcza się szukać czegoś niewiadomego, nie wiedząc zgoła, co znajdzie. Właśnie i z nami tak się stało.

Gdyśmy przyszły nad wodę, Antosia zrzucając z siebie odzienie, mówi do mnie:

– Prawda, że tu kąpiel dobra, a w tak upalny dzień, jak dzisiejszy, trudno się nie kąpać, ale powiem szczerze, że już dokuczyło ciągle jedno i to samo mieć przed oczyma. Już mi kością w gardle stanęły i ten most, i te kładki, i te olchy naprzeciw; wszak już dziś drugi czy trzeci raz przychodzimy oddać im pokłon. Prawdziwie to nieznosnie.

– Czemu żeś nie powiedziała wychodząc, że tutejsza kąpiel tak ci dokuczyła? powiedziałam, mogłybyśmy pójść za słodownię⁴. I tam równie dobrze jak tutaj.

– Równie też znudziła kąpiel za słodownią, odrzekła Antosia, jak tutejsza. I tam każdy kamyczek na dnie znajomy, każde drzewo nad brzegiem, każdy krzak jałowcu; do tego, można prędzej zastać kogo w kąpeli niż tutaj, bo cała dwornia⁵ tam kąpać się lubi.

– Można by wprzódy posłać dowiedzieć się.

– Nie. Nie mam żadnej ponęty iść za słodownię. Potem dodała Antosia niedbale, zrzucając z siebie odzienie, jak ktoś, co wszystkim znudzony tylko rusza się z musu.

– Jaka szkoda, że tam ku Stasiowszczyźnie nie ma dobrej kąpeli, tam tak pięknie, brzeg osłoniiony wierzbami, niby kto umyślnie porozsadzał z rzadka, na łące kwiaty, brzeg równie jak tu suchy.

– Jakże wiesz, powiedziałam, że tam nie ma dobrej kąpeli?

– Wszyscy mówią, odrzekła Antosia, że zacząwszy od blechu aż do Stasiowszczyzny rzeka bardzo głęboka. Pamiętasz, jakeśmy czołnami pływali, pokazywano nam, że wszędzie głębina.

– Czyż na tak wielkiej przestrzeni, jak stąd do Stasiowszczyzny, nie wybrałoby się ani jedno miejsce płytsze? Zdaje się, że to być nie może.

⁴ Słodownia – miejsce słodowania ziarna, gdzie w cieple i wilgoci kiełkuje, a mączka ziarna przeistacza się w cukier.

⁵ Tj. służba dworska.

– Prawdę mówisz, powiedziała Antosia. Mając tuż koło dworu dobre kąpiele, nikt pewnie nie szukał dalej, tylko plotą na pamięć.

– Jeżeli chcesz, zaproponowałam Antosi, możemy przejść się brzegiem ku Stasiowszczyźnie. Jeżeli gdzie znajdziemy dobrą kąpiel, to się wykąpiemy, a jeżeli nie, to zrobiwszy przechadzkę, wrócimy tu nazad. Jednakowo powietrze trochę ochłodziło i upał nie tak bardzo dokucza.

Antosia przyjęła projekt z ochotą; kazawszy zatem dziewczynie⁶ zabrać bieliznę i nieść za nami, puściliśmy się ku Stasiowszczyźnie.

Stasiowszczyzna była to mała osada położona na przeciwnym brzegu rzeki, złożona z młynów, zabudowań należących do młynarza, jeszcze jakiejś chaty i karczmy położonej nade drogą prowadzącą z Hołynki do Krzyszyłowicz.

Otóż idziemy na odkrycie nowych krajów. Zaledwie usłyszy paręset kroków od miejsca zwykłej kąpieli, rzeka się nagle zwężyła i piaszczyste dno przestało przeświecać się w wodzie, tylko od razu czarno i głęboko. Idziemy dalej i dalej: brzeg suchy, porosły niską trawą, wierzby grube rosną nad brzegiem niby umyślnie posadzone w pewnych odległościach, ale wszędzie spojrzawszy od brzegu, widno zaraz głębinę. Już trochę zniechęcone niepowodzeniem ekspedycji, idziemy jednak dalej, czekając tylko, aby która dała hasło do odwrotu: i już ono było na języku, kiedy postrzegamy między dwiema wierzbami przeświecające się w wodzie żółte dno piaszczyste. Spojrzałyśmy z tryumfem jedna na drugą, widząc uwieńczone jakimkolwiek skutkiem nasze przedsięwzięcie, a choć ta nowa kąpiel nie zbliżała się ani w części do tej, którąśmy opuściły, bo tylko mały jęczyzek piaszczysty się przeświecał, a dalej było czarno, jak zwykle na miejscach głębokich, jednak i to przyjąwszy za pomyślność, rozebrawszy się, poszłyśmy w wodę. Wprawdzieśmy się zamoczyły, ale iść dalej nie śmiemy, bo dna nie widno, a pływać żadna z nas nie umie, musimy zatem niewolniczo pilnować się brzegu.

⁶ Tj. służącej.

Gdybyśmy na tym były skończyły, jeszcze by było pół biedy, ale nas ogarnęła pokusa spróbować, jak daleko można by iść w wodę tam, gdzie dna nie widno. Aby jednak pogodzić ciekawość z bezpieczeństwem, nie zaniechałyśmy środków ostrożności, jakie były w mocy naszej, i ułożyłyśmy regularny plan ekspedycji. Wskutek tego planu wyłamałyśmy wspólnymi siłami gałąź z wierzby rosnącej nad brzegiem, najdłuższą, jaka wyłamać się dała, do tej gałęzi przywiązałyśmy fartuszek Dominisi, dziewczyny równego ze mną wieku, która wyłącznie była nam dodana do posług. Ta gałąź miała być liną zabezpieczającą od wszelkiego wypadku.

Przystępując do dzieła, tak rozdzieliłyśmy role nasze.

Dominisia, jako tchórz największy, miała stać w rzece od samego brzegu; Antosia miała wejść głębiej, trzymając się jedną ręką Dominisi, a w drugiej mając gałąź przedstawiającą linę, ja zaś czując się najodważniejszą, wybrałam sobie główną rolę, a ujawszy za drugi koniec owej liny, miałam iść na zgłębienie rzeki.

Nim się puściłam na to przedsięwzięcie, stanęła między nami taka umowa, że będę iść naprzód, póki będzie można, a jeżelibym czuła przed sobą głębie, wtenczas dam hasło i towarzyski powinny nazad ciągnąć linę, której koniec trzymałam w ręku, i tym sposobem pomóc wyjść z wody w razie trudnym lub niebezpiecznym.

Zawarowawszy się tym sposobem przeciw wszelkim wypadkom, puściłam się naprzód śmiało. Spadek był pochyły, a zatem niewiele jeszcze uszłam, a już mam wody po pachy, po szyję, po brodę – już podnoszę się na palcach i zadzieram brodę do góry, aby się nie napić wody, która dosięga uszu, a nie tylko nie czuję pod nogami gruntu równego, co by znaczyło, że stanęłam już na największej głębokości, ale przeciwnie, uczułam nagłą pochyłość, wodę na dnie bardzo zimną, i niby jakieś ciężenie ku głębinie.

Widząc, że trzeba cofać się nazad koniecznie, a że tego cofania trudno dopełnić o własnych siłach, bo czy to się straciło równowagę, czy też pęd wody ciągnął na dół, postanowiłam użyć pomocy towarzyszek. Jakoż, odwróciwszy nieco głowę, zawołałam głośno, aby posłyszano:

– Ciągnijcie nazad!

Na to hasło Dominisia przełęczniona myśląc, że już tonę, zamiast ratunku puszcza rękę Antosi, Antosia też traci przytomność, a choć jej żadne nie groziło niebezpieczeństwo, bo ledwie po pas miała wody i stała na gruncie równym, puszcza jednak z przestachu gałąź, którą trzymała, a ja, nie znajdując pomocy, na którą rachowałam i ledwo palcami dotykając ziemi, tracę równowagę i wpadam w głębinę, a woda zamknęła się nad głową moją.

Nie wiem, jak długo byłam pod wodą, zapewne że nie długo, a skoro przyszłam trochę do przytomności, zebrawszy wszystkie siły uderzyłam o ziemię nogami, niby chcąc podskoczyć. To uderzenie widno, że było silne, bo woda wyrzuciła do góry i światło dnia ujrzałam, ale że pływać nie umiałam, więc utrzymać się na wierzchu nie mogłam. Jednak instynktownie, zebrawszy siły, na jakie mi stało, zaczęłam bić rękami po wodzie: kilka razy nurzałam się z głową w wodę i znów po chwili nazad się wybijałam, nie przestając, skoro się wydobędę, bić rękami. Na koniec, uczułam ziemię pod nogami, a głowa jednak zostaje nad wodą. Bogu dzięki jestem uratowana. Stałam wtenczas dobrze na nogach, aby dać siłom trochę wypoczynku i obejrzeć się, co się dzieje naokoło mnie? gdzie są moje towarzyszki? co one robią? Postrzegłam wtenczas z wielkim zdziwieniem, że się znajduję bliżej przeciwnego brzegu i że jestem oddzielona od towarzyszek korytem rzeki. Musiałam przepłynąć to koryto, ale jakże się to zrobiło, kiedy pływać nie umiałam? a nawet choć nieraz próbowałam i chciałam posiąść tę mądrość, którą wszystkie zwierzęta wzięły z przyrodzenia, nigdy mi się nie powiodło. Opatrzność! Opatrzność! Widno, że Bóg na ten raz jeden w niebezpieczeństwie zesłał pomoc nadzwyczajną, gdyż później, mimo usilność i największe staranie, nigdy nie mogłam przepłynąć choćby kilku sążni.

Moje towarzyszki z radością postrzegły, że jestem uratowana; Antosia mówi do mnie, ja jej odpowiadam, ale dostać się do niej nie mogę, a na nowo przebywać koryto rzeki tym sposobem, jak już przebyłam, nie miałam ochoty. A jednak z tamtej strony zostało

moje odzienie i sucha bielizna. Wprawdzie można obejść mostem czy to na Stasiowszczyźnie, czy koło blechu, ale jak puszcza się na tę wędrówkę w mokrej tylko bieliźnie? Niepodobna. Spotkawszy kogo w takiej toalecie, co łatwo nastąpić mogło, chyba by ze wstydu nazad wskoczył w wodę, choćby w głębinę. Położenie trudne; żaden środek lepszy na myśl się nie nawinął, a działać trzeba było koniecznie.

Nie mając nic lepszego do wyboru, zdecydowałam się iść drugą stroną rzeki do miejsca zwykłej kąpeli, i tam przejść w bród rzekę, bo nie była głęboka. Wprawdzie ta kąpiel była tuż koło mostu, ale zyskiwało się tyle że się przechodziło rzekę wodą, a nie mostem, nie narażając się na spotkanie z kimkolwiek. Zrobiwszy to postanowienie, wydrapałam się na pagórek, aby obaczyć, czy nie ma kogo na drodze Krzyszyłowieckiej lub Szykowskiej, a nie widząc nikogo, puściłam się szybko brzegiem, oglądając się od czasu do czasu, czy kto nie widzi.

Już odbyłam może połowę drogi, kiedy postrzegłam między trzciną otaczającą brzeg rzeki schowane czółno. Zastanowiłam się. Przyszło mi na myśl, jakby to dobrze przeprawić się czółnem na brzeg przeciwny, tylko że nie ma komu przewieźć, a ja sama kierować czółnem nie umiem. Jednakże, nie spuszczałam z oka czółna – i wiosło leży we środku. Widno, że niedawno ktoś jeździł. – Gdyby to spróbować przepłynąć? Waham się jednak – świeżo przebyte niebezpieczeństwo stanęło przed oczami – wszakże pokusa szepce, że teraz zupełnie co innego, że czółno w każdym razie nie utonie, ale będzie pływać po wierzchu. A gdyby się nawet puścić z biegiem wody, to zawsze przypłynie czy to do mostu, czy też do brzegu, i będzie można wylądować. Krótko mówiąc pokusa przemogła.

– Nie święci garnki lepią, pomyślałam sobie.

A nie tracąc wiele czasu na dumanie, spuszczałam się między trzcinę i już jestem w czółnie. Wtenczas biorę do rąk wiosło, odpycham się od brzegu. Zrazu szło trudno, bo czółno stało na mieliźnie, ale po krótkich usiłowaniach zaczęło się chwiać, posuwać wreszcie między trzcinę. Już czuję, że ma wodę pod sobą, na koniec, otóż jestem na czystej przestrzeni wody.

Póki płynęłam między trzcina, chwytając za nią rękami, nada-
wałam kierunek czółnowi, ale skoro się dostałam do czystej i głębo-
kiej wody, czółno zamiast płynąć ku miejscu, ku któremu chciałam
go skierować, zaczęło się kręcić i wyprawiać jakieś tańce. „Żle” – po-
myślałam sobie, wszakże wiedząc, że kłopotanie się nie doprowadzi
do niczego, zaczęłam robić wiosłem uważając, jaki skutek wypływa
od rozmaitego nim uderzenia. Po krótkiej próbie pojęłam wreszcie
sekret i potrafiłam nadać czółnowi kierunek, jaki sama chciałam.
Dla doświadczenia sił i umiejętności kierowałam to w tę, to w ową
stronę i z ukontentowaniem postrzegłam, że jestem panią ruchów.

Jakże byłam dumną i zadowoloną, władając nawą moją! Skiero-
wałam ją ku miejscu, gdzie była Antosia, a kiedy ta oczekiwała mię
od łądu, mając oczy wlepione w miejsce, gdzie miałam przebywać
rzekę, nagle ukazałam się na wodzie i w czółnie. Zdziwiona Antosia
nie mogła pomiarkować, ani skąd wzięłam czółno, ani kto natchnął
mię mądrością kierowania onym. Tymczasem z tryumfem zawinę-
łam do portu, a wylądowawszy przytwierdziłam czółno do wierzby.

Tak się zakończył dzień obfity w wypadki ważne dla mojej
osobistości.

PRZEDRUK ZA: Ewa Felińska, *Pamiętniki z życia*, t. 2, Wilno 1856,
s. 72–82.

61. Jesień w Krakowie. Rok 1862

Ambroży Grabowski (1782–1868)

Kronika domowa [fragmenty]

Przechadzka jesienna do lasu Bielańskiego.

W każdą porę roku lubię pobyt w lesie. Na wiosnę, kiedy jeszcze młodziuchna obleje cienkie gałązki brzeziny kolorem fioletu, później, gdy młode pączki i drobne listki ożółcą ją jasną farbą. – W lecie, gdy skwar słoneczny dopieka, jakże jest miło spoczywać w chłodzie w cieniu drzew. – W jesieni, gdy drzewa przybiorą się w kolory żółte i pomarańczowe w różnych odcieniach. – Nawet w zimie las bywa piękny w dniu słonecznym, gdy na ciemnozielonych gałęziach świerków usadowią się śniegowe masy.

Taką przechadzkę pieszą odbyłem d. 18 października r. b. sam jeden, bo do pieszej drogi niełatwo znaleźć towarzysza. Około godziny 12-tej stanąłem na Bielanych i usiadłem dla spoczynku pod drzewami. Przez cały czas mego tam pobytu nie dostrzegłem żadnego żywego stworzenia i ani jeden nie pokazał się ptaszek, i tylko jedyna mucha leśna usiadła mi na karcie otwartej książki, przypatrzyła mi się i zdziwiona – co ja tu robię? – odleciała. Cisza panowała zupełna, tylko las szumem gałęzi śpiewał melancholijny hymn pożegnania na cześć minionej pięknej pory, a liście spadające układały się na ziemi do snu wiecznego... Każde drzewo już się pozbyło większej części ozdób lata i wyglądało, jak niejeden niegdyś bogaty hrabia, który w zbyt kownym życiu przesumał większą część dawniejszego dobrobytu, a dziś połyskując jeszcze resztkami, radby przedłużyć dawną świetność swego dworu, czego mu wzbraniają starozak[onni] wierzycciele, przypominając mu: *redde quod debes*¹.

¹ *Redde quod debes* (łac.) – oddaj, coś winien.

Przedumawszy tak dwie godziny, ruszyłem przez niegdyś las Wolski do domu, któremu już tylko pozostało nazwisko, bo rzeczy już nie ma, tj. drzew roślejszych, tylko krzaki i gdzieś ojce lasu, czyli nasienniki²... Ustąpili z miejsc swych owi patriarchowie, stare dęby, i weszli nie do grobu..., lecz do pieców, dokąd ich terażniejsi posiadacze wyprawili... Doczekali się oni zupełnego zniszczenia lasu, ale ani oni, ani ich spadkobiercy nie doczekają tego, że las wyrośnie.

PODSTAWA DRUKU: Ambroży Grabowski, „Kronika domowa”, tom 3-ci (1862, 1863, 1864), in 4-o, rkp. Archiwum Narodowe w Krakowie, sygn. 1 (dawna E. 4), k. 102.

² Dojrzałe drzewo zestawione na zrębie, by z jego nasion wzrosły samosiejki.

62. Ślizgawka w porcie królewieckim

Wincenty Pol (1807–1872)

Obrazy z życia i natury [fragmenty]

Rankiem wszedł do nas dzierżawca tego majątku i powiada wesoło:

– Ja radzę, jedźcie panowie do Królewca. Morze okryło się lodem, lód stanął równo, to nasz najpiękniejszy czas. W Królewcu rozpoczną się szlichtady¹, będzie co widzieć i warto, żebyście to panowie zobaczyli. [...]

Spojrzeliśmy w okna. Jak zmrózona oaza leżał ogród szpalerowy przed nami; strzyżone cisy były białym szronem owiane, jezioro błyszczało szybą gładkiego lodu; dalej świeciły białością niezwykłą brzegi morskie lodem pokryte; cały widok dziwnie mroźny i zlodowaciały przedstawiał świat. [...]

W istocie, zatęskniliśmy za ludźmi i po trzech godzinach, siadłszy na koń, byliśmy w Królewcu. [...]

Gdyśmy po śniadaniu obejrzeni się w porcie, znaleźliśmy fizjonomią jego zupełnie odmienioną. Przy samym brzegu spały już okręty snem zimowym zamrożone, bez flag i żagli, a smutno spoglądali majtkowie z pokładów, skazani przebyć zimę na okręcie bez ruchu.

Po zwierciadle portu nie szybowały łodzie włóczków ni rybaków, przybywających na targ rybny z świeżym połowem codziennie, ale natomiast przesuwano się tysiące na łyżwach dzieci i dorosłych, kawalerów, a nawet i dam, krótko, po kolana prawie, ze szwedzka ubranych, z ozdobnie osznurowanymi łyżwami.

Dziwna rzecz: w czasie ciepłej pory nie widziałem tu na ulicach kolorów żywych; teraz na lodzie uderzyła nas pstra mieszanina nie

¹ Szlichtada – grupowa przejażdżka saniami zimą, często połączona z zabawą.

tylko żywych, ale nawet jaskrawych kolorów. Bogdaj szalik, bogdaj przepaska, czapeczka lub stroik musiał uderzać żywością kolorytu, i przyznać trzeba, że przy ruchu na łyżwach i na lodzie dziwnie nam się to pięknie wydało.

Cała przestrzeń środkowa portu była zasnutą lecącymi na łyżwach postaciami. Tu tańczono kadryla, tam zatoczyli mężczyźni śmiały karuzel, małe chłopięta posuwały się brzegiem, a pięknie ze szwedzka ustrojonym damom, które zazwyczaj po dwie, trzymając końce szalu, robiły kurs wzdłuż bulwaru, ustępowało wszystko z uszanowaniem z drogi. Przesuwały się także, pędzone z tyłu przez wprawnych łyżwiarzy, i małe saneczki, na których siedziały damy w kosztowne futra strojne, z zarękawkim albo szpicrutą w ręku. Kto nie na łyżwach, temu nie wolno stanąć na lodzie, bo wśród tych junaków, śmiałych harców i posuwistych płasów na lodzie, nie miałby co robić ten, co nie na łyżwach. Za to też były wszystkie pokłady okrętów i brzegi portu widzami okryte, a kiedy się ze szwedzka strojne przesuwały damy, witały je huczne oklaski i okrzyki w przelocie.

Tak się umieją bawić na północy. Lecz muszę tu zrobić uwagę, że się zima tam zwykle mrozem, a nie śniegiem poczyna, że zaraz pierwsze mrozy bywają bardzo mocne; stąd staje lód równo, a że się nieraz śniegiem pokrywa, można użyć pohulanki na łyżwach i sanny po lodzie.

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Obrazy z życia i natury*, seria 1: *Północny Wschód Europy*, Kraków 1869, s. 13–15. Pierwodruk „Tygodnik Ilustrowany” 1867, t. xv, nr 392, z rysunkami Juliusza Korsaka.

63. Zima we lwowskim dworku Fredry

Maria z Fredrów Szembekowa (1862–1937)

Niegdyś... Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze [fragment]

Gdy chłód jesienny i coraz to szybciej zapadający zmrok zapowiadały już bliskość zimy, dom nasz w zimowe się też przyoblekał szaty. Pokoje dziadostwa i salon uścielano dywanami, pod które układano warstwę słomy; okna o niewielkich szybach kitowano starannie i do połowy zapełniano ślicznym, zielonym mchem, z lasów beńkowo-wiszeńskich¹ przywiezionym; w piecach lekko przepalano... Ach! Jakże ja lubiałam te przygotowania zimowe! Ten zapach leśny mchu, z przymieszką kamfory dywanów, rozcho-dzący się wówczas po wszystkich zakątkach domu! Jakież wrażenie ciepła, zacisza i jakiegoś bezpieczeństwa przenikało mi ciało i duszę zarazem!

Wstawaliśmy około 7¹/₄ przy świetle lampy; za pierwszych lat moich dziecinnych używaliśmy tylko świecy i to łożówki. Mrok i zimno panowały w dużym naszym, na dwie części przez przepie-rzenie podzielonym pokoju, ale rozgrzewał nas trzask ognia w piecu i widok czerwonego jego odblasku, padającego na posadzkę i me-ble. Przed śniadaniem szłam na dzień dobry do babki, leżącej jesz-cze w łóżku – wstawała około 9-tej. – Po dwóch godzinach lekcji następowała pauza, podczas której udawaliśmy się wraz z bratem do dziadka, który wstawał o wiele później. Przy łóżku jego czekał na mego brata przysmak wielki, przez niego co dzień dla wnuka odkładany, mianowicie garnuszek z resztką kawy i olbrzymim

¹ Beńkowa Wisznia – wiejska posiadłość rodziny Fredrów.

kożuszkim, którego sam widok bezgranicznym obrzydzeniem mnie napełniał.

Do godziny obiadowej, tj. do drugiej, dziadek pokoju swego nie opuszczał, pracował w nim sam, pisał, rysował i czytał. Godziny poobiednie z małymi przerwami spędzali dziadostwo razem w pokoju babki.

PRZEDRUK ZA: Maria z Fredrów Szembekowa, *Niegdyś... Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze*, z przedmową Adama Grzymały-Siedleckiego, Lwów–Warszawa–Kraków 1927, s. 71–72.

64. Z rozmów o pogodzie

August Wilkoński (1805–1852)

O piorunach. Dwa nadzwyczaj prawdziwe zdarzenia

Gdybym na własne nie słyssał uszy, nie byłbym wierzył – przecież w mojej obecności pan Zdzisław i pan Witold następną¹ prowadzili mowę:

Zdzisław: Noc była parna; od wschodu słońca gorąco, następnie gwałtowny upał, około południa zdawało się, że ogień z nieba leci; rośliny powiędły; śpiew ptaków ucichł; zwierz dziki w gęstych zaroślach chłodnego szukał schronienia.

– Na obszernej niwie wrzeszczał rozgłośnym gardłem karbowy „Dalej, dalej, żywo!” i tysiące kropel krwawego potu oblewało ciężką pracą wycieńczone ciała żniwiarzy. Niemowlęta, na utkwionych w ziemi drążkach w grubej zawieszono płachcie, po długim i bezskutecznym płaczu za pokarmem matczynym, anielskie spojrzenia mimo wiedzy w niebo unosząc – wreszcie umilkły. Spoza lasu czarna wystąpiła chmura; wiatr począł się nagle wzmacniać; bezprzystanny grzmot i błyskawica okropną zapowiadały burzę.

Od wioski na spienionym koniu pędził dziedzic Tarlina, Kazimierz Rossowiecki, cudnej urody młodzieniec; budowa jego ciała doskonałej piękności, w błękitnych oczach jakoby wrodzona śmiałość, na świeżych licach piętno zdrowia i siły, na ustach wyraz dobroci, ubiór miał lekki i bez przesady – w ogóle dziwnie do mnie podobien. Ledwo że pierwszych dosięgnął zagonów „Do domu! do domu!” zawołał – i wnet pobiegły matki, tuląc spragnione dzieci do piersi; chłopci, błogosławiąc dobremu panu, szli zwolna za nimi. Wkrótce też potem grad pokrył pola, deszcz ulewny zaciemnił widnokrąg, pioruny biły z przeraźliwym łoskotem.

¹ Tj. następującą.

– Ignacy! Wolno, przez miłosierdzie Boskie wolno! prędką jazdą utworzone pasmo wiatru może piorun sprowadzić.

– Proszę jegomości co rychlej, to rychlej; pod dachem będzie bezpieczniej – odrzekł trwożliwy Ignacy. Wtem walka żywiołów zwiększyła się, ziemia zadrżała, grom i bezzwłocznie piorun w prawe tylne koło mojego pojazdu uderzył.

– Kaczaj! – krzyknął Ignacy, jam się przeżegnał, konie biegły, ile im sił starczyło.

– Ignasiu! stój! stój! jeżeli Boga masz w sercu stój! ja wysiądę.

Ognista wstęga i dym siarczany dalszą wstrzymały prośbę, lewe od przodu koło zdruzgotane zostało w kawałki.

– Stój! stój! – nie, on jeszcze silniej konie zacina. Minęliśmy cegielnią, kuźnię, dyszel we wrota stajenne uderzył – rozwarły się na rościęz i na pół żywy ujrzałem się pod pożądanym przez Ignacego dachem; pojazd stracił wreszcie równowagę, wywrócił się, a ja wysypałem się na ziemię.

Witold: Więc pan dobrodziej na dwóch tylko kołach wjechałeś do stajni?

Zdzisław: Tak jest, łaskawy panie, na dwóch i to na jednym tylnym i na jednym przodkowym, na lewym i na prawym, przez co równowaga zachowaną być mogła.

Witold: Dalekoż było od karczmy, gdy pierwszy uderzył piorun?

Zdzisław: Najmniej, żebym nie skłamał, ukraińskiej mili ćwierć dobra – pocztowej była połowa – i może jeszcze kroków kilkanaście.

Witold: Zazdroszczę panu dobrodziejowi tego wypadku; mnie, co tak bardzo lubię pioruny, jeden raz dopiero coś podobnego w życiu przytrafiło się. – Będzie temu lat pięć, gdy na łaskawy rozkaz ciotki mojej, pani Z..., do Cichostronia przyjechał. Na ś. Emilią spodziewano się gości. W lipcu nie wolno do czworonożnego strzelać zwierza, więc poszedłem na wodne ptastwo, iżby ciotci na jej imieniny myśliwską zrobić niespodziankę, zwłaszcza że ciocia dobrodziejka bardzo lubiła bekasy. – Zaopatrzony we wszystko, co na dzień cały polowania jest potrzebnym, wyszedłem z pałacu jeszcze przed wschodem słońca. Dzień był przepyszny: łąki i gaje,

chłodną rosą zwilżone, wydawały aromatyczną woń, którą tylko czuć, ale jej opisać nie można. O! pamiętam, cudny, boski to był poranek! Drobne ptaszyny, na lekkim skrzydle w nadpowietrzne wzbite szlaki, piękność przyrodzenia² głosiły: bociuś na niebotycznym dębie dopiero co klekotać począł, strwożony zajęc w obrane miejsce kamieniem przypadł, na purpurowe obłoki wtoczył się złocisty wóz słońca, a wedle Kopernika ziemia raczyła się na osi w ten punkt przechylić, żem cały szkarłat wschodu zobaczył. Nie umiał cenić tak wspaniałego widoku Tyras, wyżeł mój, bo wietrząc zwierzynę, na jezioro popłynął. Podrywa się cyranka, jedna, druga, trzecia, czwarta i dziesiąta; strzeliłem na zakręcie ich lotu, siedem spadło, pies przyniósł do nogi, przytroczyłem i idę dalej – ale po cóż pana dobrodzieja nudzić, przed godziną dziewiątą miałem przy torbie 24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków i 8 dubeltów.

Zdzisław: O! wierzę, wierzę! bo ja raz przez jedną godzinę...

Witold: Proszę nie przerywać; nie o to rzecz idzie; gdym, mówię, 68 sztuk ubił, spocząłem na pobliskim pagórku, wyżłowi rzuciłem chleba, sam napiłem się wódeczki i utrudzony pracą mimowolnie na słodko zasnąłem. Co to jest, panie dobrodzieju, namiętność! i we śnie strzelam, morduję zwierzynę – już nie pamiętam, ilem ja to wówczas nastrzelał, nie wiem także, jak długo poiłem się słodką snu karmą, gdy mnie ciężki grzmot przebudził. Od zachodu toczy się ogniem ziejąca nawałnica – szum ją okropny poprzedzał, wicher z korzeni rwał drzewa, piasku tumany były mi w oczy. Nie naśladując pana dobrodzieja, którego się bałeś piorunów, przeciwnie podziwiając widok gniewnego nieba, z zachwytem przypatrywałem się, jak szybki do mnie zbliżył się uragan ognia i wody – obnażoną pierś wystawiłem naprzeciw burzy, roztwartymi usty połykałem wiatr, który może przed godziną o mil 30 łono mojej pieścił kochanki – i tak poetycznym uniesion zapałem, czekam rychło li nad moją głowę nadejdzie łoskot piorunów, gdy wreszcie wielkości strusiego jaja krople na czoło moje upadły, a wkrótce

² Tj. przyrody.

deszcz strumieniami się puścił. Panie Zdzisławie! nie uwierzysz, jaka to rozkosz widzieć wśród rozległego pola naokoło siebie, nad sobą i przed sobą – nic więcej tylko ulewny deszcz. Niecierpliwiłem się wprawdzie, że pioruny z dala ode mnie padały – jam pragnął doświadczyć wrażenia blisko, jak najbliższej uderzającego pioruna.

Zdzisław: Istotnie WPan Dobrodziej do bardzo śmiałych policzonym być możesz.

Witold: Jest to błędem naszej rodziny – mój nieboszczyk stryj w czasie najgwałtowniejszej burzy zwykł wchodzić na dach swego pałacu i trzymał się zawsze lewą ręką konduktora³, aby miłego doznać wstrząśnienia w razie, gdy piorun uderzył; radzili mu to nawet lekarze na zatwardzenie wątroby.

Zdzisław: Prawdziwie osobliwszy rodzaj przyjemności i leczenia się – ale jakżeż było wówczas na polowaniu?

Witold: Oto! kiedy złorzeczę niezycliwemu kierunkowi chmury, która mi żadnego nie naprowadziła pioruna, naraz zdało się, że ktoś wiedeńską kitajkę⁴ nad mymi uszami rozdziera i, czy pan Dobrodziej uwierzysz? piorun w prawą lufę mojej strzelby uderzył!

Zdzisław: To pan dobrodziej zapewne rękę, a w najszcześniejszym przypadku strzelbę utracił?

Witold: Bynajmniej; jak pan widzisz, mam ręce całe, a ze strzelbą inaczej się stało. Lecz mówiąc dalej: – ha! pomyślałem sobie, raz przecie życzenie moje spełnionym zostało – gdy wtem trzęsie się ziemia jak galareta, łamie się ogromne niebios sklepienie i drugi piorun wpadł w lewą lufę. Patrząc, panewki przywarte, proch nieporuszony, oczywiście obadwa pioruny albo wśród pałuk albo wśród śrutu zostały, nie dotknąwszy prochu. Po nagłym burzy przelocie słońce żywszym zaświeciło promieniem i prócz kontuzji, której u nóg moich tulący się wierny Tyras w ogon był dostał, bez najmniejszego szwanku zdrów, wesół i cały, dźwigając

³ Tj. piorunochronu.

⁴ Kitajka – dawna nazwa tkaniny jedwabnej.

24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków, 8 dubeltów i dwa pioruny, powróciłem do cioci.

Zdzisław: Być może, ale i wierzyć trudno.

Witold: Jeżeli pan dobrodziej pozwoli, pokażę tę samą dubeltówkę; mam ją tutaj ze sobą, możemy nawet jeden piorun wystrzelić.

Zdzisław: Jak to? do tej chwili są jeszcze w tej fuzji te same pioruny?...

Witold: Tak jest, panie dobrodziej! pozwolę panu dobrodziejowi jeden wystrzelić. Hej! Janie!...

Zdzisław: Nie, nie potrzeba – ja wierzę panu dobrodziejowi co do słowa, nie wątpię, szkoda by było pozbawić się takiej osobliwości.

Witold: Ależ jeden tylko wystrzelimy.

Zdzisław: O nie – nie, panie Witoldzie! ja wierzę, ja znam pioruny i wiem, że się zdarzają nadzwyczajne przypadki, którym tylko głupcy wiary dać nie chcą. – Co za szczęście, żem ja wtenczas pod Tarlinem żadnej nie miał strzelby.

Witold: Ale byłbyś, panie Zdzisławie, dwóch kół nie postradał...

Pan Zdzisław powiedział, że się zdarzają wypadki, którym głupcy wiary dać nie chcą. Jak się komu podoba – co do mnie, uwierzyłem zupełnie.

PRZEDRUK ZA: *Ramoty i ramotki Augusta Wilkońskiego*, wydanie nowe i zupełne z życiorysem autora przez Kazimierza Władysława Wójcickiego, Poznań 1862, t. 3, s. 156–166. Pierwodruk „Biblioteka Warszawska” 1841, t. 4.

Humorystyczne opowiadanie Wilkońskiego to jedyny w tej antologii tekst literacki. Stanowi on ciekawą ilustrację trzech rodzajów przyjemności czerpanych z pogody. Przyjemność z pioruna (przynajmniej deklarowana) u jednego z bohaterów, przyjemność pełnej przechwałek i zmyślnych rozmowy o pogodzie, stanowiącej treść historyjki, wreszcie przyjemność lektury dla czytelnika, zainteresowanego pogodowym tematem.

65. Karnawałowe kreacje pogodowe

Gabriela z Guntherów Puzynina (1815–1869)

W Wilnie i dworach litewskich [fragment]

Hasło kostiumowego balu dodało trochę życia karnawałowi¹. Sama gospodyni, pani Abramowiczowa², w puszkach łabędzich, przewodniczyła jako łagodna zima świeższym porom roku. Wiosną była Basia Szzykowska, cała w różach i sama świeża, jak róża. Panna Kajetana Abramowiczówna³, strojna w dojrzałe kłosa, przedstawiała lato. Jesienią w wieńcu z winogron była panna Anastazja Jakowlew, wychowanka pp. Abramowiczów. Ponad nimi jaśniała jutrzienka w postaci panny Aleksandry Bécu⁴ z gwiazdą srebrną nad promienistym czołem.

PRZEDRUK ZA: Gabriela z Guntherów Puzynina, *W Wilnie i dworach litewskich. Pamiętnik z lat 1815–1843*, wyd. Adam Czartkowski i Henryk Mościcki, Wilno [1928], s. 119.

¹ Był to karnawał 1830 roku, ostatni przed wybuchem powstania listopadowego.

² Emilia z Bachmińskich primo voto Cichocka.

³ Córka marszałka szlachty pow. wileńskiego, Mikołaja Abramowicza (1788–1835).

⁴ Aleksandra Bécu (1803–1832), przyrodnia siostra Juliusza Słowackiego, poślubiła Józefa Mianowskiego.

**ZJAWISKA NIEZWYKŁE
I EKSTREMALNE**



66. Susza 1811

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętniki 1811–1820 [fragment]

Przez całą wiosnę i lato ciągle trwająca susza nie ustała dotąd: spalone jarzyny¹, spalone w ogrodach warzywa, wszystkie, smutny zapowiadają niedostatek, do tyłu klęsk², redukcja podłej, lecz dotąd kurs mającej pruskiej monety dytków³, wznieciła we wszystkich trwożę i zamieszanie, i wszystko do niezwyyczajnej podniosła ceny.

PRZEDRUK ZA: *Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza 1811–1820*, Poznań 1871, t. 1, s. 263.

¹ Tj. zboża jare.

² Był to rok 1811, rok trudności gospodarczych Księstwa Warszawskiego spowodowanych m.in. blokadą Anglii i zamknięciem granicy z Rosją dla polskich towarów. Groziła także wojna z Rosją.

³ Pozostałość pruskiego panowania na terenach, z których pod protekcją Napoleona utworzono Księstwo Warszawskie (1807). Dytki – moneta zdawkowa.

67. Petersburg pod wodą

Tadeusz Bułharyn (1789–1859)

List do przyjaciela o powodzi w St. Petersburgu dnia 7 listopada 1824 roku [fragment]

Dowiedziałeś się już zapewne z gazet i dzienników o klęsce, która tę stolicę dotknęła. Prócz tego, wieść skrzydlata (podobna do kulki śniegu, z góry się koczającej i za każdym powiększającej się obrotem) niewątpliwie doleciała do ciebie w postaci olbrzyma. Prawda, że klęska jest wielka, szkody niemałego znaczenia, dlatego, że śmierć przedwczesna, jednego nawet obywatela miasta, bolesnym jest nie-szczęściem, a zniszczenie jednej poczciwej familii jest pełnym żalu i smutku zdarzeniem; jednakże pomimo to wszystko, tak jestem przekonany, że w opowiadaniach ustnych i listownych doniesieniach niezmiernie wiele jest nad miarę powiększonego i bardzo wiele skażonego. Staraniem będzie moim wystawić ci w krótkości obraz tej klęski dla rozproszenia tak rozmaitych powieści. Tyś mi wierzyć powinien, jako świadkowi naocznemu; ja ci przyrzekam być szczerym. Serce twoje ściśnione zostanie boleścią, czytając moje wyrazy, ale się pokrzepi i ożyje poddaniem się Opatrzności Najwyższej, która nieszczęścia nasze osłodziła dobrotliwą łaską Monarchy, mądrymi środkami pieczołowitego Rządu¹ i rzadkimi przykładami cnoty osób szczeólnych. Szczęśliwy kraj, gdzie człek w nieszczęściu doznaje nie gorzkiej oziębłości, ale ojcowskiej i żar-

¹ Wiernopoddańczym tonem artykułu Bułharyn – rozpoczynający karierę literacką w Petersburgu – chciał zasłużyć na uznanie carskich władz, a zarazem przeciwstawić się krążącym wśród poetów z kręgu dekabrystów wieszczym przekonaniom, że stolicę carskiej despotii spotka zagłada w powodzi. Przekonanie owo podzielał również Mickiewicz, który przybył nad Nowę 9/21 listopada 1824 roku i widział skutki kataklizmu. Nastroje te poeta uwiecznił w *Ustępie* 111 cz. *Dziadów*.

liwej ku sobie miłości Rządu swego, a we spółziomkach wielkie wzory cnoty znajduje! Czas zagładzi ślady nawet tej klęski, a dobre czyny nietknięte zostaną w historii i dojdą aż do Tronu Najwyższego w modlitwach serc wdzięcznych.

Dzień 6 listopada, który poprzedził tę powódź, był najprzekrzejszy. Deszcz i przesywający wiatr zimny od samego rana powietrze napełniały wilgocią. Ku wieczorowi wiatr się powiększył i woda znacznie się w Newie podniosła. O godzinie 7-mej widziałem już na wieży Admiralicyjnej wywieszone latarnie. W nocy straszliwa powstała burza: od mocnego sztormu południowo-zachodniego trzęsły się dachy i okna, brzęczały szyby od uderzeń bujnych kropeł deszczowych. Bezpieczni mieszkańcy stolicy po dziennych trudach spokojnie odpoczywali i nie dawali uwagi na swawolę żywiołów. Ze świtem ujrzeliśmy, że się woda niezwyczajnie podniosła w kanałach i mocno się w nich burzyła. Z początku dali się widzieć na ulicach ci tylko, którzy za interesami z domu wyszli, ale około godziny dziesiątej z rana, gdy woda coraz przybywała, tłumy ciekawych pobiegły na brzegi Newy, która niezmiernie wysoko wzdymała się od pianistych bałwanów, z okropnym łoskotem tłukąc je o granitowe brzegi, a gwizdzącymi bryzgami napełniając powietrze. Gdy mieszkańcy strony admiralicyjnej, nie przewidując nieszczęścia, z ciekawością przypatrywali się temu straszliwemu fenomenowi przyrodzenia; niższe miejsca, na brzegach odnogi² Finlandzkiej położone i przy ujściu Newy, już były zalane; a mieszkańcy portu Galernego, wyspy Kanonierskiej, Guszujewska, wsi: Emeljanówki, Tentelewej, i skarbowej fabryki żelaznej, w bliskości Ekaterinhofu, już cierpień klęski doznawali. Niepodobna jest opisać tak straszного zjawiska, którego świadkami byli ludzie, w tymże czasie na brzegu odnogi Finlandzkiej stojący, a cudem od zguby wybawieni³. Okiem nieścigniona wód przestrzeń wrzała na kształt

2 Odnoga – mała zatoka.

3 Opowiadał mi porucznik lejbgwardii pułku finlandzkiego p. J. Grecz, który wtedy był na straży w porcie Galernym, i przez 10 godzin przerwy w niebezpieczeństwach klęski zostawał [przyp. autora].

przepaścistych wirów, ponad którymi rozciągały się tumany odpryskujących bałwanów, naprzeciw nurtu pędzonych, a roztrącanych uderzeniami ryczących wichrów. Bielejące kłęby piany wiły się i łamały ponad gromadami wierzchołków wód wzdętych, które się ustawicznie powiększały, a w końcu ze wściekłością rzucały się na brzegi. Mnóstwo budowli drewnianych, wystawionych na pierwsze uderzenia i najmocniejszą natarczywość niezmiernego ogromu mas wody, nie zdołały się oprzeć, a wzruszone ze swej posady, z łoskotem runęły. Ludzie, jak mogli, ratowali się do ocalałych domów: na bierwionach, płynących dachach, wrotach: inni wśród tej przygody utracili życie. Bydło, i cokolwiek było w domu, zginęło. Woda bezustannie przybywała, wiatr się wzmacniał, aż na koniec wygórowana woda w odnodze Finlandzkiej rozlała kłęskę na całe miasto. Newa, w biegu swym zaparta, nie mogąc upłynąć do morza, wzdęta w brzegach koryta, napełniwszy kanały, przez podziemne rury na kształt fontann na ulice bić zaczęła. W okamgnieniu woda przewyższyła nadbrzeża, z rzeki i wszystkich kanałów wylała i napełniła ulice. Trudno jest wyobrazić sobie pomieszenie i przestrach mieszkańców w tym niespodziewanym zdarzeniu. Piwnice, sklepy i wszystkie mieszkania dolne wnet się napełniły wodą. Każdy co mógł ratował i na górę się wynosił, majątek swój w zdobyczy zostawując wodzie. Niektórzy, zbyt troskliwi o zachowanie rzeczy i towarów, w sklepach poginęli. Tymczasem tłumy ludu będącego na ulicach rzuciły się do domów; inni do własnych uciekali mieszkań, a przybywająca woda zmuszała każdego ratować się, dokąd tylko kto zdołał. Karety i drążki⁴, które z początku jeździły po wodzie, zaczęły pływać i szukać ratunku na wyniosłych mostach i na podwórzach cudzych. O godzinie pierwszej z południa całe miasto (prócz części Litejnej, Karetnej i Rożestwienskiej) wodą zalane było głęboką wszędzie prawie na urodę⁵ człowieka, a w niektórych miejscach niższych (jak np. w przecinaniu się ulicy Wielkiej Mieszczą-

⁴ Tj. dorożki.

⁵ Tj. wzrost.

skiej i Wozniesieńskiej, około Murowanego mostu), więcej jak na półtora sążnia. Widok z belwederu domu Kotomina⁶ był straszliwy i niezwykajny. Rozhukane bałwany ze wściekłością szaleństwo swe wywierały na placu pałacowym, który z Newą tworzył ogromne jezioro przez Newski Prospekt, jakby szeroką rzeką aż do Anicz-kowskiego płynące mostu. Mojka znikła z oczu i jak wszystkie kanały złączyła się z wodami, pokrywającymi ulice, którymi płynęły drzewo, bierwiona, drwa, meble i różne sprzęty. Wkrótce głucho milczenie zaczęło być na ulicach. Około godziny wtórej ukazał się na Newskim Prospekcie pan: Wojenny Jenerał Gubernator, Hrabia M. A. Miłoradowicz, na kutrze dwunastowiosłowym dla dawania pomocy i orzeźwienia mieszkańców. Kilka mniejszych łodzi przejechało po Morskiej i wielki kuter z ludźmi różnego stanu, uratowanymi na brzegu Newy, naprzód przystawał do naszego domu, a potem zatrzymał się wedle domu Kosikowskiego. Nazajutrz kuter ten stał na ulicy Morskiej na mieliźnie.

Lecz na stronie Admiralicijnej (prócz Kołomny), nie było nieszczęście tak wielkie, jak we wsiach wyżej pomienionych, na brzegach odnogi Finlandzkiej, w liniach poprzecznych Wasiliewskiego Ostrowu, w bliskości Smoleńskiego Pola, na stronie Petersburskiej i w powszechności na miejscach niskich, drzewem zabudowanych. Tam wielka część domów została uszkodzoną, inne do fundamentu zniesione, parkany wszystkie wywrócone, ulice zawałone drzewem, drwami, a nawet chałupami. Na wielu ulicach, we wszystkich niskich częściach miasta, najdowano połamane barki, a jeden statek parowy ogromnej wielkości z fabryki p. Berda znalazł się na Kołomnie, przy ogrodzie jw. jx. Metropolity Rzymskich kościołów Siostrzeńcewicz-Bohusza. Na Newie wszystkie mosty pływające zostały zerwane, wyjąwszy Samsoniewski i piękny most, łączący Kamienny Ostrów ze stroną Petersburską⁷. Wszystkie mosty z la-nowego żelaza i murowane ocalały, ale granitowany brzeg Newy za-

⁶ Na Newskim Prospekcie przy moście Policyjnym [przyp. autora].

⁷ Budowany przez zmarłego Jenerała Betankura [przyp. autora].

chwiał się, i wiele kamieni, osobliwie na przystaniach, z miejsca zruszonych albo wywróconych zostało.

O godzinie 3-ciej z południa woda zaczęła ubywać; o godzinie 7-mej ukazały się na ulicach pojazdy i w wielu miejscach po trotuarach już można było chodzić. W nocy ulice zupełnie już wolne były od wody, która powróciła do uległości prawom swojego płynienia, zostawiwszy smutne ślady krótko trwającej swej woli.

Co za noc okropna dla każdego czułego na nieszczęścia swych spółbraci, osobliwie zaś dla tych, którzy potracili swych bliskich, krewnych, przyjaciół! – Ileż to niespokojności o losie miłych osób, o których do dnia następnego nic wiedzieć nie można było! Ileż boleśnych myśli na wspomnienie strat i szkód w gospodarstwie i handlu! strat, które, w chwili, potargały nadzieje na wieloletniej oparte pracy! – Tak jest, noc, która po wylewie nastąpiła, była okropną: ani się spodziewam, żeby choć jeden człowiek w stolicy spokojnie ją przepędził, bez troski o siebie samym albo o losie spółbraci swoich.

Pierwsze promienie słońca, które oświeciły smutny obraz zniszczenia, świadkami stały się dobroczynności i politowania. Rząd pieczołowity natychmiast przedsięwziął środki około dania przytułku, pożywienia i przykrycia nieszczęśliwym, pozbawionym swych mieszkań. Dom pana Wojennego Jenerał-Gubernatora, który zawsze był przytułkiem dla sierot i nieszczęśliwych, stał się pełnym nadziei miejscem dla wszystkich rychłej pomocy szukających. Każde koło znajomych zrobiło pomiędzy sobą składkę pieniężną na tenże cel. Mnóstwo ludzi dobroczynnych pośpieszyło do miejsc więcej od innych nieszczęściami powodzi dotkniętych. Cóż za okropny widok oczom się ich stawił. – Obalone domy, rozbite statki, zniszczona żywność, w niekształtne zwalona kupy, przywalające zeszpecone ciała umarłych; tłumy nieszczęśliwych, ryczących nad tymi rozwalinami, oplakujących niepowrócone swe straty. Wołania nieszczęścia i łzy politowania pierwszym były nawzajem powitaniem mieszkańców stolicy. Wiara i łaska Najwyższego, które się wylały z serca wspaniałego Monarchy, przyniosły pierwsze nieszczęśliwym pocieszenie. Rząd, nie myśląc o własnych

stratach, był troskliwym jedynie o to, żeby opatrzyć potrzebujących pomocy. W przeciągu pierwszej doby nie było już żadnego w stolicy człowieka bez pożywienia i przykrycia. – Nie czekano próśb, ale uprzedzono potrzeby każdego. Szybkość i skuteczność środków rządowych nie dopuściły skutków zgubnego tego wypadku: ubóstwa i chorób. Resztę uleczy czas, łaska Najwyższego i wspaniałość Monarchy. [...]

T.B.

PRZEDRUK ZA: *List do przyjaciela o powodzi w St. Petersburgu dnia 7 listopada 1824 roku*, „Dziennik Wileński” 1824, t. 3, nr 12, s. 373–379. Ten sam tekst ukazał się równocześnie po rosyjsku: Булгарин Ф. В. *Письмо к приятелю о наводнении, бывшем в С. Петербурге 7 ноября 1824 года* // „Литературные листки, журнал нравов и словесности”. СПб., ноябрь 1824. No XXI. С. 65–81.

68. Wielka susza i nawałnica

Wincenty Pol (1807–1872)

Obrazy z życia i natury [fragmenty]

Lato było suche i gorące – od samej wiosny na deszcz się zbierało, codziennie wysuwały się chmury przy parocie¹ nieznośnej, czasem nawet padło z tych chmur kilka kropli na rozpaloną ziemię, czasem nawet zagrzmiało, z jasnego nieba strzelił nieraz pojedynczy piorun, ziemia parowała suszą, ale na deszcz zebrać się nie chciało od trzech miesięcy prawie. Cała też postać świata zmieniała się bardzo, trawniki wypalone, po mokrych nawet łąkach popękała ziemia; już z początkiem sierpnia leciało wiele żółkłych liści z drzewa, owoce na drzewach nie narastały i nie dojrzewały, ale zapalały się chorobą czerwonosścią i okrywały siatką.

Śliwy szczególnie, nie tylko że nie narastały, ale robiły się coraz mniejsze, okrywały się zmarszczkami i wysychały na drzewie. Taki pozór miał mały sadek przed oknami naszymi, w którym na próżno było szukać cienia, bo go spieka ogołociła z liści.

Już około dziesiątej z rana trudno się było wychylić z domu; pomiędzy dziesiątą a trzecią sypał się żar z nieba, a z wioski sąsiedniej przyniosła nam do miasta nasza mleczarka wiadomość, że wkrótce mleka nie będzie, bo ze zbytniego skwaru choruje bydło na rogi, bo ze zbytniego skwaru róg pęka od suszy, a rozkrwawione bydło ryczy straszliwie, bodzie się i krwawi, że już nie wiedzieć, jak temu dać radę, bo ani co paść, ani co dać bydłu, ani nie wiedzieć, jak go uspokoić, bo trudno już i o wodę; stawki okoliczne wyschły, a rzeczka, co nieraz chaty niesie w czasie powodzi, tak zmaląła, że drób się nie ma gdzie napoić i musimy go ze studni polewać wodą,

¹ Tj. parnym powietrzu.

żeby doczekał wieczora. Wrony nawet spadają z powietrza od pragnienia i skwaru, a psy wsiowe wyniosły się do lasu i ryją jak borsuki.

Takie wieści przynosiła codziennie nasza mleczarka i dziwna jakaś trwoga zawładnęła nami, gdyśmy jej utyskiwań słuchali...

Stara to sprawa, że na zimno człowiek sobie radzić umie, ale na wielkie gorąco i stałą suszę nie ma u nas rady; cóż dopiero w wielkim mieście, którego nie odświeża nawet nocna rosa, cóż dopiero na rozpalonym bruku i w izdebkach studenckich, kiedy się tu do tego uczyć trzeba i zdawać egzamina jeden po drugim w przeciągu krótkiego czasu.

Gdyby kto był nalał wody do tego kotła, w którym Lwów leży, zawrzałyby kipiátkiem na rozpalonym bruku. Przez dzień tedy dyszeliliśmy od gorąca, chłodząc się wodą i mlekiem, a nocą dopiero zasiadaliśmy w pięciu do nauki, chociaż i noc cała nie wystarczała częstokroć na ochłodzenie dziennej spieki.

Co tydzień zdawaliśmy egzamin z jednego przedmiotu, ale że to pięć takich obowiązkowych egzaminów było, ledwo że w szóstym tygodniu takiej nocnej pracy miał ten lub ów tyle jeszcze siły, aby czytać przez część nocy dla drugich skrypta głośno i obyczajem studenckim ciągnęliśmy węzełki, aby los rozstrzygał, kto by czytać miał. Egzamin z piątego przedmiotu rozpoczynał się. Przedmiotem tym była historia powszechna, a profesorem naszym był wówczas w uniwersytecie zacny profesor Maus², znany z genialnych napadów myśli swoich, z niepodległego charakteru i wielkiej miłości do młodzieży, którą przy każdej danej sposobności brał w opiekę. Egzamin tedy z przedmiotu profesora Mause nie był trudnym do złożenia, ale ambicja była tu bodźcem do pracy, bo ceniliśmy wysoce prawość jego charakteru. Toteż wielom³ zależało na tym, aby celować w przedmiocie profesora, który miał szacunek powszechny. Koło czwartej godziny z południa zgromadziliśmy się w sali egzaminacyjnej, gdzie się miał rozpocząć egzamin z historii

² Joseph Mauss (1778–1856) – wykładowca historii powszechnej na Uniwersytecie Lwowskim.

³ Wielom (arch.) – wielu.

powszechnej; wprawdzie ten dzień mógł grozić tym panom tylko, co na A, B i C się zaczynali, ale ciekawi, jak to ten egzamin pójdzie, przybyliśmy do sali, bo profesor miał zwyczaj ograniczać się corocznie na pewną ilość nowych kwestyj, do których zazwyczaj z kolei powracał. Więc wiele zależało na tym, aby się przysłuchać egzaminom w dniach pierwszych i dowiedzieć, czego profesor tego roku zażąda po uczniach. Okna były otwarte i zachodnie słońce padało do sali, skwar był nieznośny, zwłaszcza, że się słońce co chwila niżej chyliło i całą oświecało salę. Profesor okazał się nagle we drzwiach i rzekł wesołym głosem:

– Witam Panów, ale na miłość Boską, podajcie mi szklanek wody, bo zginę!

Zdjął potem okulary i oglądając je rzekł:

– Szkło spotniało, jak tu człowiek ma wytrzymać, przy takim gorącu można by o dziejach całego świata zapomnieć!

I przetarłszy okulary chustką, napił się wody, którą mu podano, a obejrawszy się dokoła po sali, rzekł:

– Wyjdźmy panowie na korytarz, bo tam przecież chłodniej, a przechadzając się, rozpoczniemy egzamin.

Metoda perypatetyków była wyborną i ma wiele po sobie⁴. Z przypadku znalazłem się na korytarzu tuż przy profesorze; spojrział na mnie z pewnym rodzajem zachęty i rzekł:

– Daj mi waćpan obraz krótki historii powszechnej.

Zmieszałem się, bo i kwestia niełatwa, i ledwo za tydzień sądziłem, że na mnie kolej egzaminu przyjdzie. Znając wszakże profesora, że go nic tak nie ujmie, jak przytomność umysłu i decyzja, rzekłem:

– Kiedy mi pan profesor ten zaszczyt czynisz, że ode mnie rozpoczynasz egzamin, to raczysz pozwolić na to, abym podzieliłem historii powszechnej na okresy odpowiedział na tę kwestię.

Zrobiłem tedy podział historii powszechnej na okresy, oznaczyłem wiek i lata każdego okresu, i na tym skończył się mój egzamin. [...]

⁴ Tj. wiele za nią przemawia.

Gdyśmy do naszych studenckich powrócili izdebek, leżały jeszcze od nocy skrypta historii powszechnej na stole rozłożone. Tytus Lewitowski zebrał je i rzucił na półkę.

– I na łańcuchu nikt by mię tu dłużej w mieście nie zatrzymał! bądźcie zdrowi – ja dziś jeszcze na wieś uciekam; egzamina skończone, a z tego gorąca przecież się łatwiej na wsi i w lesie ochłodzić.

– Stój! dokąd? – krzyknęliśmy razem.

– Mam stąd o cztery mile dobrego znajomego w Wilczej Debrze, a jeżeliście nie mazgają, to ruszajmy razem na całą noc: dom kawalerski, a gospodarz gościnny, rad nam będzie z całej duszy i nie ma co myśleć.

O święta swobodo szczęśliwej młodości! W godzinę później byliśmy już w drodze ku Zielonej Rogatce w pięciu, tak jak niespodzianie wszyscy pięciu zdaliśmy egzamin z historii powszechnej dnia tego. Słońce zapadało poza Świętym Jurem – w czerwonych dymach leżał Lwów pod nogami naszymi – i z pewnym rodzajem rozkoszy patrzyliśmy na zapadające słońce, ciesząc się, że się jego panowanie na dziś kończy, i że nocnym chłodem odetchniemy na obszarze łąk i lasów...

Rzucając miasto, przypomnieliśmy sobie, że nazajutrz z rana będzie nas szukała nasza mleczarka i że znajdzie pomieszkanie puste.

Więc żal zrobiło się nam poczciwej kobiety, bo się jej należało parę reńskich od nas, więc postanowiliśmy nałożyć nieco drogi i odwiedzić jej chatę, która leżała ponad Cetnerówką. Fedorowa nasza siedziała na przyzbie przed chatą, a widząc, żeśmy w jakąś większą drogę wybrani, ucieszyła się bardzo i tym, żeśmy tak niespodziewanie zdali egzamin, i tym, żeśmy tak pamiętali o niej, wychodząc na wakacje i nie odeszli bez pożegnania. [...]

W jednej i drugiej wsi, któreśmy przechodzili, spali już ludzie. Wzruszenia całego dnia przeszłego i części nocy strudziły nas; stanąwszy pod jakąś karczmą, radziliśmy nad tym, czy by nie podnocować trochę, ale Tytus nalegał na to, żeby nocą odbyć drogę, bo dzień będzie skwarny, a lepiej już w czasie upału być pod dachem. Jakoż pokrzepiwszy się nieco w karczmie, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Miesiąc podniósł się znad dąbrowy, a po dwóch godzinach słyszeliśmy już pianie kogutów i ujrzeliśmy jutrzeńkę, a w jej ślady pierwszą zapalającą się zorzę od wschodu.

Wilcza Debra leżała w wąwozach Gołogór. Pasma górzyste Gołogór ciągnie się od Lwowa ku Złoczowowi; na północy od nich leży w wielkiej dolinie kraina Opola-Ruskiego, którą na północy zamykają wyżyny Bełzkie, na wschodzie wysokie brzegowiska Wołynia, a na zachodzie tak zwane Cztery Góry Winnickie. [...]

W jednym z takich wąwozów leżał kręty i zawiły jar, należący jeszcze do Krasnej Puszczy, w której król Jan⁵ lubiał polować, a do tego jaru przytykał mały przysiółek Wilczą Debrą⁶ zwany.

Słońce już wschodziło, gdyśmy w Wilczej Debrze stanęli, która nie była wcale tak dziką jak jej nazwisko, które nas pociągało ku sobie, bo byliśmy wówczas w dziwnie romantycznym usposobieniu. Była to mała malownicza dolina, pokryta sadami i kilką chatami; środkiem niej przewijał się żywy strumień, a piękne lasy okrywały wzgórze, które je otaczały.

Na wyniosłym pagórku nad przysiółkiem stał murowaniec, to jest z kamienia postawiony dom, niewielki, wznoszący się na pięterko; okna jego były małe i wąskie, raczej do otworów strzelnic niż do okien podobne; pod całym murowaniem była ogromna piwnica, do której się wchodziło wprost z dziedzińca, wschody były nad piwnicą prowadzone do pięterka po jednej stronie ściany i zabudowane znowu na sposób strzelnicy. Widocznie był ten murowaniec kiedyś obronnym miejscem i znać do Wilczej Debrzy uciekali ludzie, kryjąc się przed najazdami Tatarów.

Jakoż leżały Gołogóry obok głównego tatarskiego szlaku, który u ich stóp prowadził od Złoczowa do Lwowa na Gliniany i Kurowice.

⁵ Jan III Sobieski.

⁶ Debra – głębokie, spadziste, suche koryto wymyte z ziemi na pochyłościach gór, przez spad wód nawałnych utworzone, które w stanie zwyczajnym są suche, a po deszczach wody z pędem przeprowadzają.

Gospodarz Wilczej Debry powitał nas całym sercem, a żeśmy noc bezsennie strawili, obmyślał dla nas nocleg po śniadaniu; oszyjek⁷ piwnicy, do którego się wprost z dziedzińca pod dom wchodziło, był bardzo czysty i obszerny, tu tedy ustawiono kilka sofek i kilka sienników, stół pośrodku, któryśmy dokoła obiegli, a że chłód był bardzo miły, że nie było much w tej pieczarze, usnęliśmy po strudzeniu snem tak miłym, że słońce chyliło się już ku zachodowi, gdyśmy się ocknęli.

Akademicy nie robią bez książki podróży. Jeden z nas miał tomik poezji Goethego, drugi *Don Carlosa* Szyllera, ale księga, która wszystkim za wszystko stała, była to księga wówczas bezimienna, wysła w Arau – *Godziny nabożeństwa*⁸. W tej księdze rozczytywaliśmy się z największym zamiłowaniem, a żeśmy niczego nie pragnęli więcej, jak aby się ta spiekota walna zakończyła burzą, odczytaliśmy z księgi genialnie skreślony artykuł: *Bóg w Burzy*.

Prawdziwym bankietem duchowym był opis tej burzy – i rozkoszowaliśmy w potędzie Jehowy niosącego gromy!...

Pod wpływem tego usposobienia zaklinaliśmy niebo, ażeby ziemię nawiedziło burzą – i każdy przyrzekał, że ją pod gołym niebem przetrwa – byle nadciągnęła.

Nazajutrz był dzień jeszcze gorętszy od wszystkich poprzednich, wcześniej niż zwykle wracało bydło z pola, skwarem nieba szalone.

Już rankiem byliśmy dwa razy w kąpielu, ale kąpiel nie ochłodziła nas – członki ciężły nam i dziwna duszność uciskała trwogą piersi. Nawet w oszyjku piwnicy było parno i dusząc się rozpaczliwie, siedzieliśmy nieradni... Wtem przyszedł do nas gospodarz i rzekł:

⁷ Oszyjek – wąskie przejście, korytarz.

⁸ [Heinrich Remigius Sauerländer] *Stunden der Andacht zur Beförderung wahren Christenthums und häuslicher Gottesverehrung, Sechster Band, Gott in der Natur*, Arau 1820. W reaktywowanym w 1817 roku Uniwersytecie Lwowskim wykładano po niemiecku i także książki czytywali studenci, zafascynowani romantyzmem. Pol studiował tam w latach 1824–1827.

– Chcieliście mieć burzę – no będzie, ale ta chmura coś mi się bardzo nie podoba.

Wyszliśmy na dziedziniec. Pasma lesistego wzgórza, które zamykało widnokrąg, przybliżyło się znacznie, a z dala na widnokręgu widna była na jasnym niebie mała czarna chmura, po krawędziach rozstrzępiona i obrzeżona białą – a mieniącą się co chwila, szarząc lub czerwieniąc się. [...]

Gdyśmy uważnie przypatrywali się owej chmurze, na kresie widnokręgu poczęła szybować rój jaskółek tak wielki w powietrzu dokoła nas, iż się zdało, że jakaś zamieć je niesie.

Cisza była w powietrzu zupełna – żaden listek się nie ruszył i tylko świergot niesłychany tych jaskółek zagłuszał tę ciszę...

Czarna chmurka posuwała się tymczasem bardzo nagle – i rozwinęła się dorazu w szarych, różowych i czarnych bałwanach, okrywając pół nieba w mgnieniu oka, jak gdyby kto dorazu zwinięty całun rozwinął. – Z tej chmury, która już Wilczą Debrę okryła, padały pojedyncze krople z rzadka na ziemię, ale te krople były tak wielkie, iż kiedy mi jedna na czoło padła, podnosiła się w tej chwili parą rozpalonej ziemi.

Weszliśmy do oszyjka piwnicy, aby co zarzucić na siebie, wtem usłyszeliśmy tak straszne uderzenie o murowaniec, że kilku z nas bez chęci przypadło na łoża – straszny tuman kurzu i liści zerwał tu się nagle i zaćmił się świat...

Trzask i łomot posłyszeliśmy nad głową tak wielki, iż nam się wydało, że się murowaniec wali. Tu wpadł gospodarz do oszyjka piwnicy i krzyknął:

– Nie wychodźcie, bo zginiemy! – dach zerwało z murowańca! – a i tu nie bardzo bezpiecznie, lepiej wejdźmy do piwnicy.

Uderzenia te powtarzały się i straszliwe pioruny poczęły bić z nieba. Grzmot nie ustawał ani na chwilę i naprzód poczęło bić gradem, a potem puściła się ulewa... Na chwilę ustawało wszystko – i cichło – a uderzenia nowe piorunów powtarzały się... a po grzmotach uderzały nowe fale gradu i ulewy... fale mówię, bo kilka takich fal gradu leżało waleń przed nami; a deszcz nie padał, ale woda

urywała się strugami z nieba, jak gdyby z łożoków⁹ na koła młyńskie.

Z oszyjka piwnicy było widać całe pasmo gór lasami okrytych. Straszna chmura wron i kawek skręciła się nad lasami i znikła tak nagle, jak gdyby się w chmury rozplynęła.

Jasne, rażące, seledynowe i różowe pasy i plamy wybijały nagle i na przemian na ciemnym tle burzliwego nieba – chmura pękała widocznie i rozsuwała się coraz szerzej – czasami niesło całe tumany liścia i nasion, gałęzi i snopów powietrzem...

Po półgodzinnej moze burzy, nastąpiła chwilowa cisza. Ziemia drżała i szum wód gwałtownych uderzył nas... Wychyliliśmy się z oszyjka piwnicy, by ujrzeć coś więcej... O trzysta kroków od murowańca, około wjazdnej bramy – leżał w nieładzie strzaskany dach murowańca. Tak go zniosło, jak gdyby ktoś zdjął czapkę z głowy i nią rzucił – a cała dolina zamieniła się w jedno wielkie jezioro, z którego tylko dachy i kilka chat leżących powyżej sterczały...

Zrazu zaćmiły były tumany świat – ale gdy prochy wzbite wielkimi bałwanami pod ulewą z powietrza opadły, widać znowu było pasmo góryste, nad którym się burza srożyła... Zrazu zdawało się, że nas wzrok ludzi, bo drzewa starych lasów poginały się tak bardzo ku ziemi, że płynęły niby fale, tak jak kłosa łąny falami płyną za wiatrem...

Zrazu zdawało nam się tedy, że to złudzenie – ale tuż koło bramy stała piramidalna topola, a gdy ją burza tak przyginała, iż ziemi prawie dotykać się zdawała, wówczas dopiero pojęliśmy, że się coś podobnego i w lesie dzieje.

Jezioro powiększało się z każdą chwilą – i dach murowańca, który już na pagórku koło bramy leżał, spłynął...

Cała fizjonomia okolicy zmieniła się, bo środkiem wioski leżało błonie gęsto wierzbnikami¹⁰ zasadzone; dalej ponad tym pa-

⁹ Łotok część z desek złożona, po której woda spływa na zewnątrz.

¹⁰ Wierzbnik – wierzbowe zarośla.

stwiskiem ogrody i sady, chaty i budynki gospodarskie. W tej chwili było to wszystko już pod wodą – a od połowy dziedzińca, który cały na pochyłości wzgórza leżał, aż do lesistych wyżyn, które o ćwierć mili odległości od murowańca leżały, stało jedno wielkie jezioro...

Gospodarz nasz zbladł jak chusta, a jeden Tytus Lewitowski nie tracił fantazji i cytował pojedyncze okresy z książki, którąśmy dniem przedtem czytali, *Bóg w Burzy*.

Po krótkim przestanku ponowiła się burza z całą wściekłością! Szary słup albo raczej ostrokąg¹¹, który węże piorunów otaczały, ukazał się teraz na paśmie lesistym i wirował na własnej osi!... Wolno niby posuwał się ten słup, ale zważając na to, że oddalenie było znaczne, że przestrzeń, którąśmy obejmowali okiem, zajmowała do dwóch mil, można sobie pęd tej trąby wyobrazić, która tę całą przestrzeń w kilkunastu przewierciła minutach!...

Przed trąbą poginał się las na pował... i zmieniła się fizjonomia całej okolicy, bo nagle przejrzały wzgórza, a pojedyncze tylko drzewa, stały tu i owdzie na olbrzymim zrębie, podobnie, jak się nad zapustami nasienniki¹² wznoszą.

W tej tedy chwili była burza w najwyższej potędze swojej, gdyśmy tę trąbę ujrzeli – potem osypał się deszcz piorunów... ogniste węże były nie tylko pionowo, ale przerzynały czarną chmurę częstokroć w kierunkach poziomych, sycząc ku sobie od przeciwnych stron... po czym wylał się siarkowy deszcz, który nie kroplami, ale grubymi sznurami spadał na ziemię...

Pół trzeciej godziny trwała cała burza. Przeszła ona była od wschodu z krain stepowych na pasmo Goło-Gór, a miała charakter prawie przyzwrotnikowej burzy.

Cisza nastała po niej – a dziwne jakieś osłupienie ogarnęło nas wszystkich. – *Bóg w Burzy!* powtarzał Tytus, ale już tylko sam dla siebie.

¹¹ Tj. stożek.

¹² Nasiennik – drzewo pozostawione na zrębie w celu odnowienia lasu przez samosiew.

Chłód dotkliwy był pierwszym uczuciem, które nas z przerażenia ocuciło – a teraz dopiero rozpatrzyliśmy się w skutkach tej burzy.

Tak na piąterku w murowańcu, jak w oszyjku i w piwnicy, było pełno wody; z wolna wyłazili dworscy ludzie z różnych dziur, bo każdy stał lub padł tam, gdzie go zaskoczyła burza.

Wody tymczasem huczały zawsze jeszcze strasznie... a chwilami nawet zdawało się, że gdzieś z lasów i pól przybywa jeszcze tych wód i że się zwierciadło ich podnosi...

Co się stać mogło z ludźmi i z bydlęciem w przysiołku, który pokrywało jezioro? Z każdą chwilą było nasze przerażenie większe. Gospodarz zwoławszy ludzi, kazał z murowańca wszystko przenosić do drewnianego śpichrza, który stał znacznie niżej od murowańca i ocalał. Wszystko było przemokłe i zniszczone w murowańcu, i w pokoikach, i w spiżarni.

Na strychu były różne schowki, więc wszystko to zabrało razem z dachem i po dziedzińcu leżały różne rupiecie rozrzucone...

Stanęliśmy tedy główną kwaterą w śpichrze, przed którym założono ognisko i kuchnię, a co chwila przychodziły jakieś smutne wieści.

Pastuch widząc, że się woda podnosi, popędził w górę bydło, na łąn pomiędzy półkopy; dwie sztuki bydła ubił piorun „palikopa”¹³; on sam przeleżał pod snopem, ale o dwóch pastuszkach, co mu zawracali bydło, nie było wieści, i sam ledwo był żywy i ledwo że mógł mówić od przestrawienia. Od tej samej strony przybył owczarz z psem, pędząc przed sobą, z trzystu owiec, zaledwie sto kilkanaście.

– Gdzież reszta? – pyta gospodarz.

– Reszta leży na polu, grad pobił owce, bo spadał większy od gęsi jaj, ale nie tyle jeszcze grad, co same się podusiły, bo kiedy burza poczęła się srożyć, zbiły się tak w kupę, że co słabsze wysadzały w górę. Chciałem je rozbić, ale widząc, że i mnie zaduszą, bo

¹³ Palikopa – przydomek, dawany przez lud św. Piotrowi, w którego święto (św. Piotra w okowach) bardzo często pioruny pałą zbiory.

się wkoło mnie kupić zaczęły, uciekłem do starej cegielni, a pies za mną i tam przesiedzieliśmy w piecu całą burzę.

Woda opadała tymczasem w jeziorze. Czym niżej opadała, tym większy powstawał war, klekot, szum. Tak noc zapadła – a ludzie dworscy obsiedli przed śpichlerzem ognisko, a dokoła tego taboru stało bydło i leżały owce, bo tylko jednej końskiej stajni nie zabrała woda, i na szczęście koni nie było w tej chwili ani w polu, ani na paszy, więc ocalały.

Gdy się dzień zrobił, wyszedł przysiołek spod wód – ale okropnym był ten widok spławionego świata! Wcale chat i budynków nie można się było doliczyć; zniosło wierzbniki i sady, płoty i parkany! Namuły okrywały całą dolinę, a w miejscu, gdzie leżało wsiove błonie równo, porosłe pięknymi wierzbnikami, wydarły wody przepaścisty jar – i opadały teraz jeszcze z jeziora w jezioro; kołbanie¹⁴ tych jeziorok były tak głębokie, że żadną tyką nie można się było dna domacać.

To, co równym błoniem było, zamieniło się teraz w wysoki łąd, a o dziesięć lub piętnaście sążni poniżej leżało dno nowego jaru.

Jeżeli już jedna burza może tak odmienić całą fizjonomię kraju i formację dolin, jakże to inaczej musiał ten kraj wyglądać przed wiekami!

Mnóstwo małych rybek rzucało się w rzadkim mule. – Skąd? – czy je burza z sobą przyniosła? – czy gdzieś powyżej wyrwało stawy? – Ale stawów nie było na tej wodzie... Więc wszystko było zagadką, na co wzrok padał.

Po trzech dniach ledwo można się było dostać do przysiołka i to tylko na koniu, bo dawnych dróg, ścieżek nie stało śladu, wszystko się zmieniło, wszystko zmyła lub zamuliła woda!

Gdy się powódź podnosiła, uciekli ludzie z przysiołka na wzgórkę, ale pięciorga ludzi i siedmiorga dzieci nie można się było doliczyć. Piątego dnia dopiero dostaliśmy się przez namuły, przez nowe wodomyje, wyrwy i debry na drugą stronę doliny: ludzie

¹⁴ Kołbań – grząski staw, jezioro, błoto.

chodzili po lesie i żywili się grzybami. Las leżał wyłamany na pował, a na łomy i zwaliska trzeba się było wdzierać jak na okopy. Ludzie z trochę bydlą trzymali się na końcu tego zrębu, który był podobny do olbrzymiego pobojuwiska starodrzewnych lasów. Nie wiedzieć skąd zwlekały się wilki i lisy z całej okolicy i żerowały nawet we dnie na tym pobojuwisku, nie lękając się nawet ludzi. Jakoż żeru było dosyć, bo co żywe, czy to ptactwo, czy zwierzyna, poległo wśród burzy i tylko kilka wiewiórek skakało po zwalonych kłodach lub wybiegało na pojedyncze drzewa, które na zrębie nie-
złamane pozostały.

Dziwna rzecz, że tylko młode drzewa przetrwały tę burzę, kiedy gałęzie i pnie starych drzew albo zalegały zdruzgotane ziemię, albo cało z korzeniami wywalone sterczały na pował.

W miejscu, gdzie dawniej stare drzewa stały, były małe sadzawki napełnione wodą, a korzenie drzew, razem z ziemią wydarte, tworzyły wyraźne ściany. Na przestrzeni dwóch mil wyłamała trąba lasy – i malowniczym był ten nieład zniszczenia, ale umysł ratował się tym tylko z przerażenia, że burza już przeszła...

Wśród wyłamanych lasów natrafiłszy na małą polankę: krańcem tej okrągłej polanki czernił się jakiś wał w kształcie półksiężyca. Jakież było zadziwienie nasze, gdyśmy ujrzeli ten wał, ubity z samego ptactwa, z samych wron i kawek, które burza znać jednym uderzeniem urwała z powietrza i wałem wyłożyła pod ścianą lasu! Co chwila leżał to puchacz zabity, to sowa i drobne tylko ptactwo odzywało się po lesie...

Niektóre drzewa, stojące na pniu, miały jak gdyby nożem ścięte całe korony – inne znowu, szczególniej brzozy, były ogołocone ze wszystkich liści, a powiewne ich gałęzie były jak różgi splecione w warkocz. Miejscami leżały pojedyncze kłody. Niemniły odór padła i namułów rozszerzył się w całej okolicy – i szczęście było, że po-
chłodziło na świecie; pomimo to ludzie i bydło poczęli chorować.

To, co nas najbardziej dziwiło, było wielkie mnóstwo oderwanych nasion, które tak jak je fala niosła, były wałami złożone po polu i wyłamanym lesie. Pytaliśmy ludzi:

- Co by to były za nasiona?
- Nie wiadomo - rzekł nam stary człowiek - skąd to tyle siewienia naniosło, bo to Bóg siewie lasy... Odpowiedź ta dała mi do myślenia - i może jeszcze kiedyś powrócimy do niej.

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Obrazy z życia i natury*, seria 1: *Północny Wschód Europy*, Kraków 1869, s. 277-295.

69. Mroźna zima 1829/30

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)
Pamiętniki z 1830–1831 roku [fragmenty]

Niezmierne mrozy w ostatnich dwóch miesiącach przy początku roku tego zelzały nieco, nastąpiły zadmy¹ śniegów, mgły ani jednym promieniem słońca nierozjaśnione; w kilkunastu miastach, od siedmiogrodzkiej ziemi aż do Kamieńca Podolskiego, Odessy i całej Besarabii przerażały mieszkańców trzęsienia ziemi, mniej więcej poczyniły szkody w gmachach i ludziach. Zaraza w bydłe, przekupstwem celników moskiewskich z Wołoszczyzny wprowadzona do nas, w Litwie i u nas niezmierne poczyniła szkody. Szczęściem, że zaraza morowa między ludźmi, acz w Odessie, Wołoszczyźnie i Besarabii wiele ludzi zgładziła, za granice Polski nie przeszła. Ta jednak nadzwyczajna tęgość mrozów, te zasypy śniegów rozcieczą i wylewami rzek zagraża[ją], a ściśnione tylko może zimnem zarazy powietrza z pierwszym ciepłem, niech Bóg bronii, powrócić mogą. [...]

Już trzy miesiące, dzisiaj 5 lutego, jak trwają nieprzerwane mrozy i pamiętam tak tęgie, bo do 22° dochodzące, ale nigdy tak nieprzerwanie ciągłych. Co za niedola dla ludzi ubogich. Jakoż ustawicznie znajdują ich pomarżłych na ulicach, gdyż nikomu nie wolno przyjąć nieszczęśliwego na noc bez pozwolenia policji; nim się to otrzyma, już biedny leży skościały. Lecz i majątniejsi cierpią już to wysoką ceną drzewa, już niesposobnością nawet ogrzania się. Co za męka. Od trzech miesięcy, choć w opalonym pokoju, wstać z ziębłymi rękami i nosem, siadać do pracy i nie móc zmarzniętymi palcami pióra utrzymać, siedzieć, chodzić, zawsze drzeć od

¹ Zadma – podmuch, powiew.

zimna; niechże mi uczeni wytłumaczą, skąd to nadzwyczajne ciągle zimno, gdyż nie tylko u nas, ale i w południowych krajach również to zimno dojmuje; we Francji dochodzi 19 stopni, W Hiszpanii 13, we Włoszech 14. Rzeki Po, Arno i Ebro zamarzły; wszędzie ludzie i bydło i ptactwo ginie, a wilki rozdzierają podróżnych.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki z 1830–1831 roku*, wyd. Marian Antoni Kurpiel, Kraków 1909, s. 1–3.

70. Promień słońca na pomniku Kopernika

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)
Pamiętniki z 1830–1831 roku [fragmenty]

Dn. 11 maja 1830. Po dziesięcioletnich pracach i trudach stanął na koniec posąg Kopernika, i prosta, lecz tkliwa¹ była inauguracja onego. O 10-ej całe Towarzystwo² udało się na zamówioną już mszę do św. Krzyża, lecz jakież było nasze zadziwienie, gdy nam powiedziano, że zamierzona msza już się odbyła, bo rozumiano, że Towarzystwo król. było już w kościele i że, choć o 10-tej już wszyscy księża odprawili mszę, nie chciano nawet śpiewać *Veni Creator*, ledwie, że na chórze zagrano. Później dopiero dowiedzieliśmy się (rzecz niesłychana), że księża mają Kopernika za wyklętego, dlatego, iż wbrew św. Pismu ułożył systema swoje. Któżby się w dzisiejszym wieku tak głupiego fanatyzmu mógł być spodziewać? Dzień był dużo pochmurny i zimny; ścisk ludu niezmierny, tak, iż od domu Towarzystwa aż do Zygmunta³ czarną tylko ciźbę głów widzieć można było; nadto wszystko okna, balkony napchane były kobietami. Gdyśmy się z ciężkością przecisnęli, stanąłem na najwyższym stopniu i odkrywszy głowę, tem⁴ tylko słowa powiedział:

„Trzy wieki blisko upływa, jak ten mąż, który pierwszy nieznaną naówczas wir ziemi naszej oznaczył, we wnętrze ziemi tej zstąpił. Jak wielu innych mężów, wielkimi odkryciami zasłużonych światu, tak i nasz Kopernik długo nieuczczonym pozostał. Nigdy atoli

1 Tj. wzruszająca.

2 Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk, którego Niemcewicz był prezesem.

3 Czyli od pałacu Staszica, siedziby Towarzystwa, do kolumny Zygmunta na pl. Zamkowym.

4 Składnia często wówczas używana, zamiast: „te tylko słowa powiedziałem”.

pamięć wielkich ludzi nie ginie ze szczerem; prędzej czy później wdzięczna potomność hołd im winny oddaje. [...]

Stajesz więc wielki mężu, kapłanie Najwyższego, ty, któryś sławę narodu twego rozniósł po przestrzenie świata, stajesz przed tym przybytkiem nauk i umiejętności, strzeż go od wszelkiej złej przygody, nie przestawaj zażywiać⁵ duchem twoim czcicielów i współziomków twoich. Jakim szczęśliwy, że choć przy samym schyłku dni moich doczekałem tej chwili. *Nunc dimitte Domine servum tuum*⁶. Niechaj spadnie zasłona!”

Stojący przede mną uważali, że gdym mówił, że słońce wizerunek Kopernika oświeci; właśnie w tej samej chwili rozstały się chmury i promienie słońca spadły na czoło posągu. Osobliwsze zdarzenie⁷.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki z 1830–1831 roku*, wyd. Marian Antoni Kurpiel, Kraków 1909, s. 18–20.

⁵ Tj. ożywiać.

⁶ *Nunc dimitte Domine servum tuum* (łac., Wulgata, Łk 2,29, właśc. *Nunc dimittis servum tuum Domine*) – „Teraz, Panie, puszczasz sługę Twego w pokój” (Biblia warszawsko-praska).

⁷ O tym słonecznym promieniu wspominały również gazety, relacjonujące przebieg uroczystości, zob. np. „Rozmaitości” (dodatek do „Gazety Lwowskiej” 1830, nr 24, s. 191).

71. Mistyczna zorza syberyjska

Ewa Felińska (1793–1859)

Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie¹ i w Saratowie [fragmenty]

9 września 1840

Zorza północna jest w Berezowie zjawiskiem dość pospolitym. Kilka jej pojawień mieliśmy już tej jesieni. Rozpoczyna się ona zwykle łuną czerwonawą, która oświeca czasem spokojnie część widnokrzęgu, rozszerzając się lub zmniejszając. Czasem to światło odznacza się ruchem widocznym, przemieniając kształty to żywo, to poważnie; wszakże równie zachwycającego zjawiska, jak dzisiejsze, jeszcze nie widziałam, i postaram się, jeżeli będę mogła, dać choć w części jego wyobrażenie. Mieszkańcy Berezowa zrozumieli co ten huk znaczy, jakoż światło cudowne zalało cały widnokrąg.

Mój gospodarz Kozłów wszedł do mego pokoju, wzywając mię na dziedziniec. Kiedym wyszła, stanęłam w zachwyceniu. Szkoda, że żadne pióro oddać nie potrafi wzniosłej sceny, która się rozwinęła przed mymi oczyma. Nie mam nadziei dać jej nawet słabego wyobrażenia.

Powietrze było mroźne, czyste. Śnieg pobielił ziemię, budynki i wszystkie przedmioty. Rzuciwszy okiem wkoło siebie, byłam w zachwyceniu, lecz na próżno kusiłabym się oddać wrażenia, jakiego doznałam.

Przy dziwnej natury blasku odbitym od białości śniegowej okrywającej cerkwie, drzewa, budynki, które się rysowały, jak czarodziejskie gmachy w czarodziejskim świetle, Berezów już mi się

¹ Berezowo (Берёзово, Bieriozowo) – osada na Uralu w północno-zachodniej Syberii, nad rzeką Północną Soswą, około 660 km (w linii prostej) na północ od Tobolska. Od XVIII wieku miejsce zsyłki.

nie wydał małą mieściną jak zwykle: była to ogromna świątynia. Wszystkie części tego cudownego obrazu stanowić się zdawały jeden gmach, jedną całość, a ten gmach był otoczony ścianami w płomieniu, i takąż kopuła strzelająca wysoko, ostro zakończona, jaśniała nad głową.

Najbardziej zachwycającą była natura światła. Nie było ono ani czerwone, ani jaskrawe, ale oświecało przedmioty jasnością nad wyraz miłą, sobie tylko właściwą, której nie można porównać z żadnym światłem znanym w przyrodzeniu². Było to jakby małżeństwo ogniów bengalskich ze srebrzystą jasnością, odbitą od księżycy w pełni.

Widnokrąg przybrał dla oka nie już jak zwykle kształt kopułowy, ale jakby głowy cukru³. Horyzont został zamknięty w ciśniejszych ścianach, ale wierzchołek tego ostrosłupa ginął w tak niezwykłej wysokości, że zmysły się łudziły. Zdawało się, że ten wierzchołek przebiwszy zwykle sklepienie, zrobił otwór do nieba i pozwolił w tę godzinę nadzwyczajnej uroczystości zapuścić choć raz wzrok mieszkańcom tego padołu w krainę tajemniczą, dostępną dotąd tylko wyobraźni; lub że duchy wyższej natury usunęły przez ciekawość przegrodę dzielącą ich od śmiertelnych, dla przypatrywania się zjawisku niezwykłemu na ziemi.

Ściany owego ostrosłupa tworzyły się z bardzo lekkich obłoczków ruchomych jasności srebrzystej, które wijąc się w kłęby jakby dym lekki, rzucały światło, o którym mówiłam.

Obłoczki te, niby delikatna para, rodziły się u podstawy ostrosłupa, jakby wychodząc spod ziemi, i zaledwie powstałe, pędziły z szybkością niewysłowioną, wrąc zawsze kłębami światła do góry i znikwały u wspólnego wierzchołka tak szybko, że oko nie mogło nadążyć w ślad za nimi. To znikanie nie rodziło jednak żadnej przerwy w ogólnych ruchach, bo coraz nowe kłęby światła, podnosząc się od postawy w najfantastyczniejszych kształtach, pędziły za

² Tj. w przyrodzie.

³ Głowy cukru miały kształt stożka.

pierwszymi i znikaly jak tamte, zostawujac miejsce innym, które goniły za nimi.

Poza tymi ruchomymi ścianami nie było nic widać błękitnego sklepienia usianego gwiazdami. Może też gwiazdy zbladły wobec tak dziwnego światła. Jednym słowem, stanął świat inny wśród świata codziennego.

Ten dziwny taniec mas światła, pchniętych w ruch siłą niewiadomą, odbywał się przy majestatycznym huku muzyki brzmiącej w powietrzu.

Ten huk, łoskot w powietrzu, miłe światło niemające sobie równego, kształt niezwykle widnokręgu, gra dziwnie ożywiona różnokształtnych obłoczków, które pędząc, ścierając się i znikając, dążyły do jednego punktu i ginęły u wspólnego wierzchołka, wszystko to dziwnie nastrajało wyobrażenie i podnosiło zachwyconą duszę do Twórcy tych dziwów. [...]

To nadzwyczajne zjawisko trwało godzin kilka, po czym ruch zaczął się zmniejszać, światło gasnąć częściowo, a o godzinie drugiej z północy wszystko znikło. Gwiazdy, dotąd zasłonięte czy też zaćmione, zaświeciły na nowo; księżyc zaczął na nowo odbywać chód wolny po czystym nieba błękitnie i wszystko weszło w porządek codzienny, jak gdyby nic nie było, zostawując tylko pamięć niezwyklego wrażenia, piętnującego się żywo na duszy.

Badałam mieszkańców Berezowa, chcąc wiedzieć, jak też oni, niemający wyobrażenia nauk przyrodzonych, tłumaczą według swego rozumienia zadziwiający fenomen, któregośmy byli świadkami. Mędrsi z nich dali tłumaczenie, że ruch bałwanów oceanu północnego, odbijając światło księżycowe, był przyczyną zjawiska.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską*, Wilno 1853, t. 1, s. 321–324.

72. Londyńska mgła

Aleksander Chodźko (1804–1891)

List do Adama Mickiewicza z 2 stycznia 1842 [fragment]

Przyjechałem z Boulogne¹ do Londynu przez 13 godzin, ciągle wodą. Tamiza jedna warta, aby z daleka przyjechać dla widzenia jej. Sta i tysiące statków jak wielkie pływające miasta. Skrzyp machin i tętent młotów w atmosferze zamglonej, śmierdzącej węglorodem². Wjechaliśmy w miasto właśnie w chwili, gdy je nawiedziła mgła, *fog*!³ Trudno sobie wystawić coś bardziej nieprzyjemnego dla płuc i oczu; nie jest to ciemność, nie jest to zmrok, jest to coś na kształt rudego dymu, tak gęstego, że go czujesz ustami, o kilka kroków przed sobą widzisz przedmiot i nie możesz go poznać. Słońce, jak butla nalana czerwonym przezroczystym płynem, patrzy po szatańsku. Wszakże *fog* nawiedza nas dosyć rzadko, a gdy go nie ma, jest za co pogodzić się z miastem i jego klimatem.

PRZEDRUK ZA: List Aleksandra Chodźki do Adama Mickiewicza, Londyn, 2 stycznia 1842, w: *Listy do Adama Mickiewicza*, red. Elżbieta Jaworska i Maria Prussak, oprac. Maria Dernałowicz, Elżbieta Jaworska, Wiesława Kordaczuk, Joanna Krauze-Karpińska, Czytelnik, Warszawa 2014, t. 1, s. 182–183.

¹ Boulogne-Billancourt – francuski port nad Sekwaną w zespole miejskim Paryża.

² Tzn. węglowodorem.

³ *Fog* (ang.) – mgła.

73. Alpejski lodowiec

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Pamiętniki [fragmenty]

Okolice Grünenwald¹ i droga do niego już nie tak piękne, bo ciągle w górę jadąc, wegetacja słabiej, skały się ścieśniają, powietrze zimniejsze i mglistsze. Lodowników (*Gletscherów*)² jest dwa; do większego pojechaliśmy konno po przykrej drodze, nie dosyć bowiem widzieć je u stóp góry w dolinie, tam są brudne i prostego kształtu, im wyższe, tym czystsze i w rozpadlinach tak lazurkowe jak najpiękniejsze niebo. Wchodzi się na sam lód i jest wielka rozpadlina, jakby brama wąska albo okno gotyckie do dna rozwarte; wrzuciwszy tam kamyk, kilka sekund leci, nim opór znajdzie. Dziwna to pomyśleć sobie, kiedy i jak ta rzeka zlodowaciała, boć w tym miejscu tak dalece nie zimno, że na brzegach trawa i drzewa rosną. Jak nam przewodnik mówił, ubywa jednak po trochu tych lodów i widzieliśmy sami ogromną bryłę już nadłamaną, za pierwszym wezbraniem wód oderwie się zapewne, pójdzie i stopnieje. Wszakże przyczyna tworzenia się lodowników podobno nikomu nie wiadoma; trudno nawet zgadnąć, czy się zmniejszają, czy zwiększają, bo choć niektóre zmalą, to znowu drugie z dostępnych zrobiły się niedostępne i jakby wysunęły się.

PRZEDRUK ZA: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*, t. 3, Berlin 1849, s. 139.

¹ Grindelwald w Alpach szwajcarskich.

² Tj. lodowców.

74. Kry i lody Bałtyku

Wincenty Pol (1807–1872)

Obrazy z życia i natury

[fragmenty]

W kronikach nadbałtyckich krain zanotowane są wszystkie zimy, w których się Bałtyk cały okrywa lodem; w każdym wszakże roku obmarzają brzegi jego na znacznej przestrzeni, a Botnicka i Fińska zatoka pokrywa się corocznie jednostajnie lodem, tak iż na saniach można z Kłajpedy jechać do Szwecji, do Finlandii i Rygi. [...]

Północne brzegi obmarzają znacznie wcześniej od południowych grubymi lodami, ostatnie tedy burze odkrytego morza łamią te lody w krach olbrzymich i powstają z nich góry lodowe, które nieraz jednej nocy zrastają się w lodowate skały, zalegając przestrzeń mil kilku wszerz, a kilkudziesięciu wzdłuż. Tu można się spotkać ze wszystkimi plastycznymi kształtami krain górskich. Pomiędzy skałami ciągną się wąwozy i wyłomy, i rozlały się niby jeziora, na których lód gładko i równo jak zwierciadło błyszczący. Są tu przepaściste urwiska, grotty i tunele, pionowe skały dziko wydziergane u góry i całe przestrzenie zawałone rumowiskiem luźnych brył lodowych, a wszystko razem przypomina rysunkiem i ostrymi liniami na małe wymiary widoki krain alpejskich i ostre łomy alpejskich wapieni.

Lody te są przezroczyste prawie i kryształowe, zielonkowane i seledynowe, i świecą w słonecznym oświetleniu wszystkimi kolorami tęczy, a wśród ciemnej nocy światłem własnym, które się z nich wypromienia. [...]

Po dziewiątej z rana wyjechaliśmy z portu, i jadąc w ten sposób ciągle w jednym oznaczonym kierunku, zostawialiśmy na białym

gładkim lodzie siwy szlak za sobą, wypruty ostrymi łyżwami sań i ostrzejszymi jeszcze ocelami¹.

Na otwartym morzu wisiała w pewnej wysokości mgła gęsta i mróz się sadził z każdą chwilą. W powietrzu było zupełnie cicho, a ta uroczysta cisza miała coś bardzo poważnego w sobie. [...]

Z północy poczęliśmy drzemać...

Grzmot niesłychany ozwał się nagle na lodach, i wszystko zerwało się na nogi. Ja nie pojmowałem zrazu, co by ten grzmot znaczył, bo już ciż nie grzmi na lodach.

Było to pękanie lodów, które się na większym mrozie ścinają, niepodobne ani do grzmotu burz letnich, ani do huku dział, jakieś podziemne, ale straszliwsze od jednych i drugich, bo słychać było, jak na milowych przestrzeniach lód w różnych kierunkach pękał i jak się z tych szczelin jakieś podlodne dobywały gromy...

Przez godzinę może strzelał w ten sposób lód, tak iż w końcu ucho nasze przywykło do tego huku. [...]

Od rana dął wiatr straszliwy od skandynawskich Alp. Jest to wiatr panujący w tym czasie i z nim przychodzą wilki do Kurlandii. Z powstania skał lodowych na wysokości morza tworzą się ruchome odłamy, które luźno leżą na lodzie.

Jest to oryginalny i przepyszny widok. Czym większe bryły, tym silniej są pędzone wiatrem, gładka powierzchnia lodów nie daje żadnego oporu, większe bryły dopędzają mniejsze i w bryzgi idzie lód i pryska fontannami odbitych kawałków w powietrzu.

Gdyśmy do tej kry dojechali, wydało nam się, jak gdyby lody szły pod górę, jak gdyby po pochyłej płaszczyźnie pędziła ta kra... Wypadało się tedy saniom rozpierzchać, wyprzedzać i omijać każdy odłam lodowy, wstrzymać się na chwilę lub co wyskok przyspieszać biegu, ażeby z powodzi tej kry wyjechać bez szwanku. Gdyby się koń i człowiek nie znał tu z groźnym niebezpieczeństwem, trudno by było wyjść cało z tej przeprawy.

¹ Tj. hakami przy podkowach końskich, zapobiegającymi poślizgowi.

– Mrok padać poczynał, gdy nam się rozjaśniło od północy, jak gdyby od światła zorzy północnej: było to „świecenie lodów”, które skalistą ścianą nagle niby stanęły przed nami. [...]

Tu pośród tych lodów zrobiliśmy z Doną jeszcze z wieczora wycieczkę na lodowate skały. Jeden z myśliwych świecił przed nami pochodnią. Przepyszny był widok tych kryształowych skał zbrylantowanych od szronu i tych dziwacznych cieni, które raz na równe padały lody, to znowu łamały się fantastycznie po wiszarach, urwistych przepaściach i pionowych ścianach.

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Obrazy z życia i natury*, seria 1: *Północny Wschód Europy*, Kraków 1869, s. 19–34. Pierwodruk „Tygodnik Ilustrowany” 1867, t. XV, nr 392, z rysunkami Juliusza Korsaka.

75. Wietrzny klimat stepu

Wincenty Pol (1807–1872)
Obrazy z życia i natury [fragmenty]

Co zaś do samych stepów Ukrainy, osobliwym jest ich widok! Niby to biała karta w dziejach przyrodzenia¹ – czy wielkie pobożowisko tu-manów! Świat otworem leżący, wietrzny, ruchomy i nieustalony. [...]

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek! Rzadki dzień spokojny – tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu! W czasie upałów letnich powiewa od wschodu wiatr spiekły. Aż na brzegach Wołgi i po słonych bezwodnych stepach, rozpalone powietrze wali się wschodnimi wiatry – a niesione spiekłą powodzią na Dniepr, i cała noc nie wystarcza nieraz na wychłodzenie tej spieki. Kiedy po zupełnym uciszeniu się wiatru słychać tylko lekki szum trawy, a potem znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą – zda się, jak gdyby z gorejącego pieca upał powionął... Zwierz szuka jamy – ptactwo sowieje – roztwiera dzioby i opuszcza skrzydła – a człowiek opada z sił i z myśli... Termometr wznosi się naówczas nieraz na 30°, a nawet 34° ciepła w cieniu. Wówczas to także okazują się i tutaj błędne obrazy majaków stepowych (tak zwane *Fatamorgana*). Te powszednie zjawiska wielkich, równych pustyń i stepów nie przedstawiają tu widoku rozkosznej, palmami porosłej oazy, widoku grającego morza lub miast wschodnich – ale według miejscowości, szeroko rozłożone tabory koni i ludzi na stepach, widoki stogów, brogów, i stada bydła: na wpół tumanem kurzawy od dołu osłonięci, pomykają wówczas jezdni i niby zbrojni gęsiego

¹ Tj. natury.

po stepach – i giną w rozległych uroczyskach oku!... Dziwne zjawiska wyprawiają tu także i wiatry... Kiedy wałami z kurzawą lub śnieżnicą idą, bywają one tumanami zwane, lecz kiedy się młyńcem kręcą, nazywa je lud złym wichrem. Nie raz zdarzy się widzieć, że się takie trąby wietrzne całymi godzinami ze stepu na step przenoszą i całe pokosy trawy lub zboża z sobą w górę porywają. Wiatry te przyczyniają się po części niemało także do urodzajności tych tęgich ziem. Ogromna masna² skiba, którą pług sześciami lub ośmioma wołami ciągnięty za ledwo odwalił jest w stanie, połyska czarno na twardym ugorze, i jak ił nieużyty, leży calizna pokładu masno zlepiona, a przecież przejmują ją wiatr wschodni tak silnie, iż się twardy pokład skrusza i w popiół rozrabia. Kiedy po ulewach nagle posuchy chwycą, wówczas kamienieje ziemia na wietrze i staje się podobną do zimowej grudy. Tenże sam wiatr wypala także na srokatym³ polu oziminy i niszczy rozkoszną roślinność stepów, a już na schyłku wiosny lub w połowie lata smutnym jest ich widok.

Zżółkła, rudą mietlicą porastają trawy, lasy bodiaków wywiędłe osypują puchy... Oczerecy spłowiły...⁴ Na wypasionym stepie szeroko popękała ziemia. Widokrąg przybliży się oku. Pomniejsze wyschły jeziora. O milę i o dwie pędzą spragnione stada do pojła... Niebo jak za mgłą... Czerwoną strężogą⁵ zadęte, bez jasności promiennej, stoi słońce samotnie na niebie – i step paszeje⁶ zgorzały – i odłogiem leżące ziemie jałowiejają... W powietrzu cicho – tylko gdzieś w dali przegania tuman kurzawą – a gdy się młyńcem zawinie, idzie słupem wysokim w niebiosa, rwąc pod się pokosy trawy i prochy ze stepu!... Naówczas to, kiedy spiekły wiatr jeszcze powieje, zda się, iż kropli wody nie ma w powietrzu, ani na ziemi, tylko po dolinach ścielę się miejscami trawnik zielony, w małych

² Tj. tłusta.

³ Srokaty – pstrokaty, pstry.

⁴ Mietlica – pospolita trawa rosnąca na łąkach, porębach i w zbożu, bodiak – oset, oczeret – trzcina.

⁵ Strężoga, srzeżoga – pleśń.

⁶ Tj. okrywa się suszem, czyli przekształca w paszę.

płatkach. Są to zaskórne wody, które i pod tę porę podsycają trawy, a kopiąc w takich miejscach, napotyka się zawsze w pewnej głębokości na wodę, a niekiedy nawet na żywe podziemne źródło.

Piękną jest noc na stepie!... Czasami nad wieczorem uciszą się wiatry – i tak spokojnie w powietrzu – iż nawet gwarliwe milkną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy...

Głęboko roztwiera się niebo – i jaśniej niż nad puszciami wyiskrza się mleczna droga...

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Ze stepu*, w: *Obrazy z życia i natury*, seria 1: *Północny Wschód Europy*, Kraków 1869, s. 267, 269–271.

76. Śnieżyca angielska

Franciszek Bagiński (1830–1909)
Wspomnienia starego Wołyniaka

Było to w miesiącu listopadzie¹. Po opuszczeniu łóżka, nie mając żadnego zajęcia, udałem się pieszo do miasta Sheffield², szukając pracy. Finanse nasze były w opłakanym stanie. Nie mieliśmy więcej nad kilkanaście rubli³. Zostawiłem je u żony⁴, wziąwszy z sobą około rubla, uważając za dostateczne, tak jak droga ani też pobyt w Sheffield nic by mnie nie kosztował. Przybywszy do miasta zaszedłem do jednego z mych kolegów. Znużony parogodzinnym chodzeniem po mej chorobie nie wychodziłem w tym dniu więcej. Nazajutrz i dni kilka następnych zachodziłem do fabryk, prosząc o jakąkolwiek pracę, lecz niestety, nie tylko mi jej nie dano, lecz nie robiono żadnej nadziei na przyszłość w otrzymaniu onej. Widząc, że dłuższe poszukiwania byłyby nadaremne, pożegnawszy mych kolegów pracujących Sheffieldzie, udałem się z powrotem do domu.

Dzień był bardzo chłodny, nawet niewielki mroźnik z wiatrem dokuczał. Wyszedłszy z miasta, śnieg zaczął padać. Wychodząc z domu, dla lżejszego chodu i niezbyt chłodnego dnia, ubrałem się w jesienne palto dość lekkie. Zwiększający wiatr ze śniegiem zaczął przenikać. W nadchodzący omnibus jadący do Rochdale zdecydowałem się wsiąść. Jechaliśmy dość szybko, lecz po niejakiem czasie coraz to powolniej posuwaliśmy się, nareszcie z narady stangreta z konduktorem omnibusu na drodze przy hotelu zatrzymaliśmy

¹ Listopad 1853 roku.

² Sheffield, Rochdale – przemysłowe miasta w Anglii.

³ Autor pochodzący z zaboru rosyjskiego walutę brytyjską przelicza na ruble.

⁴ Bagiński ożenił się z Angielką, Elizabeth Sharp, 11 maja 1853.

się. Konduktor oznajmił pasażerom, iż dalej nie pojedą z powodu wielkiej zawiei i zasypania drogi śniegiem, konie nie są w stanie ciągnięcia obładowanego powozu. Wysiedliśmy wszyscy, zachodząc do hotelu. Pasażerowie zaczęli rozgrzewać się pićm trunków i jedzeniem. Z przykrością połączoną z zazdrością spoglądałem na nich wesoło rozmawiających o nadzwyczajnej w Anglii obecnej przygodzie śniegowej i możebnym noclegu w hotelu. Chciałem też cokolwiek zjeść i napić się dla ogrzania się. W kieszeni palcami poruszałem cały mój kapitałik składający się z paru srebrników z miedziakami, nie decydując się, co mam robić. Za jazdę omnibusem nie odebrano jeszcze zapłaty. Lękałem się wydania te trochę pieniędzy, by nie być skompromitowanym wobec Anglików niemożebnością zapłaty za mój przejazd omnibusem, jeśli służba onego wymagać będzie. Przy tym sama myśl mnie męczyła, że jeżeli będę przymuszonym z pasażerami przenocować w hotelu i choć dla oka czymkolwiek posilić się, czym opłacę te wszystkie wydatki.

Medytując nad przykrym mym położeniem, w ciepłej sali hotelowej rozgrzawszy się, przyszedłem do decyzji, co by [się] nie stało udać się pieszo do Rochdale. Dowiedziawszy się, iż z powodu niedostawienia pasażerów na miejsce zapłaty za częściowy przejazd omnibusem nie będzie, jako też o odległość do Rochdale, zacząłem przygotowywać się do wyjścia. Niektórzy z pasażerów, widząc me przygotowania, odradzali niebezpieczny zamiar w tak chłodną, wielką zawieję. Nadrabiając miną, iż z dobrej woli, a nie z musu udając się, powiedziałem, iż większe zamieci widywałem w Polsce, a obecna zupełnie nie przeraża mnie. Chustką od nosa przywiązałem kapelusz, by wiatr go nie zerwał. Pozapinałem się paltotem jak najszczelniej, pantalony u dołu koło kamaszy obwiązałem.

Przygotowawszy się do wyruszenia w drogę, około południa wyszedłem. Opuszczając hotel, wyszło też ze mną czterech Anglików, pasażerów potrzebujących być w Rochdale tego dnia, z zamiarem trzymania się przy mnie. Ledwieśmy drzwi hotelowe za sobą zamknęli, ściemniło się nam w oczach. Zawieja była tak silną,

iz pomimo woli powieki spuszczały się. W Anglii drogi publiczne, jak większe tak też i mniejsze, są wysadzane żywymi płotami parę łokci szerokimi i wyżej człowieka wysokości. Przy nich są chodniki wyłożone kamiennymi płytami po obu stronach drogi. Pierwszym moim zadaniem było dojść do płotu mniej zaszypanego śniegiem. Przeszedłszy przez drogę na przeciwną stronę hotelu, chodnik mało co był zaszypanym, tuląc się do płotu przed wiatrem, udałem się naprzód. Wiedziałem, iż tym chodnikiem, nie zbaczając, mogę dojść do samego miasta Rochdale, więc nie lękałem się zbłądzenia, co jest najstraszniejszym podczas zawiei. Idąc ciągle naprzód, obzierałem się za moimi towarzyszami. Z początku wszyscy czterej, trzymając się razem, postępowali za mną. Rozmawiać z sobą nie mogliśmy, zawieja nie dozwalała. Po niejakimś czasie, oględniejszy się, ujrzałem już tylko trzech, wkrótce pozostało dwóch. Będąc zmęczonym, zatrzymałem się odpocząć, oparłszy się o płot z trudnością oddychałem. Nadszedł do mnie już tylko jeden pozostały z czterech towarzyszy. Dowiedziałem się od niego, że od hotelu do Rochdale było około pięciu mil angielskich (naszych dziesięć wiorst⁵). Ujść nie mogliśmy więcej nad dwie mile. Odpocząwszy, ruszyliśmy dalej. Z rozmowy pozostałego mego towarzysza niewiele na niego liczyłem, by mi do końca w podróży dotrzymał. Idąc jakiś czas, obejrzałem się. Nikogo już za mną nie było. Ponownie zatrzymałem się dla wysapania się, z nadzieją, że Anglik nadejdzie. Nie doczekawszy się go, ruszyłem naprzód. Zamieć nie ustawała. Zdawała się nawet zwiększać. Idąc jeszcze dość długo ze spuszczoną głową od przenikającego wichru, natknięcie się na coś miękkiego zatrzymało mnie. Podniósłszy głowę, ujrzałem przed sobą nieprzebytą ścianę śniegową, jakie kilka łokci wysokości. Oglądam się na wsze strony i widzę wał śniegowy ciągnący się całą szerokością drogi od jednego do drugiego chodnika. Wzrokiem szukam nim choć małego przejścia, lecz niestety nigdzie ujrzeć go nie mogę. Strwożony i zatrzymany tą przeszkodą w dalszym moim chodzie, usia-

⁵ Wiorsta – 1066,78m.

dłem pod tą ścianą dla odpoczynku i namysłu, co mam czynić i jak wyratować się z tak przykrego, nawet niebezpiecznego położenia. Wracać do hotelu bez pieniędzy, po takim wysileniu się, będąc bliżej domu, nie było i mowy, lecz zastanowiwszy się – jeżeli nie będę mógł przejść przez ten wał, czy nie lepiej wracać, niż zostać się na całą noc w tym miejscu, ryzykując jeżeli nie marznięciem, to na pewno nabyciem jakiejś choroby? Z trwogą rozmyślając, iż przy tym wale zakończyć mogę i życie, zerwałem się na nogi z postanowieniem przejścia go. Westchnąłem do Boga o pomoc, idę przy wale, szukając i macając rękoma, czy nie znajdę w śniegu choć najmniejszego niezawianego miejsca do przejścia. Zaczepiłem się bokiem o jakiś przedmiot i padłem jak długi na ziemię około wystającej twardości, która spowodowała me padnięcie. Zacząłem mą laską i rękoma śnieg odrzucać. Wkrótce przekonałem się, że to jest tylne koło wielkiego furgonu używanego do przewożenia po większej części wełny w wańtuchach⁶. Stałem na odrzucone od śniegu szprychy. Usuwając śnieg wyżej koła, natrafiłem na bok furgonu i wańtuchy napchane jakimś towarem. Ucieszony tym odkryciem, iż mam na czym nogi postawić, zacząłem przypatrywać się, czy nie znajdę o co uczepić się rękoma. Odrzucając to laską, to rękoma śnieg, wydobyłem wyżej mej głowy kawał sznura pochodzącego od obwiązanego nim wańtucha. Uczepiłem się go skwapliwie lewą ręką, a prawą drażyłem laską jamy do wyjścia nimi w górę. Trzymając się sznura oboma rękoma, stanąłem jedną, to drugą nogą w poczynione otwory. Podniosłem się wyprostowawszy się, przedstawił mi się wierzch śniegowej góry.

Poczyniwszy jeszcze z parę jam, czepiając się w górze rękoma wszystkiego, co by się dało do wleczenia na wał, z wielkim trudem i wysileniem wgramoliłem się. Silny wicher przymusił mnie do położenia się na wierzchołku w obawie być na powrót nim zrzuconym na dół. Czołgając się na brzuchu szerokością wału, dosunąłem się prawie do samego kraju, gdy niespodzianie śnieg pode mną

⁶ Wańtuch – worek z grubego płótna.

usunął się i wpadłem w jamę do połowy korpusu. Przestraszony tym usunięciem się, szamotaniem, by z niej wydobyć się, usuwałem się głębiej. Szczęściem nogami natrafiłem na coś twardego, zatrzymawszy się na jednym i tymże samym miejscu, ochłonałem z przestraszu. Rozpatrzywszy się, iż do brzegu góry nie było więcej nad krok jeden, pochyliwszy się, zacząłem rękoma śnieg w dół zsuwać, ruszając też na przemian to jedną, to drugą nogą dla uwolnienia ich od śniegu. Oswobodziwszy się z tej jamy, z całą siłą rzuciłem się naprzód z wału. Mym ciężarem śnieg usunął się, stoczyłem się na coś twardego, a później padłem na ziemię. Powstawszy, spostrzegłem kilka furgonów stojących jeden przy drugim, czyniąc ten wielki, śnieżny wał.

Uszczęśliwiony wydostaniem się z tej matni grożącej mi śmiercią, otrzepawszy się, o ile to było możebnym ze śniegu, ruszyłem w dobrym humorze naprzód, idąc ciągle pod płotem dość szybko z jakie pół godziny, by zagrzać się. Zmęczony oparłem się o płot, by wypocząć. Zawieja nie przestawała. Stojąc na jednym i tymże samym miejscu zdawało mi się usłyszeć odzywanie się dzwonów. Natężywszy słuch w stronę pochodzącego głosu, najwyraźniej rozchodził się dźwięk licznych dzwonów. Ucieszony, iż muszę być niedaleko miasta, odpocząwszy, ruszyłem ponownie. Z posuwaniem się naprzód głos dzwonów powiększając się, przybliżał się. Pomimo wielkiego znużenia nadzieja rychłego dostania się do domu dodawała siły i energii.

Zaczęło się ściemniać, wieczór nastawał. Kilkugodzinne chodzenie, mocowanie się z zawieją, przebijanie się przez wał, wyczerpały me siły. Chód coraz to zwalniał się. Co kilkadziesiąt kroków zatrzymywałem się dla odpocznienia. Nareszcie za zawieją ujrzałem migające się budynki. Wkrótce wszedłem w główną ulicę. Siły zupełnie mnie opuściły. Uszedłszy kilkanaście kroków, wicher cofał mnie nazad z parę kroków. Czułem, iż nie będę w stanie dojść do mego mieszkania położonego na końcu miasta. Oparłem się o ścianę domu, ciężko oddychając. Nogi pode mną trzęsły się. Obzierałem się na wsze strony, czy nie ujrzę kogo, by mi pomógł

dojść do domu, lecz niestety ulica była pusta, żywej duszy na niej nie było.

Stojąc, przyszło mi na myśl, iż na tejże ulicy mieszka dobry mój znajomy, Szkot Mac Kenry, przyjaciel Polaków, były członek byłego komitetu [pomocy] w dostawaniu pracy nam Polakom przybyłym z Turcji⁷. Po namyśle zdecydowałem się zejść do niego. Jak zdawało mi się, dom jego powinien być niedaleko. Podtrzymując się rękoma o ściany domów, szedłem powoli, parę razy ze znużenia padłem. Po wielkim wysileniu doszedłem do jego mieszkania. Często u niego bywając, znałem rozkład jego domu. Bez stukania we drzwi wszedłem do kuchni. Znajdująca się kucharka, ujrawszy wchodzącego śnieżnego bałwana ze świecącymi się oczyma, z krzykiem uciekła w głąb pomieszkania. Na ten krzyk nadbiegł Mac Kenry z żoną. Spojrzawszy na stojący słupek śniegowy, ostąpieli z zadziwienia i przestachu; oparli się o ścianę, ledwo żem mógł wymówić, kto jestem, skąd idę, prosząc o pozwolenie zagrzania się i odpocznienia, nie mając sił dojść do domu.

W ciepłej kuchni ze znużenia zaszumiło mi w głowie. Usunąłem się na podłogę. Pocziwy starzec, zawezwawszy służącą, podnieśli mnie, sadzając na kanapie. Starali się zdjąć ze mnie ubranie, lecz [to] okazało się rzeczą niemożliwą, od głowy do nóg byłem oblepionym obmarzniętym śniegiem. Przedstawiałem jedną śnieżną breję. Musieli zatrzymać się w rozbieraniu do stopnięcia⁸ onego, a dla rozgrzania pani Mac Kenry przyniosła filiżankę gorącej herbaty z koniakiem, którą prawie jednym duszkiem wypilem. Gdy śnieg zaczął topnieć, dopiero wtedy z wielkim trudem rozebrano mnie do bielizny, w przyniesione ogrzane ubranie gospodarza odziano. Jedyne buty zostały się na nogach, bo nie było możliwości mokrych zdjąć. Po przebraniu się Mac Kenry, wzięwszy mnie pod rękę, zaprowadził do jadalnego pokoju, sadzając przy nakrytym

⁷ Autor walczył w legionie polskim na Węgrzech, a po upadku rewolucji węgierskiej w 1849 roku został wraz z innymi Polakami internowany w Turcji. Część z nich wybrała emigrację w Anglii. Bagieński przybył do Southampton w 1850 roku.

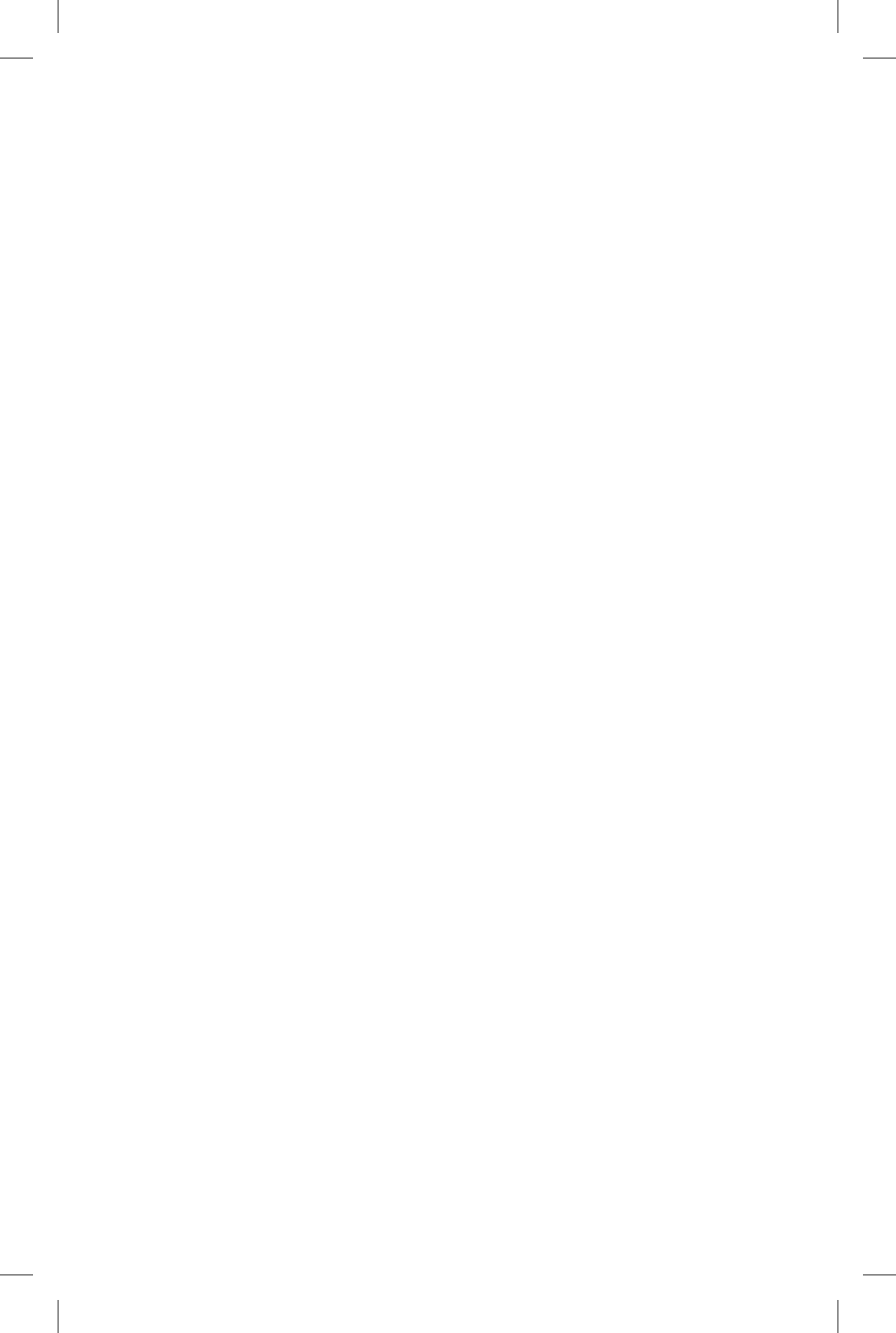
⁸ Tj. stopnienia.

stole do herbaty. Dla kompletnego rozgrzania się dano mi szklanke gorącego porteru z cukrem i żółtkiem z jaja. Po wypiciu onego częstowano zastawionymi różnymi herbacianymi przekąskami używanymi w Anglii, jak szynką i jajami na miękko, serem szwajcarskim i przesmażoną w plasterki świeżą słoniną. Od samego rana nie jadłem, byłem porządnie głodnym. Pijąc herbatę z wielki apetytem, nie przebijając w zastawionych przede mną przekąskach, zjadałem wszystko, co mi podawano. Na życzenie gospodarza opowiadałem me przejście z Sheffield do Rochdale podczas zawiei i o przeszkodzie w dalszym chodzie, jaką doznałem utworzeniem się z furgonów wału śniegowego przez całą szerokość drogi. Po posileniu się i odpocznieniu, zostawiwszy me mokre ubranie, pożegnawszy się z Mac Kenrami, dziękując za gościnność i staranność koło mnie, wyszedłem na miasto.

Zamieć ciągle panowała. Ulica była pusta, ciemna, światła dochodziły li tylko z mieszkań piętrowych, dolne okna prawie zupełnie zasypane były śniegiem. Latarnie uliczne gazowe nie były pozapalane. Ogrzany, nakarmiony i trochę odpoczęty szedłem to trotuarem, to ulicą, wybierając miejsca mniej zasypane śniegiem. Wychodząc z końca ulicy, wszedłem na niewielki placyk, na którym stał domek nami zamieszkały, należący do stangreta fabrykanta Krosleya, w którego fabryce jakiś czas pracowałem. Na placyku był tylko ten jeden domek z niewielkim ogródkiem, niziutki, maleńki, składający ze szczupłej izdebki i jeszcze mniejszej kuchenki. Chodząc po placyku, domku znaleźć nie mogłem. Natknąłem się na górę śniegową. Obszedłem ją dookoła, ani ścian, ani drzwi, ani też okien nie widać. Z początku nie mogłem zorientować się, gdzie jestem i skąd ta góra wzięła się, zapytując sam siebie, gdzie się domek podział. Zdawało mi się, że winien stać w miejscu śniegowej góry. Pomyślałem, czyż podobna, by zupełnie śniegiem był zasypany? Nie wiedząc, co czynić, dla przekonania się wylazłem na wierzch nasypu. Krążąc po nim, ujrzałem wyglądający ze śniegu komin. Przekonawszy się, iż jestem na dachu naszego domku, chodziłem po nim szukając drzwi. Naraz zapadłem się, natrafwszy trafem na one,

ocknąłem się w izdebce. Ma żona, słysząc jakiś szmer, otworzyła drzwi, którymi wpadłem z kupą śniegu do izdebki. Przestraszona niespodziewanym wpadnięciem jakiegoś człowieka, odskoczyła do kuchenki. Usłyszawszy mój głos, oprzytomniawszy, przybliżyła się do mnie uradowana moim zjawieniem się. Opowiedziałem całe me przejście, wkrótce znużonego ułożyła do łóżka. Ogrzawszy się w cieplej pościeli, usnąłem.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Bagieński, *Wspomnienia starego Wołyniaka*, wstęp Zbigniew Sudolski, oprac. Zbigniew Sudolski przy współpr. Grażyny Góralewskiej, „Pax”, Warszawa 1987, s. 274–280.



PRZESĄDY



77. Murzyn i burza

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]

Urodzinom moim towarzyszył wypadek zabawny. Na czas jakiś przedtem bawił w domu naszym wuj mój Józef; miał on lokaja Murzyna, którego dla oryginalności skądś dostał. Od nas przejeżdżał do Michalówki, z Michalówki wracał do nas. Murzyn był przedmiotem podziwu ogólnego. Ciotka moja Popowska spodziewała się także matką zostać i została nią równocześnie z moim na świat przybyciem. Powiła chłopca koloru brunatnego, czarnego prawie; mnie zaś niańka celem zabezpieczenia przeciwko urokom, które się jej tym bardziej możliwymi wydały, że w czasie urodzin moich straszliwa na dworze panowała burza, znamionująca, jak wiadomo, tłuczenie się biesów, w kahlance, to jest w sadzy, skąpała. Ma to być na uroki środek niezawodny. Środek ten przede wszystkim uczernił mnie, żem wyglądał niby węgiel w postaci nowonarodzonego dziecka. W chwili wydobycia mnie z kąpeli nadjechała pani Bentkowska, powracająca z Michalówki, z odwiedzin u ciotki mojej. Tam widziała chłopca prawie czarnego, tu zobaczyła zupełnie czarnego. Wy tłumaczyła sobie fenomen ten tak, że nastąpił on wskutek zapatrzania się matek na Murzyna, co wujowi memu lokajowi. Tłumaczenie przeszło po okolicy w kurs i przez czas jakiś brat mój cioteczny i ja uchodziliśmy za murzyniątką porody¹ polskiej.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 29–30.

¹ Tj. rasy.

78. Ludowe zabobony

Łukasz Gołębiowski (1773–1849)

Lud Polski, jego zwyczaje, zabobony [fragmety]

Zabobony ludu ruskiego

[...]

Drzewa od burzy zwalonego w ścianę nie zakłada, gdyż czart sprowadza burze i zawieruchy, on to lasy wali, a drzewo ciężkie spadając, mogło i diabła przydusić, jego mocą napoić się, do mieszkania zabrane razem by i samego czarta sprowadziło.

[...]

Paździerza od konopi lud prosty na oborę nie wyrzuca, sądzi, że to zrobiwszy, grady na swoją niwę ściągnie. Diabeł wedle nich ukrywa się w trzcinie i konopiach, które mogły być schronieniem hultai raczej. Gdy biesa ta hańba spotyka, że do gnoju wrzucony, mści się zesłaniem gradu. W czasie chmury gradowej i nim się ona ku wsi zbliży, biją w dzwony i wierzą, że brzęk takiego dzwonka, który by umyślnie ku odwróceniu gradów był poświęcony, tym skuteczniejszym był[b]y. Diabła kierującego chmurą odstraszyć usiłują poświęconego dzwonka odgłosem, pilnują się z dzwoniem, by zacząć, nim chmura granicę wsi przestąpi: bo wtenczas już diabeł sądzi się mocniejszym i hukem swym dzwony zagłuszyć pragnie. Jeżeli kiedy małą chmurkę rozpędzić zdołają, ileż to razy przez rozrządzenie powietrza ściągnięone pioruny ludzi w dzwonnicy zabijają, wsie palą.

[...]

Przesady Ukraińców

Według mniemania ukraińskiego ludu, zbłądzenie w podróży nic jest dziełem przypadku; czart ściga wędrowców i rozmaitymi sposobami stara się ich w bezdroża wprowadzić. Wicher nocny

uważany pierwszym narzędziem jego do obłąkania tych nawet, którzy najświadomszy położenia miejsca; *majaczenie* czyli miganie się, ukazywanie czego w dalekości, drugim. Tymi to sposoby diabeł *otumani* (obłąka) człowieka.

[...]

Wierzy w to lud ukraiński, że wiatr kręcący się po polu, spotkawszy kogo, tak porywa, iż odtąd ani śladu, gdzie się podział. Nóż poświęcony w słup takiego wichru rzuciwszy, upada na ziemię krwią obryzany¹. Spadająca gwiazda *latawiec* to rodzaj powietrznego złego ducha; o jego miłostkach z kobietami często posłyszeć można. Zmarłe bez chrztu dzieci błakają się w powietrzu, jęczą i narzekają: póki się kto nie ośmieli ich przywołać i chrztu udzielić.

[...]

Zabobony gminu w Litwie

[...]

Pioruny Bóg ciska w złego ducha, ten się kryje pod budowlę, drzewo, bydłę lub człeka, i dlatego ich to nieszczęście spotyka. Strzała piorunowa w 7 lat na powierzchnię ziemi wychodzi.

[...]

Zabobony ludu polskiego

[...]

Piorunowy pożar gasić należy mlekiem kozim.

[...]

Jeśli wiatry świszczą, mówią: że się ktoś powiesił, do samobójców duszy albowiem diabeł największe ma prawo, śpieszy po nią w postaci trąby powietrznej. Może to *pochwist*, *poświst*, *pogwizd* czczony u Słowian, przemienił się z czasem w diabła.

[...]

¹ W Krakowskim, Sandomierskim, Augustowskim, Podlaskim i Mazowszu polski lud również, gdy wiatr wirowy zawieje, sądzi, że diabeł tak się kręci, i nazywają to diablím tańcem. Żegnają się wtenczas, radzą ze strzelby guzikiem srebrnym od prawego oka przymierzwszy, w środek tego wiru strzelić; lecz diabeł gdy to pierwej dojrzy, fuzją pokruszy, człowieka zbije. Rzucają równie śmielsi ostrzem nóż ostry, i diabeł zraniony, ukorzony, staje przed człowiekiem, posłuszny będzie rozkazom jego [przyp. autora].

Przesądy średnich i wyższych stanów

[...]

Panna, gdy zjada kożuszki od śmietanki, wyskrobuje garnuszki, będzie chłód i deszcz na jej weselu.

[...]

Słońce pokazujące się na kominie zapowiada mróz, śpiewanie kosa deszcz.

[...]

Kotek na murku, gdy uszy do góry postawi, pewny wiatr z północy, ogon do ognia odwróci, mróz; łapki liże, śnieg, a kiedy ogon, deszcz; jeżeli się skrobie poza uszkami i myje, ktoś obcy przyjedzie; kicha, będzie katar. Snujące się pająki obfite deszcze sprowadzą.

[...]

W Lubelskiem wśród lasu wykopała czarownica dołek, nakładła jaj gęsih i siadła na nich jak kura, takie wszakże obrawszy miejsce, żeby widzianą być mogła. Pytano się jej z trwogą, co to będzie? Nastraszyła, iż taki grad sprowadzi jak te jaja, i dano jej wszystko, co tylko chciała.

[...]

Czterdziestu męczenników przypada 10 marca. Uważano pilnie, jaka wtenczas pogoda, taka ma być następnie przez dni 40, zapewne dla podobieństwa liczby.

[...]

*S. Wojciech*². Kiedy grzmi w święto Wojciecha, rośnie rolnikom pociecha. Częstokroć grzmot takowy bywa pierwszy, wtenczas idzie wieśniak przed chatę, wywraca koziołka, w tym przekonaniu, że już go w tym roku paraliż nie naruszy.

PRZEDRUK ZA: Łukasz Gołębiowski, *Lud Polski, jego zwyczaje, zabobony*, Warszawa 1830, s.140, 142–143, 149–151, 154–155, 160–161, 163, 276, 324.

² Przypadający 23 kwietnia.

79. Sybiracy i złe moce

Ewa Felińska (1793–1859)

Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie [fragmenty]

d. 6 lipca, 1839. [...]

Jaka parnota! Jaki deszcz! Nigdy w moim kraju nie widziałam podobnej ulewy. Deszcz leje jakby z przewróconego naczynia, bez przerwy. Błyskawice migocą, pioruny biją jeden po drugim: zdaje się, że same ostateczności zbiegły się w tych ostatecznych krańcach ziemi. Upał, deszcze, zimno, dni, noce, wszystko niepomierne.

Tak wstrząśnienia natury, jak wstrząśnienia losu uspasabiają duszę do nabożeństwa. Cała familia gospodarza mego zebrała się do naszego pokoju, bo tam są obrazy domowe. Zapalono przed nimi świece, biją pokłony. Córka gospodarza, czternastoletnia dziewczyna, czyta ewangelię, starzec modli się zebrany w duchu, jego żona pogląda ukradkiem w okno, czy ich budowle nie płoną: na jej twarzy maluje się niespokojność. Za każdym uderzeniem piorunu pochylają ku ziemi przerażone czoła, widno, że im miłe życie, widno, że mają lękać się o co.

[...]

11 stycznia, 1840. [...]

Nazajutrz rano, to jest 5 stycznia, weszła gospodyni nasza, skorośmy się przebudziły, do pokoju, niosąc w ręku święconą wodę i kropidło.

Zdziwiona, zapytałam, co to znaczy. Gospodyni nic nie mówiąc, kropiła wodą na wszystkie strony, schylała się pod łóżka, pod kanapy, wdrapywała się na piec, wciskała się za piec, we wszystkie najciaśniejsze kąteczki i widno, że nie miała żadnej ochoty zaspokoić naszą ciekawość, póki nie zrobiła swego. Na koniec skończywszy, zrobiła się rozmowniejsza i powiedziała, że ponieważ

przyjmowałyśmy maski¹, razem z maskami nacisnęło się w dom pełno diabłów, mocą których jedynie maski się kręciły i skakały. Że teraz, gdy się skończyły ich dni ulubione, diabełki nie chcą od razu opuszczać ludzi, z którymi się zbrały, i mają zwyczaj zakradać się w domu po różnych kątach, a potem stamtąd płać różne figle. Wszakże upewniała nas, abyśmy były spokojne, bo ona w ciemności nie bita, pokropiła należycie wszystkie kąty, nie zapominając o żadnej kryjówce i śmiejąc się z kąpieli, którą sprawiła tym psotnikom.

Następnej nocy była wielka burza, wiatr trząsał okienicami. Z rana przyszła gospodyni zapytując nas, czyśmy dobrze spały.

Odebrawszy odpowiedź potwierdzającą, bardzo tryumfowała, przypisując naszą spokojność swojej przezorności. Zapewniała bowiem, że stukanie okienic, któreśmy wszyscy słyszeli, był to szturm duchów nieczystych, które wypędzone przez nią święconą wodą, nazad przez okna wdrzeć się chciały, lecz nie znalazłszy żadnego kąta niepoświęconego, musiały zaniechać przedsięwzięcia i mściły się tylko za zawód, trzęsąc okienicami.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską*, Wilno 1853, t. 1, s. 125–126 i 249–250.

¹ Mowa o wizytach przebierańców w domach podczas zapustnych zabaw.

80. Morze Czarne na Polesiu

Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887)

Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy [fragment]

Otoczające Pińsk błota nad Piną i Jasiołdą, mnóstwo rzek i rzeczułek przerywiających je, dały powód do osobliwszego podania, jednego z najdziwniejszych, jakie stworzyła domyślność ludzka i niespokojna ciekawość. Podanie to może obchodzić geologów, którzy w nim upatrzą potwierdzenie jakiej teorii – głosili ono, że bardzo dawno a dawno, morze Czarne (Euxyn) aż pod Pińsk podchodziło i łączyło się tędy z Bałtyckim, aż jakiś potężny monarcha kijowski, znudzony taką masą wody, rozciął góry, spuścił wstrzymane morze i zostały tylko niedoschłe jeszcze kałuże, dzisiejsze błota pińskie¹. Bajeczka ta urosła z położenia kraju i pozoru

¹ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (t. 6, Warszawa 1885, s. 687–688) pisze na ten temat: „Morze-Herodotowe, domniemany olbrzymi zbiornik wód w czasach przedhistorycznych, łączący jakoby morze Czarne z Bałtykiem; miał obejmować przestrzeń dzisiejszego Polesia w gub. mińskiej, grodzieńskiej i wołyńskiej, zakreślonej od pld. stokami Awratyńskimi, idącymi od Karpat, od zach. odławkami gór sandomierskich w kierunku zach. Bohu, od pñ. wzgórzami Alauńskimi. Historyk i podróżnik grecki Herodot, żyjący w v w. przed erą chrześc., dotarłszy do Scytyi nad Euxinem, wspomina o Budynach i Getonach tam żyjących i o wielkim jeziorze, bagnach i lasach poza osadami tych plemion (ob. Lelewela: „Narody na ziemiach słowiańskich”, str. 30). Jakkolwiek wskazanie Herodota nie jest jasne, domyślać się jednak można owych lesisto-bagnistych i wodą wtedy pokrytych przestworów w miejscowości dzisiejszego Polesia litewskiego. Również i geograf Strabe, żyjący w 1-szym w. przed Chr., mówiąc o Scytyi w księdze vii, wspomina o wielkich moczarach za rzeką Hiponis czyli Bohem (ob. Lelewel, tamże str. 42). Historyk niemiecki x w. Dytmar, biskup merseburski, opisując apostołstwo współczesnego sobie biskupa kołobrzskiego Reinberna w okolicach Turowa, dziś w pow. mozyrskim, wspomina o morzu tam znajdującym się, zanieczyszczonym przez złych duchów, których apostoł wyganiał, wrzucając w głębiny glazy namazane olejami św. i wlewając wodę święconą (ks. vii, rozdz. 52). Czacki w dziele: „O Litew. i Pols. Prawach” świadczy, iż w bagnach Pińszczyzny znajdowano bursztyn,

jego w czasie niezmiernych wylewów wiosennych, zatapiających ogromne przestrzenie błot i łąk nadrzecznych. Naówczas istotnie kraj wygląda jak morze, a biedne wioski na wpół zatopione drobnymi są na nim wyspami.

PRZEDRUK ZA: Józef Ignacy Kraszewski, *Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy*, Paryż [1860], s. 95.

Wydanie to różni się w szczegółach i autorskich uzupełnieniach od pierwodruku (Wilno 1840), na którym oparto edycję współczesną (ŁSW, Warszawa 1985).

produkt morza Bałtyckiego, i szczątki gatunków ryb morza Czarnego, leżące na pokładach z gliny (t. II, str. 184–185 w przypisach). Zauważmy, że w 1847 przy robotach wstępnych dla zbadania warunków możebnego osuszenia błot pińskich, dokonanych pod kierunkiem generała Żylińskiego, znaleziono bursztyn około m-czka Lubiąż, nad dużym jeziorem, przez które przepływa Prypeć⁹.

81. Przepowiednie z kalendarza

Józef Unger (1817–1874)
**Kalendarz gminny z prognozykami
o urodzajach [fragmenty]**

MIESIĄC STYCZEŃ.

Dzień 1. Jakim jest dzień pierwszy roku, takim będzie następujący sierpień. Jeżeli dnia tego słońce czerwone było na wschodzie, tedy nastąpią w lecie częste burze z grzmotami.

Dzień 2. Jaki jest dzień drugi stycznia, taki będzie następujący wrzesień.

Dzień 10. Jeżeli cały dzień słońce świeci, spodziewać się należy pogodnego lata.

Dzień 22. Podobnie wróży się o pogodzie w dzień Św. Wincen-tego, zwłaszcza jeśli nie było mrozu; stąd powstało przysłowie: „Św. Wincenty, co nie chodził w futrze, chodzić będzie w koszuli”.

PRAWIDŁA POWSZECHNE W STYCZNIU.

Po styczniu łagodnym następuje zwykle luty mroźny, kwiecień i maj pogodny, czerwiec i lipiec gorący. Po styczniu mglistym następować zwykła wkrótce wiosna. Po styczniu mokrym należy się spodziewać mokrego lata. [...]

MIESIĄC LUTY.

Dzień 2. Pogoda przy jasnym niebie wróży, że zima długo jeszcze potrwa. Dzień 2 Lutego (N. M. P. Gromniczej) uważany był dawniej w Polsce za przełamanie się mrozów i dlatego mówili starzy: „Gromnica skręci kark mrozom i wilkom”. Dzisiejszego czasu niewiele jest wilków, ale mrozów i po tym dniu do woli.

Dzień 6. Dnia tego (na Św. Dorotę) i dni następujących, przybywa zwykle wiele śniegu.

Dzień 22. Jaka jest dnia tego pogoda, taka będzie przez następujące dni czterdzieści.

Dzień 24. (Św. Macieja). Dzień ten uważają za przesilenie się zimy, tj. że albo się skończy niebawem, lub też poprawi, skąd poszło przysłowie: „Św. Maciej zimę straci, albo ją wzbogaci”.

PRAWIDŁA Powszechne w Lutym. Miesiąc ten jest zawsze zimny, chociażby nawet grudzień i styczeń były łagodne. Jeżeli w połowie lutego nadarzą się wiatry silne z zamieciami śnieżnymi, jest to dowód, że zima skończy się wkrótce po Św. Macieju. [...]

MIESIĄC MARZEC.

Dzień 10. (Czterdziestu Męczenników). Ojcowie nasi twierdzili, że dnia tego niezawodnie odezwie się grzmot. Dzisiejszego czasu wydarza się to zaledwo raz jeden w lat dziesięć, z czego wnosić by można, że zmienił się w kraju naszym porządek w temperaturze.

Dzień 17. (Św. Gertrudy). Dnia tego pojawiać się zwykły pierwsze bociany, co jest wróżbą niezawodną bliskiej wiosny.

Dni 21, 22, 23 i 24. Jakimi są dni te (ciepłe lub zimne), takim będzie lato następujące. Jeżeli wiatr wiał od południa lub od zachodu, spodziewać się urodzaju, a przeciwnie, jeżeli wiał od północy lub od wschodu.

PRAWIDŁA Powszechne w Marcu. Marzec suchy zapowiada urodzaj. Śnieżny lub mokry grozi nieurodzajem; na tej wróżbie ugruntowane jest staroświeckie przysłowie: „Suchy marzec, mokry maj, będzie żyto kieby gaj”. [...]

MIESIĄC KWIECIEŃ.

Dzień 10. Len tego dnia zasiany udać się ma niezawodnie. Zachodzi pytanie, co robić gdy dnia tego śnieg jeszcze leży lub świeży upadł, jak się zdarza nieraz? Dzień 23. Dzień ten (Św. Wojciecha) ma być równie dogodnym uprawie lnu, tudzież sadzeniu płonków owocowych i wystawianiu pasieki.

Dzień 25. Jeżeli dnia tego żaby skrzeczeć zaczną, jest to prognostyk bliskiej i cieplej wiosny.

Dzień 30. Deszcz w dniu tym zapowiada urodzaj.

PRAWIDŁA POWSZECHNE W KWIETNIU. Po mokrym kwietniu zwykł następować suchy czerwiec. Ciepłe deszcze w kwietniu rokurją długą i piękną jesień. Kwiecień pogodny zapowiada słotny maj. Jak kwitną w tym miesiącu drzewa wiśniowe (obficie lub obrzednio), tak też kwitnąć będzie żyto. Jeżeli w tym miesiącu czernie¹ wczas zakwitnie, będzie też żniwo wczesne. Z porą kwitnienia czernia połącza wielu to mniemanie, że ono sprowadza zimno, co też sprawdza się często. [...]

MIESIĄC MAJ.

Dzień 1. Deszcz w tym dniu rokuje zły urodzaj i nędzną paszę.

Dni 11 i 12. Jeżeli w tych dwóch dniach wydarzy się nocny przy-mrozek, wiosna będzie zimna, lato przepadziste, a jesień mokra.

Dni 12, 13 i 14. (Pankracego, Serwacego i Bonifacego). Jest to mniemanie dawne, że w te dni deszcz padać musi, z czego wynikło stare a nieprzystojne przysłowie: „że ci Święci płaczą”.

Dzień 25. Pogoda w dniu tym zapowiada urodzaj.

PRAWIDŁA POWSZECHNE W MAJU. Częsty grzmot w maju jest wróżbą silnych wiatrów w lecie. Po mokrym maju zwykł następować suchy czerwiec. „Chłodny maj, dobry urodzaj” (Przysłowie). [...]

MIESIĄC CZERWIEC.

Dzień 1. Pogoda w dniu tym wróży urodzaj.

Dzień 8. (Św. Medarda). Jakim jest ten dzień, takimi będą następujące czterdzieści.

Dzień 10. (Św. Małgorzaty). Dnia tego ma zakwitać po raz pierwszy żyto.

Dzień 15. (Św. Wita). Deszcz w tym dniu szkodzi jęczmieniem.

¹ Czernie – cierni.

Dni 21, 22 i 23. Jaka jest pogoda w te dni, taka dotrwa do dnia 21 września. Dzień 24. (Św. Jana Chrz.). Jaki jest ten dzień, takimi będą następujące trzydzieści, a nawet czterdzieści.

Dzień 27. Deszcz w tym dniu wróży trwałą słotę.

Dzień 29. (ŚŚ. Piotra i Pawła). Dnia tego wykłósić się ma żyto, co jest rękojmią obfitego plonu.

PRAWIDŁA Powszechne w Czerwcu. „Wiatr północny w czerwcu napędza żyto do sąsiedka”² (Przysłowie). Pełnia czerwcową sprowadza burzę, ostatnia kwadra deszcze ulewne. Grzmot czerwcowy szkodzi zbożom. [...]

MIESIĄC LIPIEC.

Dzień 2. Deszcz w dniu tym zapowiada 40 dni słoty.

Dzień 10. Jaki będzie dzień ten, takimi będą 7 tygodni następujących.

Dni 22, 23 i 24. Jeżeli są pogodne, jest nadzieja, że się uda zbiór oziminy.

Dzień 25. (Św. Jakóba). Jaka jest pogoda dnia tego przed południem, taka też będzie przed Bożym Narodzeniem, a jaka jest po południu, taka będzie po Bożym Narodzeniu. Białe chmury w tym dniu rokują wielkie śniegi w styczniu, a niebo jasne mróz tęgi w grudniu.

Dzień 26. (Św. Anny). W dniu tym, mówili starzy, powinien być groch wystrączkowany w polu, a jabłka w sadzie.

Dzień 29. (Św. Marty). Po tym dniu śpiewać przestają ptaki letnie i niedobrze jest kąpać się w stawach.

PRAWIDŁA Powszechne w Lipcu. Grzmoty częste w lipcu szkodzą plonom. Kanikuła³ rokuje pogodną jesień. [...]

MIESIĄC SIERPIEŃ.

Dzień 2 do 6. Jeżeli dni te są gorące, tedy nastąpi zima ciężka.

² Sąsiek – miejsce w stodole przeznaczone na składanie snopów.

³ Tu: dni gorące.

Dzień 10 i 15. Jaka jest pogoda w te dni, taka będzie w dniach następujących pięciu.

Dzień 24. Jeżeli w dniu tym zagrzmie, spodziewać się należy niebawem silnych deszczów.

Dzień 24. (Św. Bartłomieja). Jaka jest w tym dniu pogoda, taka też będzie przez jesień całą. „Jeżeli posiejesz na Św. Bartłomieja, mieć będziesz stodołę pełną, jeżeli na Św. Mateusza (21 września) pustą”. (Dawne przysłowie).

Dzień 30 i 31. Jakimi są te dni, takimi będą wrzesień i październik.

PRAWIDŁA POWSZECHNE W SIERPNIU. Pierwsze dni tego miesiąca bywają zwykle wietrzne. Wiatr północny w sierpniu ustala pogodę. Grzmoty w sierpniu niewiele rokują dobrego. [...]

MIESIĄC WRZESIEŃ.

Dzień 1. Jaki jest ten dzień, takimi będą cztery tygodnie następujące.

Dzień 8. (Narodzenia N. M. P.) „Siej dziś, a posiejesz wczas”, tak mówili starzy i nie bez przyczyny.

Dzień 11. Jeżeli dzień ten jest pogodny, tedy spodziewać się sucho w jesieni. Dzień 21. (Św. Mateusza). Jeżeli dzień ten jest pogodny, nastąpią cztery tygodnie pogodne.

Dzień 22. Pogoda w dniu tym zapowiada silne wiatry w zimie.

Dzień 29. (Św. Michała). Noc jasna zapowiada ostrą i długą zimę. Noc słotna rokuje zimę lekką i ciepło do końca grudnia. Noc burzliwa spodziewać się każe wczesnej i ciężkiej zimy. Jeżeli obejdzie się bez deszczu przy pochmurnym niebie, jest to przepowiednia suchej wiosny. Taka wielość prognostyków sprzecznych dała powód do sentencji „o Św. Michale, zamilczć cale”.

PRAWIDŁA POWSZECHNE WE WRZEŚNIU. W dwóch pierwszych tygodniach września następować zwykły silne wiatry od wschodu. Jeżeli przypadnie przymrozek na Św. Michał, tedy spodziewać się go także dnia 1 maja, a ile będzie przymrozków we wrześniu, tyle

ich też będzie w maju następującym. Skoro bociany nie odleciały przed Św. Michałem, tedy obejdzie się bez mrozów do końca grudnia. Jaka jest pogoda na nowiu wrześniowym, taka dotrzymywać zwykła do końca jesieni. [...]

MIESIĄC PAŹDZIERNIK.

Dzień 1. (Św. Remiana). Dnia tego spodziewać się mrozu.

Dzień 7. (Św. Marka). Podobnież, po czym krótkie bywa babie lato.

Dzień 16. Jeżeli dzień ten jest suchy, tedy lato następujące będzie suche.

Dzień 28. (Św. Szymona Judy). „Chowaj kapustę i buraki, bo ci je mróz zwarzy”. (Przysłowie).

PRAWIDŁA POWSZECHNE W PAŹDZIERNIKU. Mroźny październik rokuje ciepły styczeń. Mokry październik rokuje wietrzny grudzień. Koniec października łagodny rokuje mroźny luty. Ile razy spadnie śnieg przed nowiem w październiku, tyleż razy nastanie odwilż w zimie. [...]

MIESIĄC LISTOPAD.

Dzień 1. Dzień ten (Wszystkich ŚŚ.) zwykł być pogodny, co gdy nastąpi, pogoda potrwa dni 3–5.

Dzień 11. Jaka jest pogoda dnia tego, taka bywa przez całą zimę. Zwykle pada śnieg, skąd poszło w przysłowie: „że Św. Marcin jedzie na białym koniu”.

Dzień 24. Jaki jest dzień ten, takim będzie luty. Jest to wilia do Św. Katarzyny, gdzie słotno i błotno, zaczym poszło przysłowie: „do Panny Katarzyny, nowych butów obłóczyń”.

Dzień 30. (Św. Jędrzeja). Zima ustalać się zwykła.

PRAWIDŁA POWSZECHNE W LISTOPADZIE. Deszcz w pierwszym tygodniu listopada rokuje silne mrozy w ostatnim tygodniu grudnia. Stan pogody w listopadzie reguluje pogodę w marcu. Jasny i mroźny listopad zapowiada mokry styczeń. Deszcz w połowie listopada obiecuje mróz tęgi w połowie stycznia. [...]

MIESIĄC GRUDZIEŃ.

Dzień 1. Jeżeli zima ustali się dnia tego, tedy potrwa jeszcze 18 tygodni.

Dzień 4. (Św. Barbary). Mrozy pokrzepiać się zwykły, skąd poszło przysłowie: „na Św. Barbarę, dobądź z skrzyni czamarę”.

Dzień 24. Jaka jest pogoda dnia tego, taka potrwa do Nowego Roku, a czasem i trzy dni dłużej.

Dzień 25. Noc jasna w wigilią Bożego Narodzenia obiecuje urodzaj w roku następującym. Im bliższy jest dzień ten nowiu, tym cięższej spodziewać się zimy; im bliższy jest pełni lub ostatniej kwadry, tym lżejsza będzie zima.

Dzień 27. Powietrze posępne w tym dniu rokuje obfity urodzaj w zbożu.

PRAWIDŁA POWSZECHNE W GRUDNIU. Po suchym grudniu następuje sucha wiosna i pogodne lato. Jeżeli pierwszy tydzień grudnia jest pochmurny, tedy zima ustali się niebawem. Mgły częste w grudniu są wróżbą, że rok następujący będzie nieurodzajny. [...]

ZASADY POWSZECHNE DO WNIOSKOWAŃ O STANIE POGODY.

1. Jeżeli dąb rozwinie się w liść wcześniej niż jesion, tedy lato będzie suche (tak było w roku 1846).

2. W dniu 30 marca i 12 września uważać należy, z której strony wiatr wieje; jeżeli od wschodu, tedy cały kwartał następujący będzie suchy; jeżeli od południa lub od zachodu, wtedy cały kwartał przyszedł będzie mokry.

3. Dzień niedzielny bywa częściej pogodny niżeli słotny. Dzień środowy najczęściej pogodny, piątkowy zwykle niestały, a w stonsunku do innych najmniej pogodny; w sobotę niemal zawsze zaślęśnie słońce, a w ogóle dzień ten bywa pogodny.

4. Wiatr wschodni przynosi w lecie suszę, w zimie wiele śniegu i zamieci śniegowej. Wiatr północno-zachodni sprowadzać zwykł pogodę tak w lecie, jako też i w zimie, lecz w zimie natęża on mrozy. Wiatr północny bywa w swym pomioście najślabszy, wyjąwszy porę obu porównań dnia z nocą, i obu przesileń dnia i nocy, gdzie

zamienia się niekiedy w burzę, jednakże trwa niedługo. Przynosi zwykle słońce.

5. Burze nawalne z grzmotami powstawać zwykły w stronie południowo-zachodniej i trwają niekiedy do trzech dni. Burze z zamieciami śniegowymi powstają zwykle od strony wschodniej widnokręgu i trwają niekiedy całą dobę. Z kierunku wiatru więc czynione być mogą dość pewne wnioski o stanie nastąpić mającej pogody.

6. W czasie bliskim obu przesileniom dnia i nocy spada w lecie najwięcej deszczu, w zimie najwięcej śniegu.

PRZEDRUK ZA: *Józefa Unger Kalendarz Warszawski Popularno-Naukowy na Rok 1852*, Warszawa 1851, s. 24–31.

82. Złowieszczy księżyc

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)
Od kolebki przez życie [fragment]

Zanotuję tu zdarzenie, które się mi wyryło w pamięci na życie całe pod postacią przesądu. Wieczora pewnego przechadzałem się ze Szczęsnym¹ po podwórzu; rozmawialiśmy, nagle Szczęsny stanął, ramię do góry podniósł i na niebo wskazując, rzekł:

– Widzisz?

Poszedłem okiem w kierunku ręki jego i ujrzałem księżyc na nowiu.

– Księżyc – odrzekłem.

– Po lewej się nam pokazał stronie.

– Więc cóż? – zapytałem.

– Ma to zwiastować w ciągu miesiąca śmierć jednego z członków rodziny. Powiedzenia tego na serio nie wziąłem. Wróciliśmy do rozmowy przerwanej.

[...]

Bracia moi dostali się do rąk rosyjskich na trzeci dzień po wyjeździe moim z Gałacu². Negri przygotował dla nich ratunek, ale się ten nie powiódł z powodu, że żandarmowi, który miał ich na łódź odprowadzić, nie udało się spoić trzech innych żandarmów, którzy ich konwojowali i którym tajemnicy powierzać nie można było. Wydano więc ich i wydanie pociągnęło za sobą następstwa naturalne: indagacje, sąd i wyrok. Indagacja miała na celu wydobyć z nich zeznań, dotyczących się organizacji, która ujawniała

¹ Brat autora.

² Gałac w Besarabii. Miłkowski próbował przemycić braci swoich, zbiegłych z zaboru rosyjskiego, do Turcji. Byli bez dokumentów (w roli służących), zostali w Gałacu aresztowani przez Austriaków i wydani Rosjanom.

się w sposobie, w jaki oni z kraju za granicę wyszli. Sąd śledczy domyślał się sprzysiężenia i chciał osnowę i skład onego poznać. Józef i Szczęsny nic i nikogo nie wydali, tak że pozostawał jeno na nich zarzut dezercji z szeregów, tyczący się Józefa wyłącznie. Na podstawie tej wskazano go na śmierć; Szczęsnego zaś do robót aresztanckich.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 2, s. 59, 71–72.

83. Wiejskie gusła i wróżby

Bieroński Wincenty (kierownik
szkoły ludowej w Poroninie)

Czary i zabobony wobec religii i nauk przyrodniczych [fragmenty]

Kto pierwszy raz na wiosnę jaskółkę zobaczy, a chce być tak lekkim i rzeźwym całe lato, jak ta wiosenna ptaszyna, niechaj spieszy do tego strumyka, w którym ona wodę piła, i niechaj się takową do trzeciego razu obmyje.

Z wiosną nadśluchują pracujący w polu, aby koniecznie pierwszy grzmot usłyszeć, jest to bowiem najlepsza sposobność i chwila do zabezpieczenia się na całe lato od bólu głowy. Trzeba tylko w owej chwili trzykrotnie w czoło uderzyć się kamieniem. Przyjemne lekarstwo!...

[...]

Od św. Łucji do Bożego Narodzenia jest prawie 12 dni, jakby miesięcy w roku. Niektórzy uważają na to, że jaki pierwszy, drugi, trzeci itd. dzień, słotny czy pogodny, takie będą miesiące nowego roku. Dokładniejszą jeszcze wróżbę znają stare kobiety, klucznice dworskie, babcie i ciotce nawet szlacheckich rodzin. Z ciekawości zanotowałem sobie dosłownie formułkę wróżby, jak mi takową podyktowano:

Wziąwszy we Wigilią dwanaście skorupek
Ponasytuj w nie soli albo drobnych krulek;
Potem szeregiem ustaw na równej deszczułce
I połóż raniutko na bezpiecznej półce.
Skoro się opłatkami wszyscy połamiecie,
Wtedy na skorupki zaglądnąć możecie...
I od lewej ręki począwszy rachować,

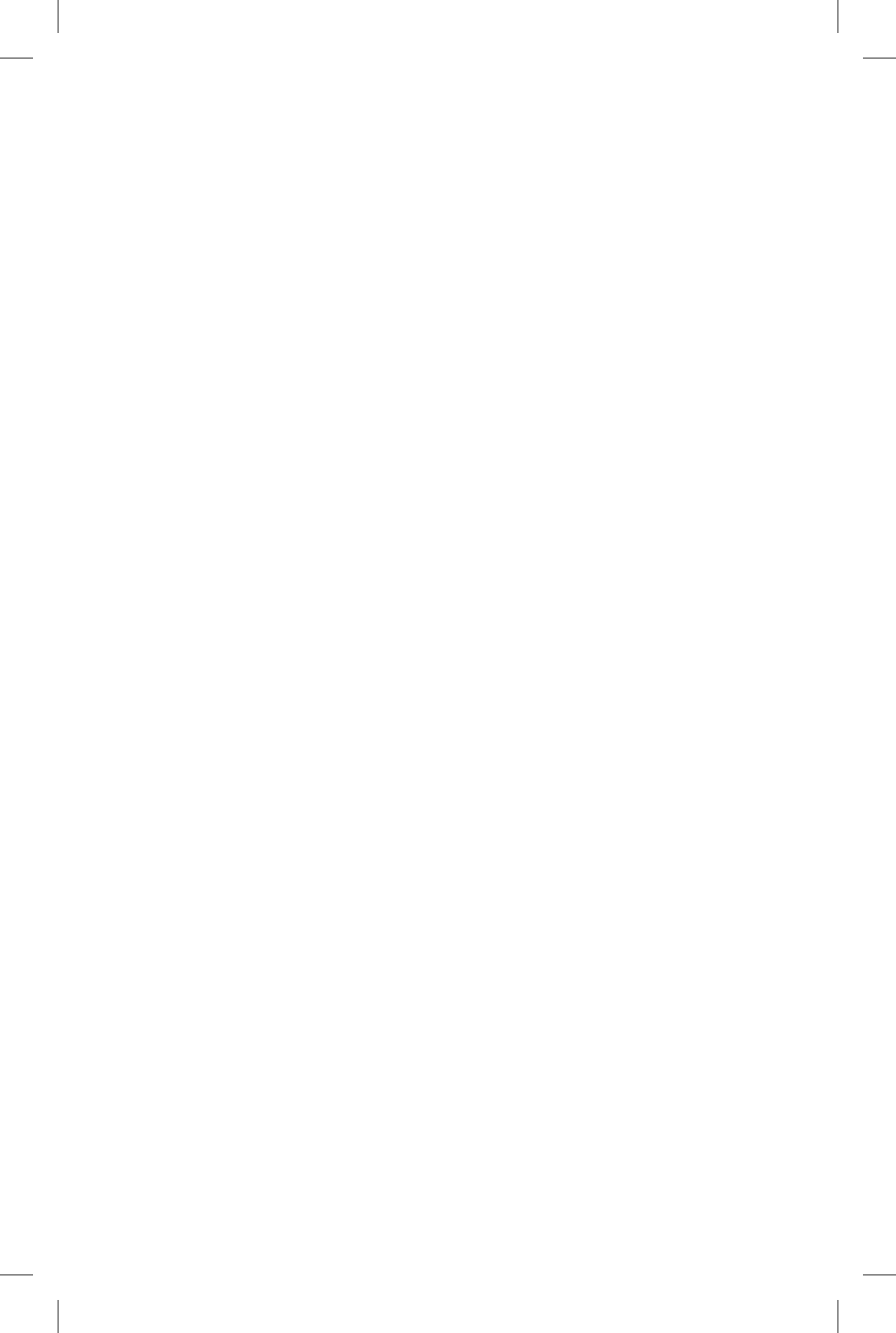
Musicie porządek miesięcy zachować.
Teraz zanotujcie, w których sól wilgotna...
A w których sucha albo lekko potna...
W ten sposób oznaczmy na każdy czas w roku:
Pogodę lub słońce w naturalnym toku.

Dla dokładniejszego zrozumienia rzeczy dodano uwagę, że najlepiej zanotować sobie wszystkie te spostrzeżenia, z których dokładnie oznaczyć można: czas trwania słońca, posuchy, mgły itp. w każdej części miesiąca.

Rok nieurodzajny przynoszą z sobą na świat dziewczęta, gdy się ich więcej urodzi aniżeli chłopców; w przeciwnym wypadku najpewniejszą wojnę wróżą liczniejsi chłopcy.

PRZEDRUK ZA: Wincenty Bieroński, *Czary i zabobony wobec religii i nauk przyrodniczych*, Kołomyja 1885, s. 44, 49.

SPIS ILUSTRACJI



KOLOROWE WKŁADKI:

(Przy stronie 142)

1. Antoine-Jean Gros, Portret J.U.Niemcewicza (1834), obecnie w Muzeum Czartoryskich w Krakowie, źródło: https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/8/8a/Julian_Ursyn_Niemcewicz_111.PNG, dostęp 5.09.2016, domena publiczna.

(Przy stronie 236)

11. Peter von Hess, *Przejście przez Berezynę 17 listopada 1812* (1844), źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Crossing_the_Berezina_River_by_Peter_von_Hess.jpg, dostęp 5.09.2016, domena publiczna.

(Przy stronie 252)

111. Wojciech Kossak, *Chłopi z sztabem pod Olszynką* (1914), źródło: Kazimierz Olszański, *Wojciech Kossak*, Ossolineum, Wrocław 1982, domena publiczna.

(Przy stronie 294)

- iv. Fiodor Aleksiejew, *7 listopada 1824 roku na placu przy Teatrze Wielkim* (1824), źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:7_ноября_1824_года_на_площади_у_Большого_театра.jpg, dostęp 27.12.2016, domena publiczna.

(Przy stronie 320)

- v. Claude Monet, *Parlament londyński w słońcu i mgłę* (1904), źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Claude_Monet_015.jpg, dostęp 5.09 2016, domena publiczna.

(Przy stronie 322)

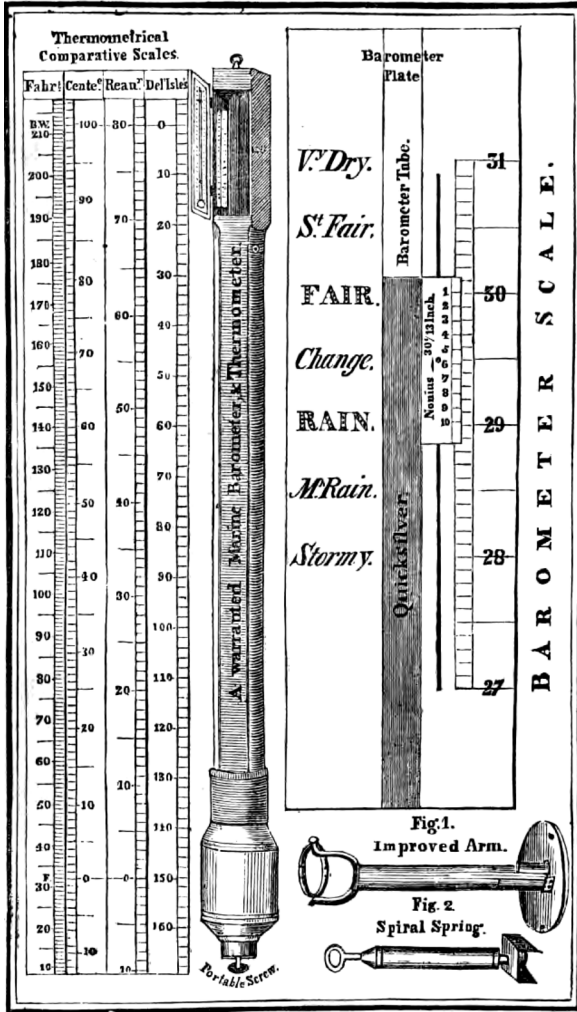
- vi. Caspar David Friedrich, *Morze lodu* (1823–1824), źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Caspar_David_Friedrich_-_Das_Eismeer_-_Hamburger_Kunsthalle_-_02.jpg, dostęp 5.09 2016, domena publiczna.

NA KOŃCU KSIĄŻKI

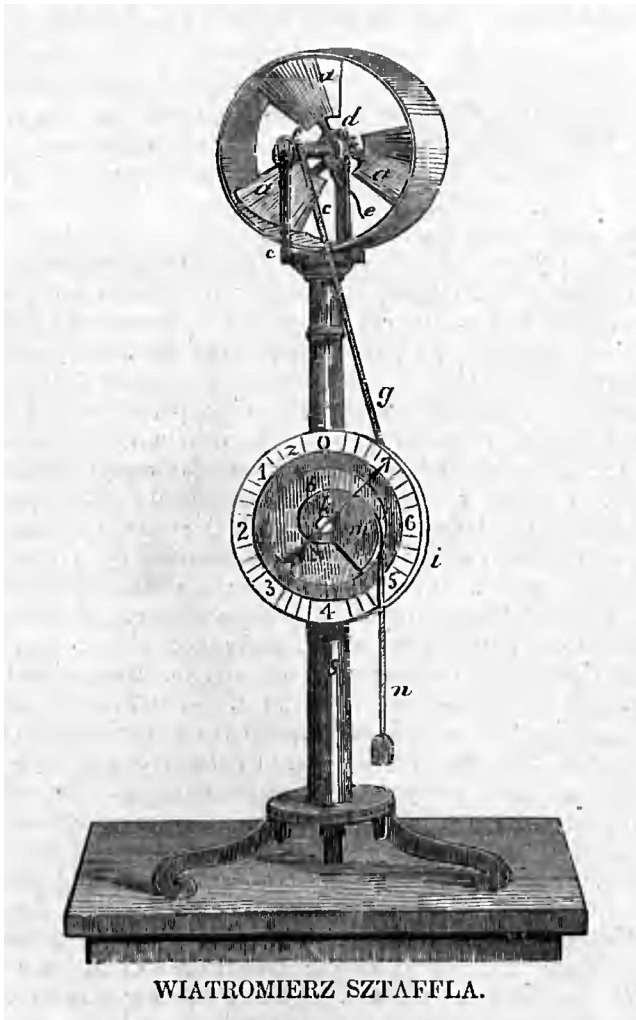
1. Skale termometryczne i wskazania barometru. Rycina z książki: *Ample instructions for the barometer and thermometer; containing*

- particular directions for the marine and house barometers, or weather glasses; the instructions are also applicable to the sympiesometer and oil barometer; with rules to be observed in using the storm glass; including tables of the temperature of the sea, from Mr. Abel Clarke, &c. and remarks made by Captains Sabine and Hall, R. N., Lieut. White, U. S. N.; Colonel Williams, U. S. A.; and Capt. Kursenstern, Russian navy. To which is added a perpetual weather table, various atmospherical phenomena, &c., New York 1841.*
2. Wiatromierz Sztaffla, „Tygodnik Ilustrowany” 1864, t. IX, nr 237, s. 132.
 3. Wnętrze obserwatorium astronomicznego w Warszawie, w Ogrodzie Botanicznym, „Tygodnik Ilustrowany” 1869, t. IV, nr 96.
 4. Obserwacje meteorologiczne z 25 VI 1820 w „Kurierze Litewskim”, nr 76.
 5. Obserwacje meteorologiczne z 11 I 1840 w „Gazecie Krakowskiej”, nr 8.
 6. Jan Feliks Piwarski, *Wylew Wisły. Poranek przy ulicy Rybaki w Warszawie 1844 roku*, w: *Kram malowniczy warszawski czyli Obrazy miejscowe z ubiegłych czasów: obejmujące typy ludowe warszawskie i postronne niemniej charakterystyka miejscowa w ogólności*, Rok 1, Oddział 1, Cz. 11.
 7. Ksawery Franciszek Pillati rysunek, Gustaw Hähle drzeworyt, *Obchód Rękawki w Krakowie*, „Tygodnik Ilustrowany” 1860, t. I, nr 34, s. 304.
 8. Ogłoszenie o przełożeniu nabożeństwa z powodu deszczu, wklejone w „Kronice domowej” Ambrożego Grabowskiego, tom 3-ci (1862, 1863, 1864), in 4-o., rkp. Archiwum Narodowe w Krakowie, sygn. 1 (dawna E. 4), k. 62.
 9. *Zamieć śnieżna*, podług obrazu Apoloniusza Kędzierskiego, „Tygodnik Ilustrowany” 1885, t. V, nr 112.
 10. *Karuzel na lodzie*, rysunek Ksawerego Pillatiego, „Tygodnik Ilustrowany” 1878, t. V, nr 117.
 11. *Na wiosnę*, rysunek Feliksa Brzozowskiego, „Tygodnik Ilustrowany” 1885, t. V, nr 123.
 12. *Pierwszy dzień wiosny*. Szkice z życia warszawskiego, rysunek Franciszka Kostrzewskiego, „Tygodnik Ilustrowany” 1867, t. XV, nr 392, s. 152.
 13. Juliusz Korsak, *Łyżwiarze i łyżwiarki w porcie królewieckim*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1867, t. XV, nr 392, s. 149.

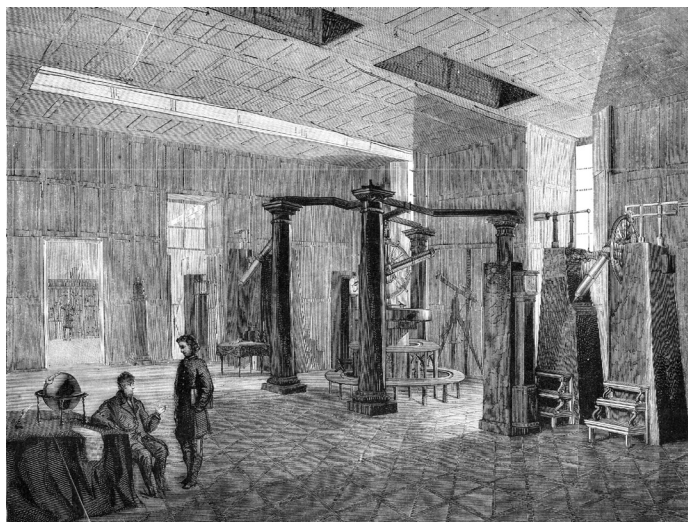
ILUSTRACJE



1. Skale termometryczne i wskazania barometru



2. Wiatromierz Szafla



3. Wnętrze obserwatorium astronomicznego w Warszawie, w Ogrodzie Botanicznym

N^{ER} 76

KURYER LITEWSKI

w Wilnie w Piątek dnia 25 Czerwca r.3. 1820 roku

Observacje meteorologiczne.	Czas obserwacji	Wysokość Barom.	wys. Ther. Rean.	Wiatry	Chm. w powie.
dn. 25 średnia.		27 cal. 6, 2, lin	+ 12, stopni	Zachodni	Deszcz
dn. 24 średnia.		27 -- 6, 8, --	+ 11, --	Zachodni	Pochmurno
dn. 25 godz. 5		27 -- 6, 6, --	+ 15, 2	Zachodni	Pochmurno

4. Obserwacje meteorologiczne z 25 VI 1820
w „Kurierze Litewskim”, nr 76

N^{er} 8. ROK 1840.

SOBOTA 11 STYCZNIA.

Pismo to wychodzi codziennie oprócz niedzieli
i świąt urocz. w druk. St. Gieszkowskiego.

Zaliczenie na trzy miesiące Złp. 10
miesięcznie Złp. 4.

MIKONA RZYMSKIE.
Jutro Arkad M.



MIKONA SŁAWIAŃSKIE.
Jutro Cyrylawa.

Gazeta Krakowska.

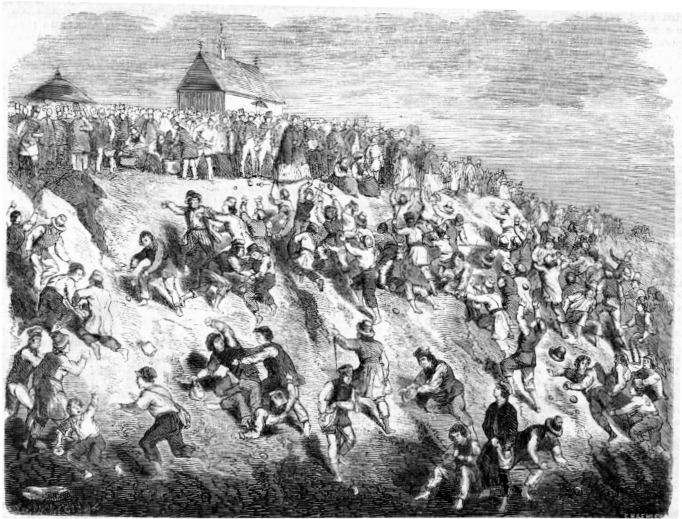
OBSERWACJE METEOROLOGICZNE.

Dzien godzina	Barometr do 0 ^o Reaumura w miarce Paryskiej	Stopnie zimna podług Reaumura	Psycho- metr	Wiatr	Stan Atmosfery	Zjawiska napowietrzne i różne uwagi
6 27 ^o	11, 157	- 15,	7 0,	46 ZPI	Zachodni słaby;	Pogoda
2 28 ^o	0, 141	- 10,	8 0,	73	„ „	„
10	0, 475	- 11,	6 0,	69	„ „	Pochmurno

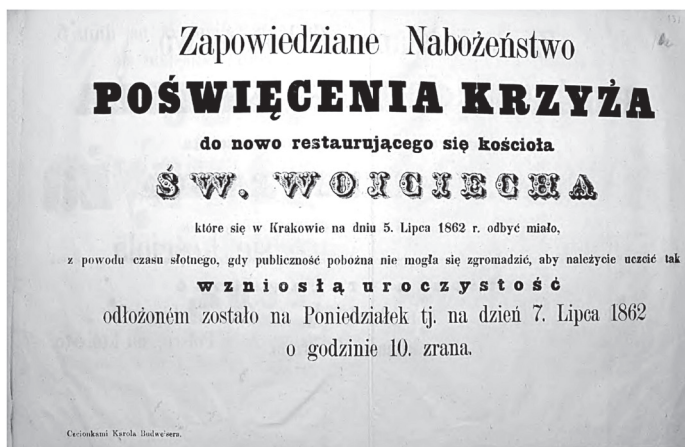
5. Obserwacje meteorologiczne z 11 I 1840
w „Gazecie Krakowskiej”, nr 8



6. Jan Feliks Piwarski, *Wylew Wisły. Poranek przy ulicy Rybaki w Warszawie 1844 roku*



7. Ksawery Franciszek Pillati rysunek, Gustaw Hähle drzeworyt, *Obchód Rękawki w Krakowie*



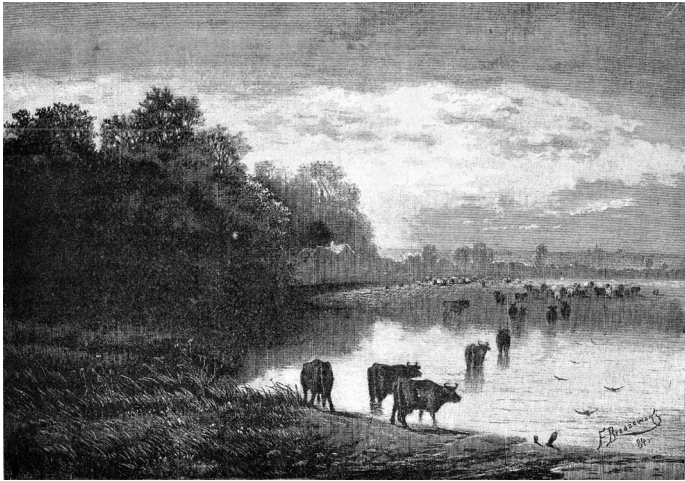
8. Ogłoszenie o przełożeniu nabożeństwa z powodu deszczu, wklejone w „Kronice domowej” Ambrożego Grabowskiego



9. *Zamieć śnieżna*, podług obrazu Apoloniusza Kędzierskiego



10. *Karuzel na lodzie*, rysunek Ksawerego Pillatiego



11. *Na wiosnę*, rysunek Feliksa Brzozowskiego



12. *Pierwszy dzień wiosny*. Szkice z życia warszawskiego,
rysunek Franciszka Kostrzewskiego



13. Juliusz Korsak, *Łyżwiarze i łyżwiarki w porcie królewieckim*

REDAKCJA: Krzysztof Smólski
KOREKTA: Nina Brzostowska-Smólska

PROJEKT GRAFICZNY: Daria Malicka
SKŁAD I ŁAMANIE: Marcin Kiedio

Projekt Pracowni Romantycznej IBL PAN, nr: 0097/NPRH2/
H11/81/2013, finansowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa
Wyższego, opracowywany w l. 2013–2017



NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI

KIEROWNIK GRANTU I REDAKTOR NAUKOWY SERII:
dr hab. Marta Zielińska

RECENZENT TOMU:
dr hab. Anna Kurska

REDAKTOR PROWADZĄCY SERII:
Krzysztof Smólski

© Copyright by Marta Zielińska, 2017

© Copyright by Instytut Badań Literackich PAN, 2017

ISBN: 978-83-65573-61-2

Druk: Oprawa Sp. z o.o., ul. Dowborczyków 17, 90-019 Łódź